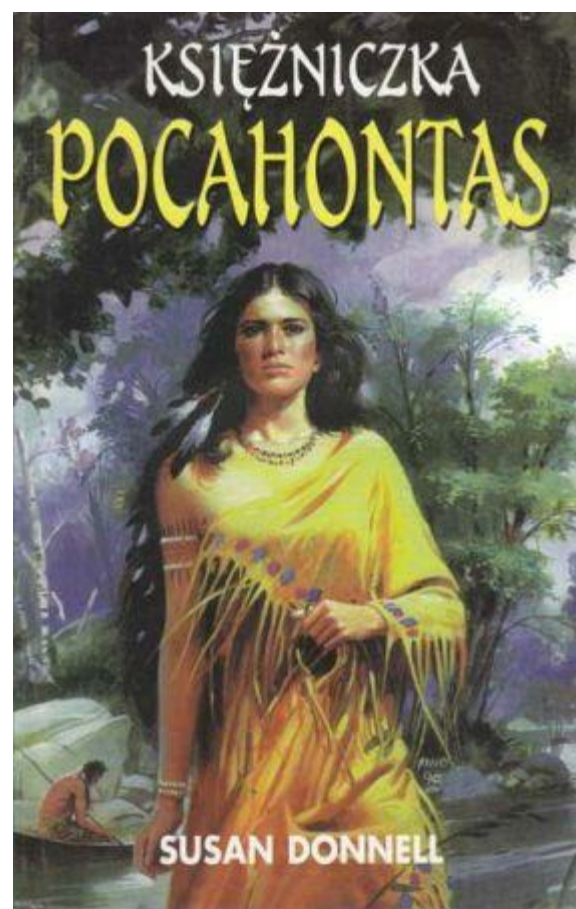


KSIĘŻNICZKA POCAHONTAS

A full-page illustration of Pocahontas, a Native American woman with long dark hair, wearing a yellow and orange dress with fringes. She is standing in a lush, green forest. In the bottom left corner, a small figure of a Native American man is visible, kneeling and working with a tool.

SUSAN DONNELL



Donnell Susan

Księżniczka Pocahontas

Jest to historia oparta na faktach, opowiadająca

o wielkiej, burzliwej miłości. Poznajemy w niej

młodą księżniczkę dzikiego plemienia

Powhatanów, żyjącego na terenach obecnej

Wirginii. Pocahontas wkracza dopiero w dorosłe

życie, a jako ukochana córka króla siedmiu krain

ma z góry ustalone życie - jej przyszłym mężem

ma być wspaniały wojownik Kokum. Poznaje

jednak atrakcyjnego, intrygującego Anglika -

Johna Smitha. I od tej pory wszystko się

zmienia...

Od Autorki

Historia Pocahontas fascynowała mnie jeszcze w dzieciństwie, kiedy miałam dziesięć lat. Mieszkałam wtedy w Wirginii, gdzie wraz z bratem i kuzynami chętnie odgrywałam scenki osnute wokół rozmaitych epizodów z jej życia. Jednak we wszystkich wariantach główna bohaterka w krytycznej chwili ratowała życie Johna Smitha.

Istnieją dwie szkoły historyczne różniące się poglądami na temat, czy Pocahontas była kochanką Johna Smitha. Osobiście jestem pewna, że była. Istnieją wiarygodne świadectwa, że powtórne spotkanie z Johnem Smithem w Anglii, po latach rozłąki, stanowiło dla Pocahontas zbyt silny wstrząs, aby chodziło po prostu o jej znajomego. Poza tym, gdyby nic ich ze sobą nie łączyło, nie narażałaby przecież swojego życia dla ratowania Smitha i jego towarzyszy zupełnie obcych dla niej ludzi!

W tamtych czasach życie było brutalne, ale bardzo urozmaicone i pełne nagłych zwrotów. Nawet wydawca z trudem dał się przekonać, że w tak krótkim czasie mogło wydarzyć się tak wiele.

Ja jednak trwałam przy swoim przekonaniu, że są to fakty historyczne.

Kiedy zbierałam materiały do książki, moją uwagę zwrócił także stosunek Anglików do Indian. Otóż uważali ich oni za ludzi równych sobie, może nieco innych, ale wcale nie gorszych. Plemię Powhatanów było ludem rolniczym, znającym skomplikowane technologie uprawy roślin, które chętnie przekazywali Anglikom. Żyli w osadach składających się z prymitywnie skleconych chat, przestrzegali surowego kodeksu etycznego, odżywiali się dużo racjonalniej niż Anglicy, a codzienna kąpiel należała do ich obrzędów religijnych. Nosili kunsztowne stroje ze skór wyprawianych na zamsz oraz z futer i piór. Wielki wódz Powhatan, którego Anglicy nazywali królem lub cesarzem, a jego córkę księżniczką - sprawował nad swoim plemieniem władzę absolutną, a w każdej osadzie miał

wydzieloną osobistą rezydencję. Indianie prowadzili zdrowy tryb życia w nieskażonym środowisku, a ich stosunki z białymi nie były nacechowane uprzedzeniami, które narosły później, w rezultacie wieloletnich wojen.

Przez wiele lat byłam zbyt zajęta pracą i podróżami po całym świecie, aby kontynuować studia nad postacią Pocahontas.

Przypomniałam sobie o niej, kiedy mój dom rodzinny w stanie Wirginia, gdzie moi przodkowie zamieszkiwali od dwustu pięćdziesięciu lat, spłonął i nie dało się go odbudować.

Przeprowadziłam się wtedy do Anglii, ale tam poczułam nieodpartą potrzebę powrotu do swoich korzeni, od których zostałam tak niespodziewanie oderwana. Postanowiłam więc odtworzyć i opisać historię mojej rodziny, która zaczyna się od księżniczki Pocahontas. Ja należę do czternastego

pokolenia jej bezpośrednich potomków.

Rozdział 1

Londyn,

czerwiec 1616 roku

— Johnie, czy tu każda rodzina ma swój własny kościół? Nie przypuszczałam, że może ich być aż tyle! — wykrzykiwała Pocahontas, stojąc przy relingu statku, który płynął w górę Tamizy. Minęli już Gravesend i zbliżali się do londyńskich doków. Poprzedniego dnia statek „Treasurer” przybił do Plymouth po rejsie przez ocean. Tam poseł do parlamentu, sir Edwin Sandys, wraz z kilkoma członkami Kompanii Wirgińskiej weszli na pokład, aby towarzyszyć indiańskiej księżniczce, jej mężowi Johnowi Rolfe'owi, ich małemu synkowi i świcie przy ceremonii powitalnej, mającej się odbyć w Londynie.

Sir Edwin był pierwszym, który oczekiwał przybyłych u szczytu pochylni w Plymouth. Pocahontas od razu ujął jego zdecydowany, bezpośredni i prostoliniowy sposób bycia. Czuli, że pod jego opieką ani jej, ani nikomu z jej otoczenia nie stanie się krzywda. Była przekonana, że zaproszenie do Anglii, które otrzymała od Kompanii Wirgińskiej, przyniesie korzyść jej ludowi i wzrost zainteresowania ich ojczyzną. Wspólnie z sir Edwinem i Johnem Rolfe'em ustalili marszrutę podróży do Anglii.

Przy okazji Pocahontas dowiedziała się, że jej pierwszy przewodnik w świat cywilizacji białych, John

Smith, przebywa właśnie w Szkocji i że wkrótce ma powrócić do Londynu. Na samo wspomnienie o nim zrobiło się jej słabo, ale już na początku podróży postanowiła, że nie będzie unikać tego tematu w rozmowach. O dziwo, ta decyzja przyniosła jej pewną ulgę, niemniej dźwięk znajomego nazwiska wciąż działał na nią porażająco.

Statek zwolnił, przepływając obok Bramy Zdrajców. Pocahontas z przestachem spojrzała na wysoki kontur wieży Tower.

Pamiętała, że hrabia Northumberland, brat jej znajomego George'a Percy'ego, odbywa tam wieloletnią karę ciężkiego więzienia. Indianka uważała to za barbarzyństwo - jej ojciec albo od razu zabijał swoich przeciwników, albo ich uwalniał. Tylko czy chrześcijanie wypada mieć takie wątpliwości? Musi kogoś o to zapytać.

Wyciągnęła rękę do swego dwuletniego synka, Thomasa, ubranego w stylu angielskim w atłasowy kaftan i kapelusz z piórami. Jej szwagier, Tomoco, trzymał go na ramieniu, tak aby chłopczyk mógł dobrze przyjrzeć się cumowaniu do przystani.

Pocahontas oglądała tę ceremonię z takim samym podnieceniem jak on.

W porcie było tłoczno od statków, holujących je robotników, wędrownych kuglarzy i pasażerów, zarówno wsiadających, jak i wysiadających. Nie przypuszczała, że gdzieś na świecie można spotkać aż tylu ludzi. Tomoco próbował od wyjazdu z Wirginii zaznaczyć nacięciem na trzcinowej laseczce

każde dziesięć napotkanych osób. Wkrótce jednak zarzucił ten pomysł, gdyż nie starczyło mu miejsca.

Wciąganiu siał ku do basenu portowego przyglądał się tłum rozgorączkowanych twarzy. Pocahontas była ubrana po europejsku, ale jej ludzie mieli na sobie odświętne stroje plemienia Powhatanów, ze skór przybranych piórami i lisimi futerkami. Kobiety w pelerynkach z piór farbowanych na czerwono, żółto lub zielono tworzyły barwną plamę na tle szarej angielskiej mgły. Oczekujący wyciągali szyje, aby je lepiej widzieć, i wznosili okrzyki podziwu. Sir Edwin zawczasu uprzedził Pocahontas, że mieszkańcy Londynu zgotują jej gorące przyjęcie.

Na brzegu czekał już wysłannik króla, hrabia Dorset, ze swoją świtą. Nosił spiczastą bródkę w stylu hiszpańskim, modnym wówczas w kręgach dworskich. Stojący tuż obok niego grubas w szacie duchownego był najprawdopodobniej przedstawicielem biskupa Londynu. Dwunastu kupców, którzy sfinansowali przyjazd Pocahontas, prowadziło nie opodal rozmowę. Jedwabie i atłasy strojów świadczyły o zamożności właścicieli. Grupkę notabli otaczał tak ściśle tłum, że pokonanie odległości od statku do gospody „Belle Sauvage” na Ludgate Hill zajęło gościom i ich dwudziestoosobowej asyście bardzo dużo czasu. Mężczyźni szli pieszo, kobiety niesiono w lektykach.

Sir Edwin uprzedzał Pocahontas, że miejscowi ludzie będą tłoczyć się wokół niej, aby dotknąć choć rąbka jej sukni.

Niemniej przebijanie się przez tłum gapiów było niezwykle uciążliwe, zwłaszcza z uwagi na odór nie domytych ciał. Mimo że tak ona, jak i jej siostra Mehta otrzymały do wączania pomarańcze naszpikowane goździkami i trzymały je cały czas przy nosach - Mehta w swojej lektyce niemal słabła. I trudno stwierdzić, czy bardziej cierpiał ich węch, czy słuch, gdyż bębenki uszne przybyszów, przywykłe do ciszy leśnej, porażał

gwar wielkiego miasta, okrzyki ciekawskich widzów i nawoływania przekupniów.

Sandys zarezerwował do dyspozycji gości całą gospodę. Nie przewidział jednak, że już w godzinę po przyjeździe, jeszcze niepewnie stąpając po długiej morskiej podróży, Indianie przewrócą cały zajazd do góry nogami. Okazało się, że przejawiają oni niebywałe zamiłowanie do czystości i porządku, toteż od razu zażądali mioteł, ścierek i wody. Ponieważ zajazd od lat nie był sprzątny, służba z orszaku księżniczki z pasją rzuciła się do usuwania pokładów brudu. Sir Edwin musiał wyciągnąć przerażonego oberżystę na stronę, postawić mu wino i dopłacić sztukę złota, aby skłonić go do wyrozumiałości dla dziwnych zachcianek zamorskich przybyszów.

Wkrótce u bram zajazdu pojawili się paziowie i chłopcy na posyłki, przynoszący prezenty, koszyczki wiosennych kwiatów lub wykaligrafowane na ozdobnym papierze zaproszenia na różnego rodzaju imprezy i przyjęcia. Wieczorem Pocahontas kręciło się już w głowie od nadmiaru wrażeń. Zastanawiała się, czy będzie w stanie na dłuższą metę wytrzymać tak zabójcze tempo, i prosiła Boga o chwilę spokoju dla zebrania myśli.

Wiedziała, że Smith jest aż w Szkocji, a mimo to wzdrygała się na każde stukanie do drzwi.

Następnego ranka znów doszło do przykrego zgrzytu, gdyż okazało się, że Indianie z plemienia Powhatanów muszą codziennie odbywać rytualną kąpiel, a w zajeździe nie ma tyłu wanien. Tomoco

wraz z czteroosobową obstawą próbował

dokonać ablucji w rzece, ale przywabił tym tylu gapiów, że nie mógł spokojnie odprawić modłów na cześć Ahone - opiekuńczego ducha rzeki. W końcu Indianie dali się przekonać, aby na czas swojego pobytu w Anglii zrezygnować z rytualnych ablucji w publicznych miejscach. Wy tłumaczono im, że Anglikom takie zwyczaje są obce, a nawet mogą ich szokować. Goście upierali się jednak przy wannach. John Rolfe uratował sytuację, zabierając mężczyzn do tureckiej łaźni parowej, dopóki nie zdołano ściągnąć z całej okolicy odpowiedniej liczby drewnianych balii.

Podczas gdy Pocahontas odpoczywała, krawcowa przyniosła jej chyba ze dwa tuziny strojów. Młoda kobieta zachwycała się nie znanymi jej dotąd tkaninami i ich kolorami - brzoskwiniowym, lawendowym, białym, czerwonym, różnymi odcieniami zieleni, żółci i błękitu. Nie miała pojęcia, że można wyprodukować tkaniny w tylu barwach i fakturach. Sir Edwin wytłumaczył jej, że Anglicy już na rok naprzód przygotowywali się do jej wizyty, a w listach dokładnie opisano jej wygląd i wymiary. Pocahontas zastanawiała się, jak będzie przechodziła przez drzwi w szerokich krynolinach, których nie noszono w Jamestown. Przez prawie całe popołudnie ćwiczyła poruszanie się w takiej sukni.

Kiedy przybysze z Wirginii rozgościli się na dobre, sir Edwin zaaranżował pierwszy publiczny występ księżniczki. Był to obiad u sir Johna Smythe'a, jednego z najbogatszych londyńskich kupców, członka-założyciela Kompanii Wirgińskiej. Przyjęcie zapowiadało się raczej skromnie, gdyż chodziło o to, aby dać Pocahontas tylko przedsmak tego, co ją czeka.

Już po pierwszym daniu podanym podczas obiadu Pocahontas zdała sobie sprawę, jaką prowincjonalną dziurą było Jamestown w porównaniu z Londynem. John Rolfe zawczasu próbował jej opowiedzieć, jak wyglądają przedmioty ze srebra, złota, jedwabiu, kryształowego szkła, gobeliny na ścianach i meble z luksusowych gatunków drewna. Jednak żaden opis nie był

w stanie oddać tego, co zobaczyła na własne oczy. Natomiast potrawy niezbyt jej smakowały, gdyż nie były tak świeże, urozmaicone i smaczne jak to, co dotąd jadła.

Rolfe uprzedził ją także, jacy są mieszkańcy Londynu. Radził, aby początkowo odzywała się jak najmniej i starała się słuchać, co mówią inni, dopóki nie nabędzie większej pewności siebie.

Jednak siedzący po jej prawej ręce poseł do parlamentu zarzucił

ją lawiną pytań dotyczących jej narodu, a zwłaszcza ojca. Interesowały go bogactwa tego potężnego władcy oraz towary, jakich potrzebował, a suche i rzeczowe treści przeplatał zręcznymi komplementami.

Jest sprytny, jak najlepszy kupiec mojego ojca -pomyślała Pocahontas.

- Wasza Wysokość, nie trzeba traktować tego pana tak poważnie

- doradził dobrodusznie gospodarz, siedzący po jej lewej stronie.

- Parlamentarzyści zawsze dużo gadają, to ich zawód!

Mimo to Pocahontas od razu poczuła sympatię do posła, gdyż jego intencje wydawały się jej uczciwe.

Reszta wieczoru przebiegła jej na nawiązywaniu nowych znajomości z różnymi osobami. Szczególnie zabiegała o względy kobiet, gdyż sir Edwin uprzedził ją, jak niebezpieczne mogą być ich zakulisowe intrygi i że chętnie zaprzyjaźnią się z kimś, kto zrobi na nich dobre wrażenie. Istotnie, następnego dnia Sandys z uśmiechem oznajmił jej, że zdała ten egzamin celująco. Po jej wyjściu wszyscy goście zgodnie stwierdzili, że zachowywała się, jak przystało na królewską córkę.

Teraz Pocahontas już śmieiej brała udział w innych zaplanowanych dla niej przyjęciach i rautach. Sandys poinformował ją, że szlachetnie urodzeni panowie, którzy towarzyszyli księżniczce w Jamestown, popadli w niełaskę u dworu, wobec czego poprosił Johna Smitha, aby napisał jej list polecający do króla i królowej. Od królewskiej pary nadeszła odpowiedź, że chętnie przyjmą księżniczkę Rebeke, jak brzmiało imię nadane jej podczas chrztu. Otrzymała zaproszenie na Bal Świętojański w Hampton Court, ale na samą myśl, że ma jakieś nowe zobowiązania wobec Johna Smitha, robiło się jej słabo.

Z dworskim ceremoniałem i przepychem panującym w Anglii Pocahontas zapoznała się podczas przyjęcia wydanego na jej cześć w Lambeth Palace, rezydencji biskupa Londynu. Na tę okazję ubrała się w białą suknię z koronkową krezą i biały kapelusz z takim samym piórem. Strój jej został dobrany tak, aby pasował do wystroju paradnej biskupiej barki, udekorowanej białymi i złotymi poduszczkami.

Łodzią tą przepłynęli na drugi brzeg Tamizy, gdzie mieścił się pałac biskupi. Pasażerowie innych statków rzecznych frenetycznymi oklaskami pozdrawiali flotyllę bogato przystrojonych barek, niosących na swoich pokładach bajecznie kolorowych wojowników plemienia Powhatanów w czerwonych, żółtych i zielonych strojach narodowych, jak i niewiele mniej barwnie umundurowanych gwardzistów biskupa. Najstarsi ludzie nie pamiętali, aby jakakolwiek kobieta, poza nieboszczką królową Elżbietą, była tu przyjmowana z takimi honorami.

Wszystko to jednak było niczym wobec radości, jakiej doznała Pocahontas na widok jerychońskich róż, tulipanowców i winorośli rosnących w pałacowym ogrodzie. Przecież były one zupełnie takie same jak w Wirginii! Chętnie objęłaby ramionami pień drzewa osypanego białym kwieciem. Nie mogła więc powstrzymać się od zadania pytania: jak to możliwe, aby te rośliny zza oceanu rozwijały się tak dobrze z dala od swego naturalnego środowiska? Otrzymała odpowiedź, że jest to wynikiem wieloletniej pracy ojca i syna Tradescantów, specjalistów zajmujących się botaniką. Pocahontas przypomniała sobie, że starszego z tych dwóch panów przelotnie poznała w Jamestown.

Byłaby na dłużej zatrzymała się wśród kwitnących egzotycznych drzew i krzewów, których sadzonki przywieziono aż z Indii lub Chin — dopiero niedawno dowiedziała się czegoś więcej o tych krajach! Cóż, kiedy czekał na nią zastawiony stół, gospodarz —

biskup i głodni goście...

Na bal u hrabiego Dorseta przebrała się w błękitną suknię z chińskiego jedwabiu. Dama przydzielona

przez królową dla wprowadzenia jej do towarzystwa, lady de la Warr, żona pierwszego gubernatora Wirginii, przystroiła jej włosy i szyję diamentami, wyjaśniając, że takie diamenty o niebieskawym odcieniu właśnie się nosi. Mało tego, pożyczyła Pocahontas tę biżuterię, dopóki mąż nie kupi jej innej.

Tańce i wino szybko uderzyły jej do głowy. Hrabia Dorset był tak gościnny, że przysłał po nią własną lektkę wybitą wewnątrz jedwabną materią i bogato uperfumowaną piżmem z Arabii, aby wyziewy plebsu na ulicach nie raziły nozdrzy księżniczki.

Wzdłuż schodów, wiodących do urządzonego w stylu francuskim pałacyku hrabiego, stali lokaje w szkarłatnej liberii, oświetlając wejście pochodniami.

Pocahontas była wdzięczna Johnowi Rolfe'owi za to, że w swoim czasie, jeszcze w Jamestown, godzinami uczył ją tanecznych kroków. Teraz to się przydało, bo niemal każdy z obecnych na balu mężczyzn chciał

zataneczyc z zamorską księżniczką. Okazało się, że poruszała się z wdziękiem zarówno w rytmie galiardy, jak branie i kuranta przy akompaniamencie lutni i klawikordu. Zauroczona Pocahontas chciała owinąć ten dzień i wieczór wokół siebie jak jedwabny płaszcz i na zawsze zatrzymać przy sobie.

W ostatnich dniach czerwca jedno atrakcyjne przyjęcie goniło drugie, jeszcze atrakcyjniejsze. Król Jakub nie mógł już doczekać się chwili, gdy pozna kobietę, która zdołała tak zawojować serca i umysły londyńczyków. Poleciał więc sir Edwinowi, aby przywiózł

ją wraz z mężem do Hampton Court na tydzień wcześniej, niż było zaplanowane. Był niezmiernie ciekaw widoku egzotycznej księżniczki, chociaż zdawał sobie sprawę, że może ona zagrozić jego interesom w Wirginii!

Zdecydowali się na podróż łodzią, gdyż drogi były zakurzone i zatłoczone. Mały Thomas był zachwycony rejssem po rzece i z radością przyglądał się przepływającym obok statkom pasażerskim i towarowym. Zainteresowały go także gnieźdzące się nad Tamizą łabędzie, kaczki i gęsi.

Pocahontas czuła ulgę przebywając poza murami zajazdu.

Zdawała sobie sprawę, że John Smith może powrócić lada chwila, a pobyt w Hampton Court choćby czasowo odsuwał od niej prześladowającą ją od tygodni wizję chwili, kiedy zastuka do jej drzwi. Była do głębi wzruszona przyjęciem, jakiego doznała w Londynie, i każdemu, kto tylko chciał słuchać, chętnie opowiadała o urokach Wirginii. Nie uważała jednak zachwalania Nowego Świata za jakiś poważny obowiązek, a jeśli z zapałem oddawała się temu zajęciu, to tylko

dlatego, aby nie myśleć o nieuniknionej konfrontacji z Johnem Smithem. Ogólnie jednak czuła się tu dobrze.

Już w pierwszym dniu pobytu w Hampton Court małżonkowie Rolfe zostali wezwani przed oblicze królewskiej pary. Miał to być uroczysty obiad, więc Pocahontas ubrała się na tę okazję w różową

suknię, a we włosy wpięła róże i perły. Jednak, mimo iż uprzedzono ją, jak wygląda król - na widok tego mężczyzny o patykowatych nogach, długich rękach i obwisłych wargach nerwowo ścisnęła męża za ramię. Musiała wszakże starać się mu przypodobać, gdyż Sandys z naciskiem podkreślał, jak ważne jest, aby pozyskała zaufanie króla. Natomiast królowa była korpulentna i, mimo rozszerzonych żyłek na twarzy, wciąż ładna.

Często też się uśmiechała. Na Pocahontas zrobiła wrażenie osoby miłej i inteligentnej.

Następne dni wypełnione były po brzegi piknikami, grą w tenisa, spacerami po ogrodach i wieczornymi przyjęciami. Podczas tych zabaw król ze swą swiątą, złożoną z przystojnych młodzieńców, nieraz zatrzymywał się, aby porozmawiać z Pocahontas, której towarzyszył przydzielony jej dworzanin, sir David, i kilku wojowników z jej plemienia. Pocahontas użyła całego swego kobiecego wdzięku i atrakcyjności swojej egzotycznej obstawy do oczarowania króla i jego dworu. Najwidoczniej to się udało, gdyż później król wezwał zadowolonego sir Edwina i oznajmił

mu:

- Ona jest urocza, a jaka inteligentna! W każdym calu córka potężnego władcy! I miałaś rację, w niczym nie zagraża moim interesom w koloniach!

W dniu, w którym miał się odbyć wielki Bal Świętojański, Pocahontas udała się na poranną przechadzkę w towarzystwie interesantów, którzy przybyli

specjalnie z Londynu, aby zasięgnąć jej rady w sprawie możliwości inwestowania w Wirginii. Przechodząc obok kortu tenisowego, zatrzymała się nagle, gdyż usłyszała strzępy rozmowy graczy:

- Podobno John Smith ma wkrótce powrócić?

— Tak, może nawet będzie tu już dziś wieczorem... Pocahontas odniosła wrażenie, jakby jej serce przez

moment przestało bić, a potem zaczęło walić jak oszalałe. Jak tylko mogła najszybciej, spławiła swoich gości. Potem tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to dobre maniery, z drżeniem rąk wycofała się do swoich apartamentów.

Po południu Pocahontas przeszła do garderoby sąsiadującej z jej sypialnią. Podeszła do kominka i przyłożyła twarz do jego chłodnych, gładkich marmurów. Nie przywoływała panien służących, gdyż było jeszcze za wcześnie, aby ubierać się na bal.

Wolała poroz-koszować się rzadkimi w tym pałacu chwilami samotności. Nie przywykła do tego, aby wciąż kręciło się wokół

niej tyle osób. Raptem, jakby przyszedł jej do głowy nagły pomysł - sięgnęła dłońmi za siebie, rozpięła krynolinę i niewygodna część garderoby z głuchym stukiem osunęła się na podłogę. Zaraz potem zrzuciła suknię, dwie halki i pan talony.

Kiedy stała już nago, przeciągnęła się, rozłożyła szeroko ramiona i przedfilowała w stronę wnęki

okiennej. Na dworze mgły się rozwiały i zapadał już zmierzch.

Pocahontas stała w oknie z ramionami przyciśniętymi do boków i napawała się odświeżającym chłodem wieczornego powietrza.

Poczuła się znów wolna i niczym nie skrępowana. Przyjemne ciepło kominka grzało ją w plecy. Ogarnęła ją tęsknota za rodzinnymi

stronami tak przemożna, że znów wzniosła ramiona ku niebu.

Zaczęła cicho nucić, jak w transie, a jej głos to wznosił się, to opadał. Z ust wyrwały się dawno nie wypowiedzane słowa.

Ahone, Ahone! - zawodziła. Raptem urwała i sama siebie skarciła lęklwym szeptem: - Nie, nie!

Opadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Przeżegnała się zamasyście i szybko odmówiła chrześcijański akt skruchy. Po chwili usiadła po turecku na podłodze, obok kominka, nadal patrząc w okno. Nic nie mówiła, lecz myśli jej krążyły wokół

spraw, które do niedawna wydawały się nieaktualne.

- Przez sześć lat nie odezwał się do mnie ani słowem! Tak długo myślałam, że nie żyje! Jak mógł mnie tak bez słowa opuścić? Był

moim całym światem, moim ukochaniem! Jak zniosę teraz ponowne spotkanie z nim? - Biła się z myślami. W końcu jednym ruchem poderwała się z podłogi i nałożyła halkę. Podeszła do kominka i pociągnęła za taśmę dzwonka przywołującego służbę.

Rozdział 2

Wirginia,

30 kwietnia 1607 roku

Ziemia była tak nagrzana wiosennym słońcem, że milej było spać na niej niż na posłaniu z lisich i wiewiórczych skór. Pocahontas wyczuwała przez ubranie twardość gałązek i kamyków jednocześnie z miękkością mchu i łaskotliwym dotknięciem trawek. Wydawało jej się, że stanowi jedność wraz z ziemią i swym duchem opiekuńczym. Mogła tak całymi godzinami leżeć na plecach, wpatrując się w niebo i chmury ponad czubkami sosen. Bracia śmiali się z niej i nazywali marzycielką, ale jak inaczej miała się dowiedzieć, co chcą jej objawić bóstwa opiekuńcze nieba i chmur? Najlepiej wejść z nimi w bezpośredni kontakt.

Pocahontas przekręciła się na bok, przy czym jej obszyta frędzlami zamszowa spódnica przylgnęła do ziemi. Po wczorajszym deszczu w wielu miejscach utrzymały się jeszcze kałuże, toteż Pocahontas podsunęła się do którejś z nich, by zobaczyć swoje odbicie. To, co ujrzała, usatysfakcjonowało ją, ale zaczęła kręcić głową z boku na bok, żeby przejrzeć się lepiej.

W tafli wody widać było zaokrąglony, lecz mocny zarys jej szczęki z dobrze zaznaczonym podbródkiem; nos może nieco przydługi, ale prosty; duże, szeroko rozstawione, piwne oczy z łobuzerskim błyskiem. Właśnie dlatego, że często przychodziły jej do głowy zwariowa-

ne pomysły, ojciec nadał jej imię Pocahontas, co oznaczało Mała Psoćnica, Figlarka lub coś w tym rodzaju.

Nie była już taka mała - miała długie, ładnie ukształtowane ramiona i nogi, a cerę koloru piasku wymytego przez wodę.

Wiedziała, że może się podobać, i to dawało jej poczucie własnej wartości. Ludzie nieraz mówili, że jest podobna do swojej matki, ale Pocahontas nigdy w życiu jej nie widziała. Zaraz po urodzeniu córki wielki wódz Powhatan odstąpił ją przywódcy małej wspólnoty lokalnej nad rzeką Rappahannock. Taki zwyczaj panował w plemienu, które od niego przybrało nazwę Powhatanów - tylko wielki wódz mógł utrzymywać tyle żon, ile chciał.

Jej ojciec zatrzymywał przy sobie tylko nieliczne, wybrane przez siebie dzieci. Przebywały one w osadzie pod opieką wyznaczonych kobiet. Pocahontas też miała taką piastunkę.

Wowoca opiekowała się nią bardzo troskliwie, starając się wychować ją na przyszłą *weroans-qua*, czyli przywódczynię małego, plemiennego państewka. Nie było to łatwe zadanie, gdyż Pocahontas absolutnie nie chciała zachowywać się tak, jak przystało dobrze ułożonej panience z najwyższych sfer. Jednak i tak była ukochanym dzieckiem wielkiego wodza, który cenił jej inteligencję i silny charakter. Przypuszczalnie miał zamiar w przyszłości wydać ją za któregoś z pomniejszych wodzów.

Dziewczyna przewróciła się ponownie na plecy i wpatrzyła w niebo, którego błękit stawał się tym ciemniejszy, im wyżej wznosiło się słońce. Zapowiadał się upalny dzień. Spróbowała teraz połączyć się myślami z duchem opiekuńczym nieba, swoim ulubionym bóstwem. Poczucie więzi z nim zawsze wносиło spokój i ład w jej życie.

Dziś było jej to szczególnie potrzebne, gdyż w głowic miała zamęt, który wywołały zasłyszane przez nią wczoraj wieczorem wiadomości. Niestety, nie zdołała podsłuchać wszystkiego, gdyż wartownik przyłapał ją na gorącym uczynku, wlepił tęgiego klapsa i kazał zmykać. Łamała więc sobie głowę, jak się dowiedzieć, o czym była dalej mowa, tak aby ojciec nie domyślił

się, że podsłuchiwała.

Przez wąską szczelinę w ścianie domu rady starszych niewiele było widać, ale Pocahontas nieraz już tam bywała, więc miała przed oczami rozkład wnętrza chaty. Było słabo oświetlone, a pod sufitem kłębił się fajkowy dym. Ściany chaty, plecione z trzciny i kory, udekorowano barwnymi piórami upolowanych ptaków. Podłogę zastępowała ubita ziemia, przykryta kolorowymi matami. Słychać było głównie głęboki głos stryja dziewczyny, Wowincho.

Cóż on mógł tu robić? Mieszkał przecież o dzień drogi od głównej osady. W normalnych warunkach jego przybycie zawczasu zaanonsowałiby gońcy wysłani z jego wioski i Powhatan miałby czas wysłać mu naprzeciw delegację powitalną.

Ciekawość jeszcze silniej przykuła Pocahontas do szpary w ścianie. Widziała przez nią swego ojca siedzącego na małym tronie przykrytym futrami.

Gdyby był tylko w towarzystwie żon - weszłaby do środka, aby życzyć mu dobrej nocy. Wokół wodza siedzieli jednak jego najwyżsi rangą wojownicy, pogrążeni w ożywionej rozmowie.

Przez cienką ściankę z kory wyczuwało się nutę napięcia w ich głosach. Nie było natomiast wśród nich żadnego kapłana wymalowanego w czarne barwy obrzędowe. Pocahontas wysilała się, aby wychwycić choć fragmenty z tego, co mówił stryj.

- Złe duchy... wydają dziwne dźwięki... znowu ci brudni, owłosieni wojownicy... na wielkich łodziach...

Pocahontas była zaszokowana. O czym ci ludzie mówili?

Wowincho wspomniął o „złych duchach” i jakichś wojownikach.

Czyżby zagrażało im nowe, nieznanne jeszcze plemię?

Zauważyła gniewny, wręcz groźny wyraz twarzy ojca, lecz nie odczuwała strachu. Dotychczas nie widziała jeszcze, aby coś było w stanie go zaniepokoić. Był przecież absolutnym władcą swoich ziem, może nawet równie wszechmocnym jak bogowie. Jego wola była rozkazem przez nikogo nie kwestionowanym. Pocahontas przywykła do widoku jego wiernych poddanych, którzy drżeli lub nawet mdleli ze strachu przed nim.

Nie bała się więc, ale czuła, że coś niedobrego wisi w powietrzu.

To, co zdołała usłyszeć, było czymś zupełnie innym niż informacje, które docierały do niej wcześniej.

Leciutka chmurka, przejrzysta jak pajęczyna, zasłoniła słońce, więc Pocahontas zadrżała z zimna. Wiedziała, że będzie musiała czekać, dopóki starsi sami nie zechcą poruszyć tego tematu. A to nie będzie proste! Przez pół nocy nie spała, próbując obmyślić sposób zaspokojenia swojej ciekawości. Miała dopiero dwanaś-

cie lat i bardzo nie lubiła czekać.

Może powinna w tej intencji złożyć bogom jakąś ofiarę - na przykład ptaszka, wiewiórkę czy królika? W ten sposób przebłagałaby bóstwa i wyprosiła odsunięcie od siebie gniewu ojca za podsłuchiwanie.

Jeszcze przez chwilę leżała na wygrzanej słońcem ziemi, rozmyślając, co ma teraz zrobić. Instynktownie przyłożyła ucho do podłoża, aby zbadać, czy coś nie

rusza się w pobliżu. Nie umiała rozpoznawać różnych dźwięków tak precyzyjnie jak niektórzy starsi wojownicy, ale podstawowe zasady opanowała równie dobrze, a może lepiej niż inne dzieci w jej wieku.

Zdawało się jej, że słyszy słabe odgłosy uderzeń, ale nie była tego pewna. Czasem zdarzało się, że wyobrażała sobie, iż coś słyszy.

Namaciała wiszący u paska, ostry, krzemienny nóż otrzymany niedawno w podarunku od ojca. Potem znów przyłożyła ucho do ziemi. Tym razem nie było słychać ani czuć niczego, co świadczyłoby

o obecności jakiegokolwiek zwierzęcia. Jednym, zgrabnym ruchem poderwała się więc na równe nogi. Przez chwilę stała spoglądając w kierunku lasu, mrużąc oczy pod światłem słonecznym. Była wysoka i smukła, a długie, czarne włosy spływały poniżej jej łopatek. Z wolna zaczęła iść w stronę lasu, zgodnie z kierunkiem zachodzącego słońca.

Las zaczynał się tam, gdzie kończyła się łąka, a rozciągał się dalej, niż dotarł którykolwiek wojownik plemienia Powhatanów.

Akurat nastąpiła pora kwitnienia drzew i krzewów. Dzikie derenie obsypane były białymi lub blad różowymi kwiatami, z drzew zwieszały się purpurowe girlandy wistarii, a między nimi kępy kwitnących różaneczników olśniewały jaskrawą różowością i czerwienią. Powietrze było czyste, a warunki do ukrycia dobre

— jednym słowem, idealny dzień na polowanie!

Kiedy Pocahontas doszła do pierwszych drzew, znów zaczęła nasłuchiwać. Zrobiła kilka dalszych kroków i powtórzyła tę czynność. Tym razem wyczuła już coś konkretnego. Powiew wiatru przynosił smugę obcego zapachu, a od gruntu odbijał się ledwo uchwytny tętent raciczek. Musiało to być gdzieś w głębi lasu, z dala od osady, w kierunku zachodzącego słońca.

Przemykała się ostrożnie od drzewa do drzewa, boso, badając stopą grunt przed każdym krokiem, aby nie nastąpić na gałązkę, która mogłaby z hałasem się złamać. Wszystkie jej zmysły były teraz wyostrzone i skupione na potencjalnej zwierzynie.

Pocahontas polowała już w życiu tyle razy, że wszystkie niezbędne czynności wykonywała odruchowo. Zatrzymywała się, aby sprawdzić, skąd wieje wiatr muskający jej skórę.

Nabierała w nozdrza powietrza, z którym mieszały się zapachy sosen, kwiatów derenia i... jelenia!

Otóż to właśnie! Zapach był wyraźny. Pocahontas schowała się za grubym pniem sosny i zastygła w bezruchu. Rzeczywiście, na odległość strzału z łuku dostrzegła młodą, jasno umaszczonego łanię. Na strzał z łuku... tak, ale ona nie miała przy sobie łuku, a tylko nóż. Ileż to czasu już wyklócała się z ojcem, aby pozwolił

jej nosić łuk!

Nie będę teraz o tym myśleć - zdecydowała. - Po prostu muszę ją zabić, choćby i nożem!

Wiedziała, że będzie to najtrudniejsze polowanie w jej życiu.

Żaden dorosły myśliwy nawet nie próbowałby podchodzić jelenia nie nałożywszy wpierw na siebie

skóry i poroża z takiego samego zwierzęcia. Postanowiła, że poczeka, aż łania podejdzie bliżej, i zaatakuje ją przez zaskoczenie. Najlepiej będzie skoczyć na nią z góry. W tym celu musi wdrapać się na drzewo z nisko wyrastającą gałęzią.

Nie poruszając głową, wodziła dookoła oczyma, szukając odpowiedniego drzewa. Nie opodał, o jakieś pięć do sześciu kroków, rósł klon, który miał zwisającą gałąź na tyle grubą, aby ją utrzymała. Rozejrzała się dokładnie, mierząc wzrokiem odległość między łanią, ziemią a drzewem. Wykorzystała moment,

kiedy łania patrzyła w inną stronę, aby podciągnąć się na gałąź.

Mimo skrupulatnie odmierzonych ruchów nie dała rady zrobić tego całkiem bezszelestnie. Wstrzymała więc oddech. W tej chwili nie widziała już łani, nie słyszała jej ani nie czuła, jednak gdyby ją spłoszyła, słysząc byłoby trzask łamanych gałązek i tętent nóg uciekającego zwierzęcia.

Czekała dosyć długo, ale nie usłyszała nic w tym rodzaju. Lewą nogę miała niewygodnie przykurczoną, ale bała się ruszyć mimo bólu w udzie. Byłoby lepiej, gdyby ten skurcz ustąpił, ale w tej chwili myśli jej krążyły głównie wokół zwierzyny.

Łania wciąż zmieniała miejsce, ale nie podchodziła pod jej drzewo. Jeżeli uparcie nie zechce tu podejść, nigdy nie da się złapać. Pocahontas zaczęła już myśleć, że przeceniła swoje możliwości. Nawet jeśli w końcu dopadnie łani, jak sama zabierze ją do domu? Na pewno takie zwierzę jest za ciężkie na jej siły.

Już chciała zrezygnować, gdy nagle poczuła lekkie mrowienie skóry. Tak jakby intuicja jej podpowiedziała, że oprócz niej i łani jeszcze ktoś jest w pobliżu.

Najwidoczniej wyczuła to również łania, gdyż rzuciła się do ucieczki. Uciekała jednak w stronę, z której dochodziły podejrzane dźwięki, w kierunku drzewa, na którym siedziała Pocahontas.

Miała najwyżej sekundę czasu, więc kiedy łania tylko poruszyła się pod gałęzią, Pocahontas skoczyła na nią. Doznała wstrząsu w zetknięciu z grzbietem łani, ale po chwili oprzytomniała i chwyciła zwierzę za szyję. Siedząc na nim jak na koniu, a jedną nogą zapierając się o ziemię, zbliżyła dłoń z nożem do gardła łani. Namacała miejsce, gdzie głowa łączy się z szyją, i pchnęła tam

nożem. Łania padła wraz z Pocahontas na grzbiecie. Krótco zadrgała i znieruchomiła u jej stóp.

Pocahontas z głębokim westchnieniem wypuściła z płuc powietrze. Przepelniająca ją świadomość triumfu nie pozwalała dojść do głosu fizycznemu zmęczeniu. Nie osłabiło to jednak jej czujności, gdyż ten sam instynkt, odziedziczony po licznych pokoleniach myśliwych, który naprowadził ją na ślad łani —

podpowiadał jej teraz, że nie jest w tym lesie sama. Musiał to być jakiś człowiek, bo żadne zwierzę nie wypłoszyłoby w ten sposób łani. Dziewczyna przechyliła więc głowę na bok i uważnie nasłuchiwała.

Ponad wierzchołkami drzew poniósł się ostry, wyraźny dźwięk, przypominający skrzek przepiórki z

jedną dodatkową półnutą.

Pocahontas odetchnęła z ulgą, gdyż był to umowny sygnał, jakim nawoływali się między sobą z braćmi i siostrami. Natychmiast odpowiedziała takim samym dźwiękiem.

Brat zbliżał się powoli, gdyż Indianie mieli już zakodowane w genach, że w lesie należy poruszać się ostrożnie. Dostrzegła go jednak z odległości dwudziestu kroków, gdyż był wysoki. Był to Pamouic.

Siostra i brat z satysfakcją przyglądali się łupowi. Wprawdzie w okolicznych lasach nie brakowało zwierzyny, ale odwieczna tradycja nakazywała manifestowanie radości ze zdobyczy. Było to przecież zwycięstwo ludzkiej zręczności i inteligencji nad sprytem świata zwierzęcego.

- Przyda się w sam raz na dzisiejsze święto - stwierdził Pamouic.

Coś podobnego, święto! Przecież upolowała tę łanię specjalnie na ofiarę dla boga nieba, aby przeprosić go za swoje przewinienie!

Podczas gdy Pamouic wiązał nogi

łani, aby przygotować ją do transportu, myślała, czy powiedzieć mu, na co była jej potrzebna ta ofiara. Zdecydowała jednak, że lepiej nic nie mówić, gdyż musiałaby przyznać się bratu, że podsłuchiwała rozmowę starszych. Głośno powiedziała więc tylko:

- Tak, bardzo się przyda. A w myśli dodała: - Tyle wysiłku na nic!

Razem wynieśli zdobycz z lasu i przeszli przez łąkę oraz szachownicę pól uprawnych. Wschodziła tam kukurydza, sadzonki tytoniu, ukazywały się już pierwsze listki dyń, pomidorów i orzeszków ziemnych. Poletek pilnowali dwaj starszycy, niegdyś sławni wojownicy, obecnie nadający się już tylko do odstraszania ptaków, drobnych ssaków i psotnych dzieci za pomocą przeraźliwych okrzyków wojennych i wy-machiwania włóczniami. Gdyby nie ich praca, szkodniki szybko spustoszyłyby uprawy. Większość mieszkańców osady zajęta była przygotowaniami do mającego się odbyć święta.

Z krańca pól widać było rzekę, tak szeroką, że nikt dotąd nie zdołał przerzucić jej kamieniem. Na jej brzegu rozkładała się osada Werowocomoco, którą Powhatan obrał na stolicę swego imperium.

Była to właściwie duża wieś, otoczona palisadą z drewnianych belek. Po obu stronach szerokiej, gruntowej drogi stały symetrycznie poustawiane chaty. Długie i szare, przypominające bochenki chleba, mierzące od sześciu do osiemnastu metrów, miały zaokrąglone dachy z plecionej kory i trzciny. Na niektórych domkach dachy były częściowo rozsunięte, by wpuścić do środka świeże powietrze i oddać cześć bożkowi słońca.

Na terenie wioski brat i siostra rozeszli się w różnych kierunkach.

Pamouic zabrał upolowaną łanię, a Poca-

hontas skierowała się ku domowi swego ojca, największemu w osadzie. Starła się tak manewrować, aby nie spotkać się z Wowocą, dopóki nie zmieni zabrudzonej spódnicy. W

przeciwnym razie dostałaby burę za włączenie się nie wiadomo gdzie, podczas gdy tyle jest do roboty przed samym świętem!

Zresztą nawet w dni powszednie Wowoca nie pochwałała łowieckich wyczynów swojej wychowawcy. Uważała, że takie wybryki nie licują z godnością ulubionej córki wielkiego wodza Powhatana.

Ostatnio do obowiązków dynastycznych Pocahontas przybyło wprawianie się w pobieranie danin od ludności. Wowoca surowo nadzorowała tę czynność, podkreślając z naciskiem, że gdy tylko jej podopieczna stanie się kobietą, to jeśli w pierwszych miesiącach ojciec nie wyda jej za mąż - niechybnie wydeleguje ją gdzieś w dalszy rejon w obrębie swego państwa. Pocahontas cieszyła się z takiej perspektywy, bo lubiła podróże z licznym orszakiem, symbolizującym potęgę jej ojca.

W każdej wiosce czy osadzie była wtedy podejmowana z honorami i uczestniczyła w festynach i przyjęciach organizowanych na jej cześć. W państwie Powhatana okazją do uroczystości były zarówno urodziny, jak i pogrzeby, śluby, składanie bogom ofiar, torturowanie jeńców, doroczne święta z okazji czterech pór roku, wyruszania na wyprawę wojenną czy zwycięski z niej powrót. Pocahontas nigdy nie słyszała, aby jej naród poniósł klęskę w jakiegokolwiek bitwie.

W domu ojca dzieliła pokój ze swymi niezamężnymi siostrami.

Teraz jednak oprócz dwóch sióstr znajdowała się tam jeszcze najnowsza żona jej ojca, Sacha. Wszystkie kobiety były pochłonięte przygotowywaniem strojów i makijażu na Święto Wiosny. Sacha była młoda, ładna i wesoła. Ostrzyła właśnie piórko, którym miała wyrysować na swoim ciele świąteczne desenie. Pocahontas zastanawiała się, jak długo pozostanie ona przy boku jej ojca.

Zazwyczaj bała się zaprzyjaźniać z jego żonami, gdyż wiedziała, że prędzej czy później ojciec wyprawi je gdzieś daleko i więcej tu nie powrócą. Trudno było jednak nie polubić Sachy, toteż Pocahontas liczyła na to, że zdoła ona tak wpłynąć na Powhatana, aby pozwolił jej pozostać w osadzie. Niektórym jego żonom to się udało, gdyż odstąpił je swoim znacznieniejszym wojownikom.

Jako byłe żony wielkiego wodza otaczano je powszechnym szacunkiem.

Sacha przerzucała pióra i paciorki, tryskając wciąż kaskadami śmiechu. Siostry, Mehta i Quimca, miały trudności ze skłonieniem jej, aby stała spokojnie, bo palcami i piórkami nanosiły właśnie na jej ciało ceremonialne rysunki. Każda kreska miała tu swoją wymowę. Zieleń była hołdem na cześć Święta Wiosny, czerwone linie wzdłuż ramion wyróżniały Sachę jako żonę wodza, czarne kółeczka i spirale symbolizowały znaczenie jej imienia, a kolor niebieski - jej wysoki status społeczny.

Pocahontas przyglądała się temu, mówiąc w duchu do siebie: -

Na przyszłą wiosnę stanę się już kobietą i też będę mogła porobić sobie własne rysunki. Wtedy dopiero będę piękna, może najpiękniejsza ze wszystkich! Ponieważ moim tajnym imieniem jest Białe Piórko, obiorę je za swój symbol i wszędzie wymaluję sobie piórka. Na ramionach, piersiach, na całym ciele... Poproszę Pamouica, żeby przyniósł mi pióra białej czapli. Zrobię z nich naszyjnik, a resztę powtykam we włosy...

- Pocahontas, śpisz, czy co? - ściągnęła ją z obłoków siostra Mehta. - Już drugi raz mówię do ciebie. Czy ty w ogóle mnie słyszysz?

Mehta była pulchna, okrągłutka, może niezbyt inteligentna, za to miła, uczynna i zawsze w dobrym humorze.

- Wczoraj nad rzeką nasi wojownicy złapali jakiegoś Monakanina. Było ich więcej, ale reszta uciekła!

Jak mogli kogoś złapać, przecież każdy prawdziwy wojownik raczej polegnie w walce, niż da się wziąć żywcem? Musieli ich zająć niespodziewanie. Pewnie zostanie złożony w ofierze z okazji Święta Wiosny... Pocahontas znów usiadła na podłodze wysypanej świeżym sitowiem. Wiele razy w swoim krótkim życiu oglądała już podobne obrzędy. Ofiara miała być formą rehabilitacji wojownika, który był tak nieostrożny, że dał się wziąć do niewoli. Teraz miał szansę wykazać się odwagą i przynajmniej umrzeć z godnością. W trakcie rytualnych tortur ujawniał się prawdziwy charakter pojmanego. Pocahontas nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek widziała przy palu męczarni kobietę.

Dzień był ciepły i suchy, wprost wymarzony na obchody Święta Wiosny. Niedaleko osady znajdowała się wielka, starannie wykarczowana polana, na której zwykle odbywały się wszelkie uroczystości, zbierali się wojownicy bądź składano ofiary.

Wzdłuż jednego boku placu płonęły ogniska, nad którymi obracały się pieczenie z jeleni, oposów i bobrów. Dzikie indyki i inne ptaki piekły się nad paleniskiem roznieconym na dnie jamy.

Smakowite zapachy potraw mieszały się ze słodką wonią jerychońskich róż, a im było bliżej miejsca festynu - tym stawały się silniejsze.

Na polanie nagromadzono także całe góry wędzonych krabów, kosze ostryg złowionych w zatoce i stosy bochenków kukurydzianego chleba. Przy ogniskach czekały już małe, srebrzyste rybki nadziane na szpikulce. Dla amatorów warzyw i owoców nie brakło też cebul, dyni, wszelkiej zieleniny i różnych gatunków jagód.

Po przeciwnej stronie polany stali wojownicy wymalowani w odświętne barwy. Ich półnagie ciała, wysmarowane oliwą, lśniły w słońcu. Na pośladkach mieli naniesione ornamenty w kolorach czerwonym, niebieskim i zielonym; głowy ogolone do połowy, na drugiej połowie nosili włosy splecione w długie warkoczki; na piersiach ozdoby z piór i futra. Przez plecy przewiesili łuki, a przy bokach mieli przytroczone kołczany pełne pierzastych strzał. Pocahontas dojrzała wśród nich Pamouica, który wyróżniał się wysokim wzrostem. Obok niego stał jej drugi brat, Secotin.

Niektórzy z tych wojowników kiedyś, jako młodzi chłopcy, towarzyszyli jej w polowaniach. Może nawet jej się podobał, ale wiedziała, że nie będzie mogła wyjść za żadnego z nich. Pewnie wydadzą ją za żonę za syna któregoś z pomniejszych wodzów, aby scementować tym przymierze z jego szczepem. Powhatan wybierze dla niej odpowiedniego wojownika, który dostarczy mu potrzebnych sprzymierzeńców, ale też i takiego, którego córka zaakceptuje jako partnera. Widok sprężonych, silnych i sprawnych ciał młodych ludzi działał na Pocahontas podniecająco i wyobrażała sobie, jak

miło byłoby pójść z którymś z nich do łóżka lub choćby pozwolić mu się dotknąć. Przepelniało ją pożądanie, ale wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie.

Przy trzecim boku placu pusta ława tronowa czekała na Powhatana. Piętrzyła się na niej góra wykwintnych, delikatnych futer z szarych wiewiórek, brązowych wydr, lisów, kun, norek, szopów, a nawet błyszczące, czarne futerka krecie. Za ławą, na tle białego i różowo kwitnących dereni, wyeksponowano całe rzędy zdobytych przez wodza skalpów. W pobliżu siedziały już niektóre żony Powhatana, te młodsze, z którymi już obcował, ale które nie urodziły mu jeszcze dzieci.

Wszystkie były bogato przystrojone malowanymi deseniami, piórami, kwiatami, ozdobami z muszli i kamyków tak urozmaiconymi, że nie było dwóch kobiet wyglądających podobnie. Ich gibkie, a przy tym zaokrąglone ciała, pomalowane na różne kolory - od blado-złotego do przypominającego owoc morwy — ginęły w blasku całego tego przepychu. Poruszały się zwinnie jak koty i rzucały ukradkowe spojrzenia w kierunku wojowników.

U podnóża tronu wodza wydzielono specjalne siedzenie dla Pocahontas. Na wszelkich uroczystościach siadywała zawsze tuż przy nim. Przypuszczała, że wyznaczono jej miejsce obok ojca po to, aby mogła brać z niego przykład. Kiedy była młodsza, uważała ceremonie ofiarne za zbyt skomplikowane i męczące.

Obecnie widowiska interesowały ją - nie miała kiedy się nudzić, gdyż jej ojciec podchodził do tych spraw dużo rozsądniej niż pomniejsi wodzowie. Niektórzy z nich lubili przeciągać obrzędy w nieskończoność, natomiast Powhatan nakazywał składać ofiary szybko i sprawnie. Cenił swój czas, potrzebny mu na załatwianie licznych spraw ze swoimi poddanymi.

Pocahontas przeszła przez polanę i usiadła na przeznaczony dla niej macie. Po niedługim czasie wokół zapanowała cisza zwiastująca nadejście wielkiego wodza. Wszystkie oczy zwróciły się na Powhatana idącego

dostojnie w stronę swego tronu. Pocahontas uwielbiała oglądać jego uroczyste wejścia. Wyglądał rzeczywiście imponująco.

Szerokie bary, ostre spojrzenie i wyraz twarzy znamionujący pewność siebie potęgowały wrażenie siły.

Na głowie miał wysokie, paradne przybranie z poroża jelenia, na szyi sznury pereł i polerowanych kamyków, a z ramion spływała mu peleryna z mięciutkiej, białej skóry, naszywana perłami, piórami i barwnymi kamykami. Tren tego stroju ciągnął się za nim na długość równą wzrostowi dwóch mężczyzn. Na ciele miał

wyobrażone symbole wszystkich terytoriów, którymi władał w dorzeczu pięciu rzek - Appomatox, Chickahominy, Pamunkey, Mattaponi i Rappahannock - jak też zaszyfrowane znaczenie tego imienia, którego używał oficjalnie, i tego tajnego, które miał na swój prywatny użytek.

Powhatan majestatycznym krokiem podszedł do swego miejsca.

Oczekujący go w dwuszeręgu wojownicy i czarownicy rozeszli się, by go przepuścić. Wielki wódz podniósł rękę na znak, że chce przemówić.

— Narodzie z Werowocomoco! — zaczął głębokim głosem nacechowanym władczym tonem. - Obchodzimy dziś Święto Wiosny. Oddamy hołd bogom wiosny i wojny, a na ich cześć złożymy dzisiaj specjalną ofiarę.

Gestem wskazał na skraj polany leżący najbliżej lasu. Stała tam grupka wojowników, z których ośmiu miało ciała pomalowane od stóp do głów na czarno. Od czerni odcinały się tylko jaskrawoczerwone plamy na policzkach. Dwóch spośród nich trzymało między sobą jakiś wielki pakunek. I właśnie ci, zawodząc pieśń ofiarną, ruszyli na przełaj przez polanę.

Publiczność śledziła ich ruchy w ciszy nabrzmiałej oczekiwaniem. Czarno umalowani wojownicy zatrzymali się na kilka kroków przed tronem wielkiego wodza i z impetem upuścili swój ciężar na ziemię. Potem zbliżyli się jeszcze bardziej do Powhatana i uklękli przed nim ze czcią.

Po chwili jeden z tych dwóch wstał i przyniósł obrzędowy słupek totemiczny, nieco wyższy niż wzrost przeciętnego mężczyzny, pomalowany w zielone, czerwone i czarne zygzaki. Na jego czubku umieszczono rzeźbę ludzkiej głowy z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami. Wojownik umieścił ten słupek w zawczasu przygotowanej jamce na wprost tronu Powhatana. W tym momencie odezwał się stłumiony łoskot bębnow, który poderwał

na nogi wszystkich mieszkańców Werowocomoco.

- Chodź! - Mehta mocno pociągnęła Pocahontas za rękę. -

Musimy pierwsze zatańczyć!

Młoda dziewczyna była tak zaaferowana, że potrząsnęła głową, oświadczając:

- Dzisiaj nie tańczę!

Do werbla dołączały się coraz to nowe bębny, wybijające niskie tony, których uporczywy rytm pobrzmiwał rozchodzącym się echem. Mieszkańcy wioski zebrani wokół słupa zaczęli kołysać się w takt, aż Pocahontas odczuła falę rezonansową wibrującą w jej ciele.

Bębny wybijały swój ponury motyw, jakby domagając się ofiary.

Dołączyły się do nich grzechotki i flety. Dźwięki stały się wtedy wyższe, ale wciąż wyrażały to samo: żądanie ofiary!

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze i chyba wszyscy na placu tańczyli z wyjątkiem Pocahontas i Powhatana, który siedział przy niej nieporuszony. Ziemia

drżała i jęczała pod stopami tańczących. Wydawało się, że dziwny, ciemny pakunek leżący u ich stóp też drży w tym samym rytmie. Nieustanny łomot bębnow poruszył Pocahontas do głębi, gdyż ten rytm był znany jej narodowi od setek lat. Było w nim coś smutnego i wesołego zarazem.

W którymś momencie wielki wódz dał znak i muzyka nagle urwała w pół tonu. Tancerze z rozpędu zatrzymali się o jakąś sekundę później i od razu padli na kolana, wyciągając ręce przed siebie. Słysząc było tylko ich ciężkie oddechy. Jednak gdy wielki wódz wznosił powoli ręce - mężczyźni, kobiety i dzieci powrócili bezszelestnie na zajmowane poprzednio miejsca wokół polany.

Wojownicy z ponurym namaszczeniem pociągnęli swój pakunek naprzód, na odległość zaledwie kilku kroków od tronu Powhatana. Pocahontas widziała już stąd kształt rysujący się pod czarno-czerwonym kocem. Na jej oczach podszedł do niego główny kapłan, chwycił za róg koca i odrzucił go na bok.

Przyniesiony w kocu mężczyzna początkowo nie poruszył się nawet po to, aby osłonić oczy przed blaskiem słońca. Natomiast kiedy kapłan kopnął go w bok — skurczył się, a potem wyprostował i dziwnie płynnym ruchem wstał na nogi. Był

wysoki, a przed obliczem wodza stał dumny i wyprostowany.

Jego nagość na tle odświętnych barw i strojów mieszkańców Werowocomoco potęgowała wrażenie bezbronności. Na boku miał długą, ciętą ranę ze śladami zaschniętej krwi. Poza tym na jego smukłym ciele nie było widać żadnych obrażeń.

Z czyjejs piersi wyrwało się westchnienie. Pocahontas rozejrzała się wokół, ale nie była pewna, czy to ona westchnęła, czy Mehta.

A może wszystkich ujęła uroda

i hart ducha młodego Monakanina? Sposób trzymania ramion, kąt nachylenia podbródka i twarda linia ust wskazywały, że będzie umierał z godnością.

Jeniec nie patrzył ani na Powhatana, ani na tych wojowników, którzy przynieśli go w kocu. Wzrok miał utkwiony w jakiś oddalony punkt nad linią horyzontu. Pocahontas była pewna, że on się w tej chwili modli do swego boga nieba, tak jak i ona to robiła.

Wódz dał ledwo zauważalny znak ręką. Na ten sygnał dwie kobiety wystąpiły z tłumu i ujęły jeńca pod ramiona. Ten potoczył wzrokiem wokoło, unikając obojętnego spojrzenia Powhatana. Zatrzymał natomiast wzrok na zadartej w górę twarzy Pocahontas i przez chwilę ich spojrzenia się spotkały.

Wystarczył ten moment, aby uświadomiła sobie, że skądś go zna.

Chwila ta wydała się jej wiecznością, bo z tym człowiekiem kojarzyło się jej coś ważnego. On też ją poznał.

Nastrój prysł, gdyż Monakanina podprowadzono właśnie do słupa z poprzeczką w kształcie litery „T”. Urządzenie to było na stałe zainstalowane na placu przeznaczonym do świątecznych obchodów. Kiedy kobiety przywiązywały ręce więźnia do poprzeczki, Pocahontas nadal patrzyła na niego, ale on już więcej na nią nie spojrzał.

Wszyscy, zarówno kapłani, jak czarno umalowani wojownicy i inni mieszkańcy wioski, znów

zaintonowali chóralny śpiew. Tym razem była to modlitwa do boga wojny. Wielki wódz wyglądał na znudzonego. Nic dziwnego, widział już wiele takich ceremonii, a poza tym złościło go, że negocjacje pokojowe z Monakanami nie doszły do skutku.

Natomiast dla Pocahontas nagle cała uroczystość nabrała innych wymiarów. Nie była to tylko jeszcze jedna z licznych ofiar ludzkich. Zaczęło ją obchodzić, co się dzieje z Monakaninem. Jego sylwetka rozpięta na ramionach słupa i miedziany połysk jego skóry w połączeniu z jaskrawym makijażem uczestników uroczystości - raptem wydały się jej piękne aż do bólu. Wyobraziła sobie, co on może w tej chwili widzieć - pewnie swego boga nieba obojętnego na ludzką tragedię, niebo tak dziś błękitne, soczystą zieleń krzewów otaczających polanę, setki twarzy nieprzyjaciół w ich plemiennych barwach... i oczy wpatrzone w niego z wyczekiwaniem!

Pocahontas modliła się, aby zdołał jak najdłużej zachować w pamięci ten widok. Jeżeli do ostatnich chwil życia będzie miał

przed oczami piękno tego wiosennego dnia - pomoże mu to wytrzymać wszystkie cierpienia, dopóki nie ogarnie go ciemność.

Od grupy oderwał się jeden wojownik, podszedł do jeńca i postukał go kilkakrotnie w klatkę piersiową. Towarzyszył temu stłumiony, monotony śpiew. Wojownik cofnął się, przepuszczając kapłana, który dotknął tego samego miejsca swoją magiczną pałeczką. Po chwili wrócił ten sam mężczyzna, przynosząc zaostrzoną muszlę, miedzianą szpilę i sznurek skręcony z cienkich rzemyków. Brzegiem muszli rozciął klatkę piersiową więźnia, w ranę wsadził szpilę i przez jej uszko przewłócił sznurek. Trzymając go za oba końce odwrócił się plecami do torturowanego i w takt muzyki wykonał kilka metodycznie odmierzonych kroków, dopóki nie napiął sznurka.

Wtedy sprężył się w miejscu i podskoczył, w górę i trochę w bok.

Drugi wojownik powtórzył po nim te same czynności, tylko trudniej mu było wbić szpilę, gdyż przeszkadzała mu krew tryskająca z piersi Monakanina. Towarzyszył mu wciąż ten sam monotony śpiew, teraz

nabierający charakteru żałobnego pienia. Jeniec przez cały czas zachowywał kamienną twarz i nie wydał ani jednego dźwięku.

Jego oprawca, podobnie jak poprzednik, zrobił w tył zwrot, odmierzył tę samą liczbę kroków i podskoczył. Trzask rozdieranej skóry i mięśni Pocahontas odbierała tak, jakby jej samej rozpruwano coś w środku. W duchu podpowiadała torturowanemu: Myśl o czymś niebieskim, patrz na niebo! Obok niej Mehta i Quimca kołysały się w takt muzyki.

Kolejni wojownicy wykonali rytualne czynności. Byli to sami wybrani, najsilniejsi i najzręczniejsi członkowie plemienia.

Monakanin stał spokojnie, wyprostowany, z głową uniesioną ku niebu. Jego pierś była już jedną wielką raną, z której krew ściekała mu po nogach, tworząc u stóp kałużę.

Pieśń brzmiała coraz głośniejsze, kiedy coraz to nowi wojownicy podchodzili, szukając w krwawej masie miejsca, gdzie jeszcze mogliby wbić swoje szpile. Im szybciej bito w bębny, tym głośniejsze śpiewał tłum, nadając śmierci i ofierze odpowiednią oprawę.

Główny kapłan postąpił krok naprzód, toteż ostatni wojownik szybko się wycofał. Tempo śpiewu i bicia w bębny osłabło, a w takt ich uderzeń kapłan podnosił i opuszczał rękę uzbrojoną w nóż. Najpierw po jednym obcinał palce u jednej ręki skazańca, potem u drugiej. Każdy odcięty skrawek ciała podnosił wysoko, wzbudzając pomruk tłumu. Kiedy zaś odrąbał jeńcowi całe ramię

- podniósł się wielki krzyk. Do oddzielenia stóp potrzebował

wielu cięć, ale kiedy mu się to udało, zebrani również skwitowali ten czyn okrzykiem. Potem nastąpiła cisza, bo za plecami Pocahontas Powhatan podniósł ręce w górę.

Krew uderzała dziewczynie do głowy, w uszach huczały okrzyki tłumu i uderzenia bębnow. To, co zostało przy słupie, nie przypominało już człowieka... Jego szczątki zaczynały obsiadać muchy.

- Miał ładną śmierć! - szepnęła jej do ucha Mehta. Pocahontas, patrząc szklanym wzrokiem, przytaknęła.

- Chodź, teraz już musisz zatańczyć! - dodała siostra.

Był to rytualny taniec symbolizujący złożenie i przyjęcie ofiary.

Flety, grzechotki i bębny wybijały już inny, falujący rytm. W

tańcu uczestniczyli wszyscy obecni na placu. Pocahontas podążyła w ślad za Mehtą, początkowo na ciężkich nogach, lecz kiedy znany rytm zaczął pulsować w jej ciele - z uczuciem ulgi rzuciła się w wir tańca. Ojciec obserwował ją z uśmiechem.

Gdy zapadał zmrok, wymknęła się z roztańczonego tłumu i uciekła przed wzrokiem ciekawskich mężczyzn i chłopców.

Widziała, jak czułe parki, których namiętność rozpałiło jeszcze bardziej ponure widowisko, w wiadomych celach wymykały się do lasu, ale pragnęła być sama. Szybko dotarła do swego ulubionego miejsca nad brzegiem rzeki i usiadła na chłodnym piasku. Zanurzyła nogi w wodzie, co podziałało kojąco. Zmo-czyła też dłonie i przyłożyła do skroni. W pewnej chwili nawet oddychanie zaczęło sprawiać jej ból, po policzkach spływały ciurkiem łzy. Akurat z wody wyskoczyła rybka, zatoczyła w powietrzu srebrzysty łuk i zaraz znikła w toni. Długo potrwało, zanim Pocahontas doszła do siebie na tyle, by powrócić na festyn.

Napięta do tej pory atmosfera, spowodowana krwawą ofiarą, już się rozluźniła. Kobiety obsiadły miejsca, gdzie jeszcze było coś do zjedzenia, i zawzięcie plotkowały. W jednym kącie placu grupa młodych wojowników w ścisłym kręgu ćwiczyła tańce wojenne, inni znów kopali piłkę. Po ulicach osady biegały dzieci, bawiąc się z psami, grając w różne gry i naśladując pieśni wojenne. Powhatan wycofał się na razie do domu rady starszych, ale krążyła pogłoska, że tego wieczoru ma jeszcze przemówić do swego ludu. Podobno miał do przekazania ważne wiadomości.

Pocahontas wróciła na swoje miejsce, zanim uczestnicy festynu zaczęli się zbierać z powrotem, po przerwie koniecznej dla odreagowania przykrego napięcia. Dopóki siedziała sama, w myślach jeszcze raz przeżywała zdarzenia dzisiejszego dnia.

Niby był to taki sam festyn, jakich odbyło się już wiele, a jednak Pocahontas czuła, że to, co zdarzyło się dziś, czyniło z niej bardziej dojrzałą kobietę. Przecież potrafiła sama upolować łanię, wytrzymała widok krwawej ofiary i nie dała ojcu poznać po sobie, że ją to zasmuciło. Na pewno opiekuńczy duch nieba wynagrodzi ją za taką siłę woli.

Jednak nie tylko to było przyczyną, że czuła się teraz inaczej niż zwykle. Sprawił to ten moment w trakcie składania ofiary z człowieka, kiedy jej spojrzenie napotkało wzrok skazańca i poczuła się tak, jakby tworzyła z nim jedną całość! Teraz już wiedziała, że jej dzieciństwo skończyło się bezpowrotnie.

Przyglądała się, jak ojciec wraz ze swym orszakiem wraca na plac ofiarny. Z wyrazu jego twarzy nie mogła nic wyczytać, bo był przyzwyczajony do skrywania swoich uczuć. Mieszkańcy osady zdążyli się już ponownie zebrać i czekali, co powie.

Powhatan obrócił się więc do tłumu i przemówił:

- Moje dzieci! - zaczął. Narodzie Krainy Pięciu Rzek! Już dawno temu zawisła nad nami groźba od strony wybrzeża. Wielkie łodzie przywiozły do nas

dziwnych ludzi, których nazywamy Tassentasami, czyli brudnymi wojownikami...

Pocahontas wyprostowała się i nastawiła uszu, by lepiej słyszeć.

- Kiedy ci dziwni ludzie najechali nasz kraj, złożyliśmy bogom ofiary, prosząc ich o pomoc. Bogowie wysłuchali nas, bo wybiliśmy brudasów co do jednego. Wczoraj jednak mój brat Wowincho przywiózł wiadomość, że dwa dni temu jego wojownicy znów widzieli Tassentasów przybijających do naszego brzegu.

Słysząc było, jak ludzie na placu nabierali powietrza w płuca i wstrzymywali oddech. Powhatan podniósł głos.

- Raz już udało się nam ich wypędzić. Dopomógł nam wtedy zły duch Okeus. Teraz trzeba będzie znów ich pokonać, a więc musimy być gotowi do walki lub nawet do długiej wojny, jeśli to będzie konieczne. Musimy też przygotować się do nowych ofiar dla bogów, aby za wszelką cenę uwolnić się od tych najeźdźców.

Przyniosą nam oni tylko choroby i złe nawyki, mówią bowiem dziwnym językiem i chcą wydrzeć nam naszą ziemię.

Pocahontas słuchała tego z niepokojem. Mgliście przypominała sobie, że kiedyś słyszała już jakieś opowieści o dziwnych przybyszach, ale nie dałaby głowy, czy była to prawda, czy legenda. Teraz jednak zagrożenie było konkretne i materialne.

Dziewczyna pękała z ciekawości, jacy też są ci ludzie. Chciałaby ich zobaczyć. Teraz nie myślała już o niczym innym, tylko o tym, jak pomóc ojcu.

Kiedy Powhatan kończył swoją kwestię, czarno umalowani kapłani wystąpili naprzód z wyraźną pewnością siebie.

Najwyższy kapłan podszedł bezpośrednio do tronu i zamienił

parę słów z samym władcą. W tłumie wywołało to poruszenie i niespokojne szepty.

Powhatan ponownie podniósł rękę w górę i natychmiast zapanowała cisza.

- Kapłani przekazali mi właśnie, że aby zwyciężyć Tassentasów, należy przebłagać złego ducha Okeusa. Mamy kilka księżyców czasu, aby się z nimi uporać, lecz jeśli nie damy rady, będziemy musieli złożyć w ofierze naszych synów.

Przez tłum przeleciał gniewny pomruk, a kilka kobiet załkało.

Pocahontas pomyślała, że to najgorsze, co mogło się wydarzyć.

Jeśli kapłani zażądają, trzeba będzie złożyć dodatkowe ofiary, ale i bez tego wystarczająco przykry był obowiązek corocznego ich składania. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że było to niezbędne dla ochrony plemienia przed chorobami, neurodzajem czy innymi klęskami żywiołowymi, ale konieczność poświęcenia następnych chłopców — to było już za wiele!

Chłopcy na ofiarę mogli być wytypowani z każdej wioski czy osady wchodzącej w skład Konfederacji Powhatana. Nikt, od naczelnika wioski po najbiedniejszego chłopca, nie mógł być spokojny, że ominie to jego syna. Kapłani wybierali ofiary według siebie tylko znanych kryteriów, utrzymywanych w ścisłej tajemnicy, a ich werdykty były niepodważalne.

Nie może do tego dojść - myślała rozpaczliwie Pocahontas. -

Muszę znaleźć jakiś sposób, aby pomóc ojcu rozprawić się z Tassentasami, zanim kapłani ogłoszą, że nadszedł czas na składanie ofiar.

Jej ojciec opuszczał już plac i tłum powoli się przerzedzał. Cała radość ze Święta Wiosny jakby się ulotniła. Myśli Pocahontas były teraz tak czarne jak niebo w nocy. Ranek wydawał się tak radosny, lecz przybycie Tassentasów mogło odmienić nie tylko jej życie, ale życie wszystkich.

Rozdział 3

Wybrzeże Ameryki,

kwiecień 1607 roku

John Smith ciężko upadł na bok, popychany przez rozżłoszczonych marynarzy. Z trudnością powstrzymywał gniew i obrzucał przekleństwami tych, którzy go uwięzili.

Łódź z pluskiem osunęła się na wodę. Zrazu zanurzyła się, aby obrać prawidłowy kierunek, kiedy wiosłujący skierowali ją w stronę zatoki. Trzy rozklekotane statki, przypominające raczej balie ze zwiniętymi żaglami, stały na kotwicy u brzegów Dominiki, gotowe do wzięcia kursu na Wirginię. „Susan Constant” i „Godspeed” były statkami handlowymi, natomiast jol

„Discovery” nadawał się raczej do żeglugi przybrzeżnej niż dalekomorskiej. Statki z działkami na pokładach podrygiwały jak wielkie kaczki na spokojnych wodach zatoki. Tak wyglądały pływające domy członków Kompanii Wirgińskiej przez długie cztery miesiące, które upłynęły, odkąd opuścili Anglię, kierując się na podbój Nowego Świata. Nic dziwnego, że zaczynało im już braknąć cierpliwości, a miary nieszczęść dopełniał jeszcze tropikalny upał.

Szalupa zrównała się z burtą „Godspeed”. John Smith mógł

wyładować swoją złość dopiero wtedy, kiedy dostał się na pokład statku, skąd dwóch ludzi zawlokło go do okrętowego aresztu.

Panowało tam

niemiłosierne gorąco, ale Smith pocieszał się, że przynajmniej kapitan tej jednostki jest jego dobrym znajomym. Zanim jednak usłyszał zgrzyt klucza w zamku, musiał odczekać godzinę. W

otwartych drzwiach z ciemności wyłoniła się płowa czupryna Bartholomewa Gosnolda.

- Do diabła, Johnie, co się z tobą dzieje? - zapytał kapitan siadając, lecz nie zapalał przyniesionej ze sobą lampy.

Wydzielane przez nią ciepło zamieniłoby i tak duszną celę w prawdziwą izbę tortur.

- Ci ludzie rzucili się na mnie i związali, a Wingfield kazał mnie powiesić. Gdyby Newport się nie wtrącił, dawno bym dyndał!

Edward Maria Wingfield pełnił obowiązki dowódcy wyprawy, podczas gdy admirał Christopher Newport dowodził nią, dopóki płynęli przez ocean, aż do momentu cumowania w Wirginii.

Przed wypłynięciem z Anglii król Jakub wraz ze swoim Lordem Kanclerzem przygotowali w trzech egzemplarzach instrukcje dla podróżników i umieścili je w trzech identycznych, zapieczętowanych skrzynkach, po jednej na każdy statek.

Król miał własną wizję tego, czego spodziewał się po nowej kolonii, jak też pogląd na to, kto ma tam rządzić, a kto ma wejść w skład rady nadzorczej. Toteż przed przybyciem do brzegów Wirginii, gdzie tajne instrukcje zostałyby ujawnione, wszyscy chodzili rozdrażnieni i skłonni do waśni. Atmosferę dodatkowo podgrzewał panujący na Dominice wściekły upał.

- Cóż takiego przeszkrobał? spytał Gosnold z beznamietnym wyrazem swojej kwadratowej twarzy. Kiedyś, zanim skusiło go kaperskie rzemiosło, studiował prawo, więc doskonale umiał

panować nad swymi emocjami.

- Ten sukinsyn Wingfield myśli, że chce odebrać mu dowództwo wyprawy. A skąd mamy wiedzieć, kto będzie dowodził, dopóki nie odczytamy rozkazów króla? Choć prawdą jest, że to ja powinienem stać na czele rady nadzorczej, bo Wingfield nie ma do tego kwalifikacji.

Gosnold w przyćmionym świetle przyglądał się przyjacielowi, rozmyślając. Z Johnem był taki sam kłopot jak z lwem w stadzie owiec. A przecież ten młody człowiek miał dopiero dwadzieścia siedem lat! Ciężkie przejścia nie stłamsiły jego bujnej osobowości i zdolności do czerpania z życia pełnymi garściami.

Nosił zakręcone rudawoblond wąsiki i spiczastą bródkę, ale nie był bynajmniej fircykiem - przeczyły temu mocne rysy jego twarzy i postawa boksera.

Wprawdzie nikt nie brał poważnie jego kandydatury na szefa rady nadzorczej kompanii, ale tu i ówdzie przebąkiwano o jego niewiarygodnych wyczynach. Chwalił się przygodami przeżyтыми we Francji, udziałem w walkach na Węgrzech, pobytem w niewoli tureckiej i brawurową ucieczką stamtąd, wreszcie szalonym rajdem przez stepy Rosji. Wielu słuchaczy tych opowiadań sądziło, że Smith nieco koloryzuje, jednak Gosnold wziął go w krzyżowy ogień pytań i nie wykrył w jego relacjach żadnej nieścisłości.

Teraz w zamyśleniu gryzł wargi i zastanawiał się, co robić z tym fantem. Z pewnością Smith naraził się wielu osobom. Był zbyt chełpliwy, kłótlivy i agresywny w stosunku do ludzi, których uważał za próżniaków bądź tchórzy. Zbyt dużo przeżył, by znosić towarzystwo głupców. Podczas długiej podróży nawiązał także wiele przyjaźni, niemniej miał wielu możliwych wrogów, którzy chętnie ujrzeliby go na stryczku.

- Zgodnie z rozkazem admirała Newporta — zakomunikował

Smithowi - muszę trzymać cię pod kluczem, dopóki nie przybijemy do Wirginii. Wtedy otworzymy skrzynki z rozkazami króla. Przypuszczam, że pewnie Wingfield przejmie dowództwo i zechce cię zakuć w kajdany, ale mam nadzieję, że do tego czasu sytuacja się zmieni. - Mówiąc to, położył ręce na ramionach Smitha. - Nie przejmuj się, Johnie, odpoczywaj, jesteś tu wśród przyjaciół. Nabraliśmy tyle zapasów, ile tylko się zmieściło, a kiedy będziemy w drodze, możesz wychodzić na pokład, kiedy zechcesz. Nad zatoką gnieźdzą się flamingi, rosną palmy i mnóstwo innego zielska. Masz ostatnią szansę napatrzeć się na nie, zanim wypłyniemy na morze.

Nie minęła godzina, a już Smith, oparty o reling, odprowadzał

wzrokiem pozostającą za rufą bujną, tropikalną roślinność wyspy. Mimo późnego popołudnia temperatura była wciąż wysoka, a słońce operowało ostro. Wyteżając wzrok, Smith dostrzegł miejsce na brzegu, gdzie ustawiano już dla niego szubienicę. Rzeczywiście, był o włos od śmierci!

Zdawał sobie sprawę, że główną przyczyną konfliktu były niewygody, które cierpieli wszyscy. On jeden w takim upale chodził w samej koszuli, a inni musieli się męczyć w grubych, skórzanych lub aksamitnych kaftanach, więc byle głupstwo doprowadzało ich do szału. Mało tego, egzotyczne owoce, z taką chęcią spożywane przez załogę, spowodowały u większości z nich swędzącą wysypkę, co wzmagало już i tak panującą drażliwość.

Nagromadzone pokłady zazdrości i urazy wobec Smitha tylko czekały na okazję, żeby wybuchnąć. Kiedy zaś Smith - nie po raz pierwszy zresztą — sprzeciwił się Wingfieldowi, ten kazał go natychmiast powiesić.

Uratowała go tylko interwencja Newporta, który na szczęście zainteresował się dziwnym tumultem dochodzącym z „Susan Constant”. Smith okazał się przy tym takim dziwnym człowiekiem, że nie przejawiał wcale strachu ani też ulgi, gdy admirał rozkazał odstawić go na „Godspeed”. Taką odwagę mało kto mógł zakwestionować.

Im silniejszy wiał wiatr, tym bardziej nasilały się odgłosy rutynowych prac na statku. Smith nie przepadał za morskimi podróżami - wolał wieść burzliwe życie na lądzie, gdyż mógł

tam, kiedy chciał, brać kąpiel w czystej wodzie, czego nauczył się od Turków. Jednak w momencie stawiania żagli ulegał

nastrojowi chwili.

- Mówią, że jeśli wiatr się utrzyma, za kilka dni będziemy w Wirginii - odezwał się stojący przy nim George Percy, obserwując krzątanicę załogi.

- Dla mnie im wcześniej, tym lepiej - odpowiedział Smith. - Mam już dosyć tej parszywej podróży.

Lubił Percy'ego, młodszego brata hrabiego Northumberlanda, który popadł w niełaskę u dworu i był więziony w Tower. I rzeczywiście, kiedy podróż dobiegła końca, Percy okazał się prawdziwym przyjacielem.

- Chyba nie lubisz większości naszych współpasażerów —

uśmiechnął się ten młody, szczupły brunet.

- Nie w tym rzecz, czy ich lubię, czy nie, ale z setki ludzi, których tu mamy, przynajmniej pięćdziesięciu nie ma pojęcia ani o robocie, ani o handlu.

John Smith mówił to z pogardą człowieka, który zdołał

przełamać sztywny podział klasowy i awansował z prostego chłopca na dżentelmena-podróżnika. Nawiasem mówiąc, nie wszyscy uważali go za dżentelmena.

- No tak - argumentował Percy - ale oni są takimi samymi udziałowcami Kompanii Wirgińskiej jak ty czy ja. Czy są źli, czy dobrzy, zainwestowali w ten interes swoje pieniądze.

- Udziałowcy! - skrzywił się Smith. - Na Dominice zachowywali się jak ciemny, niezdiscyplinowany motłoch. Potrzebują silnego przywódcy, a Wingfield nie jest odpowiednim człowiekiem.

- To, że dałeś mu w pysk i próbowałeś wyrzucić za burtę na środku morza, też nie polepszyło naszej sytuacji - westchnął

Percy. - Przyznaj się, że grałeś mi na nerwach przez całą podróż!

- Tak, bo Wingfield zarzucał mi nielojalność wobec króla i oskarżał, że chcę przejąć dowództwo wyprawy! - Nie było sensu mówić arystokracie Percy'emu, że tak naprawdę to Wingfield posunął się trochę za daleko, traktując Smitha z góry.

- Ale tymczasem jesteśmy skazani na niego, przynajmniej dokąd nie przybijemy do brzegów Wirginii i nie otworzymy skrzynek z instrukcjami Jego Królewskiej Mości.

- Te przeklęte skrzynki! - warknął Smith. - Pewnie będą nas pouczać, jak mamy chodzić za potrzebą!

- Może to lepsze niż załatwiać te sprawy przez dziurę w desce przy burcie! - Obaj się roześmieli. Morskie podróże nie zapewniały zbyt wielu wygod.

Przez następne dni trzy małe statki, gnane ostrym wiatrem, podskakiwały na falach. Już w czasie rejsu przez Atlantyk do Indii Zachodnich pogoda płała niezłe figle, była to jednak fraszka w porównaniu z zaciekłością obecnych sztormów. Smith cierpiał szczególne męki, gdyż jego cela mieściła się w najniższym punkcie kadłuba statku, więc stale przebywał po kostki w wodzie. W końcu jednak sztorm ustał i już w bladym świetle ranka obserwatorzy wyteżali wzrok w kierunku zachodnim. Z pewnym wysiłkiem można było dostrzec szarą plamę na horyzoncie.

- Zieeemiaaaa! - podniosły się radosne okrzyki.

Tak, to już była ta upragniona ziemia, ich ziemia! Nie gorące i wilgotne Indie, gdzie wśród egzotycznych roślin i owoców przeslizgiwały się legwany i żółwie! Nie skolonizowane już hiszpańskie posiadłości w Ameryce, ale angielskie terytorium Wirginia, nazwane tak na cześć angielskiej Królowej-Dziewicy pół wieku temu.

Dotychczas podjęto tylko jedną, nieszczęśliwie zakończoną, próbę osadnictwa na tym terenie. Natomiast teraz działała już Kompania Wirgińska, dobrze wyposażona i zaopatrzona w edykt królewski. Taki edykt wraz z listą udziałowców i trzema statkami potencjalnych osadników miał szansę zmienić bieg historii, uczynić Wirginię prawdziwie angielską posiadłością, nie tylko z nazwy.

Było to również pierwsze wspólne przedsięwzięcie ludzi posiadających jakikolwiek kapitał w Londynie. Do jednego worka wrzucono tu pieniądze należące zarówno do arystokratów, jak wzbogaconych plebejuszy. Udziałowcy pokładali w przyszłej kolonii wielkie nadzieje, licząc, że znajdą tam cenne surowce, źródła utrzymania dla licznych w przeludnionej Anglii bezrobotnych, a co najważniejsze - złoto, srebro oraz bazy wypadowe do Indii Wschodnich, to zaś otwierało drogę do dalszych skarbów.

Statki wpłynęły do wielkiej zatoki, co rozbudziło nowe nadzieje w ich załogach, jeszcze wczoraj bliskich załamania. Uwięziony na statku Smith mógł tylko patrzeć, jak marynarze powiadali na łódki i niecierpliwie wiosłowali do brzegu. A gdy tylko dotknęli

nogami stałego lądu - długo tłumione emocje znalazły ujście w okrzykach ulgi. Spłoszone biegusy i mewy podrywały się z wydm z trzepotem skrzydeł i piskiem. Dorośli mężczyźni podskakiwali i fikal

koziołki jak dzieci, darli się jak opętani, potykali się na przybrzeżnym piasku i ani pomyśleli, żeby obejrzeć się za siebie w stronę pozostawionych statków.

Nikomu nie przyszło do głowy, że na brzegu może być zastawiona zasadzka i że trzeba zapewnić sobie możliwość szybkiego odwrotu. Napawali swoje oczy widokiem zielonej trawy, barwnych wiosennych kwiatów, nie dostrzegając, że między sosnami, od pnia do pnia, przemyka się chyłkiem jakaś postać. Nikt nie zauważył, że czyjeś ręce napięły już łuk, a z kołczana wyjęły opierzoną strzałę. Nic nie zapowiadało ani nadejścia nocy, ani niebezpieczeństwa.

Na szczęście strzała nie została wypuszczona, a tajemnicza postać zniknęła w głębi lasu. Popołudnie dłużyło się niemiłosiernie. Pierwszy spośród Anglików dotarł do granicy lasu i krzykiem oznajmił kolegom, że odkrył wijący się między drzewami strumyk i zamierza podążyć wzdłuż jego biegu. Ktoś inny znów dostrzegł ptaka lub drzewo, jakich jeszcze dotąd nie widział. Każdy z nich czuł się odkrywcą dziewiczego łądu, toteż każdy z nich wkrótce zaczął odkrywać go na własną rękę, błądząc po obrzeżach lasu. Nowo przybyli nie zdawali sobie zupełnie sprawy, że przez cały czas obserwowały ich niewidzialne oczy, niewidzialne ręce gestykułowały za ich plecami, a w niewidzialnych głowach powstawały przeciwstawiające się im plany.

Słońce już zachodziło, zalewając horyzont czerwoną poświatą.

Zmęczeni, lecz ożywieni Anglicy zebrali się na plaży. Jedyńm, który naprawdę chciał wracać już na statek, był chłopak okrętowy pozostawiony do pilnowania łódek.

Był mieszcuchem, a w ciszy i na otwartej przestrzeni czuł się nieswojo.

Jednoręki admirał kaperskiej floty, Christopher Newport, dowodzący statkiem „Susan Constant”, a na czas rejsu także całą wyprawą - skupił wokół siebie wszystkich członków załogi.

Zgodnie z otrzymanymi wcześniej rozkazami wygłosił do nich przemówienie:

- W imieniu Jego Królewskiej Mości Jakuba I obejmuję te ziemie w posiadanie. Nadaję im nazwę na cześć wielkiego i potężnego księcia Henryka Fryderyka, następcy tronów Wielkiej Brytanii, Francji, Irlandii i Wirginii. Niech od dziś miejsce to nosi nazwę Cape Henry!

- Niech żyje Cape Henry! - zawyło naraz około trzydziestu głosów. Niektórzy, porwani entuzjazmem, wyrzucali kapelusze w górę.

Trzeba trafu, że Gabriel Archer odwrócił się akurat w przeciwną stronę i spojrział w stronę wydm. Zobaczył tam coś, co zmieniło go w słup soli. Początkowo wydawało mu się, że to niedźwiedzie, szybko jednak zorientował się, że to ludzie czołgają się w niedźwiedziej postawie, na czworakach. Ich nagie ciała w promieniach zachodzącego słońca nabierały czerwonego zabarwienia. Każdy z czołgających się trzymał w zębach łuk.

Archer szturchnął w bok kapitana Gosnolda.

- Tubylcy! — wrzasnął przerażony Gosnold.

Jak na zawołanie jeden z tubylców w tym momencie poderwał się na nogi, wyjął z ust łuk, z kołczana strzałę, w ciągu sekundy nałożył ją i wystrzelił.

Ten pierwszy pocisk padł w bliskiej odległości. Następny, wypuszczony w sekundę później, był już lepiej wymierzony. Trafił Archera w ramię i powietrze przeszył jego ostry krzyk.

- Stać! Otworzyć ogień! - zakomenderował Newport, ale posłuchało go może ze dwóch ludzi. Reszta rzuciła się do ucieczki. Wśród krzyków i szamotaniny zepchnięto łódki na bezpieczną taflę wody.

- Zróbcie przejście dla ranego! - krzyczał głośno Gosnold. —

Miejsce dla kapitana Archera!

Drżącymi palcami przybijano ładunki w muszkietach. Pierwszy wystrzał wstrząsnął powietrzem dopiero wówczas, gdy strzały fruwały już gęsto. Następny krzyk dowodził, że znów ktoś został

trafiony. Jednak pierwsza łódka odbiła już od brzegu. Wioślarze pracowali bez wytchnienia, aby jak najszybciej wszyscy dostali się na bezpieczne pokłady cumujących w oddaleniu statków.

O zmroku na wybrzeżu zapanował spokój. John Smith spoglądał

z mostka kapitańskiego statku „God-speed”, gdzie wygaszono już wszystkie światła. Gosnold załatwił, że nie zakuto go w kajdany, ale otrzymał zakaz opuszczania statku. Klął te rygory w żywy kamień, gdyż wskutek tego pierwsze wiadomości na temat Wirginii otrzymał z drugiej ręki. Był to dlań prawdziwy cios poniżej pasa!

Im bardziej robiło się ciemno, w tym posępniejszy wpadał

nastrój. Widział płomyki świec migocące w iluminatorach

„Susan Constant”, kołyszącej się na wodzie w odległości około piętnastu metrów. Na pewno kapitanowie i udziałowcy kompanii zbierali się już, aby otworzyć zapieczętowane skrzynki z królewskimi rozkazami. Smithowi trudno było pogodzić się z myślą, że nie został do tego dopuszczony.

Oczywiście widział już salon kapitański na „Susan Constant” - znał dobrze rozkład tego statku, bo przecież przepłynął na nim ocean. Wzdłuż długiego dębowego stołu stali tam teraz, ramię przy ramieniu, założyciele pierwszej kolonii Nowego Świata należącej do Kompanii Wirgińskiej. Na stole stały pewnie trzy drewniane, okute żelazem skrzynki, a strzegli ich kapitanowie - Christopher Newport z „Susan Constant”, Bartholomew Gosnold z „Godspeed” i John Ratcliffe z

„Discovery”.

Na pewno Newport pierwszy spróbuje otworzyć swoją skrzynkę jedyną, prawą ręką. Będzie mu to

szło ciężko, bo drewno skrzynki z pewnością napęczniało od wilgoci, a zamki zardzewiały. Admirał nie da się jednak nikomu w tym wyręczyć.

Smith interesował się przede wszystkim tym, kto wejdzie w skład rady nadzorczej i kto będzie jej przewodniczył. Wtedy okaże się, jakie są plany króla i zarządu Kompanii Wirgińskiej. Na razie, do powrotu Gosnolda, snucie domysłów, co jeszcze może się dzieć na „Susan Constant”, nie miało sensu.

Czas włókł się niemiłosiernie, toteż Smith dla rozrywki patrzył w gwiazdy. Myślami sięgał wstecz do ostatnich nocy spędzonych w Londynie. Zazwyczaj nie pozwalał sobie na luksus wspomnienia kobiet swego życia, gdyż uważał, że tego rodzaju rozmyślania osłabiają mężczyznę. Poza tym w swoich podróżach po Europie i Azji Zachodniej widywał wciąż nowe twarze. Teraz jednak, gdy na drugiej półkuli miał znosić gorycz samotności i niesłusznego uwięzienia, potrzebował myśli, które pozwoliłyby mu trochę się rozerwać.

Ciekawe - myślał sobie - czy kobiety tubylców są tak ładne i miłe jak Annie z gospody „Pod Głową Dzika”? Czy też mają tak mięsiste wargi, a piersi krągłe

i nabrzmiałe? No i, przede wszystkim, czy są przystępne?

Wprawdzie Smith sądził, że potrafi przez jakiś czas obejść się bez kobiety, nie był jednak purytaninem. Z drugiej jednak strony, brał

teraz udział w tak ryzykownej wyprawie, że wolałby nie rozkochiwać w sobie żadnej kobiety.

Cicha wiosenna noc ożywiła się nagle głosami niosącymi się po wodzie z pokładu „Susan Constant”. Smith widział, jak z hałasem spuszczano stamtąd szalupę wiosłową, która wzięła kierunek na

„Godspeed”. Obserwując, jak płynęła, czuł nowy przypływ furii.

Kiedy Gosnold wdrapał się po drabince na pokład, Smith stał

przy grotmaszcie podparty pod boki i bez żadnych wstępów spytał:

- No i co tam słyhać?

- Londyn wyznaczył i ciebie, i mnie do rady nadzorczej, ale Wingfield został jej szefem i chce cię stamtąd wygryźć.

- Niech diabli porwą Wingfielda! - wymamrotał Smith, czując, jak wściekłość dławi mu gardło. - A kto jeszcze wszedł do rady?

- Ratcliffe, Martin i Kendall.

- A Percy nie?

- Nie, i pewno jest ciężko rozczarowany. Archer i kilku innych chyba też.

Smith nie skomentował tej wypowiedzi. Edward Maria Wingfield był zasłużonym żołnierzem, pochodził z arystokratycznej, katolickiej rodziny, wpływowej i o dobrych koneksjach. Jego status gwarantował mu miejsce w radzie. Na wybór Gosnolda wpłynęła prawdopodobnie jego popularność.

Był młody, sympatyczny i już od kilku lat penetrował wybrzeże nowego kontynentu. W dużej mierze zawdzięczał nominację także swoim zabiegom wokół werbunku załogi. To on skłonił

wielu z obecnych do udziału w wyprawie.

Z kolei kapitan John Martin pochodził z rodziny złotników, toteż spodziewano się, że wykaze szczególną aktywność w poszukiwaniach cennych kruszców na nowo odkrytym kontynencie. John Ratcliffe i George Kendall nie mieli jakichś nadzwyczajnych zalet, po prostu byli zdolnymi dowódcami.

Jasne, że rozczarowanych, oprócz Percy'ego, musiało być wielu!

- W jaki sposób Wingfield próbował zablokować moją nominację? — wycedził przez zęby Smith.

- Oskarżał cię o próbę wzniecenia buntu. Zagroził, że napisze o tym do Londynu.

- Czy ma jakichś zwolenników?

- Martin jest jego człowiekiem... - głośno myślał Gosnold - ...i chyba Kendall też.

- A za kim w razie czego poszedłby Ratcliffe?

- Johnie, z całą pewnością możesz liczyć tylko na dwa głosy: swój i mój.

- Pal diabli, gdyby choć wybrali Percy'ego!

- Albo Archera lub jeszcze ze sześciu innych? Nie, Johnie, musisz spojrzeć prawdzie w oczy: Wingfield jest górą!

- No więc pójdę siedzieć na całe miesiące! — Smith aż zachrypnął

ze złości. - Akurat wtedy, kiedy powinienem pomagać opracowywać strategię obrony przed tubylcami i utrzymywać dyscyplinę w czasie wypadów na ląd! Niech to szlag trafi!

Już o świcie podniesiono kotwice z ogłuszającym grzechotem łańcuchów, szczególnie wyraźnie słyszalnym w ciszy poranka.

Po incydencie z tubylcami Gosnold i Smith doszli do wniosku, że Newport powinien rozkazać płynąć dalej.

Tymczasem admirał zdecydował spuścić na płyciznę ożaglowaną szalupę, której załoga miała płynąć w górę rzeki, aby dotrzeć w głąb Wirginii. Marynarze z szalupy odkryli w którejś z rzek,

wpadających do zatoki, koryto odpowiedniej głębokości.

Kapitanowie statków przystali więc, aby popłynąć tym szlakiem.

Smith obrał sobie wygodny punkt na pokładzie, z którego widać było błękitne niebo, głębię rzeki, strzeliste drzewa, strumyki o krystalicznie czystej wodzie, łąki usiane kwiatami i biało kwitnące krzewy

w lasach. Wirginia wypadła więc w jego oczach tak dobrze, jak się spodziewał, tyle że jakoś mało go to cieszyło.

Przez całe cztery miesiące uczestnicy tej wyprawy j tłoczyli się w ciasnych kajutach, znosili kołysanie statku, ustawiczne nawoływania marynarzy i tupot stóp po deskach pokładu. Sen z powiek spędzały im jęki chorych bądź wycie wiatru, odżywiali się wyłącznie i solonym mięsem, marzli w mokrej odzieży, a przede wszystkim musieli żyć w zaduchu, w którym dałoby się zawiesić siekierę... Wszystko to podkopywało zdrowie przyszłych osadników. Teraz zaś, kiedy liczyli, że po wyjściu na ląd będą mogli spokojnie polować, palić ogniska i wysypiać się na świeżym powietrzu - pojawiły się nowe problemy!

Tubylców Smith uważał za najmniejszy problem, mimo że zaatakowali jego ludzi, ranili Archera i zabili jednego marynarza.

Przypuszczalnie byli to wojownicy wielkiego wodza Powhatana.

Już Raleigh zauważył, że wodzowi temu podlegały szczepy zarówno bardziej wojownicze, jak i przyjaźnie nastawione.

Doradzał więc towarzyszom podróży, aby działali ostrożnie, najpierw

nauczyli się odróżniać te szczepy od siebie, a następnie próbowali rozgrywać jedno przeciw drugim. Poza tym będą przecież musieli nawiązać z nimi stosunki handlowe, gdyż wyczerpią się ich zapasy z podróży, a wykarczowanie gruntów pod uprawę wymaga czasu.

Smith był święcie przekonany, że dla przetrwania Kompanii Wirgińskiej niezbędna jest współpraca wszystkich jej członków, bez względu na urodzenie czy status społeczny. Konieczne było też nawiązanie poprawnych stosunków z tubylcami. Z kolei Wingfield nie miał pojęcia o pracy z ludźmi - dbał tylko o utrzymanie własnej wysokiej pozycji. Wprawdzie okrył się chwałą bojową w Irlandii i w Niderlandach, ale nie miał żadnego doświadczenia w podboju ziem leżących poza Europą.

Potrzebował więc rad takich ludzi jak Newport i Gosnold, którzy znali już Indie i wybrzeża Ameryki, a także takich jak Smith, który miał wieloletnią praktykę w postępowaniu z rdzennymi mieszkańcami tych ziem. Wingfield nie umiał sam utrzymać dyscypliny wśród podległych sobie ludzi, zwłaszcza w sytuacjach ekstremalnych. Był za to arystokratą, a John Smith tylko synem ubogiego chłopca.

Wingfield, jako nieodrodny syn swojej epoki, nie pozwalał

Smithowi zapomnieć o dzielącej ich różnicy, gdyż własny status społeczny był dla niego cenniejszy niż względy praktyczne.

John Smith chętnie dzielił się z arystokratami i szlachtą swymi doświadczeniami z podróży po Europie i Azji Zachodniej.

Walczył z nimi ramię przy ramieniu, wspólnie zażywając rozkoszy „wina, kobiet i śpiewu”. Brał udział w ich wyprawach, gdyż był człowiekiem ambitnym i pragnął zarówno doskonalić się wewnętrznie, jak i wspinać się wyżej w hierarchii społecznej. Ale przede wszystkim chciał obalić system przywilejów związanych ze szlacheckim urodzeniem lub zamożnością. I tylko taki człowiek mógł uratować kolonię!

- Czy przybijemy dziś do brzegu, wielmożny panie? — przerwał

mu rozmyślania głos chłopca okrętowego, Thomasa Savage'a.

— Za wcześnie o tym mówić, chłopcze - odparł. - Na razie, chwalić Boga, jest spokój.

— Słyszałem, że mamy wyjść na ląd w miejscu, które się nazywa Cape Comfort.

- Nie licz na to za bardzo. Kapitanowie muszą najpierw zobaczyć to miejsce, no i tym razem nie zechcą już ryzykować.

Zatrzymamy się tam, gdzie blisko brzegu nie będzie żadnych drzew i będziemy mogli zapuścić kotwicę na odległość wystrzału z działa. Tym razem tubylcy już nas nie zaskoczą!

Z pokładu statku wiele zatoczek wyglądało zachęcająco, ale to linia lasów znajdowała się za blisko, to znów przybrzeżne wody były za płytkie, aby statki mogły dogodnie zakotwiczyć, albo wreszcie grunt był zbyt bagnisty.

I wszędzie tu — myślał Smith - kręci się pełno tubylców.

Zwiadowcy Newporta znaleźli raz opuszczone ogniska i czółno wydłubane w pniu długim na dwanaście metrów. Napotymano też bardziej dyskretne ślady ich obecności - smugę pozostałą po kilwaterze dopiero co przepływającej łodzi, cichy plusk wiosł, przemykające tu i ówdzie sylwetki ludzkie. Bez wątplenia tubylcy byli blisko i stale śledzili statki wpływające w głąb zatoki. Smith przerwał badanie linii brzegowej, bo napotkał

zdziwione spojrzenie chłopca okrętowego.

- I nie powinniśmy ich zabijać, nawet jeśli będziemy mieli szansę

- dokończył głośno.

- Ależ oni postrzelili kapitana Archera! - oświadczył chłopak wojowniczym tonem.

- To prawda, ale przybyliśmy tutaj, aby handlować z nimi, a nie wszczynać spory.

- Jakże z nimi handlować, proszę wielmożnego pana? Toż to ciemne dzikusy!

Smith zachnął się z wyraźną dezaprobatą.

- Widziałem w życiu wielu różnych ludzi, mój chłopcze. Bywali różnie ubrani albo chodzili nago jak ci tutaj, jednak nikogo z nich nie nazwałbym ciemnym dzikusiem. Może nie mają dużej wiedzy, ale są zręczni i odważni. Jeśli uważasz ich za gorszych od siebie, to nigdy o nich niczego się nie dowiesz.

- Czy wielmożny pan myśli, że oni mają złoto? Albo srebro i klejnoty, takie jakie znaleźli Hiszpanie?

- Myślę, że tak - uciął krótko Smith.

Na dźwięk słów „srebro” i „złoto” serce mu zabiło szybciej. Po to przecież wyruszyli do tej Wirginii! Jednak jeszcze zanim postawili żagle, wiedzieli dobrze, że tubylcy, których spotkał tu sir Walter Raleigh, nie są ludźmi tego pokroju co ci, których podbili Hiszpanie na południe stąd.

Hiszpanie natrafili na ukształtowaną już cywilizację, wprawdzie dla nich obcą i barbarzyńską, ale obfitującą w murowane budynki i skarbcce pełne złota i srebra. Natomiast ci tubylcy, którzy pojawili się na plaży w Cape Henry, nie wyglądali na członków tak rozwiniętego społeczeństwa. Wprawdzie, zgodnie z relacjami wcześniejszych podróżników, mieli znaczną wiedzę o ziemi, wodzie, uprawie roli i sztuce wojennej, niemniej żaden Europejczyk nie natknął się u nich na skarbiec.

Tak Raleigh, jak i niedobitkowie jego nieudanej wyprawy wspominali natomiast o potężnym i bezlitosnym władcy Powhatanie. Uprzedzali swoich następców, że należy traktować tak jego, jak i jego ludzi z należytą uwagą i szacunkiem.

Aż nadto mieli rację - wspominał teraz Smith, mając na myśli wydarzenia na Cape Henry. W końcu nie przybyli do Wirginii po to, aby walczyć z krajowcami! Nie zrobili wprawdzie dobrego początku, ale koniecznie trzeba się z nimi zaprzyjaźnić i skłonić, aby zgodzili się na wymianę handlową. Muszą przecież mieć jakieś towary nadające się do wymiany! No i koniecznie złoto, bo inaczej cały wkład pracy i pieniędzy Kompanii Wirgińskiej pójdzie na marne.

Pomyślny wiatr utrzymywał się, toteż wkrótce statki zmniejszyły szybkość i wpłynęły do kanału rzecznoego, w który wprowadził je Newport. Ledwo kotwice zdołały dotknąć dna zatoki, gdy na brzegu znów pojawili się tubylcy. Pierwszy obserwator Newporta zauważył pięciu wojowników biegnących wzdłuż linii brzegowej i zaalarmował pozostałych. Potencjalni kolonizatorzy wylegli na pokład „Susan Constant”, czując się pewnie, bo statek znajdował

się jeszcze poza zasięgiem strzałów z łuku. Załoga i pasażerowie

„God-speed” poszli w ich ślady. Smith usadowił się na dziobie, nie dbając o to, czy Wingfield go zobaczy. Zbyt długo już przesiedział pod pokładem i żadna siła nie była w stanie utrzymać go z daleka od tego, co się działo.

Zauważył, że Indianie są wysocy, niektórzy nawet o głowę wyżsi od Anglików. Byli dobrze zbudowani, głowy mieli do połowy ogolone, na drugiej połowie zapuszczali długie włosy. Poruszali się zgrabnie i z wdzię-

kiem. Smith przypomniał sobie, że w instrukcjach odczytanych przed trzema dniami przez Gosnolda znajdowało się pouczenie:

„Warunki sprzyjające osiedlaniu się można poznać po wyglądzie miejscowej ludności”. Sir Edwin Sandys i współpracownicy precyzowali swoje zalecenia: „Jeśli napotkani tubylcy mają mętne oczy i wzdęte brzuchy - unikajcie tego miejsca i jedźcie dalej. Jeśli natomiast są silni i czysti - oznacza to, że powietrze i gleba są zdrowe, a więc można się tam osiedlić”. Obserwowani krajowcy wyglądali na silnych i czystych.

Widać Christopher Newport też doszedł do takiego wniosku, gdyż właśnie z grupką towarzyszących mu osób sadowił się w szalupie. Smith wyciągnął szyję, aby się mu dobrze przyjrzeć, gdyż takie przedsięwzięcie wymagało dużej odwagi. Rana Gabriela Archera była przecież wciąż świeża, a oczekujący na brzegu Indianie trzymali w pogotowiu łuki i strzały. W szalupie oprócz Newporta zasiedli: George Percy, John Martin z synem, także Johnem, cieśla okrętowy, sześciu innych robotników i kilku marynarzy - razem około dwudziestu ludzi. Wśród nich nie znajdował się jednak Edward Maria Wingfield.

Smith rozejrzał się za Indianami, ale oni tymczasem znikli z pola widzenia. Szalupa zbliżała się do brzegu, a plaża była pusta.

Jednak kiedy Smith uważnie przepatrywał ścianę lasu, dostrzegł

ich sylwetki, majaczące tu i ówdzie wśród drzew i krzewów.

Newport pierwszy przeszedł w bród płytką wodę przybrzeżną.

Zaraz za nim wyszedł na ląd Percy. Kiedy wszyscy pasażerowie szalupy zebrali się już na brzegu - ich dowódca głośno zakrzyknął. Zanim jego głos doleciał do statku „Godspeed”, był

już ledwo słyszalny, a Smith bardziej się go domyślił, niż usłyszał. Widział,

jak Newport postąpił kilka kroków do przodu, potem się zatrzymał i wyrzucił ramiona w górę, aż zawirował pusty rękaw wokół kikuta jego przedramienia. W ten sposób chciał dać do zrozumienia, że nie ma broni. Na końcu położył prawą dłoń na sercu w międzynarodowym geście symbolizującym przyjaźń.

W odpowiedzi tylko ledwie dostrzegalnie zadrżały liście.

Newport znów wzniósł okrzyk, a na wszystkich trzech statkach załogi wstrzymały oddech. Taka odwaga przejmowała widzów dreszczem strachu. Co będzie, jeśli z zarośli dosięgnie Newporta strzała? Albo odwrotnie, tubylcy zrobią w tył zwrot i uciekną?

— Żeby tak, u diabła, był tam z nimi razem! - gorączkował się Smith. - Jego odwaga jest godna podziwu, ale to ja powinienem być na jego miejscu.

Cisza aż dzwoniła w uszach. Wreszcie w którymś momencie zarośla zaszeleściły i wyszedł z nich

jeden Indianin. Na tle ściany lasu stał dumny i wyprostowany. Postąpił dwa kroki naprzód, potem schylił się i położył swój łuk przed sobą na ziemi.

Z lasu wynurzali się kolejno następni krajowcy, aż na plaży stanęło ich pięciu. Bez pośpiechu posuwali się naprzód, dopóki się nie zrównali z Anglikiem.

John Smith przeżywał męki, uczestnicząc w tej scenie tylko jako obserwator. Nie słyszał słów Newporta, ale domyślał się znaczenia jego gestów. Gesty, którymi odpowiedzieli Indianie, na początku były trudniejsze do zrozumienia, ale stopniowo też zaczęły nabierać sensu. Próbowali pokazać na migi, że nie są żadną grupą pościgową, mającą wystraszyć nieproszonych gości.

Newport powtarzał wciąż swój gest przyjaźni, jakby nie rozumiał odpowiedzi Indian. Czy naprawdę nie mógł się domyślić znaczenia ich mimiki, czy może

celowo udawał głupiego? Smith aż przebierał nogami z niecierpliwości, bo nieraz miał do czynienia z ludźmi, których mowę tylko on jeden mógł zrozumieć. Innym to się nie udawało.

W końcu Newport chyba zrozumiał, co Indianie chcą wyrazić gestami. Odwrócił się, aby przekazać to Percy'emu i reszcie. Z

daleka wydawało się, jakby się przy tym kłócili. Potem dwóch zostało na straży przy szalupie, a pozostali, zabierając ze sobą broń, ruszyli w ślad za tubylcami ścieżką w głąb lasu.

Po chwili zniknęli z oczu. Ci, którzy pilnowali szalupy, rozsiedli się wygodnie przy jej maszcie, dzierżąc bezproduktywnie swoje muszkiety, jakby spodziewali się długiego oczekiwania. John Smith opuścił swój punkt obserwacyjny przy relingu „Godspeed”

i ślubował sobie, że uzbroi się w cierpliwość.

Rozdział 4

Droga do Kecoughtan,

maj 1607 roku

Pocahontas czekała na swojego ojca przy jego „osobistej ścieżce”. Była pewna, że po wypełnieniu porannych obowiązków będzie w dobrym humorze. Bogini Ahone, opiekuńczy duch rzeki, nie domagała się regularnych ofiar z liści tytoniu. Od swoich wyznawców żądała natomiast codziennej rytualnej kąpieli w rzekach i oceanie, będących jej królestwem. Od tego obowiązku nie był zwolniony żaden obywatel państwa Powhatana, chyba że był chory. Czyste ciało było dla tej bogini równie ważne jak czysta dusza.

W lecie było to nawet przyjemne, gdyż ciepła woda w rzekach mile pieściła ciało, a miękki piasek na brzegach wyglądał

zachęcająco. Dlatego nieraz Pocahontas musiała czekać ze dwie godziny, aż ojciec się wykąpał. W zależności od nastroju lubił

brać ze sobą do kąpieli jedną lub więcej żon.

Pocahontas oparła się więc plecami o buk rosnący przy ścieżce i czekała. Nigdy ani ona, ani jej bracia nie ośmieliliby się próbować kąpieli w ulubionej zatoczce ojca, którą obrał sobie na miejsce rytualnych ablucji. Tym bardziej nie odważyłby się zajrzeć tam nikt z poddanych. Wejście bez zaproszenia do kąpielowego miejsca Powhatan było karane śmiercią.

Słońce stało już wysoko. Dziewczyna przyglądała się leniwie grubodziobowi łuskającemu nasiona na ścieżce. Drugi taki ptak właśnie sfruwał, tworząc na tle drzew barwną plamę.

Potem zaczęły razem wykonywać lot godowy. Ich kolory były żywe, w przeciwieństwie do mężczyzn wypełniających teraz jej wyobraźnię - ci, przeciwnie, byli bladzi. Ciekawe, czy są aż tak biali jak świątynny wizerunek złego ducha Okeusa? A może są jego apostołami? Nomeh nie słyszał o nich nic specjalnie ciekawego. Mówił tylko, że dziwnie się ubierają i śmierdzą jak skunksy, ale wiedział to z drugiej ręki, bo sam ich nie widział.

A ja muszę ich zobaczyć! - zawzięła się dziewczyna.

- Hej, Białe Piórko! - zawołał raptem na nią brat Secotin, który dziś pełnił wartę przy ojcu podczas kąpieli.

Pocahontas natychmiast stanęła na równe nogi, gdy brat żartobliwie trącił ją swoim łukiem. Zawsze lubił się z nią drażnić, toteż nigdy nie była pewna, jak dalece może mu ufać. Miał coś nieodgadnionego w spojrzeniu, ale poza tym wydawał się jej oddany. Kiedyś jednak na pewno odpłaci mu za jego dokuczanie!

- Czy ojciec już idzie? - spytała, ale Secotin nie zdążył

odpowiedzieć, bo akurat Powhatan, ścinając zakręt, pojawił się tuż przed nimi. Trzymał dłoń na ramieniu swojej świeżo poślubionej żony. Inna żona szła za nimi, zbierając po drodze kwiaty. Pochód zamykała osobista ochrona wodza.

- Czekasz na mnie, Pocahontas? - wielki wódz przywołał ją skinieniem ręki.

Córka od razu zauważyła, że surowe zwykle rysy twarzy ojca nieco złagodniały. A więc był to dobry moment, aby przedstawić swoją prośbę. Przepelniały ją ciepłe uczucia, gdy z uśmiechem zaczęła:

- Tak, ojczu, chciałabym zadać ci kilka pytań w związku z Tassentasami...

Ojciec gestem kazał jej zamilknąć, po czym odesłał żony, poklepując je przyjaźnie, a wartownikom dał rozkaz, aby się oddalili poza zasięg głosu. Dopiero wtedy wybrał ocienione miejsce, usiadł i zaprosił Pocahontas, aby do niego dołączyła.

- I cóż to takiego, Psoznico?

Dziewczyna odwzajemniła się porozumiewawczym uśmiechem.

Kiedy ojciec nazywał ją tym wymyślonym przez siebie imieniem, wiedziała, że chce stworzyć między nimi atmosferę większej poufałości, niż gdyby nazywał ją tajnym imieniem Matoax, czyli Białe Piórko. Wiedziała więc, że może śmiało prosić, o co zechce, i że ma szansę to otrzymać.

- Ojczy, chciałabym zobaczyć tych brudasów!

- Ależ, Pocahontas, oni są o dzień drogi stąd!

- No więc muszę tam pojechać. Koniecznie chciałabym zobaczyć, jacy oni są.

Powhatan zmarszczył brwi.

- Ciekawość, córeczko, bywa czasem niebezpieczna. Kiedy Tassentasowie po raz pierwszy przybili do naszych brzegów, wielu moich ludzi chciało ich zobaczyć, ale niektórzy więcej nie wrócili, a ci, którzy wrócili, wkrótce potem zachorowali i pomarli. Biali ludzie mają w sobie zgnębną moc.

- A podczas Święta Wiosny mówiłeś, że oni już kiedyś u nas byli!

- Rzeczywiście, nie mówimy o tym często, ale w ostatnich latach widziałem ich wiele razy. Kiedy po raz pierwszy przybili do naszych brzegów, byłaś jeszcze taka mała, że bardziej interesowała cię zabawa z twoimi zwierzątkami. Zresztą to nie jest sprawa ani kobiet, ani dzieci.

- Ale ja nie jestem już dzieckiem i teraz mnie- to ciekawi! Jeśli są innego koloru niż my, to musieli przyjechać z jakiegoś dziwnego kraju...

- Zanadto jesteś ciekawa, Pocahontas.

- Ojczy, zapowiedziałeś podczas Święta Wiosny, że ich przepędzisz, ale jeśli oni ciągle wracają, to może lepiej pozwolić im tu zostać? Nasze plemię mogłoby ich wchłonać, jak to zrobiliśmy z innymi podbitymi szczepami. Może ich tajemne moce na coś by się nam przydały?

Powhatan tylko parsknął dobrodusznym śmiechem.

- Próbowaliśmy, ale to nic nie dało. Pocahontas poczuła się jakoś niepewnie. Dotąd

nigdy nawet nie brała pod uwagę możliwości, aby ktoś był

potężniejszy od Powhatana i jego wojowników. Tassentasowie mogą być groźniejsi, niż jej się wydawało. Musi więc zmienić taktykę, jeśli chce przekonać ojca do swojego planu.

- Ojczy, to nie tylko ciekawość. Chciałabym pomóc ci wypędzić ich stąd, zanim minie lato i nadejdzie pora...

- ...na ofiary? — dokończył za nią Powhatan ponurym głosem. —

Wszyscy tego chcemy, ale w czym ty możesz pomóc, mała Psoznico? Nie jesteś jeszcze nawet kobietą, a w ogóle to męska sprawa. Ofiary z dzieci są czymś strasznym i wszyscy chcielibyśmy ich

uniknąć, ale mamy jeszcze cztery księżyce czasu, zanim kapłani zaczną się nad tym zastanawiać. Trzeba mieć oczy otwarte i dobrze przemyśleć każde posunięcie przeciwko tym brudasom.

- Więc pozwól, abym była twoimi oczami! Wzrok i słuch mam bystry, a że jestem dziewczyną, to nawet lepiej. Mogę się przedostać tam, gdzie mężczyźni nie dadzą rady i gdzie blade twarze nie będą się bały mówić

przy mnie tego, czego nie powiedziałyby w obecności wojowników. Mogłabym z nimi rozmawiać...

- Nie zrozumiesz ich dziwnej mowy - ostudził jej zapędy Powhatan. - Wiem, Psootnico, że jesteś mądra i sprytna, ale wystarczy już, że Pochins ma z nimi do czynienia... - Tu zmarszczył czoło z wyrazem zatroskania.

- Pochins? — nie chciała wierzyć Pocahontas. Pochins był

przecież najstarszym synem Powhatana, jej przyrodnim bratem.

- Pochins jest bardzo niezależny — ostrym tonem wyjaśnił

Powhatan. - Tassentasowie przyплыnęli zza Wielkiej Wody i przybili do brzegów państwa mojego brata Wowincho. Kiedy zaś wojownicy Wowincho zagonili ich z powrotem na ich wielkie łodzie, gońcy przynieśli mi wiadomość, że teraz ci ludzie poruszają się po terytorium Pochinsa.

- Więc pozwól mi, ojcze, udać się do Kecough-tan — Pocahontas podniosła głos z przejęciem. - Mogłabym odwiedzić Pochinsa.

Znam drogę do Kecoughtan i łatwo tam trafię.

- Chciałem tam wysłać Secotina - sprzeciwił się ojciec - razem z Pamouikiem...

- Możemy więc iść tam we trójkę. Pamouic i Secotin zgodzą się mnie zabrać, jeśli im każesz.

- Musiałbym ich długo namawiać, aby w taką drogę zabrali młodszą siostrę! Poza tym na tych ziemiach mogą grasować Monakanie... - Powhatan urwał, patrząc zatroskanym wzrokiem na córkę. Zrobił dłuższą przerwę i mówił dalej, już innym tonem:

- Nigdy nie ukrywałem, że jesteś moim ukochanym dzieckiem.

Wkrótce staniesz się kobietą, a ja pokładam w tobie wielkie nadzieje. Może rzeczywiście ta podróż byłaby dla ciebie początkiem twoich nowych obowiązków?

Porozmawiam z Pamouikiem, żeby cię zabrał ze sobą, ale pamiętaj, że ci cudzoziemcy to nikczemne istoty. Pogardzam nimi i tobie nakazuję to samo. Nie powinnaś ich atakować, lecz patrzeć i słuchać uważnie, aby potem szczegółowo zdać mi ze wszystkiego sprawę. Miej się na baczności i nie zapominaj, że to twoi wrogowie. Pamiętaj, że kiedyś i ty obejmiesz władzę w jednym z moich państw, więc zachowuj się odpowiednio.

- Ojciec, staram się zawsze tak postępować. Teraz też postaram się zrobić dla ciebie wszystko jak najlepiej. W końcu jestem twoją córką!

Powhatan, ubawiony, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Pocahontas przemknęła okrężnymi ścieżkami na tyłach innych budynków do sypialni ojca. Dom ten zajmowały także ulubione żony Powhatana i te z jego dzieci, których jeszcze nie ożenił ani nie powydawał za męża. Była to duża chata, długości dziesięciu mężczyzn leżących jeden za drugim. Pocahontas przeszła przez izbę chłopców do izby dziewcząt, która znajdowała się w środkowej części chaty. Za nią była jeszcze izba dla żon wodza, a na końcu jego prywatna sypialnia z oddzielnym wejściem.

W izbie dziewcząt, którą zajmowało ich cztery, skierowała się wprost do swojego legowiska. Tworzył je stos futerek wiewiórczych przykrytych kapą ze skórek szarej kuny.

Uwielbiała czuć bezpośrednio na swojej skórze ciepło i miękkość tego futra. Pod ścianą stał wielki kosz mieszczący jej garderobę.

Miała wiele strojów, bo pomniejsi wodzowie szczepów należących

do Krainy Pięciu Rzek zasypywali ją prezentami. W koszu leżały więc spódnice, suknie i mokasyny z miękkiej skóry, narzutki obszyte piórami i kitkami, a wszystko ozdobione przypisanym jej symbolem białego piórka. Sznury pereł i miedzianą biżuterię przysyłano dorastającej pannicy, aby zaskarbić sobie przychylność jej ojca.

Pocahontas przyklękła przy tym koszu i zaczęła w nim grzebać, aby znaleźć rzeczy potrzebne na drogę. Nie miało to być nic zanadto strojnego, gdyż czekała ją ciężka podróż i nie mogła objuczać się zbędnym balastem. Zresztą w Kecoughtan też znajdował się dom należący do jej ojca i tam, w razie czego, powinna znaleźć rzeczy na zmianę. Na razie potrzebna jej była mocna suknia z grubej skóry, taka sama narzutka na chłodny wieczór i para prostych mokasynów — rzeczy nie zdradzające jej statusu społecznego.

Kiedy już skompletowała strój na podróż, przysiadła na chwilę na swoim łóżku, zastanawiając się, dlaczego ojciec wysyłał

Pamouica i Secotina samych w tak niebezpieczną drogę.

Normalnie przecież delegację do odbycia rozmów z Pochinsem i Tassentasami ochraniałby zbrojny oddział. Nie był to jednak odpowiedni moment do zadawania pytań. Cieszyła się, że ojciec w ogóle pozwolił jej wybrać się w tę podróż. Pamouic i Secotin byli nie tylko jej braćmi, lecz także dobrymi przyjaciółmi -

przynajmniej Pamouic na pewno. No, nie — skarciła siebie samą

- Secotin też zawsze był dla niej miły.

Pocahontas przypomniała sobie rozmowę z ostatniej nocy, kiedy to bracia opowiedzieli jej, jak

strasznie śmierzdzą Tassentasowie.

Nic dziwnego, skoro do rzeki wchodzili w ubraniach, nie zeszkrobywali z ciał brudu brzegiem muszli ani nie osuszali się po kąpieli pękami piór. Cóż to za dziwacy! Mało tego, pływali olbrzymimi łodziami poruszonymi przez wiatr i używali broni huczącej jak grzmoty. Ciekawe, jak mogli, stosując taką taktykę, zająć kogoś znieca? Temat ten zaczynał ją coraz bardziej intrygować.

Pocahontas wstała o świcie. Była tak podniecona wizją podróży, że prawie nie spała. Na paluszkach wymknęła się z sypialni dziewcząt, zwinnie przesadziła przepierzenie oddzielające sypialnię chłopców, minęła śpiących jeszcze braci i w bladym świetle chłodnego ranka wyszła na dwór.

Przede wszystkim skierowała się na zaplecze domu, na polankę, gdzie stały rzędy małych wiklinowych klatek. Wybrała spośród nich tę, w której siedziała zielonkawobrazowa ropucha. Jeszcze poprzedniego dnia musiała znaleźć odpowiednie zwierzęta ofiarne, a to było jednym z nich. Otworzyła klatkę i wyjęła z niej ropuchę.

Idąc w stronę rzeki z oślizłą ropuchą w ręku rozmyślała, jak głupi są ci Tassentasowie. Sami nie wiedzą, co ryzykują, nigdy nie składając ofiar Ahone. Współczuła im, że nie zaznają przy tym przyjemności swobodnej kąpieli.

Wkrótce doszła do brzegu w miejscu, gdzie koryto rzeczne było głębokie, a nurt bystry, zdążający do zatoki Chesapeake, tej samej, do której zawinęły okręty Tassentasów. Zeszła nad samą wodę i odgryzła zaostrowany kawałek trzciny, a potem uklękła na piasku.

- Ahone! - szepnęła. - Składam ci tę ofiarę na intencję szczęśliwej podróży mojej i moich braci.

Składała tę ofiarę drżącą ręką, gdyż brzydziła się ropuch. Miała nadzieję, że Ahone tym bardziej doceni jej poświęcenie. Potem zrzuciła sukienkę, zanurzyła się w wodzie i starannie wyszorowała całe ciało. Następnie osuszyła się pękiem miękkich piór indyka.

Musiała się spieszyć, by zdążyć jeszcze złożyć ofiarę złemu duchowi Okeusowi. To groźne bóstwo przejmowało ją strachem, zwłaszcza odkąd jeden z jej braciszków został mu złożony w ofierze. Sama wizja dalszych ofiar z dzieci spędzała jej sen z powiek. Wzięła więc trzy wiewiórki w klatce i razem z rozbudzonymi już braćmi poszli do świątyni Okeusa.

Uplętnęło trochę czasu, zanim odnaleźli kapłana. Wewnątrz świątyni było mroczno i pachniało stęchlizną, bo ścian jej nigdy nie odchylano, aby wpuścić do środka powietrze i promienie słoneczne. Jedyne źródłem światła był ogień rozpalony przez kapłana. Pocahontas uklękła na ubitej ziemi wraz z braćmi i cicho się modliła:

- Zmiłuj się nad nami, Okeusie, chroń nas w podróży i doprowadź

ją do pomyślnego końca! Teraz ofiarujemy ci wiewiórki, ale jeśli sprawisz, że szczęśliwie dotrzemy do Kecoughtan, gdzie wylądowali obcy brudni ludzie - złożymy ci w ofierze wielką rzeczną perłę, największą, jaka kiedykolwiek błyszczała na twojej szyi.

Kapłan potrząsał grzechotką, która wydawała głuchy dźwięk.

Mamrotał monotonnie modlitwę, przy czym ogień zdawał się rozbłyskiwać jaśniej, ostrym, żółtym światłem. Pocahontas czuła, że drżą jej ręce - chyba całe zło tego świata skupiło się w tym miejscu. Okeus wymagał ciągłych prześlagałnych ofiar, gdyż inaczej upiorne, lodowate zimno rozeszłoby się z tej świątyni po całej osadzie.

- Oto bóg zstępuje, aby przyjąć wasze ofiary! przemówił kapłan.

Pocahontas nieraz już widziała jego wizerunek, ale zawsze przejmował ją dreszczem. Miał trupiobladą twarz osadzoną na krępym, ciemnym korpusie. Tak musieli wyglądać ci ludzie, którzy przybyli tu zza Wielkiej Wody! Dymy i opary znad ogniska sprawiały wrażenie, że bożek się porusza i spogląda na nich zapadłymi, głęboko osadzonymi oczyma. Wydawało się, że będzie to trwało w nieskończoność. W końcu ogień zgasł i Pocahontas wraz z Pamouikiem i Secoti-nem zostali sami w ciemności.

Wszyscy jednocześnie upadli na twarze i leżeli tak bez ruchu.

Pocahontas czuła drżenia ziemi, sygnalizujące kroki kapłanów za balaskami ołtarza. Jeden po drugim dały się słyszeć trzy piski, obwieszczające śmierć trzech wiewiórek złożonych w hołdzie duchowi zła. Kapłanom zaś przybyły do kolekcji trzy futerka.

Rodzeństwo leżało na ziemi, aż kapłan powrócił, wpuszczając trochę światła przez zewnętrzne drzwi. Kiedy wstali, kapłan na odchodnym uścisnął im dłonie i życzył szczęśliwej podróży.

W pełnym blasku dnia przy brzegu rzeki czekały już łodzie.

Kiedy Pocahontas doszła do nich, trzymając w ręku zwiniętą narzutkę — Pamouic i Secotin szykowali już własny ekwipunek na drogę. Obaj mieli około dwudziestu lat, gdyż różnica wieku między nimi sięgała zaledwie miesiąca, ale byli zupełnie do siebie niepodobni. Pamouica cechował wdzięk osobisty w połączeniu z flegmatycznym temperamentem, natomiast Secotin był zawsze czujny, prędki w ruchach i sposobie reagowania. Miał

najlepszy słuch ze wszystkich wojowników

plemienia - zawsze pierwszy wychwytywał zbliżanie się jelenia, węża czy nieprzyjacielskiego zwiadowcy. Przy drugiej łodzi do drogi szykowało się również trzech wojowników, co oznaczało, że ojciec jednak zdecydował się przydzielić im obstawę.

Secotin po raz drugi w dniu dzisiejszym uniósł rękę na powitanie.

- Pocahontas, siadasz w pierwszej łodzi między Pamouikiem a mną.

Łodzie nie były lekkimi czółenkami z kory brzoźowej, jakich chętnie używały niektóre plemiona zamieszkujące imperium Powhatana. Były to ciężkie dłubanki, pomalowane w czerwono-niebieskie wzory charakterystyczne dla floty wielkiego wodza. Posiadał on kilkaset łodzi różnych rozmiarów, mieszczących od dwóch do czterdziestu ludzi. Widok tej flotylli, wypływającej w pełnej gali na większe polowanie lub wyprawę wojenną, zawsze przejmował Pocahontas dreszczem, ale był to

dreszcz dumy.

Prosiła ojca, aby nie wspominał nikomu w wiosce o tym, że wybiera się na wyprawę. Wolą zniknąć dyskretnie, bez przedłużających się pożegnań i udzielanych w ostatniej chwili rad, które tylko opóźniłyby wyjazd. Nie miała to być długa podróż - około pół dnia wiosłowania w dół rzeki, uchodzącej do zatoki Chesapeake. Pocahontas zakładała, że wybiorą przeprawę wodną, ale Secotin mógł też wybrać drogę lądową. Wtedy część trasy musieliby przebyć pieszo, niosąc łodzie nad głowami.

Wówczas przecięliby ziemie Pochinsa i przybyli do Kecoughtan od strony lądu.

Ciekawe, gdzie są teraz Tassentasowie. Czy na swoich wielkich łodziach wpłynęli już do zatoki, a może nawet w górę rzeki?

Mogli też wyprawić się w głąb

lądu. W miarę jak łódź posuwała się do przodu, popy chana lekkimi pociągnięciami wiosła, Pocahontas rozglądała się po dobrze jej znanych, zalesionych brzegach Pamunkey.

Obserwacja szerokich barów Secotina, miarowo poruszających wiosłami, mogła przyprawić o zawrót głowy. Na drugiej łodzi, płynącej za nimi, widać było skupione twarze wojowników wiosłujących w tym samym rytmie.

Im wyżej wznosiło się słońce, tym bardziej czuła głód i zawroty głowy. W ustach jej tak zaschło, że język nie zwilżał już warg.

- Secotin, kiedy się gdzieś zatrzymamy? Zjadłabym coś!

- Gdy tylko znajdziemy odpowiednie miejsce. Pocahontas odnosiła wrażenie, że minęli już wiele

takich miejsc. W miarę jak posuwali się naprzód, przyszło jej do głowy, że może Secotin chce w ten sposób dać jej do zrozumienia, aby nie opóźniała tempa podróży. Zastanawiała się, dlaczego ciągle ma jakieś wątpliwości wobec Secotina. Inni przyrodni bracia ani siostry nie dawali jej powodów do takich uczuć. Dlaczego więc akurat Secotin?

W tym momencie właśnie Secotin zaalarmował głosem załogę drugiej łodzi. Sam zaczął wiosłować w kierunku odcinka wybrzeża, nad którym zwieszały się do samej wody gałęzie dębu i płaczącej wierzby. Kiedy braciom udało się skierować łódź

prosto pod osłonę gałęzi, przerzucili przez konar linę. Po chwili to samo zrobiła osada drugiej łodzi. Woda przy brzegu była głęboka na niecały metr. Pocahontas z westchnieniem ulgi zrzuciła sukienkę i ześliznęła się po boku łódki do wody.

Zanurkowała, ciesząc się, że woda ochłodzi jej rozgrzaną głowę i szyję. Powoli zaczęła płynąć ku środkowi rzeki. Woda ożywczo działała na jej napięte mięśnie. Przez chwilę zatrzymała się, wytrząsając sobie wodę z uszu, i właśnie wtedy usłyszała coś, co ją zmroziło. Była to imitacja krakania kruka, umowny sygnał, który w jej plemienu oznaczał

niebezpieczeństwo. Kiedy odwróciła się w stronę, skąd dochodził, zobaczyła, że Secotin daje jej ręką urywane sygnały, aby natychmiast zawróciła pod drzewa i ukryła się. Popłynęła więc pod wodą tak, że na powierzchni nie było widać ani zmarszczki. Wsunęła się pod czółno zacumowane bardziej na zewnątrz i wynurzyła się między nimi, starając się nie poruszać przy tym wody.

Nasłuchiwała, ale nie słyszała nic konkretnego. Widziała, jak inni się wysilają, by coś usłyszeć. Tylko Secotin wyglądał tak, jakby był pewien, że rzeczywiście coś słysząc.

Cóż to za dziwny dźwięk, czy może sama słyszy własny oddech?

Kiedy lepiej nastawiła uszu, wiedziała już, co to jest: ledwo uchwytny plusk wiosła! Obejrzała się ku swoim braciom, którzy sygnalizowali gestami już dokładne znaczenie tego plusku. To kilka dużych łodzi, na nich może z pięćdziesięciu albo i więcej ludzi. Czyżby to ich rodacy wybrali się w tak dużej grupie na ryby?

Secotin przekazywał im na migi, że już od dłuższego czasu żadna taka grupa nie wypływała z Werowo-comoco.

Pocahontas spojrzała w górę rzeki, w stronę, skąd dochodził ten ledwo dosłyszalny plusk wiosła. Jednak w odległości około sześćdziesięciu metrów rzeka skręcała pod ostrym kątem, więc nie było nic widać.

Może to tajemnicze łodzie białych twarzy? Nie, gdyż Pochins przekazał wiadomość, że ich łodzie obywają się bez wiosła. Pewnie to ludzie z któregoś państewka Krainy Pięciu Rzek płyną w dół rzeki, aby łowić ryby lub handlować z innym szczepem... Raptem aż nią zatrzęsło na wspomnienie torturowanego niedawno jeńca. Równie dobrze mogła to być wyprawa wojenna Monakanów! A kiedy spojrzała na surowe i napięte rysy twarzy Secotina, wiedziała już, że to właśnie to.

Wszyscy zastygli w bezruchu i czekali. Pocahontas miała wrażenie, że czuje bliskie drżenie wody wokół siebie. Oczy wbiła w zakole rzeki, aż w końcu pojawił się tam najpierw jeden ciemny, podłużny kształt, potem drugi. Były to dwie duże dłubanki, mieszczące po dwudziestu ludzi. Wiosłowali tak niezgrabnie, że burzyli wodę, na co nie pozwoliłyby sobie żaden obywatel Krainy Pięciu Rzek. Czerwono malowane dzioby łodzi i przybrania głów wojowników potwierdzały, że to Monakanie.

Płynęli tak powoli, jakby w połowie podróży ustalali sobie jej tempo. Ich siedziby mieściły się w górach, daleko na zachód stąd.

Aby dotrzeć do morza, musieli spędzić w drodze wiele dni.

Przypuszczalnie więc byli zmęczeni, a przez to mniej ostrożni.

Mijali splecione gałęzie wierzby i dębu, nawet nie spoglądając w tamtą stronę.

Sześcioro Powhatanów spod tych drzew obserwowało mijające ich łodzie. Rzeka w tym miejscu była szeroka, a Monakanie płynęli głównym nurtem, o jakieś piętnaście metrów od nich.

Pocahontas widziała nieprzyjacielskich wojowników bardzo dokładnie. Słońce odbijało się od ich półnagich ciał tak samo jak od wody. Nad jej głową cicho szeleściły liście, a policzek musnęła jakaś zabłąkana gałązka. Dziewczyna jednak zdawała sobie sprawę, jak ulotne jest piękno tej chwili.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak zagrożona jak teraz.

Wystarczyło, aby choć jeden z czterdziestu Monakanów przyjrzał

się dokładnie wodzie pod drzewami, a momentalnie idylla zamieniłaby się w jatkę. Gdyby Monakanom udało się wziąć ją żywcem, na pewno by się z nią nie cackali. Przez wiele dni konałaby w mękach, a opis tego ze wszystkimi szczegółami zostałby dostarczony jej ojcu. Nie poruszając głową, Pocahontas wodziła wokoło wzrokiem, aby upatrzeć coś odpowiedniego do popełnienia samobójstwa, gdyby groziło jej schwytanie.

Na szczęście nieprzyjacielskie łodzie posuwały się powoli naprzód, nie zmieniając rytmu wiosłowania.

Spowodowana przez nie fala omyła czołna ukryte pod dębem i przyjemnie łaskotała ciało Pocahontas. Gdy bezpośrednie zagrożenie minęło, poczuła pewną ulgę,

tym bardziej że łodzie Monakanów odpłynęły już dalej w dół

rzeki i z tej odległości wydawały się małe jak mrówki.

Napięcie ustąpiło i Pocahontas dopiero teraz poczuła zimno -

przecież siedziała cały czas pod wodą. Spojrzała na Secotina, sugerując mu, że chciałaby już wyjść z wody.

- Jeszcze nie - odpowiedział na migi brat. Dalsze minuty czekania wydawały się Pocahontas

godzinami, aż wreszcie Secotin szepnął:

- Myślę, że najgorsze już za nami.

Podczas gdy bracia utrzymywali łódkę w równowadze, dziewczyna zręcznie się do niej wśliznęła. W cieniu zwisających gałęzi drzewa nadal było jej zimno.

- Wracamy? - zapytał któryś z wojowników.

- Nie - zdecydował Secotin. — Powiosłujemy na przód, trzymając się brzegu. Kiedy tylko będziemy mogli, wyjdziemy na brzeg i dalszą drogę odbędziemy lądem.

- Co za bezczelność z ich strony pchać się na naszą rzekę! -

mruknął pod nosem Pamouic.

- I to w biały dzień! - dodała Pocahontas, czując nagły przyływ gniewu.

Nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że Monakanie byli w pełnym szyku bojowym. Nikt też nie chciał nawet brać pod uwagę możliwości dostania się do niewoli, a co za tym idzie -

nieuniknionej śmierci w męczarniach.

- Zjedzmy coś — zaproponowała Pocahontas, aby rozładować napiętą atmosferę. - Pamouic, weź kawałek chleba z kukurydzy.

A tu, proszę, jest pieczony indyk na zimno.

Jak cudownie było po chwilach strachu oddychać z ulgą, siedząc w łodzi i susząc się z wody w promieniach słońca przeświecającego przez gałęzie! A jak wspaniale smakował w takim momencie świeży, jeszcze dziś upieczony kukurydziany chleb! Mężczyźni jednak pozostali nadal spięci i czujni na wypadek pojawienia się następnej grupy Monakanów.

Po ukończonym posiłku wszyscy napili się czystej wody prosto z rzeki i czekali, aż słońce minie punkt zenitu. Nikt nie mówił tego głośno, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że przed nocą nie zdążą już dotrzeć do Kecoughtan. Będą musieli rozbić obóz gdzieś po drodze.

Nadszedł już czas wyruszenia w dalszą drogę. Mężczyźni ostrożnie wyprowadzili łodzie na wodę, rozchylając gałęzie.

Popłynęli szybko w dół rzeki, starając się wiosłować w takt.

W którymś momencie jednak Secotin wyciągnął

wiosło z wody i gestem nakazał Pamouikowi zrobić to samo.

Zakrakał jak kruk, aby zwrócić na siebie uwagę wojowników z drugiej łodzi. Obie dłubanki zrównały się z sobą, po czym wiosłarze je zatrzymali. W ogólnej ciszy wszyscy zaczęli nasłuchiwać. Pocahontas niczego nie słyszała, ale czuła, że Secotin czeka, aż powtórzy się dźwięk, który go zaniepokoił.

Okazało się, że rzeczywiście coś usłyszał. Na jego znak zaczęli wiosłować jak najszybciej, aby ukryć się pod osłoną gałęzi, skąd przed chwilą wypłynęli. W pośpiechu łódki uderzyły o siebie, zmarszczki na wodzie potworzyły się i znikły, spłoszone ptaki krótko zaćwierkały i umilkły — znów zapanował spokój.

- Monakanie? - wyszeptała ledwo dosłyszalnie Pocahontas.

Pamouic szybko przytaknął i gestem nakazał absolutną ciszę.

Pocahontas nie rozumiała, co się dzieje. Dlaczego tamci wracają?

Czyżby wyczuli ich obecność? A może w górnym biegu rzeki coś ich wystraszyło? Każda, najgorsza

nawet możliwość wydawała się jej równie prawdopodobna.

I rzeczywiście, nieprzyjaciele pojawili się nadspodziewanie szybko na tej samej wysokości co przedtem. Nasi podróżnicy dostrzegali na twarzach wrogów determinację, nie strach.

Najwyraźniej coś ich zaalarmowało i powzięli w związku z tym jakiś plan.

Łodzie Monakanów ruszyły jeszcze trochę do przodu, potem ostro skrzyły w stronę brzegu i gwałtownie do niego przybiły, nieco powyżej miejsca ukrycia Pocahontas i jej towarzyszy. Z

wyjątkiem dwóch wojowników, którzy zostali, aby pilnować łodzi, cała reszta wysiadła i bezszelestnie pogrążyła się w gęstwinie leśnej. Powhatanie czuli ich zapach, gdyż, na szczęście, wiatr wiał od strony nieprzyjaciół i nie zanosił się, aby miał

zmienić kierunek.

Secotin szepnął, pomagając sobie gestami:

- Słuchajcie, musimy natychmiast stąd odpłynąć, bo znajdą nas, kiedy będą tędy wracać albo gdy wiatr zmieni kierunek.

Trzymajmy się brzegu i wiosłujmy z prądem, jak najszybciej się da. Pocahontas, ubezpieczaj. Jeśli będzie ci się wydawało, że nas widzą, to...

Pocahontas milcząco przytaknęła. Strach znów ścisnął ją za gardło. Doznawała teraz całkiem nowego uczucia - nie była myśliwym, tylko zwierzyną. Czowała, że ona i jej towarzysze wydzielają woń strachu jak zaszczute zwierzęta.

Secotin spojrział w oczy każdemu z wojowników, aby się upewnić, czy dobrze zrozumieli, co mają robić. Członkowie obstawy pierwsi odbili od brzegu, wiosłując ruchami tak precyzyjnie odmierzonymi, że nie czynili więcej hałasu niż wążka muskająca skrzydłem powierzchnię wody.

Monakanie, z wyjątkiem dwóch postawionych na straży, znikli w lesie. Pocahontas tylko od czasu do czasu słyszała trzask łamanej gałązki lub szelest suchych traw pod stopami. Nie spuszczała oka ze strażników, którzy na szczęście rozmawiali, żywo gestykulując, zwróceni w stronę przeciwną niż ta, w którą podążali uciekinierzy.

Jednak w pewnym momencie jeden z nich obrócił się w stronę brzegu rzeki i zaczął bacznie mu się przyglądać, jakby czegoś szukał. Pocahontas czuła, że krew zastyga jej w żyłach z przerażenia, tym bardziej że Monakanin nagle przyjął czujną i napiętą postawę.

- Zobaczyli nas! - syknęła.

Secotin nie zareagował wprost, tylko krzyknął w stronę pierwszej łodzi:

- Szybko!

Czołno pomknęło z całym impetem naprzód, prześlizgując się po powierzchni wody jak mewa. To, w którym siedzieli jej bracia i ona, podskoczyło i zaskrzypiało. Pocahontas wlepiła oczy w Monakanów. Ich strażnicy stali w swoich łodziach, przywołując resztę. Echo niesło ich głosy po wodzie.

Na pewno powtórne załadowanie się do dłubanek zabierze im trochę czasu, no i nie umieją zbyt dobrze wiosłować, ale zawsze to dwudziestu chłopów na każdej łodzi! Sama siła doda im szybkości i wysłannicy Powhatana nie dadzą rady zbiec.

- Powiedz mi, kiedy odbiją - polecił głośno Secotin.

- Jeszcze nie, jeszcze nie... już!

Pocahontas nie spodziewała się, że w tym momencie czołno wywróci się do góry dnem. Instynktownie jednak wiedziała, jak ma panować nad swoim ciałem, kiedy uderzyła o wodę. Pamouic i Secotin zepchnęli tymczasem pustą łódź z prądem. Sami też błyskawicznie znikli pod wodą, w gęstwinie przybrzeżnych trzciny. Po chwili Pocahontas też znalazła się między nimi, wystawiając głowę nad powierzchnię wody.

- Co z tamtą łodzią? — spytała szeptem.

- Nie myśl o niej. Urwij sobie trzcinę i nurkuj!

- Módl się do Ahone - dodał Pamouic. Urwał grubą trzcinę i podał

siostrze. Pocahontas wsadziła jeden koniec do ust i zanurzyła się w płytkiej wodzie, tuż przy błotnistym dnie. Przycupnęła tam w pozycji pólężącej. Od zimnej wody dostała gęsiej skórki, ale mogła obserwować trzciny nad sobą i osadzające się cząsteczki mułu wokół zawirowań w dnie. Drugi koniec trzciny wystawał nad wodą, więc przez jej pustą w środku łodygę mogła swobodnie oddychać. Pamouic był tuż przy niej i ścisnął ją za rękę.

Nie pozostało nic innego jak tylko czekać. Po ramieniu Pocahontas pełził denerwująco powoli jakiś wodny ślimak.

Na powierzchni wody zamajaczyły czarne cienie - to przemknęły obok nich łodzie Monakanów. Pocahontas oddychała przez trzcinę, więc jej nie zauważyli. Mimo to jedna z łodzi monakańskich zawróciła i siedzący w niej wojownicy zaczęli dwoma długimi prętami dźgać na oślep przybrzeżne trzciny.

Któreś pchnięcie ugodziło Pamouica w rękę, ale ani drgnął. Nie zauważywszy niczego podejrzanego, Monakanie popłynęli dalej swoją drogą.

Powhatanie odczekali jeszcze kilka minut, które wydały im się godzinami. Pocahontas nakazywała sobie cierpliwość - przecież bracia na pewno powiedzą jej, kiedy będzie można bezpiecznie wynurzyć się na powierzchnię. Dla zabicia czasu zaczęła przyglądać się życiu podwodnego światka - trzcinom, wodorostom, poruszającym się pośród nich rybom i owadom.

Dostrzegła nawet przemykającego tuż obok wodnego węża. Oddychała już swobodnie i nawet zaczęła czuć się dobrze w podwodnym środowisku.

W końcu - myślała - jestem dzieckim Ahone. Może rzeka, jej chłód i cisza to mój żywioł?

Secotin dotknął jej ręką, dając do zrozumienia, aby się nie ruszała z miejsca. Przyglądała się więc tylko, jak jego głowa wynurza się na powierzchnię. Po długiej chwili gestem zasygnalizował

wszystkim, aby się dyskretnie wynurzyli. Teraz Pocahontas poczuła, jak woda spływa po jej twarzy. W uszach miała pełno wody, a we

włosach trzcinę i muł. Rozejrzała się wokoło i dostrzegła, że Secotin jest już na środku rzeki i bada jej bieg. Pamouic szedł w bród w dół rzeki, przepatrując jej linię brzegową. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Po chwili obaj bracia wrócili z wiadomością:

- Nie widać ani Monakanów, ani żadnej innej łodzi - stwierdził

Secotin, mrużąc oczy od ciągłego wpatrywania się w dal. —

Jesteśmy blisko ujścia rzeki do zatoki. Możemy albo postarać się odszukać naszą łódź i próbować drogi morskiej, albo iść lądem.

- Lepiej lądem — zdecydował Pamouic.

- Ale teraz? — upewniał się Secotin.

- Bezpieczniej będzie poczekać w ukryciu, aż się ściemni.

Najlepiej przepłynemy rzekę, wejdźmy na drzewa i przeczekajmy.

- To ja zostanę z Pocahontas.

- Nie, ja! — zaproponował Pamouic.

Po kolei przepływali rzekę, uważnie wypatrując wszelkich podejrzanych poruszeń na przeciwnym brzegu. Kiedy już dopłynęli, ukryli się w przybrzeżnych trzcinach, dopóki nie znaleźli najwęższego przesmyka między rzeką a ścianą lasu. Na dany znak przebyli go biegiem.

Pocahontas zwinnie jak dziki kot dobiegła pierwsza do drzew, upatrzyła spośród nich jedno wysokie o grubym pniu. Zanim dołączył do niej Pamouic, już zaczęła się wdrapywać.

- Właż wysoko - wołał z dołu - dopóki nie będziesz dobrze widziała wszystkiego naokoło!

Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. Jej ciało oziębła woda, więc ciepła i szorstka kora dostarczała jej przyjemnych wrażeń. No i najważniejsze, że wspinała się do nieba! Doszła do wniosku, że jednak nie jest

prawdziwym dzieckiem rzeki. Wprawdzie Ahone otaczała ją opieką i wysłuchiwała jej modlitw, ale tak naprawdę bliższy jej był opiekuńczy duch nieba. Stanowczo wolałaby być ptakiem niż rybą, bo ptak zawsze dąży ku słońcu!

Pocahontas wspinała się z zapalem, dopóki nie osiągnęła wierzchołka. Stamtąd miała szerokie pole widzenia, na wiele kilometrów we wszystkich kierunkach. Z tej wysokości las wyglądał jak zielony dywan, poprządkany białą kwitnącym dereniem. Był to wspaniały widok. Na tle zieleni lasu odcinał się tylko falujący bezmiar wód szerokiej w tym miejscu rzeki. Przez chwilę dziewczyna rozkoszowała się ciepłem słońca i błękitem nieba, po czym wyciągnęła ręce w dziękczynnym geście do boga nieba.

- Nie widać tam nikogo?! - wołał z dołu Pamouic.

- Ani żywej duszy - Pocahontas zmrużyła oczy, bo raziło ją światło słoneczne odbite od wód zatoki. - Ale wydaje mi się, że w dole rzeki widzę naszą łódź.

- Wystarczy. Zejdź! Znajdziemy sobie jakąś wygodną gałąź.

Kiedy niechętnie zeszła na tę samą wysokość co on, Secotin buszował już w gałęziach sąsiedniego drzewa, a na tym, na którym się znajdowała, Pamouic wypatrywał rozwidlenie konarów.

Mogli w nim wygodnie się przespać.

- Mógłbyś pierwszy trzymać wartę? - zagadnął Secotina.

- Pewnie, teraz śpijcie, a o zmierzchu was zbudzę.

- Chodź tu, Białe Piórko! -- Pamouic przyciągnął Pocahontas do siebie. W rozwidleniu grubych gałęzi oboje umościli sobie przytulne gniazdko, a Pamouic otoczył ją ciepłem swojego ciała.

Było jej tu wygo-

odne, ale pomyślała sobie, że jest chyba jedyną kobietą, która może czuć się przy nim bezpiecznie. Jej brat znany był bowiem z tego, że miał bardzo niecierpliwe ręce i wargi.

Zapadła noc i do świadomości Pocahontas docierały typowe odgłosy lasu - hukanie sowy, trzepot skrzydeł nietoperza lub pisk jakiegoś małego zwierzątka. Nad wierzchołkami drzew zawisł

złoty księżyc, widoczny w trzech czwartych. Obudziła się, gdyż niemiłosiernie burczało jej w brzuchu. Gdyby tak mieli przy sobie ten kukurydziany chleb i pieczonego indyka, które zostały na dnie rzeki! Teraz będą mogli coś zjeść dopiero wówczas, gdy znajdą się w Kecoughtan, na ziemiach Pochinsa.

W ciemnościach wszyscy troje zsunęli się z gałęzi i zaczęli się przeciągać.

- Wyszliśmy prosto na Kecoughtan - oświadczył Secotin, gimnastykując zdrętwiałe mięśnie nóg. — Przy odrobinie szczęścia powinniśmy wkrótce trafić na nasz szlak.

Jeszcze zanim odnaleźli szlak, poruszali się po lesie bez trudności, gdyż były to tereny łowieckie Kecoughtan. Ostatniej jesieni ludzie Pochinsa, jak co roku, wypalili podszycie lasu, toteż ziemię porastała tylko uboga roślinność wiosenna. Secotin prowadził wolnym truchcikiem, zaraz za nim Pocahontas, a pochód zamykał Pamouic. Zrobiło się chłodno, więc Pocahontas żałowała, że nie ma ze sobą swojej skórzanej narzutki, która przepadła razem z łodzią i zapasami żywności.

Wkrótce odnaleźli szlak, który był ścieżką wydeptaną przez całe pokolenia mieszkańców Kecoughtan. Po jej

równej i twardej nawierzchni można było poruszać się szybciej, ale i tak mieli przed sobą jeszcze kawał drogi. Pocahontas pamiętała, jak daleko widać było z drzewa słońce odbijające się w wodach zatoki. Nawet gdyby przyspieszyli kroku, nie znajdą się w Kecoughtan przed świtem.

Nagle Secotin zahamował tak gwałtownie, że Pocahontas wręcz upadła na niego. Instynktownie ugryzła się w język, aby powstrzymać cisnące się na usta pytanie. Secotin rzucił się jednym skokiem między drzewa rosnące przy ścieżce. Reszta chciała podążyć za nim, lecz kazał im poczekać, dopóki nie zbada terenu. Po kilku minutach wrócił z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

- Czy to ognisko Monakanów? - szeptem spytała Pocahontas.

- Coś jeszcze gorszego. Chodźcie i zobaczcie. Poszli za nim z niepokojem, choć Secotin zapewniał, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Ścieżka się rozszerzała, tworząc małą polankę oświetloną promieniami księżyca. Leżały tam, ułożone w równym rzędzie, trzy korpusy, trzy odcięte i oskalpowane głowy oraz oddzielnie trzy pary rąk i nóg.

- Nasi wojownicy musieli zostać pokonani w walce, ale nie widać na nich śladów tortur - stwierdził sucho Secotin. - Monkanie pewnie się spieszyli.

Wszyscy troje stali jak wryci, porażeni koszmarnym widokiem.

- No cóż, nie mieli najgorszej śmierci - przerwał milczenie Pamouic. - Powinniśmy ich pochować. Pocahontas, włącz na drzewo i uważaj!

Pocahontas zmroziło do szpiku kości. Przyglądała się martwym głowom i zauważyła, że wyraz dwóch twarzy

był spokojny, natomiast usta trzeciej wykrzywił jakiś straszliwy grymas.

- Szybciej! - przynaglił ją Pamouic.

Wdrapała się na drzewo, lecz nie mogła się zmusić do patrzenia na to, co odbywało się na polanie. Słyszała tylko, jak Pamouic i Secotin, ciężko dysząc, wygrzebywali w twardym gruncie jamę, mając do dyspozycji tylko noże i ułamane gałęzie. Chociaż wywiązywała się sumiennie z obowiązków obserwatora, rozglądając się poprzez drzewa we wszystkich kierunkach - czuła przez skórę, że Monkanie już tu nie wrócą. Nie będą chcieli więcej iść tą drogą.

Kecoughtan,

maj 1607 roku

Secotin, polerując swój łuk woskiem, mile wspominał ostatnią noc. Kobiety znad tej zatoki działały na zmysły jak łagodnie falująca woda. Chiwoya — oblizywał się na sam dźwięk jej imienia.

— Chyba mój brat przebywa teraz w zupełnie innym świecie —
zażartował Pamouic.

Secotin z uśmiechem kiwnął głową i zmienił temat.

— Chyba powinniśmy już niedługo się zbierać.

— Nie możemy, bo Pocahontas musiała pójść do domu kobiet.

— Co? Już stała się kobietą? No, to na razie nie będziemy mogli stąd wyruszyć. Jak długo to u nich trwa?

— Nie wiem na pewno, ale chyba jakieś kilka dni.

— To zmienia wszystko. Musimy zawiadomić o tym ojca, bo pewnie ma jakieś plany w związku z Pocahontas. Nie wiadomo, czy nadal pozwoli jej obserwować Tassentasów, czy może powierzy jej jakieś nowe obowiązki. Na pewno każe nam zostać przy niej. Przypuszczalnie zechce też przysłać więcej ludzi do jej ochrony. Czy Pochins już o tym wie?

— Tak, chce złożyć dziękczynną ofiarę i przydzielić Pocahontas jakąś kobietę do posług. Może poprosić go, żeby to była Chiwoya? — Pamouic z porozumiewawczym uśmiechem szturchnął brata pod żebro.

- To dobry pomysł!

Ponieważ Secotin wyglądał, jakby myślami był gdzie indziej, Pamouic mówił dalej:

- Możliwe też, że wielki wódz nada Pocahontas jakiś tytuł

honorowy. Wtedy przewyższy nas rangą. Może też oddać jej we władanie kawałek ziemi, jak naszym dwóm ciotkom.

- I pewnie to zrobi, bo ona jest jego ulubienicą -potwierdził

Secotin.

- Teraz będzie pierwszą osobą w państwie - dodał Pamouic całkiem poważnie. - No, ale ty też

cieszysz się względami ojca, choć Pochins jest wyższy rangą.

- Rzeczywiście niektórzy tak mówią — odpowiedział ze spokojem Secotin, wytrzymując spojrzenie Pamoui-ca bez mrugnięcia okiem.

Pocahontas siedziała w domu kobiet oparta o ścianę i smutna, że musi spędzić kilka dni w tych czterech ścianach. I tak będzie teraz co miesiąc, dopóki nie zajdzie w ciążę lub się nie zestarzeje.

Wiedziała, że coś takiego stanie się z jej ciałem, ale dlaczego właśnie teraz? Kiedy dopiero co przybyła do Kecoughtan i zaczynała dowiadywać się coraz więcej o Tassentasach? Pękała z ciekawości, co robią teraz jej bracia. Interesowało ją zwłaszcza, jakie zamiary ma Pochins? Niestety, mogła dowiedzieć się czegokolwiek tylko wtedy, kiedy pensjonariuszkom domu przynoszono jedzenie lub dołączała do nich następna kobieta. No, a te osoby rzadko znały odpowiedź na dręczące ją problemy.

Zdawała sobie sprawę, że to, iż z dziewczynki stała się kobietą, pociągnie za sobą wiele zmian w jej życiu. Pewnie do przyszłej wiosny będzie musiała wyjść za mąż. Uśmiechnęła się krzywo, kiedy przypominała

sobie, jakie nadzieje wiązała kiedyś z tym życiowym przełomem.

Powhatan na pewno dowiedział się już o tym. Zawsze ją rozpieszczał i faworyzował, lecz teraz będzie mógł też powierzyć jej pewien zakres władzy. Wszyscy teraz zaczną inaczej ją traktować - stanie się całkiem niezależna! Pocahontas oczy błyszczały na samą myśl o tym. Wiedziała, że nie odziedziczy stanowiska po ojcu, zwyczajowo przechodziło ono bowiem na dzieci najstarszej siostry wodza. Na pewno jednak otrzyma ważne zadania wagi państwowej. Będzie nawet mogła uczestniczyć w debatach na tematy polityczne, odbywających się w domu rady starszych. Dwie z jej ciotek miały już takie prawo, gdyż zostały mianowane *weroansqua*, czyli żeńskimi odpowiednikami pomniejszych wodzów posiadających własne terytoria.

Oczywiście dalej będzie mogła pomagać ojcu w sprawach Tassentasów. Jako kobieta, zdobędzie wśród nich większy autorytet. Może uda się jej nawiązać kontakt z kobietami Tassentasów, przecież chyba przywieźli jakieś na tych swoich pływających wyspach? Ciekawe, czy też są tak owłosione jak ich mężczyźni? Na myśl o tym Pocahontas wybuchnęła śmiechem.

Ze zdziwieniem przyglądała jej się Naha, najświeższa żona Pochinsa. Krążyły o niej liczne plotki, ale Pocahontas kiedyś, na krótko, zetknęła się z nią w Werowocomoco i od razu polubiła.

Naha była ongiś żoną pomniejszego wodza, do którego należały tereny nad rzeką Rappahannock. Kiedy Pochins przebywał w tamtych stronach na polowaniu, Naha zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Do tego stopnia, że porzuciła męża, swoje plemię i poszła za Pochinsem do Kecoughtan. Nie

chciała wracać do męża - wolała wygrzewać łóżko dla swego idola i przynosić mu jedzenie.

Skandal rozszedł się szerokim echem po całej Krainie Pięciu Rzek i naczelnik państwa nad

Rappahannock wpadł we wściekłość. Musiał interweniować sam Powhatan, wytykając swemu wodzowi, że nie umie utrzymać swoich żon przy sobie.

Może próbował zadowolić zbyt wiele naraz? Początkowo Pochins czuł się zakłopotany ostentacyjnym okazywaniem mu uczuć przez Naha. Jakoś jednak nie odsuwał się, gdy się ocierała piersiami o jego plecy czy ramię lub delikatnie muskała go palcem, kiedy sądziła, że nikt tego nie widzi.

- Myślałam o Tassentasach - wyjaśniła jej Pocahontas powód swego śmiechu.

— Opowiedz mi o nich! - poprosiła Naha. - Jestem tu już od trzech dni i nie słyszałam żadnych plotek.

Kiedy po pełnej przygodzie wędrownicy doszli wreszcie do Kecoughtan, było już późne przedpołudnie. Osada była duża, składała się ze stu dwudziestu pięciu chat otoczonych palisadą.

Chaty ustawiono w symetrycznych rzędach, a wokół każdej rozchodziły się promieniście pola uprawne. Gdy troje podróżników wynurzyło się z lasu, kobiety pracujące na poletkach rzuciły narzędzia i wytrzeszczyły oczy. Przyglądały się ostrożnie, dopóki przybysze nie podeszli na tyle blisko, aby dać się poznać. Wtedy kilka kobiet popędziło do wioski, aby zawiadomić mężczyzn o przybyciu znakomitych gości. Po chwili chyba cała ludność osady wyległa na pola, aby ich powitać.

Pochins stał przy bramie wioski ze swoją strażą przyboczną.

Pocahontas na jego widok poczuła dużą

ulgę i ostatnie kilka metrów przebiegła, aby rzucić mu się na szyję.

- Bardzo martwiliśmy się już o was - zaczął Pochins. - Ostatni kurier zapowiedział wasze przybycie na wczorajszy wieczór.

- Mamy nieprzyjemne wiadomości - odpowiedzieli mu bracia.

Secotin zrelacjonował mu przebieg ich podróży; od wypłynięcia z Werowocomoco, poprzez spotkanie z Monakanami i bohaterską śmierć towarzyszących im wojowników. Wspomnił o płytkich grobach w głębi lasu i pieszym marszu aż do zatoki.

Pochins uważnie wysłuchał jego relacji. Był najstarszym synem Powhatana, a dzięki temu, że był wysoki i pięknie zbudowany -

nazywano go Przystojniakiem. Nosił przerzuconą przez ramię skórę czarnego lisa, wyprawioną wraz z głową, która szczyrzyła zęby na jego plecach. Przed laty ojciec wyznaczył go do rządzenia w Kecoughtan zaraz potem, jak stłumił tam bunt.

Buntowników przesiedlono do różnych osad w Krainie Pięciu Rzek, a ich rodzinne wioski zasiedlono wiernymi poddanymi Powhatana, który stosował w praktyce zasadę „dziel i rządź”.

Pocahontas przez ten czas przyglądała się Pochinsowi. Widziała go nieraz, gdyż często bywał w Werowocomoco. Dziś wprawdzie przywitał ich bardzo wylewnie, ale dziewczyna wyczuwała, że brat chowa coś w zanadrzu, bo był jakoś dziwnie zaaferowany.

Pochins wystukał trochę tytoniu z fajki i zadał rzeczowe pytanie:

- Czy jesteście pewni, że to Monakanie zamordowali tych ludzi?

- A któż by inny? Widzieliśmy ich łodzie, słyszeliś-

my, jak nas szukali, zresztą na zwłokach zostawili swoje znaki.

- Ale o co im chodzi? Nie są rybakami, którzy szukają łowisk na cudzych wodach. Czyżby chcieli się zemścić tylko za jednego wojownika? Niemożliwe! — Pochins odwrócił się ku swoim wojownikom, wybrał spośród nich dwunastu i ostrym, zdecydowanym tonem wydał im rozkazy: - Od dziś musimy strzec naszego wybrzeża i lasów. Musimy także przenieść zwłoki tamtych wojowników na nasze cmentarzysko.

Dopiero kiedy wszyscy rozsiedli się na matach tkanych w czerwone pasy, a kobiety postawiły przed nimi gorące placki i dziczyznę, Pochins ostatecznie wyrzucił z siebie, co mu leżało na sercu.

- Niedługo blade twarze będą w Kecoughtan. Tuż przed waszym przybyciem donieśli mi o tym moi zwiadowcy.

Troje podróżników zwróciło twarze ku niemu.

- Będą tu jeszcze dziś - kontynuował Pochins. - Moi ludzie eskortują tu ich całą grupę.

- Dziś? - Pocahontas dopiero co myślała, że jest zanadto zmęczona, aby cokolwiek mogło ją zainteresować. Tymczasem od razu ogarnęło ją podniecenie połączone z pewnym niepokojem. Więc dlatego Pochins witał ich z taką powściągliwością! Zdążył już się dowiedzieć, że Powhatan uważa białych za wrogów, że od swoich synów i córki zażąda po powrocie raportu z przebiegu odwiedzin.

Na razie tylko zwrócił się do siostry i braci, oświadczając:

- Tymczasem odpoczywajcie. Biali nie dotrą tu przed zachodem słońca.

Pocahontas skierowała się do domu, który Powhatan utrzymywał

w wiosce dla własnych potrzeb. Dziękowała w myśli bóstwom opiekuńczym za to, że Kecoughtan jest taką dużą osadą, a ojcu za to, że stać go na utrzymywanie domów we wszystkich większych wioskach. Przede wszystkim jednak cieszyła się, że w ogóle żyje.

- Taka jestem zmęczona! - poskarżyła się głośno, gdy ledwo dowlokła się do izby kobiet i padła jak długa na pierwsze z brzegu posłanie ze skór. Momentalnie zasnęła ciężkim, kamiennym snem.

Obudziła się nagle, czując, że mimo ciepłego dnia ręce ma zimne i wstrząsa nią lekki dreszcz. Ni

stąd, ni zowąd poczuła się strasznie samotna. Przypomniała sobie, że wkrótce do wioski dotrą Tassentasowie, ale zamiast cieszyć się z tego - była tym przygnębiona. Zastanawiała się, co właściwie tu robi i po co przeszła całą tę „drogę przez mękę”. Tylko po to, aby zobaczyć dziwne, zamorskie stwory, które zapewne wydadzą się jej odrażające?

Próżno rozglądała się po izbie - nie było tu starej niani, w której ramionach mogłaby się wypłakać, ani kochającego ojca. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak niepewnie i nie pragnęła tak gorąco wrócić do znanych sobie, ulubionych miejsc i osób.

Ciało jej ciążyło, a przez głowę przemykały czarne myśli, jakby omiatał ją skrzydłami olbrzymi kruk. Przywoływała na pamięć przeżycia ostatnich dwóch dni: konającą u jej stóp łanię, Monakanina przy palu męczarni, zatoczkę, w której ukrywała się pod wodą przed pościgiem innym Monakanów, poćwiartowa-nych wojowników na leśnej polanie... Tyle razy w życiu ocierała się o śmierć, że nie robiło już to na niej

większego wrażenia. W końcu z wszystkich tych prób wyszła zwycięsko. Złożyła należyte ofiary, zadowoliła Okeusa i Ahone...

Cóż więc się z nią dzieje?

Nie jestem taka silna jak mój ojciec i bracia - ubolewała nad sobą.

- Jak w ogóle mogę mieć takie wątpliwości? - Czuła krople potu ściekające po klatce piersiowej i zdecydowała, że przed przybyciem Tassen-tasów musi koniecznie się wykapać i przebrać.

Zakrzętnęła się po izbie, szukając jakichś rzeczy do ubrania, pozostawionych przez żony ojca. Na szczęście, kiedy zajrzała do kosza, stojącego za łóżkiem tak jak u niej w domu - rozwiały się jej obawy. Znalazła suknię z jasnego zamszu, gęsto ozdobioną frędzlami, jak też parę nowych mokasynów, pracowicie wyhaftowanych zieloną nicią. Widok tych ładnych rzeczy podniósł ją trochę na duchu. Jeszcze lepiej poczuła się, kiedy zrzuciła z siebie z głośnym plaśnięciem starą suknię i mokasyny.

- Jestem brudna i nieświeża - powiedziała do siebie cicho. -

Muszę znaleźć miejsce, gdzie będę mogła się wykapać i przejrzeć w wodzie. Przy okazji spłuczę z siebie te głupie myśli. Muszę wyglądać ładnie, jak przystało na córkę wodza, żeby Tassentasowie wypatrywali za mną oczy!

Stojąc już w drzwiach chaty, próbowała sobie przypomnieć, gdzie w tej wiosce jest staw. Już wiedziała -przy końcu ogrodu! Rozejrzała się więc za pękiem indycznych piór, znalazła go przy drzwiach i popędziła się wykapać. W pośpiechu nie zawracała sobie głowy nakładaniem na siebie rzeczy, które niosła.

W stawie wyszorowała dokładnie całe ciało wraz z włosami, osuszyła się piórami indyka i przebrała w nową suknię. Od razu poczuła się lepiej. Dobrze

nadstawiając uszu, dosłyszała dochodzące z wioski odgłosy, najpierw słabe, potem wyraźniejsze,

przypominające echo kroków wielu stóp. Echo przeszło w pomruk, a potem w dudnienie takie, że ziemia się trzęsła. A więc ci cudzoziemcy już dotarli do wioski — trzeba się spieszyć! Czarne myśli znikły, ich miejsce zajęła ciekawość.

Pierwsze, co dostrzegła Pocahontas, to zwarty tłum mieszkańców wioski. Zaczęła się przezeń przepychać, owładnięta tylko jedną myślą - zobaczyć Tassentasów.

- Pocahontas, tutaj! Tu jest twoje miejsce! - ktoś krzyknął.

Podążyła w stronę tego głosu. Wiedziała, że powinna stać u boku Pochinsa, ale wołała po raz pierwszy w życiu zobaczyć

„brudasów" na własną rękę, nie wchodząc w skład paradnego orszaku. Wydawało się jej, że wtedy oceni ich bardziej obiektywnie. Tłum posunął się nieco w stronę ogrodzenia i zaraz przyhamował. Pochins chciał, żeby mieszkańcy wioski najpierw odmówili modlitwę do Okeusa, prosząc go o błogosławieństwo, zanim wpuszczą obcych ludzi na swój teren.

Obecni ustawili się więc w krąg i na znak dany przez kapłanów upadli na twarze. Pocahontas chciała unieść głowę, aby spojrzeć na cudzoziemców pierwsza, ale bała się, że ściągnie na siebie gniew Okeusa.

Kiedy trzymała głowę tuż nad nagrzanym gruntem, chciało się jej śmiać, że dopiero co się wykapała, a już tarza się w kurzu. Dała się jednak ponieść nastrojowi chwili, wzniosła ręce do nieba i powtarzała modlitwę wraz z setkami innych gardeł. Ciche, lecz rytmiczne słowa modlitwy wyrażały żal z powodu czyjejś fikcyjnej

śmierci, aby odwieść Okeusa od zadania śmierci komu innemu.

Jeśli bowiem udałoby się oszukać złego ducha, że ktoś już tego dnia umarł - krwiożerczy bożek nie domagałby się już żadnej ofiary w ludziach. Zresztą było kogo opłakiwać — choćby tych wojowników rozsiekanych przez Monakanów! Pewnie, że ich szkoda, ale też sami zawinili własną nieostrożnością. Dlaczego dali się złapać?

Kiedy umilkła modlitwa, Pocahontas szybko podniosła głowę.

Nareszcie mogła zobaczyć Tassentasów.

Ależ oni wcale nie byli biali! Poczuli się rozczarowana, bo spodziewała się, że ich twarze będą przypominały przeraźliwą biel wizerunku Okeusa, miękki odcień małych, białych obłoczków lub połyskliwą biel rzecznych pereł. Tymczasem wyglądali wprawdzie dziwnie, ale kolor ich skóry był taki jak i jej, tyle że o brzydkim, brudnoziemistym odcieniu. Zresztą mimo słonecznej i ciepłej pogody ich ciała były zakryte odzieżą, widać było tylko twarze i dłonie.

Pocahontas dziwiła się, dlaczego obcy nie wystawiają swoich ciał

na zbawienne działanie słońca i powietrza ani nie malują się sokiem z orzechów tak jak jej rodacy. Ich ubrania zupełnie się jej nie podobały. Nie były zrobione ze skóry ani z piór i miały brzydkie

kolory kamieni, ziemi lub butwiejących jesiennych liści. Włosy też mieli jakieś dziwne. Nie golili głów z tej strony, z której nosi się łuk. Co prawda ich włosy były krótkie, więc może nie plątały im się z cięciwami. Nie były to długie, czarne i błyszczące włosy indiańskich wojowników, tylko skręcone lub pofalowane kosmyki wokół karków i podbródków w kolorze ziemi lub piasku. Jeden nawet miał czuprynę rudą jak lis. Widok Tassentasów strasznie ją rozczarował.

Pocahontas przysunęła się bliżej, zadowolona, że nie stoi u boku Pochinsa, gdzie czułaby się skrępowana. Wokół niej tłoczyli się mieszkańcy wioski, ale teraz się rozstąpili, by zrobić przejście dla swego wodza, który wyszedł naprzeciw gościom. Było ich dwudziestu.

— Witajcie w Kecoughtan! - oświadczył Pochins z dumnie uniesioną głową ozdobioną tradycyjnym pióropuszem z lotek orła. Kiedy podszedł bliżej do Tassentasów, Pocahontas stwierdziła, że przewyższa wzrostem o głowę najwyższego spośród cudzoziemców. Niektórzy z jego ludzi byli nawet jeszcze wyżsi.

Któryś z białych wystąpił naprzód i wyciągnął rękę. Ciekawe, po co. Przecież nic w niej nie trzymał! Kiedy się obrócił, Pocahontas zauważyła, że ma on tylko jedną rękę - drugi rękaw zwisał pusty.

Potem przemówił, ale wydawane przez niego dźwięki nie przypominały żadnego znanego jej narzecza. Wsłuchiwała się w nie, pragnąc cokolwiek zrozumieć, ale brzmiało to dla niej jak bełkot. W tym samym dziwnym języku odezwał się inny z Tassentasów. Tak mu się spieszyło, że nawet nie dał tamtemu dokończyć. Widać byli strasznie źle wychowani! Nawet nie ukłonili się Pochinsowi, w którym było po stokroć więcej dostojenstwa niż w nich wszystkich.

Dziwiła się, że Pochinsa nie złoścą ich złe maniery, ale on nie zwracał na to uwagi. Zaprosił przybyszów gestem do środka wsi i sam poszedł naprzód, aby wskazać im drogę. Zachodzące słońce zalewało już czerwienią skraj nieba, a od zatoki wiał chłodny wiaterek. Wokół zgromadzonych latało mnóstwo robaczek świętojańskich, które wyglądały jak tańczące iskierki. Zapach dymu z ognisk mieszał się z wonią kwiatów i rozpylonej w powietrzu soli morskiej.

Kobiety obsługujące uroczystość powitalną wyniosły na dwór plecione maty, ale obcy nie wiedzieli, do czego one służą.

Dopiero kiedy Pochins pierwszy usiadł, z wahaniem poszli w jego ślady. Natomiast na jedzenie rzucili się tak łapczywie, jakby od dłuższego czasu nie jedli. Nic dziwnego, gdyż Pochins był

znany ze swojej dobrej kuchni. Podano ostrygi, kraby, pieczone indyki i inną dziczyznę, chleb kukurydziany, a na deser poziomki i czarne jagody.

Pocahontas nie mogła oderwać oczu od Tassentasów. Nie chciała siedzieć obok Pochinsa, na co wskazywałby jej wysoki status społeczny. Wolała usiąść przy swoich pozostałych braciach, aby jednocześnie być bliżej cudzoziemców. Szybko jednak pożałowała swego wyboru.

Trudno jej było panować nad sobą i zachowywać uprzejmie obojętny wyraz twarzy, gdyż Tassentasowie strasznie śmierdzeli. Nie był to jednak smród skunka, jak to opisywał

Nomeh, ale ciężki i kwaśny odór, jaki wydzielają ludzie poważnie chorzy, którzy nie mogą się kąpać. Pocahontas może ze dwa razy w życiu czuła taki zapach, gdyż w jej plemienu ludzie rzadko chorowali. Coraz bardziej więc utwierdzała się w przekonaniu, że tacy ludzie nie mogą się jej podobać. To raczej zwierzęta niż ludzie!

Na odzieży cudzoziemców nie widać było żadnych oznak wskazujących na ich ranę. Natomiast przy pasach nosili jakieś dziwne przedmioty. Nie były to noże ani miecze, z jednego końca długie i błyszczące, z drugiego — ciemne i masywne. Pocahontas zastanawiała się, czy to tak właśnie wygląda ich broń. Biali mężczyźni nie przejawiali spokojnej czujności, jak zwykli byli czynić wojownicy Powhatana w obozie

wroga. Byli pochłonięci jedzeniem, a wokół nich kręciły się usługujące kobiety, dopóki Pochins ich nie odprawił. Potem sięgnął po swoją fajkę i zaoferował fajki także gościom, każdemu jedną. Widać było, że ci ludzie nie widzieli jeszcze fajek, ale po ruchach ich rąk Pocahontas poznała, że mieli już do czynienia z tytoniem.

W którymś momencie zdała sobie sprawę, że rozumie znaczenie ich gestykulacji. Z ich twarzy można było wszystko wyczytać, gdyż nie próbowali nawet skrywać swoich myśli. Pocahontas nie spodziewała się, że tak szybko uda jej się ich rozszyfrować, toteż poprawiło to znacznie jej samopoczucie. Wyobrażała już sobie, jakie dzięki temu uzyska nadzwyczajne możliwości działania.

Zaprzęta nagle zostać z obcymi sam na sam, aby móc dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

Pochins dał znak swoim poddanym, że nadeszła pora tradycyjnych obrzędów. Kapłani zaintonowali pieśń, której miał

towarzyszyć taniec powitalny. Nie miał on tak żywego tempa, jak tańce wykonywane zwykle na festynach, które Pocahontas tak lubiła, ale cieszyła się, że przynajmniej nie będzie przemówień.

Powhatanie chętnie przemawiali, ale Tassentasowie nie zrozumieliby nic z mów, które zwykle przy takich okazjach trwały od dwóch do czterech godzin. Pochins polecił więc opuścić ten punkt programu.

Pocahontas wirująca w tańcu zauważyła, że biali przyglądają się temu widowisku. Siedzieli spokojnie, z minami tak beznamiętnymi, jakby nie rozumieli, co to wszystko ma oznaczać. Sprawiali jednak wrażenie, jakby wiedzieli, że okazywanie braku zainteresowania byłoby niegrzeczne. Widać nie byli zupełnymi barbarzyńcami!

Tańczący zwolnili tempo, a potem całkiem wyhamowali. Taniec trwał długo, gdyż Powhatanie chcieli nim uczcić gości, lecz teraz wszystkie oczy zwróciły się na Tassentasów. Jeden z nich wyciągnął brązową torbę i podał ją temu bez ręki, który zdawał

się im przewodzić. Ten zdrową ręką wyjął z torby łańcuszek, na który były nanizane przedmioty, jakich Pocahontas dotąd nie widziała. Kiedy odbijały się w nich migoczące płomienie ogniska, wyglądały jak zaczarowane. Przypominało to coś w rodzaju zamarzniętych baniek powietrza. Z tłumu wyrwał się przeciągły okrzyk zachwyty, gdy przywódca grupy białych podszedł do Pochinsa i

wręczył mu łańcuszek.

Zapanowała cisza, gdyż Pochins przez moment zawahał się, czy powinien to wziąć. Pocahontas miała ochotę porządnie nim potrząsnąć - czyżby nie rozumiał, że biały człowiek daje mu dowód przyjaźni? W końcu Pochins zdecydował się przyjąć podarunek, co widzowie skwitowali westchnieniem ulgi.

Ofiarodawca ponownie sięgnął do torby i wyjął inny łańcuszek, tym razem obwieszony wisiorkami w kolorze nieba. Pocahontas aż zachłysnęła się pięknem tej ozdoby. Natychmiast też pozazdrościła nie tylko Pochinsowi, ale i jego żonom.

W tym momencie zrozumiała, w jakim celu Pochins zaprosił

białych ludzi do Kecoughtan. Oni raz już tu byli i Pochins wiedział, że mają takie cudowne rzeczy! Jeśli nawet wiedział

również i to, że Powhatan uważa tych ludzi za wrogów, nie powstrzymało to jego zachłanności. Sprawiał też wrażenie, jakby lubił Tassentasów, i dlatego nie chciał podporządkować się poleceniom ojca.

Mam odważnego brata! - pomyślała Pocahontas.

Podczas gdy Pochins wymieniał głębokie ukłony z przywódcą białych, dziewczyna zastanawiała się, czy będzie miała szansę rozmawiać z „brudasami”. Gdyby była starsza, może kazano by jej wygrzać łóżko któremuś z nich? Tylko że przy wydzielanym przez nich zapachu byłby to ciężki obowiązek. Chyba że najpierw Pochins każe swoim żonom zaprowadzić cudzoziemców do rzeki i porządnie ich wyszorować. Potem najładniejsze z nich ofiarowano by gościom na noc... Pocahontas wiedziała jednak, że z uwagi na jej wysoką rangę nikt nigdy jej tego nie zaproponuje.

Następnego ranka, kiedy mewy zataczały krąg nad taflą morza, Pocahontas prosto z kąpieli poleciała pod bramę osady, aby jak najwcześniej zobaczyć białych. Zaraz za rogiem zauważyła ich, jak stali w grupie i rozmawiali cicho między sobą. Akurat zbliżył

się do nich Pochins z oddziałem wojowników.

Wyglądało na to, że cudzoziemcy szykują się już do odjazdu. Tak bardzo chciała usłyszeć znów głosy przybyszów, a tu nic z tego!

Może tym razem rozumiałaby ich jeszcze lepiej? Z wyrazu twarzy obcych mogła się domyślić, że czekali na wskazówki, ale nie była tego pewna. Patrzyła na nich z uczuciem zawodu.

Chciała za wszelką cenę jakoś z nimi porozmawiać, zanim odpłyną.

Jeden z Tassentasów, ten bez ręki, akurat się obrócił i przez chwilę ich spojrzenia się spotkały. Uniósł brew, jakby zaskoczony jej uporczywym wzrokiem, aż ni stąd, ni zowąd się uśmiechnął. Pocahontas oddała mu uśmiech - chciała, żeby ją zapamiętał.

Wojownicy czekali już w łodziach. Pocahontas słyszała, jakie instrukcje daje im Pochins.

- Odwieźcie Tassentasów do ich wielkich łodzi

i uważajcie na nich. Eskortujcie ich, jeśli zechcą odwiedzić Wowincho i jego ludzi, ale nie wolno wam towarzyszyć im na ziemi Rappahannocków. To bardzo ważne!

Pocahontas słuchała uważnie. Pochins rzeczywiście lubił działać na własną rękę, ale także i inni pomniejsi wodzowie mogli mieć swoje odrębne poglądy na sprawę Tassentasów. Każdy z nich może teraz zachować się inaczej. Dobrze byłoby więc zbadać, jak oni mają zamiar postąpić, a potem zawiadomić o tym ojca.

Tassentasowie radośnie machali rękoma na pożegnanie. W

pełnym blasku słońca ich grupa, w swoich szarych i brązowych strojach, wyglądała ponuro, ale sądząc po uśmiechach, musieli uważać wizytę za udaną. Mieszkańcy Kecoughtan, odprowadzający gości aż do rzeki, też wyglądali na zadowolonych. Jednak kiedy łódź z gośćmi weszła już w zakręt, dobry humor gdzieś się ulotnił i wszyscy wracali do domów z nosami na kwintę. Rozrywka się skończyła i trzeba było wracać do codziennych, nudnych obowiązków, takich jak łowienie ryb, mielenie kukurydzy czy doglądanie upraw na poletkach.

Pocahontas nie miała ustalonego poglądu na sprawę, czy ma już wracać do ojca. Zdecydowała jednak, że nie ma jeszcze dość wiadomości do przekazania, zresztą zawsze może wysłać umyślnego. Lepiej będzie, jeśli na razie zostanie w Kecoughtan, aby uważnie obserwować posunięcia Pochinsa i jego ludzi.

Wtedy wyrobi sobie właściwe zdanie na temat Tassentasów.

Wieczorem znów była zabawa i tańce. Dzień był chłodny, ale pogodny, toteż w czystym wieczornym powietrzu barwne stroje tańczących prezentowały się

jeszcze korzystniej. Pocahontas założyła naszyjnik z czerwonych piór i takie same pióra powtykała we włosy, co dobrze harmonizowało z czerwonym haftem na mokasynach. Było to właściwie spóźnione przyjęcie na cześć jej i braci, gdyż Pochins nie mógł poprzedniego dnia powitać ich jak należy.

Mieszkańcom wioski też należała się rozrywka tytułem rekompensaty za to, że w obecności cudzoziemców nie mogli bawić się swobodnie i bez skrępowania. Pocahontas miała też wrażenie, iż Pochins celowo chce ich suto ugościć w nadziei, że zakomunikują ojcu tylko to, co on zechce mu przekazać.

Podarował też braciom i siostrze otrzymane od białych naszyjniki z przezroczystych i niebieskich błyszczących przedmiotów.

Podczas gdy roznoszono już najrozmaitsze dania, Pamouic siedział w towarzystwie dziewczyny przystrojonej naszyjnikiem z białych muszli. Pocahontas zwróciła uwagę, że to ją pogłaskał, to znów uszczypnął i nie przestawał jej pieścić, bo jak zwykle nie potrafił utrzymać rąk przy sobie. Secotin znów asystował

dziewczynie o szeroko rozstawionych oczach i wciąż podsuwał

jej smaczne kąski - raz kawałek indyka, innym razem dzika...

Samo oglądanie tego, co jej bracia robili z kobietami, powodowało u niej dziwną reakcję. To czuła niepokój, to znów niezwykłą ociążałość, a po chwili ożywiała się i robiło się jej gorąco. Natomiast nie nachodziły jej już wczorajsze wątpliwości.

- Pocahontas, przedstawiam ci Kokuma, syna wodza Chickahominów - zabrzmiał tuż za nią donośny głos, aż odwróciła się przestraszona. Nie zauważyła, kiedy podszedł do niej Pochins w towarzystwie wojownika pomalowanego w nie znane jej wzory. Wyglądał na silnego i był wysoki, choć niższy od jej braci. Był jednak

na tyle młody, że miał szansę jeszcze urosnąć. Dobrze umięśniony, lecz szczupły, miał szerokie bary, wąskie biodra i twarz o ładnie wyrzeźbionych rysach. Uśmiechał się, ale wyraz jego ruchliwych warg i białych zębów miał w sobie coś wyzywającego, wręcz aroganckiego. Nie wyglądał na szczęśliwego człowieka, jak na przykład Pamouic. W oczach miał pewien chłód, ale także coś mocno pociągającego. Na wszelki wypadek skrzyżowała ręce na piersiach, aby trzymać go na dystans.

— Czy mogę ci towarzyszyć? - spytał głosem, który też działał

jej na nerwy. Właściwie nie była pewna, czy się jej to podoba, czy nie. Kiedy płynnym ruchem przysiadł obok niej, poczuła się jakoś niewyraźnie. Czuła bowiem, że jej ciało zachowuje się w sposób niezależny od świadomości.

Spróbowała pomyśleć trzeźwo. Ziemie Chickahomi-nów leżały w obrębie państwa Powhatana, lecz ich wódz potrafił zachować pewną autonomię. Wielki wódz nie przejmował się tym zbyt, ale i nie cieszył się z tego. Może planował ściślejsze podporządkowanie sobie tego plemienia poprzez aranżowane małżeństwo? Czy to czasem nie ona miała wejść w taki związek?

Muzykanci bijący w bębny i dmący w wielkie muszle zaczęli nadawać rytm. Nie był to powolny, spokojny taniec powitalny, jak ten na cześć Tassentasów. Kokum podał jej rękę, którą Pocahontas ujęła, czując dreszcz przenikający ciało. W tym tańcu brali udział zarówno wojownicy, jak i kobiety, a jego melodia była mieszaniną wiejskich przyśpiewek i pikantnych aluzji w atmosferze nieskrępowanej zmysłowości. Zarówno słowa, jak i rytm muzyki rozpałały pożądanie i sprawiały tańczących w ekstazę. Ciała poruszały się w takt, podczas gdy partnerzy szukali nawzajem swoich

oczu i dłoni, które stykały się w sam raz na tyle, aby wywołać pulsowanie w skroniach.

Pocahontas wiele razy tańczyła już ten taniec. Nawet lubiła się wymykać natrętnym dotknięciom ludzi pokroju Pamouica, bo ją to bawiło. Kokuma jednak nie zdążyła nawet polubić, a już czuła jego oczy błędzące po swoim ciele i wydawało się jej, jakby to były jego usta. Zachowywał się tak, jakby uważał ją już za swoją własność, a przecież jeszcze do niego nie należała, choć już rozpałał ogień w jej wszystkich członkach, a i z piersiami działo się coś niezwykłego. O mało nie potknęła się w tańcu, kiedy przez chwilę musnęła ją jego dłoń, bo nagle jej wnętrze zalało ciepło.

Te uczucia zdawały się brać nad nią górę, ale wiedziała, że nawet jeśli odda się Kokumowi, to nie będą to zwykłe igraszki gdzieś w lesie. Zawsze myślała, że przemiana w kobietę będzie oznaczała więcej wolności, tymczasem porywy zmysłów, nad którymi nie mogła zapanować, wydawały się brać ją w jeszcze większą niewolę. Westchnęła tylko do bogini Ahone -dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane? Znów o mało nie zmyliła kroku, lecz zaraz ponownie złapała rytm. Doszła do wniosku, że teraz już nigdy nie uwolni się od swojego ciała. Zawsze będzie z tym miał coś wspólnego jakiś mężczyzna i to, co zwykle się z nimi robi.

Pocahontas pomyślała o swoich siostrach. Szkoda, że nie ma tu którejś z nich - byłoby z kim porozmawiać. Może poradziłyby, jak zwalczyć opanowującą ją słabość. Ludzie Pochinsa są wprawdzie bardzo mili, ale to tylko zwykli znajomi.

Kiedy skończył się taniec, odwróciła się na pięcie i odeszła od swojego partnera. Nie chciała nawet myśleć o Kokumie, a tym bardziej spać z nim czy zostać jego żoną.

Raptem odechciało jej się w ogóle być kobietą, ale kiedy Kokum podszedł bliżej - ciepło emanujące z jego ciała zaparło jej dech.

Uprzejmie, ale stanowczo oddaliła się, potrząsając głową, aby dać mu do zrozumienia, że może mu ofiarować tylko przyjaźń, nic więcej, nawet gdyby Pochins i jej ojciec tego sobie życzyli.

W domu kobiet Pocahontas przegadała chyba godzinę z Nahą.

Mówiła ściszym głosem, aby nikt inny jej nie słyszał.

Podziwiała niezależność Nahy, a z braku własnych sióstr chętnie zwierzała się tej miłej i życzliwie słuchającej kobiecie, ale starannie omijała temat stosunków politycznych między Pochinsem a Powhatanem.

W domu kobiet było nudno, ale większość niewiast chwaliła sobie konieczność przeczekiwania tutaj swego okresu. Przez te kilka dni w miesiącu mogły odpocząć od swoich codziennych, domowych obowiązków i poplotkować do woli. Nikt im w tym nie przeszkadzał, gdyż uważano je w tych dniach za nieczyste.

Oczywiście teraz baby wzięły na języki głównie Tassentasów. Te z nich, które musiały przesiedzieć w zamknięciu ich odwiedziny, wypytywały o szczegóły. Wszystkie, tak samo jak Pocahontas, tyleż bały się obcych, co były ich ciekawe, ale żadna nawet nie myślała o zobaczeniu z bliska ich wielkich łodzi. Gadały głównie o brzydocie Tassentasów, ich przykrym zapachu oraz złych manierach. Następnie zaczęły wysnuwać przypuszczenia co do zamążpójścia Pocahontas.

— Może wyjdiesz za Tassentasa? — zaryzykowała naj dowcipniej sza z kobiet, a inne parsknęły śmiechem. Brzmiało to tak nieprawdopodobnie!

Któraś znów wysunęła tezę, że Pocahontas raczej wyjdzie za Kokuma. Druga dorzuciła, jaki on jest przystojny i jak potężnym wodzem jest jego ojciec! Na pewno syn odziedziczy to stanowisko, jeśli rzeczywiście jest tak dobrym wojownikiem, jak o nim mówią. Natomiast dwie młodsze kobiety

opisały ze szczegółami, jakim Kokum jest świetnym kochankiem... Gdyby rzecz się działa w Werowocomoco, Pocahontas mogłaby po prostu wstać i odejść od plotkarek. Będąc w domu kobiet nie miała jednak dokąd odejść, poza tym temat ją zainteresował.

Zaczęła teraz coraz więcej myśleć o Kokumie.

Rozdział 6

Jamestown,

maj 1607 roku

Jamestown. Nazwa ta miała swoją wymowę - pochodziła od samego króla Jakuba!

Teren był tam nizinny, a gleby piaszczyste, ale trzy statki mogły zakotwiczyć w bliskiej odległości od brzegu. John Smith spoglądał z pokładu na pola i lasy. Z przykrością stwierdził, że grunt jest tu bardziej podmokły, niż myślał. Ostatnio widział coś podobnego na bagnach Anatolii, gdzie w porze upałów ludzie chorowali i marli jak muchy.

Dwa tygodnie trwało poszukiwanie wzdłuż brzegów zatoki miejsca na tyle odpowiedniego, by zadowoliło jednocześnie Wingfielda i Newporta. Kapitanowie i marynarze poszczególnych statków na własną rękę sondowali głębokość wody, badali jej jakość i przemierzali tereny przybrzeżne. Jednak członkowie wszystkich załóg byli przede wszystkim zmęczeni podróżą, a co za tym idzie - ponurzy i drażliwi. Za wszelką cenę chcieli już wyjść na ląd.

Głównym problemem było znalezienie zatoki lub ujścia rzecznej odpowiedniej głębokości, aby statki mogły zakotwiczyć w takiej odległości od brzegu, która pozwalałaby na osłonę ogniem z dział w razie ataku. W związku z tym brzeg powinien być tam stromo opadać. Po długich poszukiwaniach kapitanowie zdecydowali się na cypel wcinający się w odcinek rzeki na kilka kilometrów przed jej ujściem. Otaczały go nizinne, lekko pofalowane tereny, gdzie rosły wysokie, lecz niezbyt grube drzewa, niektóre nad samą wodą. Przylądek wyraźnie panował

nad okolicą, ujście rzeczne miało zaś około półtora kilometra szerokości.

Smith widział w okolicy przynajmniej kilka bardziej odpowiednich miejsc, lecz nikt go nie pytał o zdanie. Był

wprawdzie członkiem rady nadzorczej, ale dopiero dwa dni temu wypuszczono go z aresztu i traktowano raczej jako warunkowo zwolnionego od odbywania dalszej kary.

Po dniu ciężkiej pracy Smith usiadł na świeżo ściętym pniu i obserwował ponad osiemdziesięciu ludzi kręcących się w pobliżu. Spośród nich pracowała tylko połowa, natomiast utytułowani inwestorzy, jak co dzień, tylko przechadzali się, rozprawiając o pogodzie i polityce, lub pisali listy. Smith przyglądał się im z pogardą. Zauważył, że najemnych robotników zagoniono do ładowania na statek cennych gatunków drewna lub próbek ziemi, zanim jeszcze zdążyli postawić sobie choćby

prowizoryczny szafas. Cóż, oni nie byli inwestorami, tylko pracowali na zasadzie rocznego kontraktu. Gdyby tak dało się przekonać arystokratycznych próżniaków, że w tych warunkach praca nie jest niczym poniżającym, a może decydować o życiu lub śmierci!

Akurat przechodził obok George Percy, spocony i rozczochrany, mrużąc ze zmęczenia małe, ciemne oczki. Smith zapraszającym gestem klepnął ręką pień obok siebie, więc Percy przysiadł się do niego.

- Odwaliliśmy dzisiaj kawał roboty - zaczął, opierając ręce na kolanach i patrząc w stronę morza. —
Załad-

waliśmy już pierwszą partię drewna i postawiliśmy zręby fortu.

- Zrobilibyśmy więcej, gdyby ci panowie zechcieli choć ruszyć palcem - zauważył cierpko Smith, obracając w dłoni źdźbło trawy.

Percy tylko się uśmiechnął, bo wiedział, że Smith nie mógł znieść nieróbstwa swoich towarzyszy podróży, ale nie można było nic na to poradzić. Wszyscy oni bowiem zainwestowali znaczny kapitał w Kompanię Wirgińską.

- Wingfield mówi, że nie mamy powodu, aby obawiać się tubylców - zmienił temat. - Uważa, że nie będą nas atakować.

- To się grubo myli. Fakt, że jedno plemię serdecznie nas przyjęło, o niczym jeszcze nie świadczy. Powhatan rządzi wieloma szczepami i jedni jego wodzowie mogą być wobec nas przyjaźni, a inni nie muszą. Dlatego niepokoi mnie sposób budowy fortu. Wingfield sądzi, że nie będziemy potrzebowali stanowisk dla dział, a ja myślę, że musimy zbudować jak najlepsze umocnienia. Trzeba się jakoś pozbyć tego człowieka, zanim nas wszystkich wyśle na tamten świat!

Obaj wpatrzyli się w przestwór morski. Tymczasem słońce zaszło już za las, a na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdki.

- Jak tu ładnie! - zaczął ponownie Percy. - Chciałbym, żeby nad tą zatoką stało ze cztery czy pięć osad dla naszych ludzi.

- Myślę, że więcej, żeby rozładować przeludnienie w naszym kraju. Jest już nas cztery miliony - tu Smith na chwilę zawiesił

głos, ale zaraz kontynuował: - Rząd niepokoi się pogarszającą się jakością życia naszych obywateli, wzrostem przemocy, pijaństwa, liczby ludzi bezrobotnych, bezdomnych i rozbitych rodzin. Londyn

oczekuje od nas, że znajdziemy miejsca pod budowę nowych osiedli, dlatego tak ważne jest nawiązanie przyjaznych stosunków z tubylcami. Niepokoją mnie też - tu zniżył głos do szeptu - nasze kurczące się zapasy. Musimy koniecznie zdobyć skądś żywność.

Percy zrozumiał niepokój w głosie Smitha, który mówił dalej:

- I musimy jakoś dostać się przed oblicze wielkiego wodza Powhatana. On może nam bardzo ułatwić

zadanie. Gdyby tylko Newport zdołał przekonać Wingfielda, aby pozwolił mi do niego pojechać! Myślę, że łatwo obejdą się beze mnie.

W ciemnościach zamajaczył uśmiech Percy'ego.

- Pojadę z tobą! I myślę, że znajdzie się więcej chętnych.

Po odejściu Percy'ego Smith wszedł do skleconego naprędce szalasu, który tymczasowo służył mu za mieszkanie. Mieściło się tam poślanie do spania i kilka niezbędnych rzeczy, takich jak pistolety, widelec i łyżka. Kiedy ułożył się już na swoim legowisku, zatopił się we wspomnieniach z ostatnich dni przed wyjazdem z Londynu.

Szczególnie w pamięci utkwiła mu kolacja w towarzystwie Johna Reynoldsa, przewodniczącego Izby Gmin, w jego prywatnych apartamentach zajmujących jedną z wież pałacu Westminster.

Wśród gości znajdował się nie tylko poseł do parlamentu sir Edwin Sandys, lecz także dwie piękne blondynki - siostrzenice Reynoldsa. Znali się z przewodniczącym Izby Gmin już od dwóch lat i w tym czasie Reynolds nieraz o nich wspominał.

Ojciec tych pełnych temperamentu panien uważał się bowiem, że chyba wszyscy godni kawalerowie z całego Londynu stukali do ich drzwi, ale żaden nie przypadł

dotąd do gustu Mary ani Elizabeth... Biedak stracił już nadzieję, że kiedykolwiek wyda je za mąż. Tego wieczoru Smitha posadzono przy stole między dwiema siostrami, toteż obie przypuściły na niego frontalny atak, czemu się raczej nie opierał.

Teraz, gdy na drugim końcu świata samotnie układał się do snu, tamten wieczór wydawał mu się sennym marzeniem. Dziewczęta bynajmniej nie wstydziły się swoich wdzięków, lecz swobodnie je eksponowały. Jedna miała suknię z czerwonego aksamitu, druga - z fioletowego. Głębokie dekolty obrzeżone białymi koronkami nie ukrywały ani skrawka ich okazałych biustów z umalowanymi brodawkami sutkowymi. W trakcie rozmowy, dla silniejszego zaakcentowania wypowiedzianych kwestii, Mary ocierała się o jedno jego ramię, a Elizabeth o drugie. Teraz, w ciemności, Smith uśmiechnął się do siebie na wspomnienie, że w tej sytuacji nie bardzo wiedział, w którą stronę patrzeć.

Kiedy wszyscy kończyli już deser, Elizabeth wczepiła się w ramię Smitha i poprosiła - skąd, raczej zażądała! - aby pozwolił

jej oprowadzić się po apartamentach pałacowych. Szła przodem, kołysząc się jak płomyk świecy, od komnaty do komnaty. Kiedy zaś znaleźli się w bibliotece - Elizabeth nagle nacisnęła jedną z płyt w ścianie, która odsunęła się, ukazując wejście do ciemnego, tajnego pokoiku. Wepchnęła tam Johna, pociągnęła na podłogę wysypaną pachnącym tatarakiem, po czym zaczęła ocierać się nagimi piersiami o jego rozpalone usta.

Było kwestią sekund, kiedy oboje wpadli w ekstatyczny szal, aż Elizabeth wydała z siebie stłumiony krzyk rozkoszy, zanim zatkał jej usta pocałunkiem.

Potem szybko odskoczyła, skrzesła ogień i zapaliła świecę. W

jej świetle doprowadziła do porządku swoją garderobę, otrząsając z siebie łodygi tataraku.

- Wiedziałaś, że będziesz wspaniała! - oświadczyła. - Musimy wracać, bo zaczną nas szukać.

Kiedy, jakby nigdy nic, wrócili do sali jadalnej, prowadząc jakąś nie obowiązującą rozmowę - wyglądało na to, że nikt nie zauważył ich zniknięcia. Nikt oprócz Mary, która z błyskiem w oku przejęła inicjatywę.

- Właśnie prosiłam papę, żeby kapitan Smith mógł odwiedzić mnie do domu. Niezbyt dobrze się czuję!

Teraz, w ciemnym wnętrzu szałas, na obcej ziemi, Smith zachichotał na wspomnienie tego, że wtedy był w rozterce, czy dokładnie zrozumiał jej intencje!

Ledwo zdążył łyknąć wina dla kurażu, a już śmigał po schodach i przez ośnieżony oświetlony pochodniami dziedziniec do powozu Reynoldsa. Do domu Mary było około półtora kilometra, lecz już po drodze z każdym podskokiem na kocich łbach bruku Mary demonstrowała swój kunszt uwodzicielskich słów i dotknięć. Z

miejsca udaremniła jego nieśmiałe próby oporu, oświadczając, że nie dba o to, czy jakieś kobiety kiedykolwiek były lub są w jego życiu. Odesłała powóz do Westminsteru i szybko zaprowadziła Johna do swojej sypialni. Zamknęła się tam z nim i resztę nocy spędzili na uprawianiu miłości we wszelkich możliwych wariantach. Smith nauczył ją sekretów alkowy, które poznał w haremach Turcji, pałacach Transylwanii i podczas szalonych nocy w Rosji. Dodał do tego kilka własnych sztuczek i ozdobników, a w efekcie oboje, wyczerpani miłosnymi uniesieniami, rozłączyli się dopiero przed świtem.

- Jesteś cudownym kochankiem! Muszę się jeszcze z tobą zobaczyć! - wyszeptała, kiedy na paluszkach odprowadzała go do tylnych drzwi.

Musiał delikatnie, choć ze skrywanym westchnieniem ulgi, wyjaśnić jej, że już za kilka godzin wypływa w daleki rejs. Czuł, że łatwo zniewoliłby go czar maleńkiego pieprzyka na jej pośladku...

Do rzeczywistości przywołało go brzęczenie komara. Zabijając go uderzeniem ręki, Smith pomyślał, czy nie za wcześnie na takie rozpamiętywanie, dobre dla staruszków? Miał przecież dopiero dwadzieścia siedem lat! Do tej pory nie musiał z nostalgią przywoływać dawnych wspomnień, bo każdego dnia pojawiały się nowe możliwości. Natomiast teraz zapowiadało się na to, że przez dłuższy czas będzie musiał obejść się bez kobiet. Ułożył się więc wygodnie na swoim zaimprovizowanym legowisku i spróbował zasnąć.

Następny dzień był słoneczny, powiewał chłodny wietrzyk. Fort zaczynał już nabierać kształtów. W obrębie murów budowniczy wytyczyli już miejsca przebiegu przyszłych ulic i placu targowego. Kilku ochotników rozpięło między sosnami dwa żagle, mające wyznaczać miejsce pod prowizoryczną kaplicę, dopóki nie zbuduje się prawdziwej. Inna grupa dalej ładowała drzewo na „Susan Constant”.

Kiedy słońce było już wysoko, prawie w zenicie -wszyscy pracujący porzucili swe narzędzia i dla odpoczynku położyli się na słodko pachnącej wiosennej trawie. Wingfield, Newport i inni członkowie rady nadzorczej przebywali na pokładzie „Susan Constant”, tylko John Smith pracował wspólnie z robotnikami. W

ciszy słyhać było nawet świst przelatującej ważki i brzęczenie uwijających się pszczoł. Nad głowami kołowały spasioe jak indyki mewy.

Cieśla Thomas Emery usiadł wygodnie i gapił się na morze. W

pewnej chwili chciał sięgnąć po młotek, gdy nagle kątem oka zauważył jakieś dziwne poruszenie. Aż go zmroziło... Na skraju lasu stało chyba ze stu Indian. Wrzasnął więc, ile sił w płucach:

- Tubylcy!

Na ten okrzyk wszyscy, jedni szybciej, drudzy wolniej, zaczęli się podrywać na nogi. Przepychając się i klnąc sięgali po broń lub swoje narzędzia pracy. Niektórzy nabijali muszkiety, ale w pośpiechu plątały im się palce. Indianie przyglądali się temu spokojnie i nie wykonywali żadnego ruchu.

- Nie strzelać! - krzyknął na całe gardło Smith. Od razu bowiem dostrzegł to, czego nie zauważyli inni - że dwóch Indian niosło między sobą upolowanego jelenia, uwieszonego na tyczce. John gestem nakazał swoim towarzyszom, aby zachowali spokój i zostali na miejscu, a sam z bronią u boku, ostrożnie posunął się naprzód. Jeden z Indian również wystąpił z grupy i wyciągnął

rękę, a potem ją opuścił. Smith powtórzył ten gest. Potem znowu obaj zaczęli iść powoli ku sobie w tak absolutnej ciszy, że słyhać było tylko ich oddechy.

Marynarze z pokładu „Susan Constant” ustawili się przy relingu, w milczeniu obserwując sytuację. Tymczasem Smith zbliżył się do Indianina na tyle, aby stwierdzić, że jest to człowiek już niemłody, ale wyglądający na przywódcę. Na głowie miał

pióropusz z czarnych piór, a kiedy zaczął iść równym krokiem w stronę Smitha, oddał łuk do potrzymania swojemu podwładnemu.

Gdy był już całkiem blisko, wskazał na siebie i powtórzył z naciskiem:

- Pasapegh, Pasapegh!

Więc jest to wódz Pasapeghów, jednego z plemion wchodzących w skład państwa Powhatana - pomyślał Smith, odwzajemniając powitanie.

Indianin wskazał na jelenia i na migi wyjaśnił, że kazał go tu przynieść, aby spożyć go wspólnie z Anglikami. Potem położył

rękę na sercu, a następnym gestem dał do zrozumienia Smithowi i jego ludziom, że powinni odłożyć muszkiety. Smith pokazał na migi, że chętnie zasiądzie z Indianami do wspólnego posiłku, ale udał, że nie rozumiał wezwania do odłożenia broni. Natomiast wszyscy Anglicy zrozumieli mimiczne

zaproszenie na wspólną kolację i przyjęli to okrzykiem radości.

To z kolei ośmieliło innych Indian, którzy płynnymi, kocimi ruchami rozchodzili się wśród osadników. Jedni do drugich zbliżali się z lękiem, ale i z ciekawością. Anglicy ostrożnie dotykali piór, łuków i strzał tubylców, tych zaś zainteresowała broń i narzędzia przybyszów. Niektórzy obmacywali także ich ubrania - nawet rozdarli rękaw czyjegoś kaftana. Innych ciekawiły znów deski i żelazne gwoździe używane przy budowie fortu, podczas gdy następna grupa zносиła pniaki i gałęzie na ognisko. Wszyscy zaś w radosnym napięciu wyczekiwali wspólnego posiłku.

Wingfield, Newport i reszta rady nadzorczej w pośpiechu zbiegli na ląd i dołączyli do Smitha, indiańskiego wodza i jego adiutantów stojących wokół ogniska. Anglicy wyglądali jak szare wymoczki przy wysokich, jaskrawo umalowanych krajowcach.

Wszyscy żywo gestykulowali, zapewniając się nawzajem o żywej do siebie przyjaźni.

- Złoto, szukamy złota - Smith w pocie czoła próbował wyjaśnić to wysokiemu tubylcowi noszącemu na ramieniu skórę rudego lisa z głową o wyszczerzonych zębach.

Wtem znad samej wody doleciał gwar podniesionych głosów, nad którymi górował gniewny okrzyk:

- On mi zabrał siekiere! Ej, ty tam, dawaj ją! Odgłosy szamotaniny dotarły do zebranych przy

ognisku. Smith z muszkietem gotowym do strzału popędził w stronę zwaśnionych. Zanim tam dobiegł, ujrzał cieśnię okrętowego wymierzającego silny cios w ramię Indianina, który zabrał mu siekiere. Ten odrzucił ze złością to narzędzie na ziemię i od razu trzech Anglików rzuciło się, by je odzyskać. Inny Indianin, rozjuszony, wymachiwał swoim drewnianym mieczem nad głową najbliższego Anglika.

- Przestańcie natychmiast! - nad ogólnym zamieszaniem górował

głos Smitha. Kiedy uczestnicy bójki zawahali się na moment, Smith dorzucił: - Niech się który ruszy, to flaki wypruję!

Przez chwilę panowała taka cisza, że słyhać było tylko trzepot żagla na „Godspeed”.

- Aleście narobili bigosu! - Smith potoczył wściekłym wzrokiem po swoich rodakach. Kipiąc złością, powrócił do stojących przy ognisku. Wódz Indian i jego wojownicy stali nieporuszeni jak posągi, ale na ich smagłych policzkach wzbierał rumieniec gniewu.

- To pomyłka, po-mył-ka! - Smith próbował rozpaczliwie znaleźć wyjście z sytuacji. Odpowiedziały mu chłodne spojrzenia. Wódz skinął na swoich ludzi, którzy przedtem przynieśli jelenia, aby zabrali go z powrotem.

Ponad setka tubylców odmaszerowała w stronę lasu. Ich wódz odwrócił się wtedy do Smitha i podniesionym

głosem wypalił mu w twarz długą tyradę nabrzmiałą oburzeniem.

Nie trzeba było znać języka, którym przemawiał, aby zrozumieć jej treść. Wódz wypowiedział do końca swoją kwestię, przywołał

adiutantów i wraz z nimi znikł w gęstwinie leśnej. Anglicy stali, kompletnie zbici z tropu.

- To najgorsze, co mogło się nam przytrafić - podsumował Smith.

- Eeee, przesadzacie, jak zawsze. Oni tu jeszcze wrócą -

zaoponował Wingfield, odsuwając się od ognia.

- A jakże, zapewne wrócą, ale w pełnym szyku bojowym! - Smith próbował zapanować nad gniewem w swoim głosie. W końcu nie darowano mu jeszcze kary, a za nic nie chciał wracać do okrętowego aresztu.

- Pierwszy kontakt jest bardzo ważny - wtrącił się Gabriel Archer.

~ Nie możemy winić Emery'ego, że bronił swojej siekiery —

dodał George Percy.

- Tak, ale powinniśmy byli uprzedzić naszych ludzi, jak mają się zachować przy spotkaniu z tubylcami. Przecież było widać, że są przyjaźnie nastawieni!

- Nikt ciebie, Smith, nie pyta o zdanie! - zbył go krótko Edward Maria Wingfield. - Zawsze robisz z igły widły.

Smith mógł już tylko odwrócić się na pięcie, wziąć topór i zniknąć z pola widzenia. Kiedy został sam, wyładowywał swoją wściekłość, obciosując toporem korzenie drzewa.

Ognisko żarzyło się aż do zmierzchu. Miło było ogrzać się przy nim, gdyż wiosenne wieczory były chłodne. W czystym powietrzu dobrze widać było

pierwsze gwiazdy, a słysząc - skrzypienie statków na kotwicy i przyciszone rozmowy. Smith doszedł już trochę do siebie, ale wciąż się martwił. Nie mógł pojąć, jak tak samo doświadczony żołnierz jak i on może narażać swoich towarzyszy broni na niebezpieczeństwo. Wingfield w końcu zgodził się na wystawienie wart w nocy, ale nie chciał słyszeć o wkopaniu działka na brzegu.

Smith obserwował ludzi siedzących przy ognisku i dostrzegał, że od czasu do czasu oglądali się przez ramię na ciemny o tej porze las. Nie dziwił się, że się boją, bo i jemu było nielekkko. Każdy najlżejszy szelest wiatru w trawie czy szum drzew wydawał mu się piekielnym hałasem. Z innymi działo się to samo, choć nikt głośno nie przyznałby się, że czuje strach. Smith zwrócił się do George'a Percy'ego i Bartholomewa Gosnolda, którzy grzali się przy żarze ognia.

- Fatalnie wyszło nam dzisiaj z tymi tubylcami, choćby Wingfield nie wiem co gadał. Nie wiemy, co oni teraz mają zamiar zrobić.

Gdyby wrócili, aby nas zaatakować, to widzieli już fort w środku i znają jego rozkład.

- Radziłem Wingfieldowi, aby kazał ustawić działa na trzech wieżach fortu, kiedy tylko będą gotowe - odezwał się Gosnold. -

Ale jeśli stracimy je w pierwszej bitwie z powodu braku amunicji... - bezradnie rozłożył ręce.

- Nie damy rady przekonać go, aby ruszył działą. Musi nam wystarczyć to, co jest na statku. Dobrze, że przynajmniej wystawiliśmy warty - w głosie Percy'ego zabrzmiała stanowczość.

- W takim razie powinniśmy dołożyć starań, aby umocnić przyjazne stosunki z Pochinsem - odparował

Smith. - Jest do nas pozytywnie nastawiony, więc w razie utarczek z innymi plemionami mógłby stanąć po naszej stronie.

Ale najważniejsze, moi panowie, jest to, żeby znaleźć kogoś, z kim moglibyśmy handlować.

- Johnie, na „Susan Constant” dziś uradzili, że Newport popłynie jak najszybciej do Londynu po świeży prowiant - oświadczył

Gosnold.

- To potrwa przynajmniej cztery miesiące albo i dłużej, a my musimy zacząć handlować już, bo kończą się nam zapasy -

odpowiedział Smith.

- To zrobmy tak, jak mówiłeś: weźmy szalupę i już jutro rano albo najdalej pojutrze spróbujemy nawiązać z kimś kontakt. To najlepsze, co możemy zrobić.

Kiedy Smith wstał od ogniska, trzej inni także poszli w jego ślady. Na pokładach trzech statków nie świeciła się już żadna świeca, iluminatory też były ciemne, a ci, którzy zostali na lądzie, szykowali się już na całonocną wartę. Robiło się późno, a następny dzień miał przynieść nowe problemy i wyzwania.

- Przeklęty upał, przeklęte miejsce, przeklęta robota! -- mruczał

pod nosem któryś z uczestników wyprawy, ciągnąc kłodę drzewa na brzeg rzeki.

- Każą nam pracować jeszcze po obiedzie, a ja w życiu nie pracowałem więcej niż pięć godzin dziennie! - dorzucił drugi.

- Słyszałem, że gdzieś w Suffolk pracowano po sześć godzin, ale normalnie pracuje się najwyżej cztery. Ta parszywa robota nas wykończy!

- Jeśli nie robota, to wstrętne żarcie albo te przeklęte dzikusy! -

burczeli już w lepszym humorze, układając drzewo w sągi nad brzegiem rzeki. Inni robotnicy odnosili je na pokład „Susan Constant”, której ładownie były już prawie pełne. Zbudowano niewielki basen portowy i kilka prowizorycznych baraków, zaczęto też stawiać zręby solidniejszych domów.

- Tubylcy! - wszczął nagle alarm wartownik na skraju lasu.

- Rany boskie, wrócili?

- To nie ci sami, bo jest ich tylko troje.

- Tak, ale z nimi jest dziewczyna!

Wszystkie załogi wlepiły wzrok w grupkę zbliżających się ku nim Indian. Tym razem nikt nie sięgnął po broń, tylko robotnicy stali niepewnie, ściskając w garści swoje narzędzia. Szczególną uwagę przykuwała dziewczyna... wszyscy ci mężczyźni przez wiele miesięcy nie widzieli kobiety. Jej widok przypomniawszy im tylko to, czego im najbardziej brakowało, toteż niejeden z goryczą odwracał oczy. Ten czy ów coś mrucał pod nosem, ale ogólnie panowała cisza, jakby słońce wypaliło wszelkie przejawy życia.

John Smith omawiał właśnie z Newportem sprawę szalupy i zapasów na planowaną przez niego nazajutrz wyprawę, gdy nagle się odwrócił. Spojrzał w stronę lasów i zawołał:

- Tam jest młoda dziewczyna!

- To chyba ta sama, którą widzieliśmy w Kecough-tan - zauważył

Newport. — Bardzo się nami interesowała. Mówiono nam, że to ich księżniczka, córka Powhatana. Nazywa się Pocahontas.

- Córka tego ich cesarza? Cały Londyn o niej trąbi! Gosnold wspominał o niej, kiedy wrócił z tamtej podróży, w roku 1603.

Już wtedy doszliśmy do wniosku, że rozsądniej będzie mieć Powhatana po swojej stronie.

- Może to jakiś podstęp? - zastanawiał się głośno

Smith, kiedy wraz z Newportem szli naprzeciw delegacji tubylców. - Czy aby gdzieś za nimi nie kryje się oddział

uzbrojonych wojowników?

- Nie przypuszczam. Oni nie należą do plemienia Pasapeghów, a ta dziewczyna to siostra Pochinsa, ich króla, u którego jutro będziecie.

Newport wystąpił naprzód. Lekko się zawahał, lecz już po chwili z uśmiechem położył swą jedyną rękę na sercu. Smith zauważył, że admirał zachowuje się swobodnie i nie przejawia żadnego napięcia. Rdzenni mieszkańcy Wirginii zbliżyli się na jakieś dwadzieścia metrów i powtórzyli ten sam gest. Stali przy tym wyprostowani, a dziewczyna ukazywała w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. Cała trójka poruszała się z wdziękiem, nikt z nich nie robił wrażenia spiętego ani sztywnego.

Smith zauważył, że obaj mężczyźni są prawdopodobnie od niego młodsi, ale przynajmniej o pół głowy wyżsi. Wyglądali na adiutantów króla, a może nawet na jego synów, ale na pewno nie byli prostymi wojownikami. Dziewczyna miała na sobie narzutkę z miękkiej zamszowej skórki, misternie

naszywanej paciorkami i piórkami. Zadzieriała głowę w górę i szeroko rozwartymi oczami, z pewnym niedowierzaniem, patrzyła na Smitha.

Źrenice jej piwnych oczu były rozszerzone, a wokół ust błąkał się delikatny uśmiech. Uwagę Smitha przykuło jednak coś charakterystycznego w jej postaci. Nie chodziło tu nawet o jej uporczywy wzrok czy widoczną inteligencję. W jej sposobie bycia było coś dostojnego, wręcz królewskiego - a jednocześnie rozczulająco bezbronno. Zaintrygowało to Smitha, bo odniósł

wrażenie, że ta dziewczyna, może trzynasto- lub czternastoletnia, nie ma zamiaru spuścić z niego oczu.

Wymówił więc jedyne zdanie w języku plemienia Powhatanów, jakiego nauczył go jeszcze Raleigh: *Ka katarawinas y owo*, co znaczyło „piękna pogoda dzisiaj”.

Oczy dziewczyny zaokrągliły się jak spodki i wyrzuciła z siebie potok słów w tym samym języku. Towarzyszyła im tak bogata gestykulacja, że ręce jej zdawały się żyć własnym życiem.

Mężczyźni przyłączyli się do niej.

— Chwileczkę! - zawołał Smith, z uśmiechem podnosząc ręce w górę. - Nie znam waszego języka, tylko te kilka słów.

Dziewczyna opuściła ramiona gestem wyrażającym rozczarowanie. Widać jakoś pojęła sens jego słów, gdyż szybko zagadała coś do swoich towarzyszy. Potem znów odwróciła się do Newporta i Smitha, mówiąc coś bardzo powoli i wyraźnie, a jednocześnie wymownie gestykulując. Jasne było, że przekazuje im pozdrowienia od swojego brata Pochinsa, władcy Kecoughtan. Smith równie powoli wyrecytował jakąś formułkę grzecznościową. Myślał przy tym, że język gestów jest co prawda bardzo elegancki, ale ubolewał, że nie zna jej mowy — musi się jej koniecznie nauczyć!

Pocahontas na migi tłumaczyła mu, że jej brat chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o narzędziach używanych przez białych. Chętnie także kupiłby od nich rzeczy, których dotąd nie widział. Smith w imieniu swoich rodaków zapewnił, że są bardzo zainteresowani w handlu wymiennym, szczególnie na żywność.

Dziewczyna w odpowiedzi uśmiechnęła się, a Smith z satysfakcją myślał, że to spotkanie jest najkorzystniejszym wydarzeniem w tym miesiącu.

Kiedy młoda Indianka spytała na migi, czy ona i jej bracia mogliby rozejrzeć się po obozowisku - Newport i Smith dali jej do zrozumienia, że mogą czuć się jak u siebie w domu. Anglicy poparli to stwierdzenie uprzejmym ukłonem, co krajowców bardzo rozśmieszyło. Potem sami próbowali naśladować taki ukłon, co z kolei rozśmieszyło Anglików.

Smith obserwował dziewczynę poruszającą się po terenie w asyście braci. Zwrócił się do Newporta:

- Gdyby tylko tamto spotkanie, z Pasapeghami, przebiegło w tak przyjaznej atmosferze! Ta młoda księżniczka zachowuje się tak, jakby miała dużą władzę!

- Rzeczywiście - przytaknął Newport. - Już w Kecoughtan zauważyłem, że otacza ją powszechny szacunek. Odkomenderuję z nimi któregoś chłopca okrętowego, żeby śledził ich wszystkie ruchy. Na jutro każę przygotować ci szalupę do Kecoughtan. To najwyżej pięć godzin drogi stąd, a może nawet mniej. Chciałbym natychmiast skorzystać z ich oferty handlowej.

- Ja też. Zrobię, co będę mógł.

Rozdział 7

Jamestown,

18 maja 1607 roku

Zaraz po opuszczeniu fortu Pocahontas starała się nadążyć za szybkim tempem marszu swoich braci. Nie przeszkadzało to jej jednak w snuciu głośnych rozważań.

- Ach, jakie on miał oczy! Jakby sam bóg nieba na mnie spojrział!

A te włosy? Jak słońce wschodzące nad złotym polem!

Nigdy jej się nawet nie śniło, że zobaczy kogoś o takim wyglądzie. Nie był wprawdzie tak wysoki jak jej bracia i nosił

brzydkie ubranie, zakrywające prawie całe ciało. A szkoda, bo chętnie by zobaczyła, jak wyglądają jego nogi i pierś. Ciekawe też, jakie ma stanowisko, bo ci ludzie ubierają się tak, że nie można rozpoznać ich rangi. Jednak miał w sobie coś z przywódcy, na pewno więc nie był zwykłym rolnikiem ani tragarzem.

- A może on jest wysłannikiem boga niebios? -wróciła do swoich rozważań. - A może bóg zesłał go, aby nas ostrzec lub aby był

naszym nowym władcą? Nie, to niemożliwe, przecież mój ojciec jest takim dobrym wodzem. Na pewno bogowie są z niego zadowoleni. Muszę jednak uważać na tego Tassentasa. Jest taki przystojny i tak różny od innych ludzi, że przy nim zapomina się o całym świecie, a to jest niebezpieczne.

Muszę myśleć przede wszystkim o tym, czego ojciec się po mnie spodziewa. I muszę pamiętać, że ten człowiek jest naszym wrogiem!

Już od dwóch tygodni przebywała w Kecoughtan. W tym czasie nadchodziły różne wiadomości od jej ojca. Wielki wódz życzył

sobie, aby towarzyszyła mu w podróży do Uttamussack, osady, w której ufundował trzy świątynie. Przechowywał w nich swoje ogromne skarby - perły, skóry, wyroby z miedzi i broń. Każdego takiego skarbcza strzegło czterdziestu najdzielniejszych wojowników.

Ojciec dawał jej tym sposobem do zrozumienia, że jeżeli na razie nie myśli o Kokumie ani o małżeństwie, to powinna zająć się ściąganiem danin. To właśnie te należności zapełniały jego

skarbcie. Pocahontas nie miała nic przeciwko powrotowi do domu i wypełnianiu swoich obowiązków, ale opóźniała ten moment, jak mogła. Wysłała gońca z zapytaniem, czy nie mogłaby najpierw dokończyć misji, której się wcześniej podjęła -zebrania jak najwięcej informacji o Tassentasach? Powhatan wyraził

zgode.

Odkąd stała się kobietą, miała już wyższy status społeczny - córki wielkiego wodza znajdującej się w wieku odpowiednim do małżeństwa. W związku z tym, choć niechętnie, musiała zaakceptować przyznanie jej większego orszaku - oprócz Secotina i Pa-mouica także dwóch dodatkowych wojowników oraz trzech kobiet. Chciała mieć w tym orszaku Nahe, gdyż zdążyła już polubić tę „zbuntowaną żonę”. Ta jednak nie chciała ani na chwilę opuścić Pochinsa. Natomiast nowa partnerka Secotina, Chiwoya, zgodziła się chętnie. Pocahontas podziwiała, jak przewidujący był ten, kto w swoim czasie przydzielił mu ją na towarzyszkę. Ci

dwoje zakochali się w sobie i wciąż wymykali się gdzieś na stronę, aby spędzić choć z godzinę sam na sam.

Obserwując tę czułą parę, Pocahontas przypomniała sobie Kokuma i nieraz w czasie nie przespanych godzin nocnych rozmyślała, jak by to było, gdyby znajdował się przy niej? Jednak teraz miejsce Kokuma w jej myślach zajął biały cudzoziemiec.

Nie chodziło nawet o to, żeby się z nim przespać, bo na to za mało go znała. Niemniej intrygował ją, więc chciała się dowiedzieć jak najwięcej o nim i jemu podobnych, a przede wszystkim —

nauczyć się jego języka!

— Ej, ty, Białe Piórko, co się tak wleciesz? - przynaglali ją bracia, bo nie nadążała za nimi w drodze do miejsca obozowania.

— Już idę! - odrzyknęła. - Ale tu jest tak pięknie, tyle ciekawych rzeczy do obejrzenia!

Czuła w sobie taką niezwykłą lekkość, jakby miała skrzydełka u stóp. Nie wiadomo, czy było to spowodowane tak oczekiwanym spotkaniem z Tassentasami, czy tym, że otworzyły się przed nią wrota do całkiem innego świata. Miała nawet wyrzuty sumienia, bo nie powinna przecież z powodu wroga popadać w taką euforię! Ale czy wróg mógłby przybrać na siebie postać boga nieba lub jego wysłannika? To niemożliwe, przecież ten dobry, opiekuńczy duch nie oszukiwałby swoich wyznawców.

Wszystko to było zagadkowe, a przez to - podwójnie fascynujące.

I jak wyjaśnić ojcu, dlaczego ci Tassen-tasowie byli dla niej tak uprzejmi? Wielki wódz na pewno odpowie, że to jakaś zasadzka.

Jedno było jednak pewne — powinna być ostrożna, zarówno w swoich sądach, jak kontaktach z Tassentasami, z ojcem i własnymi rodakami.

- Matokx, szybciej, bo zostaniesz w tyle! Z marszu przeszła w wolny trucht. Bracia wysforowali się tak daleko naprzód, że nie było ich już widać. Teraz rodzeństwo nie musiało już bać się starcia z Monakanami. Kiedy bowiem wielki wódz Powhatan dowiedział się, że w drodze do Kecoughtan ledwo uszli z życiem

- wysłał przeciw Monakanom dwa silne oddziały. Grasujący po lasach nieprzyjacielscy wojownicy zostali co do jednego wybici lub wyłapani. Powhatan kazał obciąć każdemu z nich kciuk u lewej ręki i przesłać wodzowi Monakanów. Do tej makabrycznej

„przesyłki” dołączył ostrzeżenie, że taki sam los spotka każdego, kto wtargnie na jego ziemię. W rezultacie lasy w państwie Powhatana stały się, przynajmniej na jakiś czas, bezpieczne.

Teraz Pocahontas biegiem dołączyła do reszty, odmawiając dziękczynną modlitwę do Ahone za to, że na razie nie musieli się obawiać napaści ze strony północno-zachodniej. Dzięki temu mogła bez przeszkód zająć się tylko Tassentasami.

Bracia czekali na nią na polanie, gdzie rozbili prowizoryczny obóz. Wybrali to miejsce, gdyż było ono dobrą bazą wypadową dla spotkań z Tassentasami bez konieczności codziennego wracania do Kecoughtan. Chodziło o to, aby w ciągu dwóch tygodni dowiedzieć się jak najwięcej o białych. Było z nimi kilku wojowników, a wśród nich dwóch szybkobiegaczy ofiarowanych przez Pochinsa. Wśród kobiet znajdowała się Chiwoya i siostry Pocahontas, Mehta i Quimca, które przybyły z Werowocomoco wkrótce po jej przymusowym pobycie w domu kobiet. One też były ciekawe, jak wyglądają cudzoziemcy, ale na naradzie odbytej przed dwoma dniami w starym wilczym barłogu niedaleko ich

obożu postanowiono, że podczas pierwszych wizyt u Tassentasów wystarczy ich troje.

Już dwie noce obozowali w tym miejscu, w przenośnych namiotach z kory i plecionych mat, ustawionych przez wojowników. Boki tych namiotów można było podwijać, aby w upalne dni wpuścić do środka świeże powietrze. Maty tworzące ich ścianki dobrze trzymały ciepło, co przydawało się w zimie, lecz latem było w nich zbyt gorąco. Powhatan i jego ludzie często używali takich przenośnych szałasów w czasie większych wypraw łowieckich. Czasem bowiem w polowaniach, zwłaszcza na grubszą zwierzynę, taką jak niedźwiedź lub jeleni, brała udział

połowa mieszkańców wioski.

Wieczory na tym chwilowym miejscu postoju spędzano przy ognisku. Na kolację zawsze była pieczeń z zająca, indyka czy innej dziczyzny, a do tego świeże placki kukurydziane. Po posiłku opowiadano sobie różne historie i śpiewano pieśni.

Najbardziej melodyjny i dźwięczny głos miała Quimca, toteż wszyscy, oczarowani, słuchali jej do późnej nocy.

Kiedy tylko Pocahontas dotarła do obozu, siostry zarzuciły ją pytaniami. Opędzała się od nich ze śmiechem, zapewniając:

- Pozwólcie mi najpierw coś zjeść, a wszystko wam opowiem.

Siostry nie mogły jednak powstrzymać ciekawości, ulegając więc ich namowom zgodziła się zdać im pierwszą relację, zanim zdołała cokolwiek przekąsić. Opisała, jak przebiegło spotkanie z dwoma starszymi rangą Tassentasami. Oczywiście nie wygadała się przy tym, jakie wrażenie zrobiła na niej uroda jednego z nich.

- Już wam kiedyś mówiłam, jak ci ludzie okropnie śmierdzą -

zaczęła. - Ale wtedy widziałam tylko kilku naraz, a kiedy jest ich więcej, to już całkiem nie do zniesienia.

Najgorszy smród panuje na tych ich wielkich łodziach, poruszanych wiatrem. Nie wiem, jak oni to wytrzymują. Może po jakimś czasie przyzwyczaiłabym się do tego, ale oni chyba nigdy się nie kąpią. Może oddają cześć jakimś dziwnym bóstwom.

Pocahontas opowiedziała też o broni białych, która wydaje większy hałas niż grzmoty będące oznaką gniewu boga niebios, jak też o dziwnych budynkach, niepodobnych do żadnych innych.

Wspomniała też, że zaprzyjaźniła się z młodym Tassentsem, mniej więcej w jej wieku, który poczęstował ją swoją potrawą.

- To była okropna zupa z samych paskudztw - relacjonowała swoje przeżycia. - Ale oni chyba nie mają nic innego do jedzenia.

Zdaje mi się, że nie umiem ani polować, ani łowić ryb, ani hodować roślin; za to taki jeden młody chłopak, który mieszka na jednej z tych dużych łodzi, znał wspaniałą zabawę. Stawał na rękach, wyrzucał nogi w powietrze i zataczał takie koła, jak liść poruszany wiatrem. Nie wierzył, że ja też to potrafię, ale to przecież bardzo łatwe! Musiałam więc pokazać mu, że umiem to zrobić. Ściągnęłam narzutkę i wykonałam masę obrotów po całej łące. Widać było, że mu zaimponowałam, ale Pamouic i Secotin gniewali się za to na mnie!

- Nasz ojciec na pewno nie byłby zadowolony, że jego córka, na wpół rozebrana, fika kozły ku uciesze wroga! - oświadczył sucho Pamouic.

- Nie jest to zachowanie odpowiednie dla panny na wydaniu! -

dodał Secotin.

- Czasami rzeczywiście zapominam o swoich obowiązkach -

zgodziła się Pocahontas. - W przyszłości będę się bardziej pilnowała, przyrzekam. A teraz po-

śpiewajmy i potańczmy sobie, dobrze? Taki mamy piękny wieczór, jakby bogowie szeptali nam same miłe wieści do ucha!

Podczas gdy Quimca zaintonowała pieśń, Pocahontas ogarnęła wzrokiem swoich bliskich,

porozsiadanych przy przytulnym dogasającym ognisku. Nawet tu, w zacisznej kotlinie, lepiej było podtrzymywać ogień, aby odstraszyć większe zwierzęta, jak niedźwiedzie czy dziki.

Przyglądała się swemu orszakowi, jakby dopiero teraz zauważyła, jacy to dorodni ludzie - wysocy, dobrze zbudowani, o śnieżnobiałych zębach, błyszczących, czarnych włosach i miedzianym odcieniu skóry. Tassentasowie nie wytrzymywali porównania — prawie wszyscy wyglądali szaro, brudno i niepozornie, aż jej było ich żal. Tylko ten złotowłosy był inny

-przypominał wysłannika boga niebios.

Pocahontas przysunęła się bliżej do ogniska, taksując przydzielonych jej wojowników. Musi wybrać spośród nich najlepszego biegacza, który jutro zaniósłby jej ojcu pierwsze sprawozdanie. Nie wystarczy, że któryś zgłosi się na ochotnika

— musi to być człowiek o najlepszej pamięci! Członkowie plemienia Powhatanów byli dumni ze swojej pamięci i wytrwale ją ćwiczyli. Urządzali nawet zawody, których zwycięzca zwykle zatrzymywał swój tytuł do późnej starości, dopóki wiek nie zmącił jego umysłu. Przeważnie zresztą nawet starsi ludzie w tym plemieniu zachowywali fenomenalną pamięć.

Pochins miał dwóch kurierów tak wybitnie uzdolnionych, że potrafili powtórzyć słowo w słowo wiadomość, której przekazanie trwałoby ponad godzinę. Pocahontas postanowiła, że jej pierwszy raport będzie

krótki, gdyż na razie nie ma zbyt wiele do powiedzenia o Tassentasach. Nazajutrz znowu się do nich wybierze.

Już o bladym świetle Pocahontas zaczęła rozmowę z braćmi o narzędziach i rodzajach broni, które widzieli u białych. Wyczuła, że chętnie zorganizowaliby wymianę handlową między nimi a ich ojcem, aby jak najszybciej wejść w posiadanie tych rzeczy.

Pochins rozpocząłby handel nawet zaraz, ale ojciec nic by z tego nie miał. Nie wiadomo zresztą, czy wielki Powhatan w ogóle zechce wchodzić w jakieś układy z białymi. Może wolałby wypowiedzieć im totalną wojnę, używając do tego swojej licznej armii. Ciekawe, czy byłby w stanie ją wygrać.

- Mamy o wiele więcej wojowników - zauważył Pamouic.

- Tak, ale ojciec nie zdaje sobie sprawy, że grmiąca broń białych może położyć dwudziestu naszych za jednym strzałem -

zaoponował Secotin.

- A czy nie lepiej byłoby dowiedzieć się czegoś więcej o ich narzędziach? - wtrąciła się Pocahontas.
- Chyba przydałyby się naszym ludziom?

- Tak, ale jeszcze nie umiemy ich używać - sprostował Secotin.

- Wydaje mi się, że powinniśmy starać się dowiedzieć jak najwięcej, aby dostarczyć ojcu

dokładnych informacji. Przez czternaście słońc będziemy mieli szansę poznać także ich słabe punkty. Wiadomo, że każdy nieprzyjaciel ma jakieś.

- Musimy także przygotować szczegółowy raport dla kapłanów -

uzupełnił Pamouic. - Trzeba ich zadowolić, aby nie zażądali następnej ofiary z dziecka.

Pocahontas zauważyła, że bracia wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Od razu zmienili się na twarzach, przybierając posępne miny. Wiedziała, że irytuje ich przemożny wpływ kapłanów na wszystkie dziedziny życia, ale takie były fakty. Kapłani w państwie Powhatana mieli władzę prawie taką samą jak on, więc nie było nawet o czym myśleć. Na razie nadszedł już czas, aby znów złożyć wizytę Tassentasom.

Wczesnym rankiem przybyli na otwartą przestrzeń u wybrzeży zatoki.

- Dzisiaj się rozdzielimy - zaproponował Secotin. Nie uważał

nawet za stosowne zniżyć głosu, bo kto miałby go tu podsłuchać?

- Wieczorem porównamy, czego każde z nas się dowiedziało. W

ten sposób nie będziemy robić po dwa razy tego samego.

- Rzeczywiście, wczoraj byli pokojowo nastawieni - zgodził się Pamouic. - Na wszelki wypadek jednak będę trzymał się w pobliżu Pocahontas.

- Dobrze, ale tak, żeby się wydawało, iż jest sama. Widziałem wczoraj, że ją od razu polubili, więc może udzieli jej więcej informacji.

Pocahontas oddzieliła się więc od braci i zaczęła spacerować wśród mężczyzn pracujących w polu. Ci jednak nie zwracali na nią uwagi. Zatrzymała się przy którymś z robotników, gdyż zaintrygowało ją, jak łatwo przekopuje szpadlem ziemię.

Zaciekawił ją zwłaszcza materiał, z którego wykonane było ostrze szpadla. Pokazała więc na nie palcem i wykonała pytający gest na migi.

- Żelazo - wyjaśnił z uśmiechem robotnik. Powtórzyła to dziwne słowo i spróbowała zbadać dotykiem nie znane jej narzędzie.

Było chłodne i bardzo twarde, dużo twardsze niż kamień.

W tym momencie poczuła, że padł na nią czyjś cień. Kiedy podniosła wzrok, okazało się, że stoi przy niej ten przystojny, złotowłosy mężczyzna, którego wzięła za wysłannika boga niebios. Uśmiechał się do niej, przy czym z satysfakcją zauważyła, że zęby ma białe, nie czarne jak robotnik, z którym dopiero co rozmawiała.

Wskazał na nią i pytającym tonem wymówił:

- Pocahontas?

Z uśmiechem kiwnęła głową, więc takim samym gestem wskazał

na siebie, mówiąc wyraźnie:

- John.

A więc tak brzmiało jego imię! Było łatwe do wymówienia, więc powtórzyła je kilka razy.

John Smith zamyślił się na chwilę, po czym gestem zaprosił ją, aby usiadła na ściętym drzewie i chwilę poczekała. Oddalił się, ale zaraz wrócił, niosąc płaskie, kwadratowe pudełko z przykrywką. A kiedy podniósł przykrywkę, Pocahontas zobaczyła w środku coś jakby kawałek nieba lub taflę wody. Z

wrażenia aż wstrzymała oddech i zakryła usta dłonią — to musiały być jakieś czary lub robota złego ducha Okeusa! Kiedy zajrzała znów do wnętrza pudełka — po powierzchni przypominającej niebo lub wodę przesunęło się coś zielonego! Z

przerażenia odskoczyła wstecz.

Smith przyglądał się temu z wesołymi zmarszczkami w kącikach oczu i gestem zachęcił ją, aby znów spojrzała na dziwny przedmiot. Czowała się trochę nieswojo, ale wiedziała, że nie wolno jej okazać strachu, gdyż taką słabością rozniewałaby bogów.

Kiedy Smith wyciągnął ku niej pudełko, powiodła ostrożnie palcami po drewnianej przykrywce. Zauważyła, że wszystkie przedmioty, które widziała u tych cudzoziemców, są dziwnie gładkie i mocne. Powoli uchyliła przykrywkę i... o Ahone, ta rzecz jak tafla wody ciągle była w środku!

Ostrożnie dotknęła palcem jej powierzchni -to było twarde jak zmarznięta rzeka Potomac w zimie. A kiedy znów tam zajrzała - o boże niebios, ujrzała odbicie swojej twarzy!

Wyglądało to podobnie jak jej odbicie w jeziorze czy stawie, tylko było wyraźniejsze. Widać było jej rozszerzone zdziwieniem oczy i w półotwarte usta. Smith wziął od niej tajemniczą rzecz, przysunął bliżej do swojej twarzy i zachęcił Pocahontas, aby tam spojrzała. Teraz widać było jego odbicie! Dziewczyna nie wierzyła własnym oczom. Kiedy przysunął pudełeczko bliżej do niej, uśmiechnęła się i ten uśmiech odbił się w tym czymś podobnym do zamarznętej wody. Pokręciła głową w obie strony i roześmiała się od ucha do ucha. Czarodziejska tafla powtórzyła te ruchy. Smith mrugnął figlarnie okiem i wymówił z naciskiem:

- To się nazywa lustro!

Patrzała na niego, i to przyspieszało bicie jej serca. Ten człowiek pokazał jej prawdziwe czary, potężniejsze niż te, które znali powhatańscy kapłani. A kiedy usiadł przy niej, z zadowoleniem stwierdziła, że wcale nie śmierdzi. Dopiero wtedy odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy. Coś podobnego! Jakby sam bóg nieba przemówił do niej! Jego oczy miały kolor nasyconego, czystego błękitu, jaki ma niebo po burzy, kiedy wszystkie kształty są wyraźniejsze.

Oczywiście nie dała poznać po sobie, że błędzą po jej głowie takie myśli. Czowała, że jest bezbronna wobec uroku tego człowieka, że on działa na nią zniewalająco. Nie, musi wziąć się w garść i zapanować nad sobą. Nie wolno jej zapominać, że to wróg!

Tymczasem Smith obiema rękami wskazał na siebie

i unosząc brwi, spojrzał pytającym wzrokiem na Pocahontas.

- *Nemarough* - odpowiedziała w swoim języku.

- Mężczyzna - wyrzekł to samo po angielsku. Oboje roześmieli się i starannie powtórzyli obce dla siebie słowa. Z kolei Smith wskazał takim samym ruchem na Pocahontas.

- *Grenepo* - wymówiła ze śmiechem.

- Kobieta — powtórzył to samo po swojemu i wskazał na las.

- *Musses* - poinstruowała go Pocahontas.

- Las — przetłumaczył.

Było to coś w rodzaju gry, w którą mogłaby się bawić przez cały dzień. Poznawanie nowych słów wprawiało ją w radosne podniecenie.

Pawcussack znaczyło pistolety, *pamesack* - noże, a *chep-sin* -

ziemię. Powtarzali jedno po drugim, dopóki nowych słów nie pojawiło się zbyt wiele dla Smitha, bo Pocahontas wciąż było ich mało. Czowała, że zapamiętałaby każde słowo, choćby to miało trwać cały dzień.

W końcu Smith poprosił, żeby zrobić przerwę. Pocahontas czuła dla niego głęboką wdzięczność, mimo że teoretycznie był jej wrogiem. Wciąż powtarzała sobie, że musi być ostrożna, ale w kontaktach z tym człowiekiem było to bardzo trudne.

Może o to mu właśnie chodzi - myślała. - Chciałby uspić moją czujność i sprawić, abym zapomniała, że i on, i jego ludzie przybyli tutaj, by zagrabiec naszą ziemię i sprowadzić nieszczęścia na nasz naród. Ojciec kazał mi zachować czujność, więc muszę być mu posłuszna, choć to trudne. Nawet w najśmielszych snach nie widziałam nigdy takiego człowieka.

Kiedy się odwróciła, stwierdziła, że Smith cały czas się jej przygląda. Gestem wskazał jej, aby chwilę na niego zaczekała.

- *Vittapitchewayne*, ja czekać! - zawołała za nim, gdyż było to jedno ze słów, którego już się nauczyła. Pogoda była dziś piękna, a powietrze dziwnie przejrzyste. Wyraźnie odznaczały się w nim kontury każdego drzewa, kwiatka czy człowieka pracującego w polu.

W odległości jakichś sześćdziesięciu metrów zauważyła nagle w szarzielonych zaroślach pewne

poruszenie. Towarzyszył mu słaby, lecz charakterystyczny dźwięk, który spowodował, że zerwała się na równe nogi. Nie rozumiała, dlaczego ludzie pracujący obok nie reagowali na ten dźwięk, przecież z bliższej odległości musieli jeszcze wyraźniej słyszeć to typowe dla węża grzechotanie! Puściła się biegiem w ich kierunku, sygnalizując rękami, aby się nie ruszali.

Robotnicy, widząc zbliżającą się ku nim dziewczynę, poruszyli się niespokojnie, kurczowo ściskając swoje narzędzia. Nie rozumieli, po co ona do nich biegnie. Pocahontas w biegu porwała z ziemi spory kamień. Kątem oka dostrzegła, że i Pamouic biegnie w tę samą stronę, ale był jeszcze daleko.

Najwyraźniej musiał też usłyszeć grzechot węża. Wtem jeden z robotników, siedzących najbliżej krzaków, zawył z bólu i przerażenia, co oznaczało, że został ukąszony. W ciszy, która zapanowała, wyraźnie już słyhać było odgłos wydawany przez grzechotnika. Najwyraźniej osadnicy nie rozumieli, co się stało, bo nigdy nie słyszeli takiego dźwięku ani nie wiedzieli, jakie niebezpieczeństwo się z tym wiąże.

Pocahontas w biegu rzuciła kamieniem, gdy tylko usłyszała krzyk ukąszzonego człowieka. Kamień upadł tuż obok robotnika, tarzającego się z bólu po ziemi.

Widziała, jak wąż podniósł głowę i grzechotał coraz głośniejsze, a jednocześnie tuż koło niej przeleciały dwa inne kamienie, a po chwili trzeci. Ten ostatni o mało nie otarł się o jej skroń.

Przestraszyła się nieco, ale nie zwalniała biegu. Widziała, że któryś z kamieni ugodził węża, lecz nie zwracając na niego uwagi podbiegła do ukąszzonego. Z woreczka przy pasku wyciągnęła muszlę o krawędzi ostrej jak brzytwa. Robotnik krzyczał, gdy rozcięła nią ranę po zębach węża i zaczęła wysysać jad. Ranny bronił się przed tymi zabiegami, ale wczepiła się w niego i nie puściła, dopóki nie zrobiła wszystkiego, co mogła. Wtedy sama odskoczyła na bok.

- Szybka jesteś, Pocahontas - pochwalił ją Pamouic, dobiegając do niej.

- Zabiłem grzechotnika — oświadczył Secotin, wkładając tomahawk z powrotem za pas i dołączając do rodzeństwa.

- Ale ktoś przy tym o mało mnie nie zabił — weszła mu w słowo Pocahontas. — Czy ktoś jeszcze oprócz was rzucił kamieniem?

Pamouic potrząsnął głową, a Secotin wzruszył ramionami.

- Wiem, że z waszym doświadczeniem żaden nie rzuciłby kamienia tak, aby przeleciał o włos od mojej skroni - ciągnęła. -

W tym samym czasie musiał to zrobić ktoś trzeci. - Rozglądała się chwilę, w końcu też wzruszyła ramionami i zmieniła temat. -

Szkoda, że nie mam przy sobie korzenia *wighsan*, aby przyłożyć temu człowiekowi do rany. Ci ludzie nie mają tu też łaźni parowej, w której mógłby się wypocić.

Wystraszeni robotnicy kręcili się w pobliżu, klnąc pod nosem, a któryś splotał przez zęby. Nagle

nieszczęście, jakie na nich spadło na tym nowo odkrytym

łądzie, wydawało im się dziełem szatana. Pocahontas miała wrażenie, że potrafi czytać w ich myślach. Wyglądali tak, jakby posądzali ją, że przyniosła im nieszczęście w postaci węża, zamiast okazać wdzięczność za pomoc. Widziała, że niektórzy spoglądają na nią spode łba. Czyżby w tym towarzystwie kobiety nie były mile widziane? Patrzyli tak, jakby nigdy nie widzieli kobiety!

W polu widzenia pojawił się John Smith. Próbując zorientować się w sytuacji, przenosił wzrok z Pocahontas na robotników.

Potem podszedł i delikatnie dotknął jej ręki. Mogło to oznaczać, że podziwia jej odwagę w starciu z wężem i dziękuje za pomoc udzieloną ukąszonemu. Mógł to też być wyraz troski o nią lub chęć zabrania jej spośród szemrzących robotników. Jednocześnie dołączył do nich wysoki mężczyzna w czarnym stroju z białą wypustką wokół szyi. Smith wskazał na niego i nauczył

Pocahontas nowego zwrotu:

- Kapłan.

Dziewczynie trudno było uwierzyć, że kapłan tak swobodnie przestaje z innymi ludźmi. Już poprzednio widziała, jak razem ze wszystkimi pracuje lub rozmawia, lecz wtedy nie wiedziała, kim on jest. W państwie Powhatana kapłani nie bratali się nigdy z prostym ludem i nie brali udziału w jego codziennych zajęciach.

Natomiast ten człowiek nie wzbudzał w niej strachu. Miał miłą powierzchowność i jasne włosy. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby rzucić na nią urok, zażądać dodatkowej ofiary lub choćby tylko zmierzyć ją surowym spojrzeniem.

Po kilkakrotnym powtórzeniu potrafiła już wymówić poprawnie jego nazwisko i tytuł: wielbny Hunt. Zwróciła się do Pamouica:

- To jest ich kapłan, który chce, abym zobaczyła

świątynię i bogów przybyszów. Myślę, że powinnam tam pójść.

Wtedy przekonałam się, czy ich bogowie są silniejsi, czy słabsi od naszych. To może mieć znaczenie, gdybyśmy musieli z nimi walczyć.

Nadśłuchiwała więc pilnie i starała się zrozumieć jak najwięcej z rozmowy Hunta ze Smithem.

- Ona świetnie nadaje się do nawrócenia - dowodził pastor. - Jako księżniczka będzie mogła zanieść słowo boże do swego ludu.

Muszę zacząć nauczać ją naszej wiary.

Pocahontas szła za Huntem przez plac pocięty koleinami, zarzucony pniakami i kłodami drzewa, przeznaczonymi pod budowę fortu. Znajdowało się tam prowizoryczne zadaszenie z żagla rozpiętego

między dwoma drzewami. Pod nim mieściły się nie heblowane drewniane ławki i takiż długi stół, przypominający kozioł do cięcia drzewa.

Wielebny Hunt nie wierzył własnemu szczęściu. Oto księżniczka krwi królewskiej pierwsza spośród krajowców przekroczyła progi jego zaimprovizowanej kaplicy! Tyle razy słyszał, jak kapitanowie statków kłócili się, czy w ogóle ją budować, czy lepiej stawić czoło tubylcom albo raczej próbować ich ułagodzić?

Dla niego od początku było jasne, że jedyną drogą do podboju Nowego Świata przez Anglików jest nawrócenie tubylców na wiarę chrześcijańską. Oczywiście nie miał tu na myśli papieskiej wersji chrześcijaństwa z przeżartego korupcją Rzymu, ale proste i jasne dogmaty Kościoła Anglikańskiego. W końcu czy nie dlatego Bóg nie dopuścił do odkrycia Ameryki przed pojawieniem się reformacji? Najwidoczniej sam Bóg wyznaczył

Amerykę Północną na miejsce odpowiednie do krzewienia religii protestanckiej.

I oto pastor miał przed sobą pierwszą owieczkę do swojej nowej owczarni. Był pewien, że bez oporów przyjmie ona do serca prawdziwego Boga. Jest taka młoda i wrażliwa, a więc w sam raz dojrzała do oczyszczenia ze zmyły grzechu pierworodnego.

- Musimy się pomodlić! - oświadczył stanowczo, klękając przed prowizorycznym ołtarzem.

— ...modlić! — powtórzyła Pocahontas, składając dłonie tak, jakby oddawała cześć Ahone lub Okeusowi.

Patrząc na prymitywny drewniany stół stwierdziła, że Bóg białych nie przedstawia się imponująco. Jednak ten kapłan modli się do niego, a bóstwo, które obdarzyło Tassentasów tyloma wspaniałymi przedmiotami, musi być potężne. Kiedy przyglądała się modlitwie białych, zauważyła, że robią to tak samo jak i jej rodacy, tylko nie składają swemu Bogu żadnych ofiar. Nigdzie nie widać ognia ani jakichkolwiek darów...

Starła się naśladować wielebnego Hunta — klękała wtedy, kiedy on, składała ręce i nabożnie przymykała oczy, kiedy on to czynił. Zastanawiała się, co ten dziwny, cudzoziemski Bóg mógłby zrobić dla niej, gdyby złożyła mu ofiarę. Trudno jednak było powiedzieć o nim cokolwiek pewnego, gdyż nie miał

twarzy.

Hunt był zadowolony, że Pocahontas tak szybko przejęła jego sposób zachowania. Był już pewien, że stanowi ona idealny materiał do nawrócenia i Dobry Pasterz radośnie przyjmie ją do swojej owczarni.

Pocahontas tymczasem postanowiła, że natychmiast po powrocie do obozu złoży specjalną ofiarę swoim bogom, aby ich upewnić, że nie odstąpiła od wiary przodków. Najlepiej nada się do tego kuna lub norka. Natomiast, aby zrobić przyjemność nowo poznanemu kapłanowi białych, przyniesie mu jakieś małe stworzenie - na przykład mewę albo szczura - jako ofiarę dla jego dziwnego bóstwa. Na

prosty, drewniany stół patrzyła z pewnym szacunkiem, lecz nie tak wielkim, aby wzbudzić tym gniew lub zazdrość swoich bogów.

W czasie gdy wielebny Hunt monotonnym głosem odmawiał modlitwy, myśli Pocahontas zaprzętał inny problem. Kto rzucił ten trzeci kamień, który przeleciał zaledwie o włos od jej skroni?

Przecież gdyby nie uchyliła głowy, zostałaaby ugodzona w skroń.

Uczono ją, aby celowała w to właśnie miejsce, jeśli zamierzała zabić. Pamouic i Secotin mieli zbyt pewne oko i rękę, aby aż tak bardzo chybić. Była pewna, że nie był to żaden z nich. Musiał

więc znaleźć się za nimi ktoś trzeci. Wprawdzie widziała tylko swoich braci, ale biegła tak szybko... Woląa więcej o tym nie myśleć. Odmówiła modlitwę do Ahone, dziękując jej, że kamień nie trafił.

Wielebny Hunt skończył wreszcie nabożeństwo, położył rękę na głowie Pocahontas i pobłogosławił ją. Cieszył się już, że będzie miał pojętną uczennicę. Potem oboje, pokrzepieni modlitwą i pobożnymi myślami, podnieśli się z kolan.

Rozdział 8

Jamestown,

20 czerwca 1607 roku

Smith i Archer czołgali się w wysokiej trawie i chwastach.

Jeszcze przed świtem wymknęli się z oblężonego fortu, aby zapolować. Teraz, mimo późnej pory, było wciąż gorąco. W

ciężkim, wilgotnym powietrzu brzęczały chmary komarów, toteż obaj panowie wciąż trzepali się rękoma po twarzach. Ich ciała chroniła na szczęście odzież i zbroja. Za to rozgrzane od upału półpancerze i hełmy były trudne do zniesienia nawet wieczorem.

Niebo nad głowami też przypominało rozżarzony metal, a słońce odbijało się w nim jak w ich wypolerowanych napierśnikach.

- Za godzinę spróbujemy przeskoczyć do fortu — planował

Archer, bardzo ostrożnie stąpając po bagnistym gruncie.

Smith tylko chrząknął. Zastanawiał się, ilu Pasape-ghów w tej chwili naciąga łuki, aby naszpikować ich strzałami. Walczył w życiu na wielu frontach, ale nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak zawziętym przeciwnikiem. Człowiek mógł tu zostać bez ostrzeżenia podziurawiony jak sito, zanim zdążyłby nasypać prochu na panewkę, a tym bardziej ubić ładunek. Pancierz stanowił pewną ochronę,

ale z kolei grzał niemiłosiernie.

Po raz któryś z rzędu Smith kłął Wingfielda w żywy kamień za jego brak zdolności przewidywania. Po

tygodniu od nieudanej uczy z jelenia Pasapeghowie powrócili w sile czterystu ludzi i przystąpili do szturmowania fortu. Trzech osadników zginęło, zanim zdążyło wypalić okrętowe działko.

Hałas czyniony przez nie wywołał większy popłoch wśród napastników niż jego siła ognia, ale i tak po tym ataku zostało przynajmniej ze dwa tuziny zabitych lub rannych.

Od tej pory osadnicy byli właściwie uwięzieni w forcie.

Niewidzialne łuki przeszywały strzałami każdego, kto był na tyle nieostrożny, aby w biały dzień wychylić nos za bramę. Panował

więc stan wojenny, którego zdaniem Smitha można było uniknąć, gdyby tylko zastosowano proponowane przez niego środki ostrożności. W końcu zainstalowano działka okrętowe na wieżach fortu, ale Smithowi nie dało to żadnej satysfakcji.

Wprawdzie postawił na swoim, ale kosztem ustawicznego stanu wojny i zagrażającego widma głodu.

Przy pierwszym wypadzie w teren osadnicy nie zdołali upolować żadnej zwierzyny. Tym razem poszło lepiej - zdobyli sześć zajęcy i cztery indyki. Wszystko to jednak było mało. Zapasy się kurużyły, nawet kukurydzy nie wystarczy już na długo. W tym roku były słabe urodzaje i nawet Pochins nie bardzo mógł ich wspomóc. Smith tylko wzdychał na wspomnienie smakołyków, jakimi częstowano go u wodza.

Podczas pierwszego polowania trzej myśliwi zostali ranni i przeleżeli przez cały dzień w palącym słońcu, bo dopiero po zapadnięciu zmroku można było bezpiecznie zabrać ich do fortu.

Należeli oni do grona „szlachetnie urodzonych próżniaków”, ale ochotniczo zgłosili się na wypad z oblężonej twierdzy i nawet Smith musiał przyznać, że wykazali odwagę. Pech był tym większy, że byli to przeważnie dobrzy strzelcy.

- Już się ściemnia - zauważył Smith. - Możemy próbować przeczołgać się na otwartą przestrzeń.

Co za parszywa wojna - dodał w duchu. - Człowiek musi pełznąć przez to bagno, zamiast stanąć na nogi i walczyć jak mężczyzna!

No, ale to oni dyktują warunki, bo my jesteśmy głodni i musimy zdobyć pożywienie. Trzeba koniecznie jakoś zaprzyjaźnić się z tymi tubylcami, aby raczej zdecydowali się pomagać nam w uprawianiu tej ziemi.

Kiedy na niebie zabłysła pierwsza wieczorna gwiazda, Smith i Archer błyskawicznym zrywem przekradli się do fortu. Zaraz dziesiątki chciwych rąk rzuciły się na przyniesioną przez nich zwierzynę. Noże do jej oprawienia były już w pogotowiu.

- Czy wiecie, ilu ludzi straciliśmy dziś przy sobie kukurydzy? -

spytał Smith.

- Trzech. Toma Cassena, Williama Tankarda i Richarda Simona -

odpowiedział Gosnold.

- Czy ubezpieczaliście ich jak trzeba? — indagował zmęczonym głosem Smith, uwalniając się z pancerza.

- Oczywiście, działo było gotowe do strzału, żeby w razie czego osłonić ich ogniem, ale dzicy już na nich czekali. Każdy dostał

strzałę w szyję, między hełmem a napierśnikiem.

W tym tempie - myślał Smith - do grudnia wybiją nas wszystkich.

I to przez tego głupca Wingfielda! Gdyby, jak radziłem, wydzielili

pole wewnątrz fortu, byłoby już zasiane. Tak jak sprawy stoją, wychodzenie na zewnątrz, żeby coś wykarczować, zasiać czy zapolować, to dla naszych ludzi pewna śmierć. Jesteśmy uwięzieni w forcie!

Głośno zaś zapytał:

- Gosnold, czy myślisz, że ludzie w nocy wyjdą do pracy w polu?

- Nikt już nie wyjdzie, bo wszyscy się boją. Archer podsunął

Smithowi wodę. Ten wypił duży

łyk i aż go zatrzęsło - woda śmierdziała! Widocznie ludzie nie mogli dostać się do czystego strumienia. Te przekłete dzikusy nie atakują codziennie, tylko wtedy, kiedy osadnicy ochłoną już na tyle, że odważą się opuścić fort. Wtedy zasypują ich gradem strzał.

Smith podszedł do leżącego nie opodał pnia i usiadł na nim.

Widział teraz jasno, że udział w tej wyprawie nie przyniesie mu ani korzyści materialnych, ani chwały zdobywcy Nowego Świata. Utknęli tu w samym środku bagien, w źle zabezpieczonym forcie, złota ani śladu, a zewsząd czyha nieuchwytny wróg. Co z tego, że nasza siła ognia jest pięćdziesięciokrotnie wyższa niż ich? I tak nie możemy jej użyć, bo zanim wypalimy, oni rozplywają się w powietrzu.

Znużonym wzrokiem Smith powiódł po umocnieniach fortu.

- Gosnold, czy dzisiaj ktoś pracował przy tych fortyfikacjach?

Trzeba je solidnie wzmocnić!

- Pomyśleliśmy o tym, ale teraz mamy inny problem. Francis Perkins został przyłapany na kradzieży żywności. Mało tego, kilku ludzi nakryto podczas okradania grobów!

- Na miłość boską, Gosnold, jakich znowu grobów?

- Okazało się, że dwóch naszych na własną rękę zaprzyjaźniło się z jakimś tubylcem, który powiedział im, gdzie na tym terenie są ich groby. Dzięki tej znajomości ta dwójka podobno może swobodnie opuszczać fort. Na razie nic im nie mówimy, bo chcemy złapać ich na gorącym uczynku. Wiemy o tym od jednego z ich kolegów.

- A co z tym Perkinsem? W końcu nie jest prostym robotnikiem i chyba stać go na więcej?

- Myślę, że zrobił to z głodu. Teraz jest w areszcie na

„Godspeed”.

- Żal mi go, ale nie możemy tolerować wzajemnego okradania się, bo to zdziesiątkuje nas szybciej niż choroby. Właśnie... są jacyś nowi chorzy?

- Tylko pięciu, ale obawiam się, że przy tym upale będzie ich więcej.

- I co Wingfield ma zamiar zrobić z tą plagą kradzieży? - dociekał

Smith.

- Wpadł we wściekłość, więc na pewno zażąda surowej kary.

Jutro rano ma się w tej sprawie zebrać rada nadzorcza. Na razie przyniosę wam coś do zjedzenia - obiecał Gosnold, odchodząc.

To porządny człowiek - pomyślał Smith, patrząc w ślad za nim -

ale wygląda na przemęczonego. Nie mogę doprowadzić się do takiego stanu. Ta bagnista nizina, pełna komarów, przypomina mi Anatolię.

Widok Archera, ciężko opierającego się o pień drzewa, przypomniał mu też, że ci dobrze urodzeni uczestnicy wyprawy w życiu nie zetknęli się jeszcze z tak ciężkimi warunkami.

Oczywiście długa morska podróż też nie należała do najłżejszych, ale przynajmniej było pod dostatkiem żywności i wody.

Tymczasem wrócił Gosnold, niosąc dwie miski wodnistej kaszy.

Nędzna to strawa - pomyślał Smith - ale zawsze lepsza niż liście i ślimaki. - Z wdzięcznością poklepał Gosnolda po ramieniu. -

Jutro na obiad wszyscy dostaną za to po kawałku zająca lub indyka.

Przebywali w Jamestown już od miesiąca. W tym czasie Smitha ponownie przywrócono do składu rady

nadzorczej. Między nim a Wingfieldem zapanował chwilowy, choć niepewny rozejm, tym bardziej że zasługą Smitha było wytargowanie od Pochinsa pewnej ilości ziarna kukurydzy.

Dopuszczono go więc do głosu przy podejmowaniu decyzji, ale Smith miał świadomość, że stale jest pod dozorem. Wszyscy członkowie rady, z wyjątkiem Gosnolda, trzymali bowiem stronę Wingfielda.

W ciągu tego miesiąca ujawniło się to, co leżało w charakterze poszczególnych osadników. „Szlachetnie urodzeni próżniacy”, jak nazywał ich Smith, byli nieustraszeni w boju i pierwsi zgłaszali się na ochotnika do niebezpiecznych zadań, ale nie nadawali się kompletnie do ciężkiej pracy fizycznej. Natomiast najemni robotnicy dawali z siebie wszystko, czego można było wymagać w warunkach takiego upału, jakiego nie znali w Anglii.

Dzięki ich nadludzkiemu wysiłkowi budowa fortu była na ukończeniu. Budynki wewnątrz wymagały jeszcze dopracowania, ale umocnienia, choć też dalekie od doskonałości, świetnie zdawały egzamin pod gradem indiańskich strzał.

Wskutek tego tubylcy zrezygnowali z prób wzięcia fortu szturmem.

Pierwsze dni pobytu w Jamestown ubarwiały codzienne wizyty Pocahontas z jej siostrą. Przybywała wczesnym rankiem, zaraz po wschodzie słońca, w towarzystwie sześciu lub siedmiu osób, przynosząc dary w postaci żywności. Potem i ona, i jej towarzysze krążyli wśród pracujących Anglików jak barwne egzotyczne ptaki. Interesowało ich wszystko - od łopat, garnków i patelni po nabite muszkiety lub pistolety. Najbardziej jednak fascynowało ich lustro - coraz to ze śmiechem przeglądali się w nim, a potem z ciężkim sercem zwracali je Smithowi.

Osadnicy zdążyli już się przyzwyczaić do tych wizyt. Odkąd się dowiedzieli, że to córka wielkiego króla Indian, Powhatana, do którego tak bardzo pragnęli się zbliżyć - początkowa niechęć ustąpiła miejsca szacunkowi. Przede wszystkim byli jej wdzięczni za darowaną żywność, toteż traktowali ją tak, jakby była angielską księżniczką. Robotnicy nieraz przerywali pracę, aby próbować nawiązać kontakt z dostojnymi, lecz stale czujnymi wojownikami.

Za każdym razem Smith brał Pocahontas za rękę i odprowadzał

na stronę, gdzie leżała kłoda drzewa, na której zawsze siadali.

Uczyli się tam nawzajem nowych słów w swoich językach. Smith przyłapał się na tym, że oczekuje tych odwiedzin z radosnym podnieceniem, i przeżył gorzkie rozczarowanie, gdy pewnego dnia dziewczyna i jej eskorta znikły równie nagle, jak się pojawiły. Gorycz była tym większa, że wraz z jej wizytami urwały się regularne dostawy kukurydzy.

Smith był pewien, że nie mogło jej się stać nic złego — żaden z poddanych króla Powhatana nie śmiałby wyrządzić krzywdy jego córce. Nawet Pasapeghowie pozwalali jej bez przeszkód wchodzić

i wychodzić z fortu. Przyczyna ustania jej odwiedzin musiała być inna. Prawdopodobnie kukurydza słabo w tym roku obrodziła i Indianie sami nie mieli dużych zapasów, toteż Pocahontas krępowała się przychodzić do fortu z pustymi rękami.

Smith przyłapał się również na tym, że brak mu było jej dociekliwych oczu, bystrej inteligencji i uprzejmości w obejściu.

Ta młoda kobieta dysponowała pewną władzą, ale jej nie nadużywała. Łatwo się było domyślić, że jest ukochaną córką swego ojca, co wcale nie oznaczało, że ma przewrócone w głowie. Smith z zaskoczeniem stwierdził, że co jakiś czas wraca do niej myślami.

Stanowczo nie przypominała żadnej z kobiet, jakie w życiu spotkał.

Kiedy osadnicy kładli się już spać, wieczór był prawie bezwietrzny. Ciszę przerywał tylko od czasu do czasu czyjś śmiech lub podniesiony głos. Małe chmurki przesłaniały chwilami księżyc w nowiu i wtedy robiło się ciemno. Z ostępów leśnych dochodziły tylko typowe odgłosy, dobrze słyszalne w forcie - hukanie sowy, pisk jakiegoś drobnego zwierzątka czy inne, słabsze, trudniejsze do zidentyfikowania dźwięki.

Pora przed zaśnięciem była dla wszystkich najcięższa do przetrzymania, bo wtedy rozciągający się wokół leśny bezmiar, z niewidzialnym przeciwnikiem czającym się w ciemnościach, zdawał się ich najbardziej przytłaczać. Noc była jednak jedyną porą, kiedy napięte, znużone ciała mogły się nieco odprężyć, a odgłos rytmicznie uderzających o brzeg fal zatoki uspokajał

skołatane nerwy. Zapach wody morskiej kojarzył się osadnikom z nadzieją na rychły powrót do Anglii, toteż błogo zasypiali.

Rada nadzorcza zebrała się zaraz po wschodzie słońca. Było jeszcze chłodno, lecz komary przystępowały już do ataku.

Smithowi przypominały one czyhających za murami nieprzyjaciół - też niewidzialnych aż do momentu, w którym zadawali cios.

Smith usiadł na kłodzie drzewa między Bartolome-wem Gosnoldem a Johnem Martinem. Miejsca po obu stronach Wingfielda pozostały puste. Do pełnego składu rady dołączyli jeszcze George Kendall i John Ratcliffe.

Wingfield nie raczył nawet wstać, aby otworzyć posiedzenie. Zresztą wszyscy poruszali się leniwie, aby oszczędzać siły na czekający ich upalny dzień.

- Zebraliśmy się dziś - zagaił Wingfield - aby wydać wyrok w sprawie Francisa Perkinsa.

- Najlepiej zwyczajnie go powiesić! — nie wytrzymał Smith.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Przecież nie tak dawno mało brakowało, a sam zadyndałby na stryczku.

- W Hiszpanii podpatrzyłem skuteczniejszą metodę -

zapropował Kendall.

Martin i Ratcliffe wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ten człowiek wiedział, co mówi, bo spędził dwa lata w niewoli hiszpańskiej podczas wojny z Wielką Armadą.

- Hiszpanie przebijają facetowi język szydłem — opisywał

Kendall. - Do szydła przyczepiona jest linka, której drugi koniec przywiązuje się do drzewa. Oczywiście ręce wiąże się facetowi z tyłu.

- I jak długo taki człowiek umiera? - odpytywał Martin Kendalla.

- Czasem do tygodnia, ale myślę, że w tym upale pójdzie to szybciej.

- Myślę, że to dobra metoda - poparł go Gosnold, dotykając noża przy boku. - Potrzebny jest nam przykład odstraszący innych od kradzieży.

- Kto jest za? - Wingfield rozejrzał się wokoło, ale nie zauważył

głosów sprzeciwu. — A więc dobrze, wykonajmy wyrok jak najszybciej.

- Na jak długo jeszcze wystarczy nam prowiantu? - zmienił temat Smith. Tym samym poruszył najbardziej żywotny dla wszystkich problem.

- Przy oszczędnym gospodarowaniu na cztery tygodnie -

zameldował Martin, odpowiedzialny za racjonowanie żywności.

- A jeśli pan admirał Newport popłynie, jak planował, jutro albo pojutrze do Anglii, to jak długo mniej więcej może to potrwać?

- Około dwudziestu tygodni - odpowiedział oschle Newport.

- Tymczasem będziemy mogli łowić ryby i polować. Lasy są pełne zwierzyny - niecierpliwie skwitował Wingfield. Wstał z pieńka, na którym siedział, i wyniosłym krokiem przechadzał się wśród zebranych.

- Proponuję, abyście, panie, wybrali się z nami na takie polowanie! - podchwycił Smith. - Od strzał tubylców straciliśmy już masę ludzi. Spróbowałbym raczej znaleźć jakieś pokojowo nastawione plemię Indian, żeby pohandlować z nimi. A przede wszystkim spotkać się nareszcie z królem Powhatanem, który może nam to ułatwić. Chciałbym popłynąć w górę rzeki, jak tylko Newport wyruszy do Anglii.

- Jeśli to takie niebezpieczne, to brakuje ci, Smith, piątej kleпки! -

odparował Wingfield, wyraźnie go prowokując.

Smith zignorował tę zaczepkę, wiedząc, że Wingfielda najbardziej ucieszyłoby, gdyby padł od strzał Pasa-pegarów.

Wingfield uznał zebranie za skończone i dał znak marynarzom, aby wyprowadzili Perkinsa na brzeg. Członkowie rady obserwowali, jak czterech ludzi wywlokło go z aresztu. Z rękoma związanymi z tyłu zepchnęli skazańca po trapie do czekającej szalupy. Perkins był wysokim mężczyzną, ale teraz, zgarbiony, powłóczył nogami. Szalupa szybko przybiła do brzegu, po czym wyciągnięto więźnia na ląd.

Gosnold zaproponował członkom rady:

- Najlepiej przy wiążmy go do drzewa na środku głównego placu fortu. Wtedy każdy będzie musiał przynajmniej raz dziennie przejść obok niego.

Kiedy ta propozycja została zaakceptowana, Ratcliffe wysunął

swoją:

— Może by od razu zwołać wszystkich na ten plac? Inni przytaknęli, więc Ratcliffe pobiegł skrzyknąć wszystkich osadników.

Smith przyglądał się śmiertelnie przerażonemu, trupioblademu Perkinsowi i myślał: „Biedny głupiec! Szkoda tylko, że tracimy dobrego rolnika”.

Wingfield zwrócił się zaś do Kendalla:

— Znasz tę metodę egzekucji, więc proszę: teraz marynarze doprowadzą go pod drzewo, a ty założysz mu to szydło.

Na dźwięk słowa „egzekucja” Perkins wrzasnął przeraźliwie, padł na kolana i zaczął błagać o łaskę. Mimo jego protestów marynarze, to popychając, to wlokąc, doprowadzili go na plac w centrum fortu.

Słońce było już wysoko, a poranne mgły opadły. Wokół

potężnego klonu zgromadzili się zarówno oderwani od pracy robotnicy, jak i szlachetnie urodzeni członkowie załogi. Wszyscy ocierali czoła z potu i powłóczyli nogami, wzbijając kurz.

Dołączył do nich także wielebny Hunt w uroczystej czerni, ze swoją książką do nabożeństwa.

Smith z westchnieniem pomyślał, że Perkins nie potrafi umrzeć z godnością. Cóż, w końcu nie był żołnierzem ani marynarzem, tylko prostym chłopem. Żeby chociaż, na miłość boską, przestał płakać i prosić!

Kiedy Wingfield podniósł rękę w górę, zapanowała cisza, przerywana tylko chlipaniem Perkinsa.

— Jak wszystkim wam wiadomo — przemówił — ten oto Francis Perkins został przyłapany na okradaniu

swoich towarzyszy. Tę zbrodnię karze się u nas śmiercią. Mam nadzieję, że jego przykład podziała na tyle odstraszająco, abyśmy nie musieli powtarzać tej lekcji. - Tu zwrócił się do Hunta: - Jeśli ksiądz chce, proszę udzielić mu posługi religijnej.

Wielebny Hunt, położywszy dłonie na głowie Perkinsa, wywołał

tym gestem nową falę jęków. Wystraszony skazaniec próbował

się wyrwać, ale marynarze, mruczając pod nosem, jeszcze bardziej zacisnęli mu więzy. Wielebny Hunt przemówił do niego uspokajająco i uczynił nad nim znak krzyża. Twarz Perkinsa wykrzywiało przerażenie, z kącika ust ciekła ślina, jednak w czasie modlitwy pastora trochę się uspokoił. Kiedy zaś Kendall wystąpił z przygotowanym szydłem, błagalne jęki Perkinsa poczęły odbijać się echem od ścian fortu.

Wszyscy mężczyźni zgromadzeni na miejscu kaźni nieraz w życiu widzieli już śmierć i tortury, ale patrząc na mękę Perkinsa czuli się wybitnie zde gustowani. Był to przecież jeden z nich, tak samo głodny jak i oni. Każdy z nich w chwili słabości mógłby z głodu popełnić takie samo przestępstwo. Nic więc dziwnego, że z tłumu wyrwał się okrzyk:

- Kończcie już, na miłość boską!

Zakończył sprawę jeszcze jeden krzyk bólu udręczonego Perkinsa, kiedy Kendall przebijał mu język szydłem. Marynarze podciągnęli skazańca do pozycji stojącej, przeciągnęli linkę od szydła do drzewa i umocowali ją do pnia.

Zapanowała wtedy dłuższa chwila ciszy. Ktoś z widzów trzepnął

komara, ktoś inny splunął pod nogi. W końcu wszyscy bez słowa odwrócili się i odeszli do swoich zajęć.

Zwykle powieszenie to lżejsza śmierć - myślał

Smith. - Trzeba było jednak dać ludziom przykład. - Odszukał

Gosnolda i położył mu rękę na ramieniu.

- Słuchaj, wyglądasz na zmęczonego. Zróbmy tak: idź teraz na statek i dobrze się wyśpij, a ja za to wieczorem pomogę wam śledzić tych, co okradają groby. Tylko powiedz mi już teraz, kto cię o tym poinformował.

- To Edward Plum, jeden z ochotników. Tylko my trzej o tym wiemy. Rzeczywiście, jestem zmęczony, ale po zachodzie słońca pójdziemy tam razem.

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie - cóż, ubrania mieli mokre, ale za to było im przyjemnie chłodno!

Zresztą wyschną szybko.

- To dobra metoda wydostania się z fortu - zauważył szeptem Gosnold. - Wystarczy przepłynąć pod statkami na drugą stronę.

- Dopiero teraz musimy być ostrożni - ostrzegł Smith. - Dobrze, że księżyc jest na nowiu. Ci, co okradają groby, są tuż przed nami. Musimy mieć ich na oku, ale jednocześnie uważać na Pasapeghów.

Poruszali się bezszelestnie wśród potężnych drzew, a rozgrzane po upalnym dniu listowie i podszybie leśne wydzielало upojne zapachy.

- Może lepiej dajmy sobie spokój? - zaproponował nieśmiało Plum, gdyż najwyraźniej miał ochotę wycofać się z tej akcji.

- Ty, Plum, możesz w każdej chwili wracać do fortu - Smith lekko szturchnął go w ramię. - Im nas mniej, tym mniejszy robimy hałas.

Plum ostrożnie wszedł z powrotem do wody i odpłynął prawie nie poruszając jej powierzchni. Woda rzeki była czarna i nieprzezroczysta, tylko od czasu do

czasu od jej tafli odbijał się jakiś słaby poblask. Pozostali uczestnicy nocnej wycieczki w napięciu obserwowali jasną głowę Pluma na tle wody. Nagle dostrzegli, że z jego skroni pod kątem prostym wystaje strzała. W następnym momencie głowa znikła pod powierzchnią płytkiej, czarnej jak atrament wody.

Wszystko to stało się w ciągu paru sekund.

Smith i Gosnold spojrzeli po sobie. Teraz nie można było już się wycofać. Smith nachylił się do Gosnolda i ledwo dostrzegalnymi ruchami warg wyszeptał:

- Musimy iść naprzód. Wracać tą drogą przez najbliższe kilka godzin to samobójstwo.

Liczył na to, że w takich warunkach nawet tubylcom trudno będzie ich dostrzec. Tym, który strzelał, mógł być pojedynczy myśliwy wracający z nocnej wyprawy. Jeżeli to tylko jeden Indianin - byli względnie bezpieczni, ale jeżeli jest ich tam więcej...

I dlaczego nie strzelano do ludzi, których śledzili? Przecież poruszali się tak niezgrabnie, że słyhać ich było na kilometr!

Właśnie na tej podstawie Smith wnioskował, że to pojedynczy Indianin działał na własną rękę. Może sądził, że biali idą większą grupą i bał się ryzykować w pojedynkę?

- Chodźmy - zachęcił Gosnolda. - Pochylmy się nisko i trzymajmy się drzew.

Serce mu zamierało, gdyż każdy nieostrożny krok mógł

spowodować lawinę trzasków i szmerów. Zdawał sobie jednak sprawę, że ze strachu wyolbrzymia

każdy dźwięk, gdyż ściółka leśna była czysta i miękka. Natomiast obaj z Gosnoldem dobrze słyszeli kroki ludzi idących przed nimi.

Kiedy doszli do ścieżki, łatwiej im było posuwać się naprzód.

Śledzeni mężczyźni poruszali się tak, jakby nie przeszkadzało im, że robią hałas. Najwidoczniej dobrze znali tę drogę. Smith czuł się dziwnie, bo nie widział tropionych przez siebie przestępców, ale za to dobrze ich słyszał.

Już myśleli, że skradają się tak zbyt długo, gdy Smith zauważył, że tropieni mężczyźni stanęli. Ruchem ręki w tył dał znać Gosnoldowi, że prawdopodobnie są u celu wyprawy.

Kiedy ostrożnie podkradli się kilka kroków naprzód, ujrzeni dość dużą polanę. Śledzeni przez nich przestępcy poruszali się powoli między zgrabnymi pagóreczkami ziemnymi, których było około pięćdziesięciu. Rozdzielały je, jakby pilnując nieboszczyków, nieregularnie rozstawione słupy, rzeźbione i malowane, wysokości dorosłego mężczyzny. Gdzieś daleko pohukiwała sowa, ogólnie jednak w lesie panowała cisza. Złodzieje też zachowywali się cicho.

Smith i Gosnold zauważyli, że złodzieje przynieśli worek, który teraz rzucili na ziemię. Wytężali więc wzrok, aby zobaczyć, co stanowi zawartość tego worka. W bladym świetle księżyca dostrzegli, że były to miecze i muszkiety, prawdopodobnie wykradzione z arsenału fortu. Złodzieje złożyli je po jednej stronie indiańskiego cmentarza - najwidoczniej w umówionym z góry miejscu. Poruszali się tak pewnie, jakby nieraz już tu byli.

Trochę postali, zamienili ze sobą parę słów i znów zaczęli penetrować kopce ziemne. Wyglądało to tak, jakby szukali jakiegoś znaku. Smith, mimo że znajdował się w punkcie położonym nieco wyżej niż polana z grobami, nie mógł dostrzec, czego szukali. W końcu zatrzymali się przed jednym kopcem, trochę wyższym od innych, choć może tylko mu się tak wydawało. Cienki sierp księżyca między drzewami dawał

odrobinę cennego światła.

Jeden ze śledzonych przykląkł i zaczął rękami roz-grzebywać ściółkę leśną. Potem Smith i Gosnold usłyszeli odgłos krzesiwa uderzającego w krzemień.

- Rozpalają ogień! - wyszeptał Gosnold, robiąc wielkie oczy.

W świetle słabego płomienia było widać, że złodzieje cmentarni wyciągnęli z worka szpadle i zaczęli rozkopywać wzgórek ziemi.

Jeden z nich zdawał się coś odrąbywać, potem sięgnął do kopca i podał swemu koledze podłużny przedmiot długości około trzydziestu centymetrów. Drugi użył siekiery, aby odrąbać przedmiot o identycznych wymiarach i podać go pierwszemu.

Potem razem narzucili odgarniętą ziemię z powrotem na kopiec i ukleпали go tak, że nie różnił się od pozostałych.

Teraz szybko i dyskretnie wyjęli ze swego worka dwa długie szpikulce, nabili na nie przedmioty wyciągnięte z grobu i wsadzili w żar ogniska. Po krótkim opiekaniu wyciągnęli te rzeczy rękami i żarłocznie wbili w nie zęby. Wraz z dymem zapach tego, co się piekło w ognisku, uderzył w nozdrza zaskoczonoego Smitha.

- Boże Wszechmogący! - wykrzyknął przerażony do Gosnolda. -

Oni jedzą ludzkie mięso ze świeżych grobów!

Następnego ranka Smith i Gosnold, zmęczeni i zdegustowani, omawiali między sobą to, co widzieli w nocy.

- Na pewno wynosili broń dla Pasapeghów - głośno myślał Smith.

- Dlatego mogli tak bezpiecznie poruszać się po lesie. Jednak dałbym głowę, że nie przyznali się przed nimi do okradania grobów.

- Uciekli, bo ich spłoszyliśmy. Nie przypuszczam, aby próbowali wracać do fortu, bo przecież wiedzą, co

ich tam czeka. Może znajdą jakieś plemię Indian, które zgodzi się ich przygarnąć, zatem tymczasem nie musimy się trudzić, żeby ich powiesić. W każdym razie dobrze, że odzyskaliśmy naszą broń.

Gosnold wyglądał na poważnie chorego. Nocny wypad na pewno podkopał jego zdrowie, a niesmak spowodowany tym, co widział, dodatkowo go przygnębił. Smith postanowił więc rozerwać przyjaciela rozmową.

- Newport wypływa jutro do Anglii - zmienił temat rozmowy. —

Wieżie duży ładunek cennych gatunków drzewa i korzeni sasafrasu. Pewnie dobrze je sprzeda, bo ludzie wierzą, że to lekarstwo na syfilis!

Wstał i zaczął zbierać się do odejścia.

- Muszę już iść, bo mamy następne zebranie rady, a przedtem chciałbym się spotkać z Ratcliffem i Martinem. Mamy jeszcze jedną sprawę do omówienia. Odpocznij trochę, stary!

Idąc na posiedzenie rady Smith minął Perkinsa, przybitego za język do drzewa. Wilgotne powietrze tłumilo jego jęki. Każdy zdrowy mieszkaniec fortu musiał kilka razy dziennie przejść obok niego i dobrze - ta powolna śmierć odstraszy innych od łamania praw ustanowionych przez Kompanię Wirgińską.

Smitha zdumiewała pomysłowość tej setki mężczyzn stłoczonych na zamkniętej przestrzeni. Stanowczo potrzeba było więcej dyscypliny!

Przy prowizorycznej kaplicy czekał już na niego John Martin, potężnie zbudowany brunet. Na jego szerokiej twarzy odbijało się zatroskanie. Nie tracąc czasu na grzeczności, przystąpił od razu do

sedna sprawy.

- Słuchaj, John, podejrzewamy, że George Kendall jest hiszpańskim szpiegiem.

Smith parsknął śmiechem. Jeden z członków rady nadzorczej szpiegiem? Nieprawdopodobne!
Chociaż, po wydarzeniach ostatniej doby... kto wie?

- Dobrze ci się śmiać! dorzucił, wyraźnie zdenerwowany, Ratcliffe. Gdyby Hiszpanie zaatakowali nas teraz, po odpłynięciu

„Susan Constant”, wybiliby nas do nogi!

Smith w zamyśleniu przeczesywał brodę palcami. Tak, pojawiły się dodatkowe komplikacje!
Hiszpanie mogliby zrównać fort z ziemią, i to tak, że nikt nie posądziłby ich o związek z tą sprawą.

Wystarczy, jeśli wejdą w porozumienie z Pasapeghami, dostarczą im broń oraz dadzą odpowiednie instrukcje. Wtedy wykonają całą brudną robotę rękami Indian.

- Jeśli to prawda, problem rzeczywiście jest poważny — zgodził

się. — Czy ktoś zauważył jakieś hiszpańskie okręty?

- Na szczęście jeszcze nie - odpowiedział Martin.

- A czy jeszcze ktoś podejrzewa Kendalla?

- Kował, James Read - wyjaśnił Ratcliffe. — Wprawdzie wielu z nas obserwowało Kendalla, ale tylko Read trzy razy przyłapał go na rozmowie z jakimś wojownikiem Pasapeghów. To było wtedy, kiedy przybyli tu z rzekomo pokojowymi zamiarami. Poza nim nikomu z nas nie udało się nawiązać z nimi jakichkolwiek kontaktów.

Smith ustosunkował się do tego sceptycznie. Martin nie wiedział

nic o spostrzeżeniach, jakie poczynili wczoraj z Gosnoldem.

Możliwe, że Pasapeghowie mieli więcej swoich współpracowników wewnątrz fortu, niż ktokolwiek mógł

przypuszczać.

- Na tej podstawie trudno podejrzewać Kendalla o szpiegostwo -

wyraził wątpliwość.

- Tak, ale to nie wszystko. Read znalazł w jego rzeczach zaszyfrowany list!

Teraz dopiero Smith zaczął się naprawdę martwić. Kendall uczestniczył w posiedzeniach rady

nadzorczej i był

wtajemniczony we wszystkie plany. Gdyby podejrzenia Reada okazały się słuszne, oznaczałoby to, że osadnicy, oprócz wrogo nastawionych Indian, głodu i chorób, mieli dodatkowy jeszcze problem - Hiszpanów. A powszechnie wiadomo było, że Hiszpania miała zamiar zawładnąć całym wschodnim wybrzeżem Nowego Świata, od Nowej Fundlandii po Florydę.

- Jesteśmy pewni - ciągnął dalej Martin - że Kendall będzie próbował przekazać przez Newporta wiadomość przedstawicielowi Hiszpanii w Londynie.

- Jeśli tak - zamyślił się Smith - to musimy przejąć ten list, zanim Kendall wręczy go Newportowi. Jeżeli znajdziemy coś podejrzanego, trzeba będzie zakuć Kendalla w kajdany, a wtedy dowiemy się prawdy.

Rozdział 9

Kąpielowa zatoczka wielkiego wodza,

sierpień 1607 roku

Pocahontas musiała znów dobrze przyjrzeć się Kokumowi, bo ojciec wybrał go dla niej na męża. Wiedziała, że małżeństwo to miałoby duże znaczenie polityczne. Poza tym Kokum był bardzo przystojny, a dla niej, odkąd wróciła do Werowocomoco, nadzwyczaj uprzejmy i miły. Tylko to coś niepokojącego w wyrazie jego ust! Nie wiedziała dokładnie, co jej w tym przeszkadza, ale wyczuwała jakby pewien chłód. Tymczasem spodziewano się po niej, że spędzi z nim noc, co miałoby oznaczać zaręczyny. Ona jednak bała się uczynić pierwszy krok.

Czego właściwie się bała? Jakiejś pułapki? Ale jakaż w tym mogłaby być pułapka? A może bała się, że ciało wymknie się jej spod kontroli, gdy poczuje pociąg do tego człowieka, z którym duchowo nic jej nie łączyło? Odczuwała jednak przyjemność, kiedy z nią tańczył lub tylko jej dotykał. Nawet teraz, kiedy siedziała w gronie rodziny i przyjaciół, na samą myśl o nim jej sutki nabrzmiwały i twardniały. Wystarczyło, że był blisko lub tylko czuła jego zapach...

Szkoda, że nie jestem zwykłym zwierzęciem leśnym -myślała. -

Nie nachodziłyby mnie wtedy takie dziwne niepokoje.

Chciałabym móc sparzyć się z nim, aby wypełnił mnie swoim nasieniem, ale tak, aby moja dusza

nie miała z tym nic wspólnego. Nigdy dotąd nie przeżywałam takich sprzeczności!

Ojciec Kokuma, wódz plemienia Chickahominów, miał dosyć trudny charakter. Wydawało mu się, że wzniecanie niepokojów ugruntuje jego władzę. Kiedy Powhatan i pomniejsi wodzowie w jego państwie planowali jakieś wspólne przedsięwzięcie - do Chickahominów trzeba było wielokrotnie wysyłać delegacje, ponaglenia, a czasem posunąć się do groźby, aby podporządkowali się wspólnym ustaleniom.

Teraz wielki wódz uśmiechał się zachęcająco do Pocahontas.

Wiedziała, że ten uśmiech oznacza: „No, dalej z tym!

Przynajmniej spróbuj!" Odwzajemniła ojcu uśmiech i zastanawiała się, czy tylko jej się zdaje, że jej bracia i siostry też czekają, aby poszła z Kokumem.

Ojciec zabrał głos:

- Pocahontas, z tej okazji pozwalam ci skorzystać z mojej prywatnej zatoki od dzisiejszego południa do jutra rana.

Oczy wszystkich skierowały się najpierw na wielkiego wodza, a potem na Pocahontas.

Sam popycha mnie w jego objęcia - pomyślała. -Nikt poza ojcem i jego żonami nie widział jeszcze tej zatoki. Tym razem nie mogę odmówić!

Uśmiechnęła się więc i nie pokazując po sobie swojej rozterki wewnętrznej, odpowiedziała grzecznie:

- Jak miło z twojej strony, ojcze! To my już pójdziemy...

Byli już akurat po obiedzie, więc odwróciła się w stronę Kokuma, a on wstał razem z nią. Czuła się dziwnie ociężała, natomiast Kokum poruszał się z takim samym wdziękiem jak zawsze.

Kiedy dotknął jej ramienia, poczuła się jeszcze gorzej. Za nimi, w pewnym

odstępie, szło dwóch wartowników, mających zagwarantować im pełną intymność. Pocahontas wolałaby, żeby tyle osób nie przyglądało się, jak odchodzą razem, ale zwyczaj nakazywał, aby pierwsze intymne spotkanie narzeczonych odbywało się w takiej asyście. Wiedziała, że gdy tylko znikną ludziom z oczu, zaraz zaczną się plotki, pieprzne komentarze i aluzje. Potem będzie trochę muzyki, śpiewu i tańce - nie tak huczne jak na weselu, ale zaręczyny też są małym świętem. Kapłani odmówią specjalną modlitwę na intencję tego, aby ten związek od razu wydał

owoce...

Do zatoki wodza było ponad kilometr, a w południe panował

największy upał, toteż wolno szli ścieżką. Kokum coraz to pieszczotliwie muskał jej szyję lub wodził palcem między łopatkami. Pocahontas miała świadomość, że jeśli jej nogi wydadzą się jeszcze cięższe, to chyba wrosną w ziemię. Co jakiś czas wyciągała rękę, aby zerwać szczególnie ładny kwiatek, a wtedy Kokum zabierał go od niej i łaskotał nim jej piersi lub wargi. Widać zasłyszane w domu kobiet babskie plotki o Ko-kumie były szczerą prawdą.

Na brzegu zatoczki, przy którym zachęcająco pluskały fale, strażnicy dyskretnie się wycofali. Kokum pociągnął ją wtedy na trawę i zaczął leniwie wodzić palcami po jej ramionach, to w górę, to w dół. Spoglądał przy tym z uśmiechem na jej piersi, a jej się wydawało, że powoli wciąga ją do ciepłej

wody. Nieco się odprężyła, ale wciąż jeszcze odczuwała dziwną ciężkość. Kokum przez chwilę się jej przyglądał, po czym nachylił się jej do ucha i szepnął:

- Chodź, odpocznijmy, dopóki się nie ochłodzi. Tu, na tych gałęziach, będzie nam wygodnie.

Wspiął się na nisko zwisające gałęzie drzewa i podał

jej rękę, aby weszła tam za nim. W rozwidleniu trzech gałęzi umościł przytulne pościelenie i Pocahontas poczuła, jak palce Kokuma wędrują po jej nogach, od kostek w górę. Jednocześnie jego usta przesuwają się po jej plecach i pod pachami. Kiedy ją pieścił powolnymi ruchami, poczuła się tak, jakby spowijał ją kokon ciepłego powietrza.

Z każdym jego dotknięciem odprężała się coraz bardziej. Własne ciało nie wydawało się jej już tak ciężkie - czuła tylko przyływ przyjemnego znużenia. Jego łagodny dotyk wydawał się wszechobecny i odpowiadał na każdą reakcję jej ciała. Teraz czuła się jakby zawieszona w powietrzu, gdzie jedynymi punktami oparcia były jego ciepłe usta i delikatne palce.

Pragnęła, aby to wrażenie unoszenia się, wraz z narastającym pożądaniem, trwało wiecznie. Na jej ciele nie było ani jednego miejsca, którego by nie odkrył i nie pobudził czułymi dotknięciami, dopóki nie uniosła się na falach rozkoszy aż do krawędzi świadomości.

Następna, wstępująca fala doznań zmysłowych wstrząsnęła jej ciałem w spazmie pełnego oddania. A przecież to nie było wszystko, na co go stać! Kiedy odwróciła się ku niemu, w otaczającej ciemności błyszczały jego oczy, a na wargach błąkał

się półuśmiech.

- Śpij teraz, Białe Piórko - szepnął jej czule do ucha. - Potem będzie jeszcze lepiej!

Pocahontas rozbudzała się powoli i zachodziła w głowę, czy w ogóle kiedyś czuła jeszcze coś innego oprócz tego powoli narastającego pożądania. Znowu czuła wszędzie dłonie i usta Kokuma. Tym razem poniosł ją, na pół śpiącą, na zielony dywan mchu. Podniósł piórko, które musiała zgubić przed

kilkoma godzinami, choć jej godziny te wydawały się wiekiem. Tym piórkiem zaczął wodzić po jej ciele, i tak już rozgrzanym i podatnym na jego pieszczoty, dopóki nie uniosła się i nie pociągnęła go ku sobie.

- Proszę... wyszeptała, lecz on już przesuwał wargi po jej piersiach, powoli, z ociąganiem się, aż nie mogła wytrzymać dłużej tego napięcia i ostateczne rozładowanie przyniosło jej ulgę. Potem czuła, jak znowu zapada w półsen, ze świadomością, że nie rządzi już własnym ciałem, które całkowicie zdominował

ten mężczyzna.

Ocknęła się ponownie, nie pamiętając, jak długo tym razem spała. Wciąż odczuwała rodzaj przyjemnego oczekiwania i miała wrażenie, że ten stan już zawsze będzie jej towarzyszył. Ze snu wyrwały ją lekkie ruchy jego warg błędzących po jej brzuchu i między nogami. Znajdowała się teraz

na takim etapie, że każde dotknięcie odczuwała w sposób zwielokrotniony i wydawało jej się, że najwyżej jeden taki ruch dzieli ją od szczytowej, rozedrganej rozkoszy...

Zapadła w półsen, a kiedy znów się rozbudziła, niebo nie było już niebieskie, tylko aksamitnie czarne. Ułamkiem świadomości zastanawiała się, kiedy zdażył zapaść zmrok, ale głównie docierały do niej tylko uderzenia fal o brzeg i miękkość piasku pod nią. Jej własne ciało jakby nie należało do niej, tylko do tego mężczyzny, który grał na nim jak na flecie.

W chłodzie nie była już tak rozgrzana, ale gdzieś głęboko wewnątrz czuła stale utrzymujące się pożądanie, jakby głód, tak silny, że nie wiedziała, jak to wytrzymać. Nigdy nie prosiła nikogo o nic, ale teraz przyłapała się na tym, że w myślach prosi o zaspokojenie tego pożądania. Czuła obecność Kokuma, który wciąż

pobudzał jej ciało, a ona coraz bardziej poddawała się jego mocy.

Słyszała własne jęki jakby dochodzące z daleka i zastanawiała się, czy to się kiedykolwiek skończy. W duchu modliła się do Ahone, gdy poczuła, jak najpierw powolnymi, potem coraz bardziej rytmicznymi ruchami wchodzi w jej wnętrze. Te ruchy, w połączeniu z delikatnymi uderzeniami fal o jej nogi, sprawiły, że przyłgnęła do niego, jakby był jedynym materialnym obiektem w świecie rozedrganych zmysłów.

W ciemnościach nocy Pocahontas niczego nie widziała ani nie słyszała. Miewała przyływy i odpływy świadomości, w czasie których raz czuła pod sobą kamyki, innym razem mech, trawę lub wodę sięgającą piersi. Leżąc na piasku, krzyczała z rozkoszy, gdy jej ciało prężyło się w ekstazie. Wszystkie jej zmysły były nastawione na intensywną reakcję w rytmie nadawanym przez pożądanie i zaspokojenie.

Dopiero z pierwszymi promieniami jutrzeńki Ko-kum i Pocahontas przestali stanowić jedną całość. Czekał, aż narzeczona się rozbudzi, po czym wziął ją za rękę i powoli poszli tą samą ścieżką z powrotem. Wtedy Pocahontas uświadomiła sobie, że w końcu wcale nie zobaczyła zatoki.

Wielki wódz patrzył już innym wzrokiem na swą ukochaną córkę.

Pocahontas zauważyła, że zaczął ją również inaczej traktować -

już nie jak młodą dziewczynę, ale jak dojrzałą kobietę.

Zastanawiała się, czy to aż tak po niej widać.

— Pocahontas, zapomnij teraz o Tassentasach. Chciałbym, abyś zanim formalnie poślubisz Kokuma,

zajęła się ściąganiem należności od podległych mi plemion. A kiedy urodzisz pierwsze dziecko, nadam ci wyższą rangę. Jeszcze żadna z moich córek nie została *weroansqua*, ale uważam ciebie za najmądrzejszą i pokładam w tobie największe nadzieje. Myślę, że wkrótce będziesz mogła objąć władzę we własnym państwie.

- Dziękuję, ojczcie. To bardzo ładnie z twojej strony - odrzekła z uśmiechem, ale dreszczem

przejmowała ją raczej ta władza, jaką Kokum miał nad jej ciałem. Tylko jak mogła wytłumaczyć ojcu, że chociaż Kokum był tak czuły i troskliwy, miał w sobie coś, co ją przerażało? Jak opisać, że wystarczy, aby dotknął jej płątką usznego, a już czuła potrzebę rzucenia mu się w ramiona? I przy tym wszystkim odczuwała tylko olbrzymią satysfakcję fizyczną, nic więcej. Gdzieś w najskrytszych zakątkach jej duszy czaił się lęk przed nowym dla niej odczuciem, że ten człowiek wzmacnia w niej rozdziwienie na część fizyczną i duchową. Spróbowała więc wykrętu:

- Ojczy, wydaje mi się, że powinnam najpierw zakończyć zbieranie wiadomości o Tassentasach. Mogą ci się one bardzo przydać.

- Ależ, Pocahontas, dlaczego nie chcesz raczej zostać z Kokumem? Czy nie zadowolili cię jak należy?

W myśli Pocahontas przyznawała mu rację. Już po ich pierwszej wspólnej nocy, jak i w czasie rytualnej kąpieli porannej i modlitw do Ahone, miała świadomość, że dobra opinia, jaką miał u kobiet, była w pełni uzasadniona. I ona sama, i wszyscy w pobliżu widzieli, jak się zmieniła po tej nocy. Czy będzie to dziś wieczorem, czy kiedy indziej - ilekroć Kokum przyjdzie do niej i położy rękę na jej piersi, będzie mógł mieć ją całą. Musi więc odejść, jeśli nie chce stać się jego niewolnicą. Głośno jednak powiedziała co innego.

- Tak, ojczy, ale na przyjęcie moich nowych obowiązków mam jeszcze sporo czasu. Dostarczyłam ci już cennych wiadomości o tych cudzoziemcach, ale to wszystko mało. Chciałabym nauczyć się lepiej ich języka, aby móc się dowiedzieć jak najwięcej.

Przyda mi się to w przyszłości, kiedy zostanę tą *weroansquq*.

Powhatan uśmiechnął się, a Pocahontas wyczuła, że jest na dobrej drodze do zwycięstwa. W pełnym szacunku milczeniu czekała więc, co teraz powie ojciec.

- Pocahontas, ty zawsze znajdujesz ważne powody, żeby przeprowadzić to, co zamierzasz. Nie mam ci za złe, że chcesz się uczyć ich języka, ale mylisz się, jeśli ci się wydaje, że to spokojni ludzie, którzy chcą tylko zwiedzić nasz kraj, pohandlować z nami, a potem wracać do siebie. Obawiam się, że przyjedzie ich tu więcej, toteż wolałbym wypędzić ich tam, skąd przyszli.

Dlatego poleciłem Pasapeghom, żeby ich nękali, i mam zamiar to robić dalej. Możesz jeszcze raz do nich pojechać, ale wracaj szybko, bo mamy tu ważniejsze prace do wykonania.

Pocahontas rzuciła się, aby dziękować ojcu.

- Och, ojczy, jak się cieszę, że zrobiłeś to dla mnie! Wezmę z sobą tych samych ludzi, co zawsze, i rozbiję obóz tam, gdzie przedtem.

Wiem już, czego ode mnie oczekujesz, więc wyruszę jak najszybciej.

Prawda była taka, że chciała jak najszybciej uciec od Kokuma.

Czy raczej - chciała odwlec jak najbardziej to, co nieuniknione.

Wolała wrócić do Tassentasów i próbować nauczyć się od nich jak najwięcej, bo to dawało jej poczucie własnej wartości. Była za to wdzięczna temu mężczyźnie, który wyglądał jak wysłannik boga niebios i był dla niej taki miły. Chciała

znów zobaczyć Johna Smitha, który tyle ją nauczył, a jego oczy, jak oczy boga nieba, sprawiały, że czuła się bezpieczna.

Musi jeszcze tylko spędzić jedną noc z Kokumem. On też nie będzie zadowolony z jej wyjazdu, ponieważ imponuje mu, że ma władzę nad jej ciałem. Sama myśl o tym, co będzie z nią robił tej nocy, przyprawiała ją o drżenie kolan. Gdybyż mogła powiedzieć o tym z siostrami lub ojcem! Niestety, Powhatan już nastawił się na to małżeństwo. Uważa, że znalazł odpowiedniego człowieka, który uczyni jego córkę szczęśliwą i zarazem wzmocni jego władzę. Może po urodzeniu dziecka coś się zmieni. Ojciec zazwyczaj oddalał swe żony, kiedy urodziły mu pierwsze dziecko. Może więc Kokum postąpi podobnie?

Pocahontas próbowała odpędzić od siebie natrętną myśl, że Kokum jest wcielonym diabłem. Tak, to było sedno sprawy!

Okeus musi mu sprzyjać i pomóc mu rzucić na nią zły czar.

Rodzeństwo rozbiło obóz przy tym samym, nie używanym już wilczym barłogu. Panowały akurat takie upały, nie tylko za dnia, ale i nocami, jakby bóg ognia manifestował tym sposobem swój gniew.

Pocahontas zabrała z Werowocomoco trochę kukurydzy, bo wiedziała, że Tassentasów cieszą takie podarunki. Po długiej nieobecności nie chciała się pojawiać u nich z pustymi rękami.

Pragnęła też przypodobać się dziwnemu bogu białych, którego uosobieniem miał być ten brzydki, podłużny stół na czterech nogach. Kiedy jednak, w czasie ostatniego pobytu w Jamestown, przyniosła na ofiarę dla niego kreta i dwie ropuchy - ich kapłan zareagował na to przerażeniem. Potem rozpacz-

liwie usiłował wytłumaczyć jej, że chrześcijański Bóg nie wymaga ofiar ze zwierząt.

Tym razem, gdy Pocahontas weszła do fortu z Secoti-nem, Pamouikiem i wojownikami niosącymi ziarno kukurydzy -

zaskoczyła ich panująca cisza. Kiedy się rozejrzała, zauważyła kilka znajomych twarzy, lecz ogólnie jakby mniej ludzi wykonywało codzienne obowiązki. Była ciekawa, gdzie się podziała reszta. Zatrzymała więc oficera, którego nazwisko -

John Martin - zdołała zapamiętać. Wydawał się zaskoczony pojawieniem się jej wraz z świtą. Przywitała go i zagadnęła, gdzie może znaleźć Johna Smitha.

— Jest w domu zebrań, przy swoim przyjacielu Gosnołdzie, który jest bardzo chory - wyjaśnił oficer.
— Mamy teraz dużo chorych.

Pocahontas pospieszyła do wskazanego budynku, lecz już w progu zatrzymał ją specyficzny odór choroby. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z czymś podobnym. W państwie jej ojca chorych zanoszono

do łaźni parowej, aby wypocili z siebie gorączkę.

Przypomniała sobie jednak, że biali nie mieli czegoś takiego.

Dostrzegła Smitha, jeszcze zanim on ją zauważył. Schudł, a od słońca ściemniała mu skóra i spłowiały włosy - teraz przypominały barwą raczej dojrzałą kukurydzę niż wschód słońca. Ale oczy nadal miał takie jak bóg nieba. Na widok Pocahontas uśmiechnął się radośnie i szybko, omijając chorych leżących na podłodze, wziął ją za rękę i wyprowadził na zewnątrz.

Przyglądał się jej tak uważnie, że Pocahontas pomyślała, iż pewno i on dostrzegł już jej przemianę w kobietę. Usiedli na tej samej kłodzie drzewa, na której uczyli się nawzajem swoich języków. Patrząc na niego czuła się tak jak wtedy, kiedy chodziła na łąkę

oddawać się marzeniom - wierzyła, że nie może się stać nic złego.

Rozmawiali częściowo po angielsku, trochę w języku Powhatanów, a częściowo na migi. Pocahontas jednak starała się używać głównie angielskiego, w czym przydawała się jej dobra pamięć. Smith opowiedział jej, że jego ludzie masowo chorują na bagienną gorączkę, a Gosnold wygląda, jakby miał nie przeżyć dnia. Poinformował ją też, że osadnicy cierpią straszliwy głód/

Newport, ten z jedną ręką, popłynął do Anglii po nowy ładunek żywności, ale nie wróci przed porą śniegów. Pocahontas odniosła wrażenie, że podobnie jak jej ojciec mówił już do niej tak jak do dorosłej osoby.

- Przynieśliśmy wam trochę kukurydzy - wskazała gestem na swoich wojowników stojących u bram fortu. - Gdybym wiedziała, że twoi ludzie są głodni i chorzy, spróbowałabym przynieść więcej.

Spytała też, dlaczego w forcie nie ma łaźni parowej dla chorych.

Ponieważ Smith nie wiedział, co to jest, wytłumaczyła mu, że to taka szczelnie zamknięta chata, w której rozpala się suty ogień, a na nim podgrzewa wodę w wielkich kotłach. Gotująca się woda wytwarza parę, w której chorzy mogą się wypocić. Widząc, że Smith nie słyszał o takiej metodzie leczenia, spytała, jakich ziół i korzeni używają do kuracji chorych. Wprawdzie przyznał, że nie używali dotąd żadnych, ale z wyrazu jego twarzy Pocahontas wywnioskowała, że ta metoda leczenia nie jest mu obca.

Na jej prośbę zaprowadził ją z powrotem do domu zebranych, aby mogła przyjrzeć się chorym. Leżało tam ciasno, jeden przy drugim, około dwudziestu pięciu ludzi, jedni na materacach, inni na gołych deskach.

Niektórzy jęczeli lub miotali się w konwulsjach, ale przeważnie byli zbyt osłabieni, aby się ruszać. Ich ciała były wzdęte i pożółkłe lub przeciwnie - wychudzone i poszarzałe. Woń choroby w połączeniu ze smrodem nie mytych ciał przyprawiała Pocahontas o mdłości, ale przezwyciężyła się i podeszła do Smitha pochylonego nad Bartholomewem Gosnoldem.

Wiedziała, że był to jego najlepszy przyjaciel. Patrząc na Gosnolda, czuła, że nie pożyje on już długo. Leżał z zamkniętymi oczami, twarz miał szarą jak popiół, a wychudzony był tak, że sterczały kości.

Dotknęła lekko ręką ramienia Smitha.

- Poślę po moje siostry, które zostały w obozie. Może mają ze sobą korzenie rośliny *wighsan*, a jeśli nie, to je znajdą. Musimy zrobić z nich wywar i jak najszybciej podać tym ludziom. Trzeba także ich umyć i wyprać odzież.

Pobiegła do Pamouica, aby wysłał któregoś wojownika po siostry. Secotina zaś poprosiła, aby razem z dwoma innymi wojownikami rozpalili ogień i nagrzali duży kocioł wody.

Tymczasem próbowała sobie przypomnieć, jakich ziół używa się w takich przypadkach. Dawno, przed wieloma śniegami, w Werowocomoco zachorowało dwóch ludzi, z których jeden umarł. Wtedy stare kobiety nauczyły Pocahontas stosowania ziół

lecniczych.

Kiedy wróciła do Smitha, znów stał pochylony nad swoim przyjacielem Gosnoldem. Zobaczyła, że skrzyżował mu ręce na piersi i zamknął powieki.

Oni robią ze zmarłymi to samo, co my - zauważyła Pocahontas. -

I modlą się też tak samo. Widać nasi bogowie nie różnią się wiele od siebie.

Smith odwrócił się do niej. Teraz wyglądał inaczej

niż zawsze - jego błękitne oczy były zamglone, a ramiona opuszczone. Trwało to jednak krótko, bo po chwili wyprostował

się i rysy jego twarzy ponownie stężały. Skinął na któregoś ze stojących w pobliżu oficerów, aby wydać mu rozkazy co do dalszego postępowania.

Mimo upału i palącego słońca Pocahontas i jej siostry wytrwale uwijały się przy chorych. Myły ich, poiły gorzkim odwarem z ziół i prały brudne rzeczy. Najchętniej spaliłyby te szmaty, a w zamian dostarczyły czyste ubrania ze skór, ale Smith wytłumaczył im, że dla białych ludzi strój ma duże znaczenie, bo symbolizuje ich rangę i pozycję społeczną. Pocahontas zastanawiała się, gdzie na tych śmierdzących łąkach widać oznaki pozycji społecznej, ale zdążyła się już przyzwyczaić do różnych dziwactw Tassentasów.

Dzień po dniu Pocahontas wczesnym rankiem przybywała do fortu wraz ze świtą, aby nadzorować przyrządzanie posiłku dla chorych. Potem zabierała się do ich pielęgnacji. Co rano Smith czekał na nią, aby jej oznajmić, co nowego wydarzyło się tej nocy. Jej też coraz bardziej spieszo było do niego.

Przegotowana woda do picia, wywar z korzenia *wighsan* i pożywne potrawy z mączki kukurydzianej robiły swoje. Wprawdzie na cmentarzu wyrosło czterdzieści świeżych grobów, ale ci, którzy przeżyli chorobę, szybko nabierali ciała i chęci do życia.

Nic więc dziwnego, że na Pocahontas i jej siostry spoglądano teraz z wdzięcznością. Nazywano ją „małą księżniczką”, na każdym kroku pozdrawiano i oferowano pomoc, gdzie tylko było to możliwe. Została niekwestionowanym przywódcą tych ludzi.

Dzięki niej osadnicy znów nabrali zaufania do Indian.

Pocahontas tak się pogrążyła w pracy wśród chorych i głodujących, że zapomniała o swoich obowiązkach względem ojca. Między nią a tymi cudzoziemcami, którzy traktowali ją z równą życzliwością i szacunkiem jak własni rodacy, wytworzyło się coś w rodzaju więzów krwi. Uśmiechali się do niej, uczyli nowych angielskich słów, co było tym ważniejsze, że nie miała już czasu odbywać lekcji ze Smithem. Z nim jednak rozumiała się już bez słów. I co ciekawe, mimo ciężkiej pracy przy chorych, czuła się tak szczęśliwa jak nigdy przedtem. Obyczaje białych już nie wydawały jej się dziwne, mało tego, wytworzyła się między nimi jakaś naturalna harmonia. Czegoś takiego nie odczuwała nawet w czasie polowań z braćmi.

Kiedy o zachodzie słońca wracała do obozu zmęczona, lecz wesółą, dziękowała bogom za możliwość odroczenia jej małżeństwa i związanych z tym obowiązków. A im lepiej się czuła w nowej roli, tym bardziej pragnęła, aby tak właśnie wyglądało jej życie. Czy nie dałoby się zrobić tak, aby mogła pozostać wśród białych i pomagać im, a jednocześnie zachowywać się lojalnie wobec ojca, nie wychodząc jednak za Kokuma? Wiedziała, że to niemożliwe, ale w głębi serca bardzo tego pragnęła. W doniesieniach słanych ojcu wyrażała się o Tassentasach bardzo pozytywnie. Natomiast jego odpowiedzi stawały się coraz bardziej suche i lakoniczne.

Któregoś dnia, kiedy upał nieco zelżał, kucharz z fortu zameldował, że kończy się kukurydza. Pocahontas po naradzie z braćmi i siostrami zdecydowała, żeby udzielić Tassentasom informacji, które z okolicznych plemion są przyjaźnie nastawione i chętne do handlu z nimi. Smith miał rację - nie można było już dłużej uszczuplać zapasów Pochinsa!

Secotin zwrócił uwagę, że czas najwyższy, aby nauczyć Tassentasów skutecznych metod polowania i połowu ryb. Teraz, kiedy wracali już do zdrowia, przydałoby im się świeże mięso po jednostajnych posiłkach z kukurydzy. Secotin dodał jednak z pewną dozą złośliwości:

- Oni są tak niezgrabni i mają tak kiepską pamięć, że mogą mieć trudności z zarzucaniem sieci na ryby i zakładaniem sideł.

- Nie zapominaj, że pochodzą z innej strony świata - broniła białych Pocahontas. - Nie są też tak zdrowi i silni jak my.

Kiedy słońce skryło się już za lasem, odszukała Smitha i spotkali się w swoim zwykłym miejscu - na kłodzie przy kaplicy.

- Kończy nam się kukurydza - oświadczyła. - Powiem ci teraz, od których z naszych plemion będziecie mogli ją kupić. Już dwa razy prosiłam ojca o kukurydżę. Dał mi ją, bo myślał, że to ja jej do czegoś potrzebuję, ale więcej nie mogę już się do niego zwracać. Ojciec ma trochę trudny charakter.

- Wiem o tym.

- Trzymajcie się z daleka od Pasapeghów, Weano-ków i Chickahominów. Chiskiakowie, Quioughcoha-nokowie i Warasqueokowie powinni być przyjaźni. Tylko uważajcie, nie oferujcie im za dużo. Za dziesięć koszy kukurydzy wystarczy jeden miecz, za dwadzieścia- sznur paciorków. I nie wzbraniajcie się, jeśli zechcą urządzać przyjęcia na waszą cześć lub ofiarowywać kobiety na noc. Gdybyście to odrzucili, obraziliby się śmiertelnie.

Następnie Pocahontas podała mu krótką charakterystykę poszczególnych plemion. Nauczyła Smitha, jak odróżniać przyjaźnie nastawionych Indian od nastawionych wrogo i jak się zachowywać, aby niechcący nie obrazić swoich gospodarzy.

Jakby tego jeszcze było mało, Smith nachylił się ku niej:

— Pocahontas, chciałbym spotkać się z wielkim królem, twoim ojcem!

- To da się zrobić, ale takie spotkanie musi być bardzo starannie przygotowane. Powiedziałam ci, że to człowiek ciężki we współżyciu. Jestem tu już prawie całą zmianę księżyca... miesiąc, jak wy mówicie -z uśmiechem użyła nowego słowa, którego się nauczyła. - Muszę teraz wracać do ojca i powtórzyć mu, czego się o was dowiedziałam. Wtedy spróbuję zorganizować takie spotkanie, ale uprzedzam, że on niezbyt dobrze wam życzy.

Przynajmniej na razie.

Kiedy spojrzał na nią, zobaczyła w jego oczach coś, czego dotąd nie widziała. To coś sprawiło, że ścisnęło ją w żołądku, w palcach poczuła mrowienie, a oddech stał się szybszy.

— Uratowałaś nam życie, Pocahontas. Żałuję, że musisz odejść.

Dotknął lekko jej ręki, a ona poczuła drżenie na całym ciele.

Stwierdziła, że nie może oderwać oczu od niego, jakby zapadała się w błękitną głębię jego oczu. Jego spojrzenie działało na nią paraliżująco. A kiedy posunął się dalej i pogładził ją po policzku, odgarniając z niego włosy — poczuła, że za chwilę może zasłabnąć.

Znienacka tuż przy nich odezwał się czyjś głos, aż odskoczyli przerażeni.

- Przepraszam, panie kapitanie, ale miałem się zameldować po zachodzie słońca przy magazynie.

Przed nimi stał na baczność cieśla, Lowery. Smith dał

mu znak, aby chwilę poczekał. Kiedy cieśla usunął się z pola widzenia, Smith znowu zwrócił się do Pocahontas.

- Tutaj trudno jest porozmawiać na osobności, ale chciałbym ci jakoś dać do zrozumienia, jak bardzo jestem ci wdzięczny za ratunek. Wdzięczny to mało - na całym tym lądzie nie ma drugiej takiej jak ty!

Idź teraz do ojca, bo jesteś mu potrzebna, ale wracaj szybko do nas, bo i my cię potrzebujemy. -
Zniżył głos i dodał: -I ja chciałbym cię znów zobaczyć!

Pocahontas nie mogła oderwać od niego oczu.

Muszę już iść! - nakazywała sobie - ale tylko tutaj, przy nim, jestem naprawdę szczęśliwa.

Po długiej chwili była w stanie odwrócić się w inną stronę, ale nie mogła wykrztusić ani słowa. Nie było to zwykłe ścisnięcie w gardle, ale dziwne uczucie, jakby na jej ustach spoczywała niewidzialna ręka. Po plecach powiało chłodem - czyżby było to ostrzeżenie od złego ducha Okeusa?

Rozdział 10

Na rzece,

grudzień 1607 roku

Drobne fale łagodnie pluskały wokół szalupy tnącej wodę rzeki.

Smith rozsiadł się, jak mógł najwygodniej, na chwiejnej łupince, przykrywając nogi futrem. Postanowił, że jutro spróbuje wymienić ją na indiańskie czółno, dużo mocniej zbudowane i bardziej sterowne. Żeby tylko Indianie chcieli mu jakieś odstąpić!

Woda była lodowata, nawet błękit nieba nabrał jakiejś bardziej zimnej tonacji. Z drzew opadła większość liści, tylko tu i ówdzie zachowały się ich barwne plamy. Jesienią osadnikom udało się przeprowadzić wiele pomyślnych transakcji i nabyć żywność od kilku plemion żyjących w sąsiedztwie. Okazało się, że Pocahontas w drodze powrotnej do domu złożyła wizytę wodzom tych plemion i przetarła szlak Anglikom. Ale minęły już cztery miesiące, a ona wciąż się nie pojawiała. Smith przyłapywał się na tym, że każdego ranka oczekiwał jej przybycia, a kiedy się nie pojawiała, odczuwał rozczarowanie. Nie tylko tęsknił za nią, ale też chciał wrócić do rozpoczętej kiedyś rozmowy o jej ojcu.

W końcu zdecydował się wyruszyć na własną rękę. Chciał trafić na ziemie Powhatan i spróbować samemu dostać się przed jego oblicze. Poza tym Londyn żądał od niego znalezienia drogi wodnej do Indii. Gdyby więc po spotkaniu z Powhatanem popłynął w górę rzeki Chi-

ckahominy, to może w jej górnych dopływach odnajdzie część tej drogi wodnej.

Może dałoby się też nawiązać stosunki handlowe z mieszkańcami tych okolic, chociaż Pocahontas ostrzegała go, że Chickahomini nie mają zbyt przyjaznych zamiarów. W każdym razie zapowiadał się przynajmniej dzień drogi w jedną stronę. Smith zabrał ze sobą siedmiu ludzi, samych najlepszych strzelców, w tym szlachetnie urodzonych ochotników George'a Cassena, Johna Robinsona i Thomasa Emery'ego.

W szalupie Smith przemieszczał się bardzo ostrożnie, gdyż gwałtowny ruch mógł spowodować przewrócenie się płaskodennej łódki, co groziło wyrzuceniem wszystkich za burtę.

Po obu stronach rzeki na ziemi leżał szron. Pory roku zmieniały się tu gwałtownie. Jeszcze wczoraj drzewa mieniły się wszystkimi kolorami liści, a rano były już nagie. Nie było mu szkoda minionego lata, gdyż był to jeden z najcięższych okresów w jego życiu. Blisko połowa osadników wymarła od chorób lub z głodu. Gdyby nie pomoc Pocahontas, wszyscy poszliby do piachu. Można powiedzieć, że uratowała całą kolonię. Chyba setny raz z rzędu wspominał, jakie miał szczęście, że na nią trafił.

Napisał do Londynu, napomykając o jej zasługach dla kolonii. W

ogólnie smutnym liście był to jedyny pozytywny akcent.

Wspominał również o zdemaskowaniu George'a Kendalla jako szpiega i wysłał list w październiku na pokładzie „Godspeed”.

Okazało się, że Newport otworzył list przekazany mu przez Kendalla, zanim jeszcze odpłynął. W liście tym znaleziono wystarczające dowody, aby zamknąć Kendalla w areszcie. Na zebraniu rady nadzorczej poddano go przesłuchaniu, ale bez skutku. Postanowiono więc

zastosować tortury. I rzeczywiście, Kendall uwieszony za wielkie palce u rąk, z przyczepionymi do nóg ciężarami, szybko zeznał, że istotnie przekazywał wiadomości Hiszpanom na Florydzie i odbierał od nich instrukcje. Posługiwał się przy tym jako kurierami szybkobiegaczami z plemienia Pasapeghów.

Za tak oczywistą zdradę rada nadzorcza wydała na niego wyrok śmierci. Zanim go powieszono, wyznał jeszcze, że wie, gdzie Powhatan przechowuje swoje skarby. Miały się one mieścić w wiosce Uttamussack. Członkowie rady jednak nie bardzo w to wierzyli i bez skrupułów kazali go powiesić.

Przybywało więc grobów na cmentarzu fortu, tym bardziej że i Wingfield, główny wróg Smitha, też znalazł się o włos od stryczka. Przez nieuwagę dopuścił bowiem do zanieczyszczenia dwóch galonów wina mszalnego i spirytusu, tak że nie nadawały się już do użytku. Zarówno członkowie rady, jak i inni osadnicy domagali się więc jego głowy. W głosowaniu odwołano go z pełnionej funkcji i wykluczono z rady, a jego miejsce zajął

Ratcliffe. Nagle okazało się, że członkowie rady zawiedli się na Wingfieldzie, mało tego - zaczęli podejrzewać go o zdradę. W

efekcie trafił więc do aresztu pod pokładem „Discovery”. Smith triumfował.

W tym miejscu łożysko rzeki zaczynało się zwężać. Smith rozkazał swoim ludziom, aby trzymali rusznice w pogotowiu, na wypadek, gdyby trzeba było szybko otworzyć ogień. Okazało się, że miał rację, gdyż na brzegu rzeki pojawiło się nagle dwóch indiańskich wojowników. Jak to zwykle bywało z tubylcami

-wyróśli jak spod ziemi. Przy boku mieli łuki, a dłonie przyłożone do serca w pokojowym geście. Smith natychmiast kazał przybić do brzegu. Wojownicy nale-

żeli do plemienia Powhatanów, więc mógł się z nimi porozumieć w ich języku. Powiedzieli mu, że wybrali się na polowanie, ale chętnie będą towarzyszyć bladym twarżom w ich wędrówce w górę

rzeki.

Smith odwrócił się do swoich i zadysponował:

— Czterech niech zostanie w łodzi, a Emery, Robinson i ja popłyniemy w górę rzeki z wojownikami. Dajcie nam krzemień, a drugi miejcie pod ręką. To trochę ryzykowne, ale oni wyglądają pokojowo.

Przepłynęli tak kilka kilometrów w górę rzeki, kiedy Smith zdecydował dalszą część drogi odbyć pieszo. Poleciał Emery'emu i Robinsonowi:

- Zostańcie tu z jednym wojownikiem i rozbijcie obóz. Ja z drugim pójdę kawałek piechotą i zbadam teren. Wydaje mi się, że dotarliśmy nareszcie do ziem Powhatan.

Razem z towarzyszącym mu wojownikiem przeszli w milczeniu niecały kilometr w głąb łądu, gdy nagle okoliczne drzewa i skały zatrzęsły się od przeraźliwych indiańskich okrzyków bojowych.

Smith otoczył ramieniem szyję swego przewodnika, a drugą ręką przyłożył mu do pleców pistolet. W tej samej chwili strzała ze świstem otarła się o jego udo. A kiedy podniósł wzrok, ujrzał

dwóch Indian o skupionych twarzach, celujących do niego z łuku.

Od razu zauważył, że nie mieli na sobie barw wojennych. Byli ubrani w zwykłe skórzane stroje i futra, jakie noszono na polowaniu. Nie zwalniając z uchwytu swego przewodnika, Smith wypalił w kierunku tamtych dwóch, lecz chybił. Wtedy puścił

wystraszonego Indianina i powtórnie nabił pistolet. Tymczasem z lasu wyskoczyło jeszcze czterech tubylców. Wystrzelił, raniąc śmiertelnie trzech spośród nich. Cóż,

gdy w miejsce czterech pojawiło się dwunastu wojowników!

Znów chwycił przewodnika za kark i w łamanym narzeczu Powhatanów zagroził, że zabije go, jeśli cokolwiek stanie się jemu, Emery'emu bądź Robinsonowi.

Indianie otoczyli Smitha ciasnym kręgiem. Zauważył tylko, jak promienie słońca przeświecające przez korony drzew padały na futra oposów, kun i wiewiórek, którymi przybrane były stroje wojowników. Ich dowódca szczekliwym tonem wydał rozkaz, po którym wojownicy rzucili z brzękiem na zamarzniętą ziemię swoje łuki i strzały. Wtedy kierujący nimi dał Smithowi znak gestem, aby też rzucił swój pistolet.

Nie zwracając na niego uwagi, Smith powtórzył swoje pytanie, wypuszczając z ust obłoczki pary.

- Gdzie są moi ludzie?

- Zabiliśmy ich wszystkich - odpowiedział najstarszy ranga.

- Dlaczego więc nie próbujecie zabić i mnie?

- Bo ty jesteś dowódcą!

Najwyraźniej Indianie wyczuli otaczającą Smitha aurę przywództwa. Smith pomyślał, że oszczędzono go chwilowo z uwagi na jego rangę. Postanowił, że spróbuje jakoś się stąd wydostać. Aby tylko dotrzeć do łodzi! Szturchnął swojego przewodnika pistoletem pod żebra i zaczął się wycofywać. Co ciekawe, Indianie nawet nie próbowali go zatrzymać. Cofał się tak przez jakieś czterysta metrów. Wojownicy trzymali się od niego w stałej odległości. Teraz mieli już łuki w rękach, ale nie celowali w niego. Powietrze było tak czyste, że wyraźnie odcinała się w nim każda gałązka. Na swoim przedramieniu Smith czuł regularny oddech trzymanego żelaznym chwytem Indianina.

- Rany boskie! - krzyknął nagle, obsuwając się w chłodny muł.

Ponieważ nie puścił swego przewodnika, wylądował razem z nim w bagnie i z każdym ruchem zapadał się głębiej.

Indiańscy wojownicy stali spokojnie na brzegu i przyglądali się z takimi minami, jakby mieli bardzo dużo czasu. Smith początkowo spoglądał wyzywająco w ich kierunku, ale w momencie, kiedy na wpół zlodowaciałe błoto sięgało mu już po uda - zimno stało się nie do wytrzymania. Zrozumiał, że te chwile mogą decydować o życiu lub śmierci, i zrezygnowany rzucił

pistolet pod nogi najbliższego stojącego wojownika. Ci natychmiast wyciągnęli obojdwóch z bagna i powlekli w stronę obozowiska, które rozbili Robinson i Emery.

Kiedy na miejscu Indianie zaczęli rozcierać Smithowi nogi, aby przywrócić w nich krążenie krwi - zauważył w ognisku jakieś kości. Od razu pomyślał, że muszą to być kości Cassena, Robinsona i Emery'ego. Indianin, który przedtem był jego przewodnikiem, nachylił się ku niemu i z odcieniem satysfakcji w głosie wyjaśnił:

- U nas przywiązuje się jeńców do drzew, odcina im ręce i nogi, a potem wrzuca w ognisko płonące przed nimi. Następnie wycinamy im żołądki, a jeśli jeszcze żyją, podpalamy drzewa razem z nimi.

Smith silił się, aby zachować obojętny wyraz twarzy. Czuł, że krew w nogach krąży mu już normalnie, wstał więc i zwrócił się do dowódcy tych, którzy go pojмали. Zażądał, aby zaprowadzili go do swego króla. Pomyślał bowiem, że jeśli jest nim Powhatan

- może to być jakaś szansa.

Po godzinie marszu trafił przed oblicze „króla”, ale okazało się, że jest nim wódz Pamunkejów, brat Powhatana, człowiek ponury i mało kontaktowy. Jednak Smith zorientował się, że jeśli da mu odczuć swoją antypatię, nie ma co liczyć na jego miłosierdzie czy przynajmniej obiektywizm. Jeśli z kolei powoła się na przyjaźń z Pocahontas, może tym zaszkodzić jej, gdyż król może nie pochwalać kontaktów księżniczki z białymi. Gdy natomiast uda mu się odwrócić jego uwagę, zyska na czasie.

Pogmerał więc w kieszeni i wyciągnął swój kompas z kości słoniowej. Potarł palcem po jego szkiełku, czym wzbudził

zainteresowanie Indian, którzy nie widzieli dotychczas czegoś, co byłoby twarde, a jednocześnie

przezroczyście. Jeszcze bardziej zafascynowały ich ruchy igły magnetycznej, a Smith wygłosił im w łamanym narzeczu Powhatanów, dopomagając sobie gestami, wykład o kształcie kuli ziemskiej i jej położeniu względem słońca, gwiazd i księżyca. Indianie zamienili się w słuch.

Kiedy jednak król wziął kompas do ręki, jego ludzie porwali Smitha i przywiązali do drzewa. Po raz trzeci tego dnia pomyślał, że koniec jest już bliski. Zaczął nawet odmawiać modlitwę, podczas gdy wojownicy założyli strzały i wycelowali w niego napięte łuki. I znów niebezpieczeństwo minęło...

Król zacisnął kompas w garści i oznajmił Smithowi, że daruje mu życie. Zaraz jednak dodał:

- Przed trzema zimami twoi bracia przelali tu krew naszych ludzi.

Wyślę cię teraz w podróż od wsi do wsi i jeśli ktoś rozpozna w tobie sprawcę tych zbrodni - zginiesz!

Przez ponad miesiąc Smith był oprowadzany po wszystkich wioskach i osadach czterech państw należących do imperium Powhatana. Przyglądano mu się, tu

i ówdzie poszturchiwano i osądzano, czy pasuje do wizerunku poszukiwanego zbrodniarza. Z powodu jego złotorudawych włosów nazywano go „potworem”, ale ta właśnie cecha uratowała mu życie. Uczestnik wyprawy Gosnolda w 1604 roku, który dopuścił się wtedy mordów na Indianach, miał czarne włosy.

Mimo to Powhatanie nadal nie dawali mu spokoju. Teraz zarzucali go lawiną pytań na temat Jamestown: Jak silna jest tam załoga? Ile mają broni? Jak wielkie zapasy? Smith tylko czekał, kiedy pozbawią go dobrego jedzenia, ciepłego pomieszczenia i sporadycznie ofiarowywanych mu do towarzystwa kobiet.

Spodziewał się, że lada chwila wezmą go na tortury, a kiedy nic takiego nie nastąpiło, doszedł do wniosku, że zachowują go przy życiu na jakąś specjalną okazję. Ale co by też to miało być?

Tuż przed rozpoczęciem nowego roku, w ponury i chłodny poranek, zbudzono go ze snu na ciepłym posłaniu z futer i zapowiedziano, że po śniadaniu wyrusza w dalszą podróż. Na śniadanie był kukurydziany chleb i suszone mięso, a celem podróży miało być Uttamussack.

Smith od razu przypomniał sobie, że nazwę tej miejscowości wymienił Kendall jako miejsce, gdzie znajdował się skarbiec Powhatana. Może mówił prawdę? Jeśli tak, to istnieje większa szansa dostania się przed oblicze króla.

Bez oporów dostosował się więc do przyjętego przez Pamunkejów szyku marszowego. Szedł, mając z każdego boku po trzech postawnych wojowników, dwóch przed sobą i dwóch za sobą. Eskortą dowodził syn króla tego plemienia. Po pięciu godzinach takiego marszu dotarli na przedpole Uttamussack.

Wyszło im na

przeciw pięciu najwyższym mężczyznom, jakich Smith w życiu widział. Po krótkiej rozmowie z

eskortującymi dołączyli do orszaku.

W wiosce znajdowało się z dziesięć budynków normalnej wielkości, ale nad wszystkimi górowały trzy inne, chyba największe, jakie Smith widział w Nowym Świecie. Miały jakieś dwadzieścia cztery metry długości. Każdego z nich pilnowało po dwudziestu wartowników, przerażających chłopów dwumetrowego wzrostu, pomalowanych czerwoną farbą. Smith zdał sobie sprawę, że to właśnie są słynne skarbcze Powhatana, a w nich - złoto, srebro, perły, rubiny i inne drogie kamienie!

Całą siłą woli panował nad sobą, aby nie ujawniać przed eskortą swojego podniecenia. A więc te skarby naprawdę istnieją, jest zatem szansa, że wyprawa do Wirginii może zakończyć się sukcesem. Tylko aby doprowadzić do tego, musi przeżyć! Nie wiadomo jednak, co tubylcy zamierzają z nim zrobić - zabić czy dopuścić przed oblicze króla? A może chcą go złożyć w ofierze któremuś ze swoich bóstw?

Szturchnięciem w plecy wepchnięto go do małej chatki i posadzono na macie z czarnej plecionki. W izdebce palił się słaby ogień, jednak panował w niej półmrok, który przypominał

Smithowi wnętrza kościołów anglikańskich. Migoczące płomyki oświetlały pęki suszących się na ścianach ziół, których zapach działał od-prężająco, ale i nieco usypiająco.

Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, zauważył, że w kącie stoi drewniana figura bożka. Bałwan miał twarz pomalowaną na biało, a jej wyraz stanowił chyba uosobienie samego zła. Przed nim leżały zwłoki dwojga małych zwierząt, najwyraźniej złożonych mu w ofierze.

To istny diabeł - pomyślał Smith i dreszcz strachu przebiegł mu po plecach. Szybko odmówił modlitwę i splunął dla zażegnania uroku. Przypominał też sobie zaklęcie przeciwko złym duchom, które znał jeszcze z dzieciństwa.

W tym momencie ktoś wszedł do chaty. Ponieważ Smith akurat myślał o diable - zląkł się, czy aby go nie wywołał. Któż to, na Boga, mógł być? Jednak kiedy chciał wstać, silna ręka zepchnęła go do poprzedniej pozycji, pozostawiając przy tym ślad węgla na kaftanie.

No, to przynajmniej jest człowiek - odetchnął z ulgą Smith - ale wygląda jak sam diabeł.

Rzeczywiście, był to potężny chłop, wymalowany od stóp do głów na czarno. Na głowie miał coś w rodzaju upiornej korony, zrobionej z wypchanych węży i łasic. Poruszał się tanecznym krokiem wokół ogniska, mrużąc jakieś zaklęcia. Akompaniował

sobie grzechotką, a jego głos wznosił się i opadał. Potem zaczął

usypywać wokół ogniska krąg z mączki kukurydzianej. Smith obawiał się, że tajemniczy osobnik chce rzucić na niego urok.

Zawsze wierzył, że potrafi radzić sobie ze wszystkimi przeciwnościami, ale z wysłannikiem diabła nie dałby sobie rady.

Do izby wpadło trzech dalszych, postawnych i czarno umalowanych osobników. Dołączyli do

pierwszego i razem wykonywali taniec z konwulsyjnymi wyrzutami rąk i nóg, to mrucząc, to zawodząc na przemian. Doszło jeszcze trzech takich samych i wszyscy zaintonowali obrzędową, dudniącą pieśń.

Nagle urwali taniec i zaczęli układać całe ziarna kukurydzy w symetryczne wzory wokół kręgu z mączki. Padli na kolana, opuścili głowy i zawodząc głośno i jękliwie, poukładali patyczki pomiędzy ziarnami kukurydzy.

To chyba jacyś diabelscy kapłani - pomyślał Smith. Powietrze było ciężkie od dymu i zapachu ziół, więc oprócz strachu czuł

także duszności.

W którymś momencie tańczący wyskoczyli w górę, wyrzucając wysoko ramiona. Potem znów przyklęknęli, szybkimi ruchami przyciskając kukurydżę do patyczków, a następnie rzucili patyczki w ogień. Znów wyskoczyli w górę i stanęli wokół na drżących nogach.

Pierwszy kapłan przemówił do Smitha, ciskając mu słowa prosto w twarz:

— Ta mąka - to nasz kraj, ziarna kukurydzy to nasze morza, a patyczki - wasi ludzie. Zmieciemy was wszystkich, jak te patyczki, z powrotem do morza!

Po tej przemowie kapłani opuścili chatę równie szybko, jak do niej weszli. Smith usiadł i czekał, sam nie wiedząc, na co. Stojący we wnęce posąg bożka w oparach dymu jeszcze bardziej przypominał prawdziwego diabła. Po chwili weszło dwóch strażników i jeden z nich, z lekkim uśmiechem, kazał Smithowi wstać.

- Kapłani wielkiego wodza Powhatana przygotowali cię na to, co cię czeka - oznajmił mu. - Jutro popłyniemy do Werowocomoco.

Następnego dnia flotylla dwunastu łodzi wyruszyła w drogę.

Lodowaty deszcz ściekał po karku zarówno Smithowi, jak i tubylcom, lecz oni zdawali się nie zwracać uwagi na pogodę. Na ramiona mieli narzucone futra, ale ubrania ze skór nie okrywały szczelnie ich ciał. Ani słońce, ani deszcz nie robiły na nich wrażenia.

Podróż do stolicy imperium Powhatana, Werowocomoco, zajęła cały dzień. Smith spodziewał się, że zastanie tam Pocahontas.

Liczył na to, że namówi ona ojca do podjęcia rozmów, a może też do współpracy tak

z nim, jak i z innymi osadnikami. Przecież gdyby po utracie Roanoke Anglia utraciła jeszcze i tę kolonię - Hiszpanie opanowałyby całe wschodnie wybrzeże, stanowiące ważny etap drogi morskiej do Indii Wschodnich. Wprawdzie Anglia wygrała wielką wojnę z Hiszpanią, ale za to straciłaby cały kontynent.

Kiedy tak siedział skulony w łodzi, dla ciepła oplatając ramionami kolana, uświadomił sobie, że

wiąże z Pocahontas zbyt wielkie nadzieje. W wyobraźni widział jej wysoko osadzone kości policzkowe, błyszczące, czarne włosy i z wdziękiem pochyloną głowę. Stanowczo sięgał za wysoko - przecież ona była królewską córką, a on zwykłym plebejuszem. Powinien wybić sobie z głowy wszelkie myśli o niej. Cóż, kiedy inne kobiety w porównaniu z nią wydawały się całkiem bezbarwne.

Myśli miał ponure, bo i dzień był ponury. Poprzedniego dnia Uttamussack zrobiło na nim oszałamiające wrażenie, ale dziś wspominał raczej swoich trzech poległych towarzyszy. Ostatnio całkowicie zrewidował swoją opinię o szlachetnie urodzonych uczestnikach wyprawy. Fakt, że nie nadawali się do pracy fizycznej, ale w walce byli niezawodni, odważni i pełni inicjatywy. Okazało się, że „błękitna krew” też może się na coś przydać. Smith żałował, że stracił dobrych towarzyszy broni.

Indianie nie pozostawili żadnych ich szczątków, które można byłoby pochować w Jamestown.

Tubylcy jednostajnie wiosłowali, nie wykazując oznak zmęczenia i nie rozmawiając ze sobą. Zrobili tylko krótką przerwę na południowy posiłek. Tymczasem deszcz ustał i niebo na zachodzie przybrało fioletowy odcień. W końcu na przeciwległym brzegu przywitali ich mężczyźni z nie zapalonymi pochodniami.

Wreszcie dotarli do Werowocomoco! Smith od razu zaczął się rozglądać za znajomą dziewczęcą sylwetką, aczkolwiek podczas swej długiej podróży po imperium Powhatana zorientował się, że dziewczyna o takim statusie społecznym nie stałaby wśród oczekujących na brzegu. Ukochana córka wielkiego wodza nie mogła znajdować się gdzie indziej niż u jego boku! Na pewno codziennie otrzymywała przesyłane przez gońców raporty z jego podróży po państwie jej ojca.

Oczekujący eskortowali Smitha jeszcze przez niecały kilometr. U

celu ich marszu znajdował się długi budynek, przy którym zgromadziło się około dwustu dworzan Powhatana. Stali w grupkach, rozmawiając, tylko co jakiś czas któryś wskazywał na Smitha palcem lub gapił się na jego brodę.

Smith oszacował ich na oko jako ludzi, po których nie ma co spodziewać się litości. Gdyby wśród nich znalazł się ktoś mniej więcej równy mu rangą - może udałoby się z nim porozmawiać.

W dalszym ciągu nie mógł się powstrzymać od rozglądania się za Pocahontas, ale robiło się już ciemno i niewiele było widać.

Po półgodzinnym oczekiwaniu przeprowadzono Smitha na drugą stronę budynku, gdzie znajdowało się wejście, z którego padało rześiste światło. Kiedy wepchnięto go do środka, podniosła się głośnie wrzawa. Okazało się, że sala jest pełna ludzi - chyba ze trzysta pięćdziesiąt osób. Na zewnątrz było ciemno i chłodno - tu, jakby dla kontrastu, Smitha poraził zaduch i oślepiające światło.

Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do tej zmiany, wzrok musiał

wytrzymać powódź jaskrawych kolorów. W świetle płonących co krok pochodni dobrze widać było zielone, żółte, niebieskie i czerwone desenie

wymalowane na ciałach wojowników. Na głowach mieli pióropusze lub inne egzotyczne przybrania. Przy końcu sali, na podium przypominającym kształtem łoże zaścielone futrami norek i lisów - siedział wielki wódz Powhatan. Wokół niego skupiło się jego dwadzieścia żon, ubranych w różnobarwne peleryny z piór. Inaczej niż mężczyźni, kobiety nosiły włosy rozpuszczone, ozdobione tylko białym ptasim puchem lub piórami.

Rozległo się klapnięcie dwóch kijów o siebie, co znów wywołało ogłuszający ryk tłumu. Smitha popchnięto przed oblicze Powhatana, lecz wyznaczony człowiek pilnował, aby nie podszedł zbyt blisko. Smith widział tego człowieka, więc wcale nie czuł się pewnie. Widział też wydatne rysy króla i jego chłodny, a zarazem przebiegły wyraz twarzy. Wyraźnie górował

nad resztą sali, nie wzrostem, lecz przemożną siłą swego autorytetu. Emanował aurą władzy.

Wódz mówił coś do stojącego przy nim wojownika, a w tym czasie Smith skorzystał z okazji, aby rozejrzeć się po sali. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi Pocahontas, ale nie - to nie była ona!

Jeżeli jej tu nie ma, to po mnie - pomyślał i znów ogarnął go strach. - Czyżby go opuściła albo ktoś lub coś skłoniło ją do zmiany zdania? - Na myśl o tym głowa mu opadła, ale zaraz się wyprostował, aby śmiało spojrzeć w oblicze króla. Wiedział, że w chwilach, które zaraz nastąpią, będzie musiał zebrać siły, aby wykazać się całą swoją odwagą.

Pocahontas słyszała krzyki dochodzące z domu rady. Do jej świadomości dotarło, że Smith już tu przybył. Zmroziło ją to i na moment przybrała taką samą „kamienną twarz” jak Powhatan.

Skrzyżowała ramiona i zacisnęła mocno ręce. Teraz zaczną się uroczystości, po których zostanie złożona ofiara. Zawarła wprawdzie pakt z ojcem, ale nie chciała być świadkiem tego, co będzie się działo w domu rady. Po prostu tam nie pójdzie.

Nie mogła jednak wysiedzieć spokojnie w domu ojca. Wstała i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem. Przedtem, aby nie wzbudzić podejrzeń, przebrała się w odświętny strój, tak jak jej siostry. Nie mogła im przecież powiedzieć, że nie zamierza brać udziału w uroczystościach.

Mówiła sobie, że jej tajne imię, Matoax, znaczy nie tylko Białe Piórko, lecz i Płatek Śniegu. Niech więc jej serce będzie dziś zimne jak pierwszy zimowy śnieg. Miała na sobie doskonale uszyte obcisłe spodnie z białej skóry, a od szyi do kolan okrywała ją narzutka misternie tkana z drobnych łabędzich piórek.

Przypominało to białą jedwabną koszulę, jaką kiedyś widziała u Johna Smitha... No, nie - musi panować nad sobą! Za dużo rzeczy jej go przypomina. A przecież nie widziała go już od przeszło trzech miesięcy...

Wróciła z Jamestown jeszcze w czasie największych upałów.

Ojciec przywitał ją uprzejmie, ale z pewną powściągliwością, zwiastującą, że ma zamiar palnąć jej dłuższe kazanie. Ponieważ spodziewała się tego - naszy-kowała sobie z góry gotowe odpowiedzi.

I owszem, cieszył się z jej powrotu - ale nie był zadowolony z jej raportów. Zawiodła nadzieje, jakie

pokładał w niej on i cały jego lud, bo zbyt łatwo uległa wpływom wroga. Widocznie jest jeszcze za młoda, aby wykonywać tak odpowiedzialne zadania, i popełnił błąd wysyłając ją na tę ważną placówkę. Wszelako nie winił jej za to - dziwił się tylko, że nie wzorowała się na swych

braciach i siostrach, którzy zawsze byli lojalni wobec ojca.

Pocahontas z miejsca odparowała, że spodziewała się takiej reakcji. Jakże jednak ojciec może osądzać kogoś, kogo nie zna?

Jest inaczej, niż mu się wydaje — Tassen-tasowie są pokojowo nastawionymi ludźmi, którzy wciąż liczą na szansę uregulowania stosunków z Powhatanem i jego ludem. Chciałaby nadal uczyć się ich obyczajów, gdyż mogłyby bardzo przydać się szczepowi, podobnie jak ich narzędzia... Przezornie przemilczała tylko swoje uczucia do Johna Smitha.

Powhatan zarzucił córce brak rozsądku. Musi wybić sobie z głowy Tassentasów, gdyż od takich myśli tylko krok do zdrady państwa. Musi pamiętać, gdzie jej miejsce - w swojej rodzinie i narodzie, tam gdzie się wychowała. Ma obowiązki względem ojca, a także przyszłego męża i czekającego ją stanowiska władczyni udzielnego państwa.

Pocahontas dowodziła, że traktuje poważnie swoje obowiązki i przykro jej, jeżeli sprawiła jakiegokolwiek kłopoty. Tu jednak nie wytrzymała i wyrzuciła z siebie, że absolutnie nie może wyjść za Kokuma.

Powhatan, zaskoczony, nie rozumiał, o co jej chodzi. Przecież Kokum spisał się jak należy. Może nawet była już z nim w ciąży?

Pocahontas zapewniła ojca, że na pewno nie spodziewa się jeszcze dziecka, i spróbowała opisać mu swoje mieszane uczucia oraz lęk przed uzależnieniem od tego człowieka. Trzeba przyznać, że jej rozterki zrobiły na ojcu wrażenie.

Zamyślił się na chwilę, a potem zasugerował ostrożnie, że może jej lęki są przesadne, niemniej nie będzie zmuszał jej do przebywania z Kokumem. Być może później Pocahontas zmieni zdanie. Na razie zaproponował jej układ: on pod byle pretekstem wyprawi Kokuma na dalekie polowania, a ona za to musi zapomnieć o Tassentasach. Ma obowiązki przede wszystkim wobec własnego narodu, więc niech zajmie się ściąganiem należności dla władcy, a on już wypędzi Tassentasów tam, skąd przybyli.

Była to uczciwa transakcja. Pocahontas wiedziała wprawdzie, że oznacza to dla niej zakaz składania dalszych wizyt Tassentasom, ale przynajmniej nie miała już problemu z Kokumem. Czuli się nawet winna, że niweczy plany ojca dotyczące stosunków z wodzem Chickahominów. Nadal nie mogła jednak poradzić sobie z rozterkami natury moralnej. Czuli, że nie myli się co do Tassentasów, ale też miała świadomość swoich obowiązków wobec państwa.

Miejsce mieszanych uczuć wobec Kokuma zajął więc równie poważny konflikt między uczuciami dla Smitha a lojalnością wobec ojca.

Ostatnie tygodnie miała więc szczelnie wypełnione zajęciami.

Powhatan dołączył ją do grupy swoich starych zauszników zajmujących się ściąganiem danin. Każdy bowiem poddany Powhatana obowiązany był do oddawania wielkiemu wodzowi czterech piątych swoich plonów, produktów bądź łupów. Do magazynów w Uttamussack wędrowały więc zarówno ostrygi, perły, futra i *roanoke* - paciorki wyrabiane z muszli -jak i ryby oraz kukurydza.

Mimo licznych wyjazdów do różnych osad i urządzanych tam na jej cześć przyjęć nie mogła jednak zapomnieć Johna Smitha i jego ludzi. Cierpiała więc tak z powodu tęsknoty za nim, jak i poczucia nielojalności względem ojca. Wciąż łamała sobie głowę, jak by pogodzić tych ludzi ze sobą.

Jednak gdy dobiegł ją triumfalny wrzask setek gardeł, wiedziała już, że za późno na to. Smith był w niewoli u jej ojca. Kiedy po raz pierwszy o tym usłyszała - jej uczucia miały się między strachem a gniewem. Miała świadomość, że ojciec chętnie po-zbędzie się przynajmniej jednego z nieprzyjacielskich oficerów i nie ma szans, aby zmienił zdanie.

Przechadzała się więc niespokojnie wzdłuż izby, nerwowo przyciskając ręce do boków.

Rozdział 11

Werowocomoco,

styczeń 1608 roku

Wielki wódz rytmicznie przebierał perły w swoim naszyjniku.

Nie spuszczał wzroku ze Smitha, który stał przed nim już od kilku minut, nie pozdrawiając go ani nie prosząc o nic. Smith po prostu wiedział, że nie wolno mu się odezwać pierwszemu.

Dworzanie szeptali między sobą. Smith zauważył, że piękne kobiety stojące wokół Powhatana są dosłownie obwieszane sznurami pereł i ozdób wyklepanych z miedzi. Największe perły i najwięcej naszyjników miały te, które stały najbliżej króla.

Wódz dał znak ręką. Wystarczył jego ledwo dostrzegalny ruch, aby zaraz przyskoczyło kilku ochoczych dworzan chętnych do wykonania rozkazu. U podnóża tronu dało się widzieć pewne poruszenie. Naprzód wystąpiła kobieta w średnim wieku, dumnej postawy, w strojnych szatach ze skór ozdobionych piórami i obwieszona aż po pas ciężkimi girlandami naszyjników. Podała Smithowi misę wody, wskazując gestem, aby umył ręce. Kiedy to zrobił — majestatycznym ruchem podała mu pęk indyjskich piór do osuszenia palców. Potem skinęła, aby poszedł za nią. Widać było, że to dama z wyższych sfer.

- Czy jesteś, pani, żoną wielkiego króla? - spytał szeptem w narzeczu Powhatanów.

Odwróciła się, zaskoczona.

- Nie, jestem jego siostrą, naczelniczką plemienia Apamatuków.

A skąd ty znasz naszą mowę?

Nieglupia baba pomyślał Smith. Zastanawiał się tylko, czy się przyznać, że pobierał lekcje u Pocahontas, czy lepiej to przemilczeć? Onieśmiał go fakt jej nieobecności w tym gronie.

Odpowiedział więc wymijająco:

- Podróżowałem dużo po całym państwie wodza Powhatana.

- Masz stanąć tutaj - pokazała mu miejsce w pobliżu króla. -

Będziemy teraz ucztowali.

Dym z pochodni wznosił się w górę i uchodził przez specjalne otwory w suficie. Przypominało to Smithowi kurne chaty w Anglii, kiedy nie znano jeszcze kominów. Wśród tłumu uwijały się obsługujące kobiety, strojne w sznury paciorków i ozdobione frędzlami spódniczki. Roznosiły ceramiczne misy z pieczonym mięsiwem pokrajanym w paski oraz ptaszkami duszonymi w potrawce z kukurydzą, a na półmiskach złociste kukurydziane placki. Na deser podano delikatny ser z mleka łani i suszone owoce.

Smith nie żałował sobie, gdyż jedzenie było naprawdę wyśmienite. Dawno już nie jadł czegoś tak pysznego, więc rozkoszował się każdym kęsem mimo świadomości, że może to być jego ostatni posiłek. Prawda, że był teraz w ciężkich opałach, ale tyle razy już jego życie wisiało na włosku, że nauczył się cieszyć z każdej darowanej sobie chwili.

Zaczął teraz przemawiać jeden z królewskich doradców. Na sali zapanowała cisza. Smith starał się zrozumieć jak najwięcej z tyrady dostojnika. Przemowa była skierowana przeciw białym najeźdźcom i zawierała

wezwania do wypędzenia ich, gdzie pieprz rośnie. Kilka razy w tyradzie powtarzały się nazwy: Roanoke, Chesapeake i Chickahominy. Potem mówca zaczął snuć rozważania filozoficzne o mieszkańcach państwa Powhatana. Podczas długich tygodni niewoli Smith słyszał już wiele takich przemówień i wiedział, że mogą one trwać godzinami, a publiczność i tak będzie ich słuchać uważnie.

Smith co jakiś czas rozglądał się, aby sprawdzić, czy Pocahontas nie dołączyła do tłumu gości. Jej nieobecność nie wróżyła niczego dobrego. Zdawało mu się, że dostrzeżał jej braci, Pamouica i Secotina, ale i tak żaden z nich w tym miejscu i czasie nie odpowiedziałby na jego pozdrowienie. Mógł sobie wyobrazić, jakiej presji poddawano tę dziewczynę po powrocie do domu. Prawda, że miała w swoim państwie dużo do powiedzenia, ale też była młoda i podatna na wpływy. Mimo to trudno mu było opędzić się od poczucia zawodu.

Pewnie złożą mnie w ofierze - myślał. — Nie ma u nas nikogo, kogo można by za mnie wymienić, ani nikogo, kto mógłby się za mną wstawić. A tu jest ich za wielu jak na mnie jednego. -

Błyskawicznie rozpatrywał różne możliwości, ale żadna nie wydawała się prawdopodobna. Zaczął więc się modlić. Ponieważ jednak zawsze wierzył, że Bóg pomaga tym, którzy sami próbują sobie

pomóc - nadal poszukiwał w myślach dróg ucieczki.

A może powinien sam zabrać głos w swojej sprawie? Nie, zbyt słabo zna język, aby mógł formalnie wystąpić z prośbą do króla.

Poza tym Indianie gardzą takimi, którzy błagają o łaskę, zamiast przyjąć swoje przeznaczenie i umrzeć z godnością. Sytuacja wydawała się więc bez wyjścia. Nieraz już ocierał się o śmiertelne niebezpieczeństwo, jednak zawsze strachowi towarzy-

szyło pewne podniecenie, wyzwanie, aby stawić czoło sytuacji.

Natomiast teraz położenie było naprawdę beznadziejne.

Mówca zakończył już swoje wystąpienie. Król skinął mu głową i przywołał do siebie kapłanów. Ustawili się u podnóża tronu, potrząsając grzechotkami. Dziś nie byli umalowani na czarno, ale na głowach nosili takie same dziwne wieńce z wypchanych węży i skórek łasic, jaki miał podobny do diabła osobnik w Uttamussack. Ściszonymi głosami odbyli długą naradę. Na sali panowała cisza, najwyżej od czasu do czasu ktoś przesunął się lub westchnął.

Najmłodszy kapłan dał znak wysokiemu wojownikowi o twarzy poznaczonej mnóstwem blizn. Ten pomaszerował do wyjścia i wykrzyczał całą serię rozkazów. Przy tej okazji do dusznej sali, rozgrzanej ciepłem ciał ludzkich i płonących pochodni, wdarł się chłód nocy, dzięki czemu lżej było oddychać. Przez otwarte drzwi do budynku weszło kilku innych wojowników, niosąc między sobą dwa duże głazy. Były one tak ciężkie, że niosący je chwiali się, zanim ustawili je w odpowiedni sposób na ubitej ziemi. Na ich futrzanych narzutkach widać było krople deszczu.

Przyglądając się tym przygotowaniom Smith żałował, że nie ma przy nim chrześcijańskiego księdza, który mógłby odpuścić mu grzechy i dysponować na śmierć.

Do pomieszczenia wmaszerował teraz oddział wojowników nagich do pasa, których włosy ociekały wodą. Każdy miał w ręku ciężką, bojową maczugę. Z napiętymi mięśniami, obciążonymi skórą błyszczącą od oliwy i kropel deszczu, ustawili się wokół

głazów i obojętnym wzrokiem przyglądali się skazańcowi.

Denerwowało to Smitha.

Niech nie udają, że nie sprawi im przyjemności zatłuczenie mnie tymi pałkami. Jeśli będą zręczni, ogłuszą mnie pierwszym ciosem, chyba że zechcą się zabawić i przedłużyć moje konanie! -

Rozmyślając tak, przyglądał się muskularnym ramionom swoich katów i próbował ocenić ich siłę.

Kiedy zwrócił się ku tronowi, zdawało się, że na ustach Powhatana widzi sadystyczny uśmiech. Nie dziwił się temu.

Ma prawo być zadowolony, przecież wykańcza nas jednego po drugim! - myślał. - Odzyska swoją ziemię, tylko na jak długo?

Hiszpanie będą dużo gorszymi okupantami niż my... Na rany Chrystusa, niech się to już wreszcie skończy!

Jak na zamówienie Powhatan wstał i uniósł ręce. W sali zapanowała cisza, przerywana tylko skwierczeniem pochodni.

Smith słyszał jeszcze spotęgowane bicie własnego serca, brzmiące w jego uszach jak głos bębna.

Powhatan wygłosił krótką kwestię, z której Smith zrozumiał, że ma złożyć swe życie w ofierze złemu duchowi Okeusowi.

Niech diabli wezmą tego ich bałwana! - przemknęło mu przez myśl, ale zaraz się zreflektował. W godzinie śmierci nie godziło się przecież wzywać diabła! Na wszelki wypadek splunął przez lewe ramię.

Wywołało to poruszenie w tłumie, bo nikt nie wiedział, co oznacza ten gest. Czy miała to być groźba, czy próba rzucenia uroku? Tymczasem wojownicy ujęli Smitha pod ramiona i doprowadzili do dwóch głazów, stykających się ze sobą pochyłymi płaszczyznami. Tworzyły one rodzaj korytka, zapewne przeznaczonego na jego głowę.

Przynajmniej przygotowali dla mnie rodzaj śmierci odpowiedni do mojej rangi - pomyślał, zdobywszy się na odrobinę czarnego humoru.

Wciąż przepełniała go złość, ale w ostatniej chwili opamiętał się i odmówił akt skruchy za grzech gniewu. Prosił Boga, aby zechciał

wejrzeć również na jego dobre uczynki, a przynajmniej dobre chęci...

W tym momencie wojownicy rzucili go na klęczki. Zatrzeszczało mu przy tym w stawie kolanowym tak głośno, że dźwięk ten odbił się echem jak strzał z pistoletu. Kaci zmusili go do pochylenia się naprzód i w dół, przyciskając jego twarz do lodowatych kamieni. Miały one szorstką powierzchnię i wydzielały wilgotny zapach lasu. Ciekawe, że te wrażenia zmysłowe sprawiały mu przyjemność, dawały poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Zapragnął nagle pozostać w tej pozycji na zawsze.

Jednocześnie słyszał, jak wojownicy się ustawiali, zajmując korzystne pozycje do zamachów maczugami. Przy ich ruchach z klepiska unosił się kurz i Smith czuł, jak zgrzyta mu w zębach.

Zapragnął nagle poczuć jakiś znany zapach czy smak, usłyszeć dźwięk znanej mowy... Ponieważ jednak nic takiego nie następowało, czekał tylko w napięciu. W jego duszy znów wzbierał gniew.

Nie tyle usłyszał, co poczuł coś jak gdyby tchnienie świeżego powietrza tuż obok siebie. Coś legło w poprzek jego grzbietu, a delikatne ręce objęły mu głowę. Cały spięty, poczuł przy swoim policzku falę włosów, dotknięcie gładkiej skóry i usłyszał dobrze znany głos:

- Jeśli chcecie go zabić, musicie zabić najpierw mnie!

Mówiąc to, obejmowała dłońmi jego głowę i przyciskała do niej swoją twarz. Wśród zebranych

zapanowała

konsternacja, słyhać było szmer podnieconych głosów i tupot nóg strażników, ale do nich dwojga nic nie docierało. Ważniejsze w tej chwili było to, że ich oddechy przenikały się nawzajem, a jej piersi spoczywały na jego plecach. W końcu Pocahontas podniosła głowę i przez ramię spojrzała na zakłopotane miny niedoszłych katów i ponurą twarz własnego ojca.

Wielki wódz podniósł rękę i wojownicy odstąpili. Widzowie w milczeniu obserwowali, jak Pocahontas daje Smithowi ręką znak, aby wstał znad kamieni pełniących rolę szafotu. Razem stanęli przed tronem Powhatan, z którego twarzy ustąpił groźny mars, a pojawił się nawet cień podziwu. Tylko jego oczy patrzyły nadal poważnie, wręcz ostro.

- Ojczy! - zaczęła Pocahontas. - Błagam cię o darowanie życia kapitanowi Smithowi, a wraz z nim i mnie. Ten człowiek nie wyrządził nam żadnej krzywdy i przybył do nas od swego ludu tylko pełen dobrych chęci.

Przez chwilę w budynku rady panowała grobowa cisza, dopóki Powhatan nie przemówił ściszym głosem:

- Pocahontas, przez wzgląd na twoją odwagę daruję kapitanowi życie. - Zwracając się do wojowników, dodał: - Zabierzcie go do Wielkiego Domu. Później pomyślę, co z nim zrobimy.

Wielki Dom znajdował się w lesie, o jakieś półtora kilometra od samej osady. Jego ściany, plecione z kory, ozdobione były setkami skalpów poukładanymi w rzędkie i wzory. Wielka mata uczepiona u sufitu rozdzielała budynek na dwie części. Widok tego wnętrza nie nastrojał zbyt optymistycznie, ale Smith nie takie rzeczy

już przeżył. Odzyskał nadzieję, że może uda mu się wrócić do Jamestown. W budynku poza nim nie było nikogo, toteż nawet stukanie gałęzi o dach odbijało się echem. Smith, jak mu nakazano, siedział sam przy ognisku i czekał. Przepęlniała go radość, że Bóg zesłał mu Pocahontas na ratunek. Teraz wiedział

już na pewno, że ma w niej nie tylko sprzymierzeńca...

Drzemał już, gdy obudził go nasilający się, posępny dźwięk dochodzący zza przepierzenia. Zanim otrząsnął się z resztek snu -

rozdzielająca mata znikła, a prosto na niego szło dwustu czarno ubranych i wymalowanych mężczyzn, smętnie zawodząc. Na ich czele szedł sam król. Kiedy Smith spróbował wstać, Powhatan gestem pokazał mu, aby pozostał w pozycji siedzącej. Rozwinięto przed nim małą matę, na której usiadł Powhatan. Widok czarno ubranych mężczyzn wraz z czarnymi skalpami na ścianach działał na Smitha przygnębiająco. Tymczasem Powhatan przemówił:

- Przybyłem tu wraz z moimi kapłanami i znaczniejszymi wojownikami. Kapłani nie zgadzają się z tym, co teraz powiem, ale wojownicy mnie popierają. Czas pokaże, kto z nas miał rację.

Córka opowiedziała mi wiele o tobie i twoich ludziach. Uważa, że powinniśmy żyć w przyjaźni i

wymieniać między sobą towary.

Zgodziłem się na to i zamierzam w ciągu dwóch słońc wysłać cię do Jamestown. Chciałbym otrzymać od was trochę waszej wielkiej, grzmiącej broni i kamień szlifierski. W zamian daję ci we władanie ziemie Capahowosick i przyjmuję cię za syna pod imieniem Nantaquond.

Smitha kompletnie zatkało. Czyżby Pocahontas miała aż tak wielki dar przekonywania, że w tak krótkim czasie, jaki upłynął

od zawieszenia egzekucji do obecnego spotkania, zdołała spowodować tak radykalną

zmianę poglądów ojca? Chyba że sam Powhatan zrozumiał, jakie korzyści może mu dać przeciągnięcie Smitha na swoją stronę.

Jeśli tak, to jest mądrym człowiekiem! Oczywiście Smith natychmiast przyjął bez oporów warunki Powhatana i zgodził się na ceremonię adopcji. Strachem przejmowali go tylko wszechwładni kapłani, gdyż obawiał się, że w przyszłości mogą uknuć przeciwko niemu spisek.

- Pocahontas powiedziała mi, że wasze statki schroniły się u naszych brzegów przed pościgiem ludzi o czarnych brodach, których nazywacie Hiszpanami. Czy tak? - badał dalej Powhatan.

Smith przytaknął.

- Powiedziałeś jej też, że wasi ludzie odejdą stąd, gdy tylko wasz kapitan powróci zza Wielkiej Wody?

- Rzeczywiście, tak jej mówiłem. - Smith przypomniał sobie, jak zapewniał o tym Pocahontas i jej braci podczas ich pierwszej wizyty.

- Mam nadzieję, że to nastąpi wkrótce, bo moi kapłani się niecierpliwią. Po ceremonii adopcji odstawimy cię do Jamestown, a teraz dostaniesz jeszcze coś do zjedzenia i kobietę na noc.

Smith nie rozumiał wprawdzie, dlaczego trzymają go w odosobnieniu, ale nie narzekał. Ważne, że król zmienił decyzję co do niego. Śmiać mu się chciało na myśl, że jeszcze niecałą godzinę temu gotował się na śmierć, a teraz ma otrzymać samo ucieleśnienie życia — kobietę! Tylko ciekawe, co to będzie za kobieta. Wiedział na pewno, że nie będzie nią Pocahontas, bo przecież była królewską córką. Chociaż teraz, gdy sytuacja tak krańcowo się zmieniła, wszystko mogło się zdarzyć.

Nawet zastanawiał się, jak by zareagował, gdyby

zobaczył ją obok siebie w łóżku. Czym innym przecież było uwielbienie, zaufanie i wdzięczność, jakie czuł do niej, a czym innym fizyczne pożądanie. Może miał opory, gdyż mogła mieć najwyżej trzynaście—czternaście lat? I co z tego? W Anglii też czasem młodzi ludzie pobierali się w tym wieku, a u dzikich plemion zdarzało się to często. Usiadł więc po turecku i rozmarzony wpatrzył się w ogień.

Gdy Smitha odprowadzono do Wielkiego Domu, gdzie tradycyjnie goszczono przybyszów nie

będących członkami rodziny ani bliskimi przyjaciółmi - Pocahontas natychmiast udała się do ojca. Odbyli ożywioną rozmowę, podczas której starała się wszelkimi sposobami zmienić jego pogląd na Tassentasów.

Próbowała go przekonać, że ludzie ci mogą go wiele nauczyć i warto ich dobrze poznać. Oczywiście bardzo się pilnowała, żeby się nie zdradzić ze swymi uczuciami wobec rudowłosego kapitana.

Powhatan z powagą wysłuchał jej argumentów, choć większość z nich nieraz już słyszał. Zaimponowało mu jednak, że odważyła się zaryzykować swoje życie w obronie cudzoziemskiego jeńca.

Wszyscy od dawna wiedzieli, że jego córka ma niepospolite przymioty, ale z wiekiem ujawniały się u niej coraz to nowe cechy charakteru. Tak jak zamierzała, zdobyła już duży zasób wiedzy o Tassentasach. Wprawdzie nadal chciał się ich pozbyć, ale przyznawał córce rację w tym, że przedtem należałoby wykorzystać/ich nadprzyrodzone zdolności.

- Dobrze, córeczko, posłucham twoich rad - odpowiedział w końcu. - Spróbujemy też z nimi handlować. Porozmawiam z nim i omówimy, co będziemy robić dalej. Ale teraz, skoro go uratowałaś, jesteś za

niego odpowiedzialna. Dopilnuj więc, aby dostał kolację i kobietę do łóżka. Tylko pamiętaj, że to jeden z ich wodzów, więc musi dostać kobietę odpowiedniej rangi. I doświadczoną, bo to już nie chłopiec!

Pocahontas skromnie spuściła oczy. Dawanie gościowi kobiety na noc było powszechnie przyjętym obyczajem grzecznościowym, ale czyżby to miało oznaczać, że ojciec żąda tego od niej w zamian za swoje ustępstwo? Niemożliwe - nie miał

przecież pojęcia, co łączy ją ze Smithem. Przez chwilę pomyślała, że sama wśliznie się do jego łóżka, ale ojciec na pewno rozgniewa się i cofnie wszystkie swoje uprzednie zezwolenia. Nie mogła ryzykować, ale też i nie mogła przemóc się na tyle, aby wybrać mu partnerkę. Może Mehta zrobi to za nią, bo jakże to - nie dość, że ujrzała go znów po tak długiej rozłące, to jeszcze ma mu podsuwać inną kobietę? Chyba zły duch Okeus karze ją w ten sposób za to, że dała kosza Kokumowi. Jak dziś zaśnie wiedząc, że Smith jest blisko, ale kocha się z jej przyjaciółką lub, co gorsza, z osobą jej niemiłą?

Mehta spisała się dobrze - wybrała dla Smitha jedną z byłych żon wielkiego wodza, poślubioną wojownikowi wysokiej rangi, który akurat przebywał na długiej wyprawie myśliwskiej. Tego wieczoru kobiety w Werowocomoco prześcigały się w domysłach, jak będzie wyglądała noc spędzona z Tassentaszem.

Następnego dnia Mehta wczesnym rankiem zaciągnęła Pocahontas do kąpieliska dla kobiet. Kiedy tylko słońce ogrzało wodę, nadciągnął ich tam tłum, bo żadna nie mogła się doczekać szczegółów o nocy z tym białym, nazywanego przez niektórych

„potworem”.

Pocahontas nie mogła się zdecydować, czy lepiej będzie wysłuchać tej opowieści, czy raczej nie słuchać jej

wcale. Jednak kiedy kobiety rozebrały się do kąpeli, wszystkie rzuciły się, aby szczegółowo badać ciało partnerki Smitha. Czy ma na sobie ślady ukąszeń miłosnych, a jeśli, to gdzie? Czy jej sutki pozostały różowe? Czy ten człowiek miał jakieś szczególne cechy, na przykład był owłosiony jak niedźwiedź? A może wyczyniał z nią jakieś straszne rzeczy?

Według opinii Pocahontas przydzielona Smithowi partnerka opowiadała o swoich przeżyciach dziwnie powściągliwie.

Pluskała się tylko wesoło w wodzie, dając do zrozumienia, że było jej bardzo przyjemnie. Nie zdradzała żadnych szczegółów, tylko taplała się w lodowatej wodzie, jakby to było upalne lato.

Pocahontas miała ochotę wlepić jej porządnego klapsa. W końcu kobieta wyszła z wody i bezwstydnie, na oczach wszystkich, wycierała się pękiem indyjskich piór.

Do tej pory żadna inna nie zazdrościła jej nocy spędzonej z cudzoziemcem. Zapowiadało się to raczej na coś dziwnego, a jej męża już od dziesięciu dni nie było w domu. Jednak inne kobiety stwierdziły, że jest wyraźnie zadowolona, i cierpiały istne męki, tak że w końcu usiadła z nimi przy ognisku.

Wtedy dopiero dowiedziały się, że od szyi w dół Tassentas miał

bardzo blade, wręcz białe ciało. Zarost miał tylko na twarzy, co, jak dodała z pewnym zawstyżeniem, przyjemnie ją drapało.

Poza tym miał równie gładkie ciało jak jej mąż - no, oczywiście z wyjątkiem złotorudych włosków wokół wiadomego organu. Tu przeciągnęła się leniwie i z rozkoszą przymknęła oczy, wspominając, że ta część jego ciała na takim tle przypominała wschodzące lub zachodzące słońce. Z tym tylko, że to słońce częściej wschodziło, niż zachodziło...

Kiedy kobiety otoczyły wianuszkiem szczęśliwą wybrankę, wypytując ją o bardziej pikantne szczegóły Pocahontas poczuła, że nie zniesie tego ani chwili dłużej. Miała jednak świadomość, że ta noc obrośnie legendą i opis jej, przekazywany z ust do ust, będzie coraz bardziej ubarwiany. Zanim wróci mąż tej kobiety, będą już o tym śpiewać pieśni, a ich bohaterka zyska wysoki prestiż...

Trzeba z tym skończyć - pomyślała Pocahontas. -Wystarczy jedno słowo mojego ojca...

Ceremonia przyjęcia Smitha do plemienia odbyła się, kiedy słońce stało tak wysoko, jak to było tylko możliwe w zimie.

Kapłani byli z tego niezadowoleni i zachowywali się opryskliwie, bo nie podobały im się jakiegokolwiek ustępstwa w stosunku do cudzoziemców. Tym silniej walili więc w bębny, by wyładować swój gniew.

Mieszkańcy wioski zjawili się tłumnie, aby zmanifestować poparcie dla nowej polityki wodza

wobec przybyszów zza Wielkiej Wody. Niektórzy mieli jednak mieszane uczucia, zwłaszcza na widok jawnej dezaprobaty kapłanów. Pocahontas pocieszała się jednak, że w głębi duszy wszyscy myślą to samo, co ona. A i ona wie, że ojciec ma zamiar ostatecznie pozbyć się niepożądanych gości.

Kiedy przed ceremonią natknęła się na Smitha, było jej głupio.

Wiedziała, że wojownikowi po trudach wyprawy należy się odprężenie u boku kobiety. Smithowi, po jego ciężkich przejściach, tym bardziej się to należało. Mimo to jednak mierzila ją myśl o tym, co robił z tą głupią babą!

Pocahontas starała się zatrzymać w sercu tę chwilę,

kiedy na szafocie stanowili jedno, nie widząc świata poza sobą.

Gdy obrócił się wtedy twarzą do niej, wiedziała, że i on odczuwa coś podobnego. Zdawało się jej, że przez jego niebieskie oczy mówił to samo bóg nieba.

Widziała, że Smith denerwował się przed ceremonią, więc uspokoiła go, że nie będzie musiał uczestniczyć w żadnych nieprzyjemnych czy bolesnych obrzędach. Jedyne, przy czym ma się zachować z synowskim szacunkiem, to przymierze krwi zawierane z Powhatanem. Natną mu wtedy skórę na palcu ostrym brzegiem muszli i jego krew będzie musiała zmieszać się z krwią wielkiego wodza. Smith zapewnił ją, że uważa to za wielki zaszczyt dla siebie.

Następnego dnia po ceremonii ojciec kazał Pocahontas zająć miejsce przy boku kapitana, zamiast jak zwykle przy jego boku.

Uzasadnił to tak:

— W moim państwie istnieje zwyczaj tak stary, jak daleko sięga nasza pamięć. Kiedy ratujemy kogoś od śmierci, jesteśmy do końca jego dni za niego odpowiedzialni. Pocahontas, ty teraz będziesz opiekować się kapitanem Smithem. On wróci do swego ludu, a z nim pojedzie Rawhunt, mój zaufany przyjaciel.

Przywiezie on do Werowocomoco dwie grzmiące rury, które obiecał mu kapitan. Ty, Pocahontas, w ramach nowych obowiązków pojedziesz za nimi z zapasami żywności, ale masz zaraz wracać.

Pocahontas szybko to przetłumaczyła, aby Smith dokładnie zrozumiał, czego życzy sobie jej ojciec. Potem odprowadziła wzrokiem Smitha odchodzącego w asyście dwunastu wojowników. Nazajutrz, wcześniej rano, będzie już u swoich.

Rozdział 12

Jamestown,

styczeń 1608 roku

Pierwszy wystrzał postrącał z drzew lawiny śniegu. Drugi pozrywał z gałęzi ostre sople lodu, które

wbiły się w ziemię.

Rozpętała się teraz prawdziwa burza śniegu i lodu. Ściółkę leśną zasłały grube gałęzie, a hałaśliwe zwykle kruki i mewy zamilkły.

Wystrzał z działka, który miał zademonstrować Powhatanom możliwości tej broni, wystraszył ich tak dalece, że i Rawhunt, i jego ludzie w panice rzucili się do ucieczki w las. Kiedy Smith krzyknął do nich, by wracali - byli bladzi i trzęśli się ze strachu.

Huk wystrzału i spowodowane przez niego szkody były dla nich czymś tak obcym, że aż ich przytłaczały.

Smith zakomenderował obsłudze działa:

- Załadujcie jeszcze raz kamieniami i oddajcie jeszcze jeden strzał, ale dopiero wtedy, gdy tamci wrócą!

Dotarli do fortu z Werowocomoco dopiero niecałą godzinę temu.

Słońce ledwo było widoczne ponad horyzontem. Rawhunt dał

znak ręką, że już dosyć, a palce tak mu drżały, że ledwie panował

nad ich ruchami. Smith uśmiechnął się i odwołał rozkaz, a potem, trochę po powhatańsku, a trochę na migi, zapytał Rawhunta, jak ma on zamiar przetransportować do Werowocomoco działko ważące prawie dwie tony. Rawhunt zrobił mocno zakłopotaną minę, więc Smith

wysłał kogoś ze swoich żołnierzy do magazynu i kazał mu przynieść kilka naszyjników z miedzi i szklanych paciorków, które ceremonialnie wręczył Rawhuntowi. Indianie sprawiali wrażenie zadowolonych, że nie wrócą do wodza z pustymi rękami. Trudno im będzie jednak wytłumaczyć, dlaczego wracają bez działa. Smith nie chciałby być w ich skórze.

Z boku przyglądali się tej scenie Gabriel Archer, John Martin i John Ratcliffe, „zabijając” ręce dla ciepła. Czekali na Smitha, gdyż jako członkowie rady nadzorczej musieli przesłuchać go na okoliczność podróży do Werowocomoco oraz zaginięcia Cassena, Robinsona i Emery'ego.

Kiedy Rawhunt wraz z wojownikami odeszli, zabierając podarki, Smith i trzech inni kapitanowie usiedli przy ognisku. Smith spróbował zupy i kukurydzianego chleba z trudno skrywanym niesmakiem.

Rozpuścili mnie Indianie swoimi smakołykami — pomyślał.

Muszę poprosić Pocahontas, żeby teraz, kiedy możemy swobodnie polować i łowić ryby, pokazała naszym, jak przyrządzać dobrą strawę.

— Smith, ty wcale nie słuchasz! - przerwali mu te rozważania.

Mierzyli go chłodnym, uporczywym wzrokiem, a Ratcliffe, obecny przewodniczący rady, powtórzył swoje pytanie:

- Gdzie są Cassen, Robinson i Emery? Wkroczyłeś bladym świtem do fortu z dwunastką tubylców, a nie raczyłeś nawet usprawiedliwić się, dlaczego cię tak długo nie było.

Smith tłumaczył się, że chciał najpierw odesłać Indian, a dopiero potem zdać szczegółowy raport, aby niczego nie pominąć, (idy jednak opowiadał o swoich przeżyciach, widział, że jego towarzysze z rady wcale

mu nie współczują. Patrzyli lodowatym wzrokiem i zdawali się nie wierzyć, że zrobił, co mógł, i nie z jego winy Cassen, Robinson i Emery wpadli w zasadzkę. Odwrotnie, uważali, że powinien być z nimi zostać.

W tej atmosferze podejrzliwości Smith postanowił nie wspominać o skarbcach w Uttamussack. Jeśli bowiem rada zwróciłaby się przeciwko niemu, sam mógłby dobrać się do ich zawartości. Na razie jednak zdwoił wysiłki, aby przekonać członków rady, że boleje mocno po stracie swoich ludzi i przez cały czas przebywania w niewoli modlił się za nich. Największy akcent położył zaś na to, że poprawił sytuację kolonii poprzez zawarcie porozumienia z królem, dzięki czemu cała wyprawa, mimo strat, finalnie się opłaciła. No i dzięki układowi z Powhatanem mieszkańcy fortu będą mogli bez strachu wychodzić na zewnątrz.

Kończyli już jeść, kiedy przybiegł do nich zaaferowany cieśla.

Schrypniętym z podniecenia głosem oznajmił, że wróciła księżniczka Pocahontas. Jest już u bram fortu, a towarzyszący jej orszak niesie nową dostawę żywności!

Smith natychmiast zerwał się na równe nogi i pobiegł w kierunku bramy. Kiedy zrównał się z Pocahontas, gorąco uściskał jej rękę.

W chłodnym powietrzu wyraźniej odznaczały się jej rysy, a oczy błyszczały jaśniej. Pragnął podziękować jej za wszystko, co dla niego zrobiła, ale w Werowocomoco nie miał szansy zbliżyć się do niej. Tak wiele miał jej do powiedzenia, ale skwitowała to krótkim uśmiechem i informacją:

- Widzieliśmy jedną z waszych wielkich łodzi, taką pływającą wyspę.

Wiadomość ta zbulwersowała go tak, że aż odskoczył. Zaraz też podzielił się nią z najbliższymi stojącymi.

Ci natychmiast porzucili narzędzia, pobiegli ku murom fortu i wspięli się na wieżyczki. Inni na wyścigi popędzili na brzeg, wyrażając wzrok na rozległą przestrzeń zatoki. Wkrótce jednak zaczęli powracać z widocznym rozczarowaniem.

- Kapitanie, tam nie ma żadnych statków. Chyba im się tylko zdawało! - uskarżali się głosami nabrzmiałymi gniewem. -

Powiedzcie im, panie, że to bardzo brzydko tak oszukiwać!

- Ależ widzieliśmy statek! — upierała się Pocahontas. — Nie mówilibyśmy tego, gdyby to nie była prawda. Pamouic, jesteś pewien, że widziałeś wielką łódź?

- Jestem całkiem pewien — potwierdził Pamouic.

- I ja też! — Pocahontas zdecydowanie obstawała przy swoim.

Załoga nadal wypatrywała, ale szarobłękitny horyzont wydawał

się pusty. Z pomrukami niezadowolenia wracali do fortu, spuściwszy nosy na kwintę.

- Pocahontas, moim ludziom jest przykro! - upominał ją Smith. -

Ten statek ma dla nas duże znaczenie, to jakby nić łącząca nas ze starym krajem. Powiedz swoim, że to był okrutny żart!

- Mój brat nigdy nie kłamie! - twierdziła poważnie Pocahontas. -

Ja też nie.

Smith na krótko się zawahał, ale po chwili postanowił zmienić temat.

- Proszę, wejdźcie do środka. Zawsze jesteście tu mile widziani.

Ty wiesz, że jestem ci szczerze oddany — tu skłonił się głęboko.

Nie mógł dopuścić, aby między Pocahontas i ludźmi z fortu powstały jakiegokolwiek niesnaski. Była przecież podstawą ich egzystencji!

Po drodze do magazynów Smith rozglądał się i jakby dopiero teraz zauważył, że budynki fortu nie wyglądają już tak świeżo i surowo. Ich drewniane ściany ściemniały od deszczu, gradu i śniegu. Razem z małym cmentarzykiem robiło to już wrażenie trwałości, nie prowizorki.

Nadzorując wyładunek kukurydzy i zwierzyny dostarczonej przez Pocahontas, Smith był wyraźnie sfrustrowany. Wolałby poromawiać z nią w cztery oczy, aby wyrazić swą wdzięczność i wrócić do przerwanych lekcji języka. Tylko czy teraz te lekcje to byłoby to samo, co przedtem? Między nimi wytworzyła się już inna atmosfera - te ukradkowe spojrzenia, to wyczuwalne podniecenie... Coś, co nie pozwalało wątpić, że Pocahontas stała się już kobietą.

Nie wiedział, jak daleko może się jeszcze posunąć i czy w ogóle może to zrobić? W końcu nie chodziło tu tylko o nich, lecz o losy całej wyprawy. Jako dowódca, musiał przecież dawać swoim ludziom dobry przykład. Nie wolno im było nawiązywać intymnych kontaktów z tubylczymi kobietami, chyba że były one zwyczajowo oferowane gościom przez wodzów. No, a Pocahontas nie była przecież zwykłą kobietą... Wchodziła tu jeszcze w grę różnica ich statusu społecznego. Wyszło na to, że znów nie czuł się pewnie i znów przyczyną tego była ta dziewczyna!

Podczas gdy Smith był z Pocahontas w magazynie - Archer, Ratcliffe i Martin rozprawiali o czymś

zawzięcie pod wielkim klonem na centralnym placu fortu. Dyskusja była ożywiona, bo Ratcliffe gwałtownie gestykulował. Wokół nich zaczęli się zbierać robotnicy, przysłuchując się rozmowie. Na polecenie Ratcliffe'a Martin oderwał się od grupy i prowokująco wolnym krokiem ruszył na spotkanie wychodzących z magazynu Smitha i Pocahontas.

- Smith, Ratcliffe będzie cię sądził za zaniedbanie swoich obowiązków i spowodowanie śmierci Cassena, Robinsona i Emery'ego.

W Smitha jakby grom strzelił. A to łotry, po tym wszystkim, co dla nich zrobił! Niestety, wiedział, że Ratcliffe, jako przedstawiciel najwyższych władz kolonii, ma prawo wytoczyć mu proces pod dowolnym pretekstem. Mało tego, Archer był

prawnikiem i mógł łatwo posłużyć się precedensem stworzonym przez króla Henryka VIII, kiedy ten chciał rozwieść się z żoną.

I pomyśleć, że dopiero kilka dni temu ledwo uniknąłem zatłuczenia pałkami w Werowocomoco! - zżymał się w myśli. -

Nie, to niemożliwe, aby mówili serio!

Kiedy spojrzał na Pocahontas, dostrzegł, że cała krew uciekła jej z twarzy, a wokół ust utworzyła się szara obwódka.

Ledwie uratowała mnie przed jedną egzekucją - pomyślał z goryczą - a już kroi się następna. Ale ona nie może mieć z tym nic wspólnego. To jakiś kiepski dowcip.

Z westchnieniem zwrócił się do niej:

— Nie masz tu po co dłużej zostawać. Wracajcie do obozu. Dam wam znać, kiedy wszystko się wyjaśni.

Obejrzał się na Pamouica, Secotina i towarzyszących im sześciu wojowników. Przez moment myślał, żeby uciec wraz z nimi, ale to nie miało sensu. Jako zbieg, nie byłby Powhatanowi do niczego potrzebny. Nikt nie stanąłby w jego obronie. Musiał

zostać na miejscu, aby stawić czoło nowemu wyzwaniu.

Rozpoznanie sprawy, proces i wydanie wyroku potrwały może ze dwadzieścia minut. John Smith miał w ciągu najbliższej godziny zostać powieszony.

W czasie tej parodii rozprawy Smith uporczywie wpatrywał się w jeden punkt. Zauważył bowiem, że ani Pocahontas, ani ją eskortujący nie opuścili fortu. Stali w milczeniu przez cały czas trwania procedury sądowej. Kiedy zaś wprowadzono Smitha do kaplicy, aby wielebny Hunt udzielił mu ostatniej posługi religijnej - trwali, nieporuszeni, tam, gdzie przedtem.

Ławki w kaplicy były oblodzone, a z krokwi stropu zwisały sople. Smith próbował się modlić, ale w ostatnich dniach powtórzył już chyba wszystkie modlitwy, jakie znał. Nie miał

pretensji do robotników, że nie byli wobec niego lojalni i zabrali głos na jego niekorzyść. Ich pozycja społeczna była tak niska, że korzystali z każdej okazji, aby się dowartościować. Rozumiał ich motywację, lecz mimo wszystko pogardzał nimi. No i błędna informacja Indian o statkach także nastawiła ich przeciwko niemu. Słyszał, jak Hunt modli się w jego intencji.

To porządny człowiek - pomyślał. - Przetrzymał z nami ataki tubylców, głód, epidemie, upały i mrozy, przez cały czas podtrzymując nas na duchu. A teraz poleca moją duszę Bogu.

Dobre i to, że choć tym razem na śmierć dysponuje mnie normalny ksiądz, a nie diabelscy kapłani Powhatana.

W końcu wielebny Hunt pomodlił się o odpuszczenie grzechów Smitha. Robotnicy, którzy potem przyszli po niego, nie mieli odwagi spojrzeć mu w oczy. Uczucie wstydu pokrywali zdwojonym grubiaństwem i pogardą. Mimo iż Smith szedł z nimi dobrowolnie z dumnie uniesioną głową, i tak popychali go i kopali, zostawiając na jego ubraniu grudki zmarzniętego śniegu.

W tej swojej - jak sądził - ostatniej drodze ujrzał Pocahontas i jej ludzi stojących na tym samym miejscu

co poprzednio, jak kolorowe figurki przymarznięte do podłoża.

Pod drzewem czekali już kaci. Smith kolejny raz próbował

przypomnieć im wszystkie swoje zasługi dla kolonii, ale członkowie rady z kamiennymi twarzami patrzyli w inną stronę.

Nikt nie chciał spojrzeć mu prosto w oczy, jedynie stary przyjaciel Percy spoglądał na niego z sympatią. Ratcliffe osobiście wziął do ręki linę przerzuconą przez konar drzewa i sprawdził, czy węzeł dobrze trzyma. Niedbałym ruchem ręki zarzucił Smithowi pętlę na szyję.

Zapach konopi zawiercił Smithowi w nozdrzach, przypominając wiele podobnych egzekucji, w których sam uczestniczył.

Wieszają mnie jak prostego złodzieja - pomyślał rozżalony.

Jednak w momencie, kiedy Ratcliffe podsunął ku niemu stołek i kazał mu na nim stanąć, do zebranych pod drzewem zbliżyła się Pocahontas.

- Poczekajcie! — Starła się mówić po angielsku, z trudem dobierając słowa. - Kapitan Smith jest... pod moją specjalną opieką. Mój ojciec, wielki wódz Po-whatan, przyjął go za syna. Ja nie wiem... co on zrobi, gdy się dowie... że coś się stało kapitanowi!

Ratcliffe spojrział na nią surowo.

— Przykro mi, księżniczko - przemówił twardo, ale z odcieniem szacunku. — To nasza, wewnętrzna sprawa, która w niczym nie dotyczy ani ciebie, ani twojego ojca. Ten człowiek został

sprawiedliwie osądzony według naszych praw i uznano go za winnego.

Jakby na zamówienie w tym samym momencie rozległ się ogłuszający wystrzał z armaty i odbił się echem od murów fortu.

Wszyscy stanęli jak przygwoź-

dzeni w miejscu. Mogło to oznaczać tylko jedno - do portu przybijał statek!

Cała dyscyplina od razu się ulotniła. Robotnicy wylegli na brzeg, wykrzykując i wymachując kapeluszami. Korzystając z zamieszania, Pocahontas dała oczami znak Pamouikowi, który szybko zerwał pętlę z szyi Smitha.

- No i co? - Smith z satysfakcją zwrócił się do Ratcliffe'a. -

Indianie mieli rację. Dostrzegli ten statek już dwie godziny temu.

- Nic ci już nie pomoże! - od warknął Ratcliffe, płonąć rumieńcem gniewu. - Zostałeś osądzony i uznany za winnego.

Tak czy siak, będziesz wisiał jeszcze dziś.

Pomaszerował szybko w stronę brzegu, wymachując niecierpliwie rękami. Smith i Pocahontas wolno podążyli za nim.

Niewiarygodne, ale „Susan Constant” przepłynęła cały ocean, aby zdążyć w tym najważniejszym dla niego momencie.

Chyba Bóg specjalnie nade mną czuwa - pomyślał i odmówił

krótką modlitwę dziękczynną.

A więc znów Pocahontas wstawiła się za nim i wytargowała trochę cennego czasu, który okazał się decydujący! Jak będzie mógł jej się za to odwdzięczyć? Nigdy nie spodziewałby się, że jego los będzie zależał od odwagi tej młodej Indianki!

Wprawdzie nie został jeszcze ułaskawiony, ale przybycie Newporta dawało mu pewną szansę.

Przy nabrzeżu tłoczyli się osadnicy, przekrzykując się nawzajem i rzucając pieprzne powiedzonka. Przybycie tego statku oznaczało świeży prowiant, jak też wiadomości z domów, od rodzin i całej reszty świata. Ci ludzie tyleż byli spragnieni smaku piwa, co widoku nowych twarzy.

Newport, wysoki i wyprostowany, szedł na czele pierwszej grupy wysiadających, pozdrawiając ręką tłum. Smith w tym czasie przepychał się bez skrpułów ku niemu, aby za wszelką cenę być pierwszym człowiekiem, który powita admirała na brzegu.

Wiedział, że Newport, choć uważał go za hultaja i rogatą duszę, lubił go i cenił za zdolności,

lojalność i odwagę. I rzeczywiście, Newport przywitał go wylewnie.

- Hej, Smith, przywiozłem nowych osadników i zapasy! -

oznajmił z uśmiechem. Zauważył także Pocahontas, więc zwrócił

się ku niej z uprzejmym przywitaniem. Potem otoczył Smitha ramieniem i przeszli razem do domu zebrań. Smith po drodze nie tracił czasu, bo ciężkie przejścia mocno nadwerężyły mu nerwy.

Chciał jak najszybciej zakomunikować Newportowi, co tu się działo w ostatnich dniach - inne sprawy nie były aż tak pilne.

Przede wszystkim musiał przekonać Newporta o swojej niewinności, zanim Archer i Ratcliffe przedstawią mu swoją wersję wydarzeń.

Newport wysłuchał go cierpliwie i podsumował:

- Na Boga, Smith, ależ to śmieszne! Wszystko przez to, że życie w takim odosobnieniu i stałym napięciu. Nie widzę w tym żadnej twojej winy, więc powiem tym ludziom z rady, żeby odwołali wyrok, który wydali na ciebie. Na razie więc dajmy temu spokój, bo są ważniejsze sprawy. Trzeba wyładować to, co przywiozłem.

Mam dla ciebie list od Edwina Sandysa. Przede wszystkim jednak chciałbym porozmawiać z tobą na temat króla Powhatana.

Smith westchnął. To, co Newportowi wydawało się śmieszne, jego wcale nie rozbawiło, kiedy był o włos od śmierci. Na pewno jednak izolacja, głód i życie w ciągłym strachu rozstrajały ludzi nerwowo. Stanowczo

Jamestown nie było odpowiednim miejscem do zamieszkania.

- Dziesięć szylingów za tę partię i ani pensa mniej! - krzyczał

marynarz z nowo przybyłego statku. Żagle były już zwinięte, a po pokładzie krzątali się robotnicy z fortu.

- Ach, wy łotry! - burczał dobrodusznie Smith z brzegu. -

Zapłaciłem za ten towar, zanim jeszcze „Susan Constant”

wypłynęła z portu!

- Ale jeśli chcecie go, panie, dostać, musicie zapłacić mi tyle, ile żądam! - odwzajemniał się marynarz.

- To ich prywatna inicjatywa! - wtrącił się Percy ze smutnym uśmiechem. - Jesteśmy w przymusowej sytuacji i mogą dyktować nam warunki.

- Tych zapasów starczy nam na rok, ale Kompania Wirgińska przysłała nam jeszcze pięćdziesiąt książek. Ta przesyłka będzie kosztować nas ładny grosz! Kilka takich rejsów, a marynarze będą bogatsi od kapitanów.

- A czy Newport nie może kontrolować cen? Smith w zakłopotaniu potarł brodę.

- Słyszałem, że londyńscy kupcy mają swoich przedstawicieli na pokładach statków i załatwiają sprawy bezpośrednio z nimi, z pominięciem kapitanów. Potem ci ludzie wybierają zaufanych marynarzy i płacą im prowizję za opiekę nad ładunkiem.

- Żądają takich cen, że wkrótce pójdziemy z torbami.

- Może jeszcze nie. Słuchaj, Percy, chciałbym się z tobą spotkać po mojej dzisiejszej rozmowie z Newportem. Wydaje mi się, że w końcu wpadłem na trop skarbów.

Wymieniając porozumiewawcze spojrzenia nie za-

uważyli, kiedy podeszła do nich Pocahontas ze swymi dwoma braćmi.

— Kapitanie Smith! - zaczęła bardzo formalnie. — Zza Wielkiej Wody przyплыnęło dziś stu nowych ludzi. A mój ojciec i ja myśleliśmy, że zostaniecie tutaj tylko dotąd, dopóki chorzy nie wyzdrowieją, a potem wrócicie do siebie.

Smithowi zrobiło się przykro. Jak miał jej wyjaśnić, że skłamał

dla dobra swoich ludzi?

— Nasi wysłannicy opowiedzieli królowi w Londynie, jak piękny jest kraj twojego ojca — zaczął dyplomatycznie. - Tak mu się to spodobało, że zażądał od nas, abyśmy jeszcze trochę tu zostali.

Po części była to prawda, ale i tak Smith nie miał już sumienia patrzeć przy tym w szczerę i ufne oczy Pocahontas. Zauważył

natomiast, że Pamouic i Secotin nie ufali mu aż tak bezgranicznie.

— Nasz król — mówił dalej — przekazał przez nas dary dla twojego ojca, gdyż bardzo go szanuje. Spójrz, oto jeden z nich!

Wskazał na szalupę płynącą od „Susan Constant” ku brzegowi.

Na jej dziobie stało dwóch ludzi, a między nimi pies rzadkiej rasy

— biały chart, którego lśniaca sierść elegancko odcinała się od błękitu wody.

Pocahontas na widok zwierzęcia zręcznie wyskakującego na brzeg zapomniała o swoich wątpliwościach.

— Jaki piękny! — wykrzyknęła zachwycona w narzeczu powhatańskim.

— Nasz ojciec długo się nim nie nacieszy. Pocahontas już się w nim zakochała! - mruknął cicho Secotin do Pamouica.

— Później, księżniczko, spokojnie porozmawiamy o wysłaniu delegacji z tymi darami do twojego czcigodnego ojca

- Smith zręcznym frazesem chwilowo uratował sytuację.

Wiedział jednak, że będzie musiał odbyć z Pocahontas dłuższą, szczerą rozmowę, gdyż nie może sobie pozwolić na utratę jej zaufania i poparcia.

Wieczorem Newport zaprosił członków rady nadzorczej na kolację w swoich apartamentach na „Susan Constant”. W jego wybitej boazerii kajucie, przy potrawach z dziczyzny, kukurydzy i suszonych owoców otrzymanych od Powhatana oraz winie od Kompanii Wirgińskiej, ostudziły się emocje i rozwiązały języki.

Ci, którzy przeżyli koszmar minionych miesięcy w kolonii, po raz pierwszy od długiego czasu rozkoszowali się smakiem rubinowego płynu podawanego w cynowych kubeczkach. W

świecie świec stwarzających ciepłą, domową atmosferę i przypominających o bliskich osobach, gdzieś ulotniła się wrogość i nienawiść, które jeszcze tego samego ranka pchały tych ludzi do wieszania. W tej chwili ten przykry incydent był

czymś równie odległym jak koszmarny sen.

W tych warunkach - myślał Smith - wszyscy postępujemy albo będziemy postępować nieobliczalnie. Gdyby wśród nas były kobiety, może zapanowałyby bardziej cywilizowane obyczaje.

Na razie jednak trzeba

o tym zapomnieć.

Sala trzęsła się od radosnych okrzyków i toastów na cześć króla Jakuba, gdy Newport wstał, trzymając kieliszek w ręku.

- Moi panowie! - zaczął przemówienie. - Myślę, że najgorsze mamy już za sobą. Kolonia jest na najlepszej drodze, aby stać się naszym silnym przyczółkiem

i umacniać potęgę Anglii w Nowym Świecie. Teraz

życzę już panom dobrej nocy, tylko Smith niech zostanie. Smith, chciałbym z tobą porozmawiać.

Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim gościem, Newport zwrócił

się do niego:

— Najpierw masz, przeczytaj sobie list od twojego znajomego, sir Edwina. Potem chciałbym usłyszeć od ciebie wyczerpujące sprawozdanie z ostatnich sześciu miesięcy.

Smith przeczytał do końca list, dorzucił drew do ognia, kopniakiem podsycił płomienie i zaczął szczegółowo opisywać, co się działo w ciągu minionego półrocza. Swój raport zakończył

tak:

— Na razie król Powhatan zgodził się z nami handlować, ale obawiam się, że później będzie chciał się nas pozbyć. W każdym razie polecił okolicznym plemionom, aby dały nam spokój.

Najniezwyklejsze jednak ze wszystkiego jest to, że jego córka stale się za nami wstawia i ratuje nam życie. To kobieta jedyna w swoim rodzaju!

Zakończył to zdanie głosem lekko schrypniętym ze wzruszenia.

— Masz rację - przytaknął Newport. - Na pewno częściowo wynika to z tego, że jest księżniczką krwi królewskiej. Właściwie to ona powinna zorganizować nam spotkanie z Powhatanem, tak abyśmy mogli wręczyć mu prezenty i zapewnić o naszej dobrej woli. Na razie opowiedz mi więcej o ich życiu.

Smith pociągnął spory łyk wina.

— Cóż, są to ludzie życzliwi i żyjący w zgodzie z naturą. Rządzą się własnymi prawami, ale respektują też prawa innych narodów.

Mają osady większe i mniejsze, otoczone polami uprawnymi.

Hoduje się tam dużo warzyw i owoców. Ludzie są od nas dużo zdrowsi

i silniejsi, zwłaszcza wzrok i słuch mają chyba ze dwa razy lepszy niż my. Ich król rządzi nimi żelazną ręką, ale może przez to ich społeczeństwo jest bardziej scementowane. Oczywiście prosty lud jest u nich tak samo ciemny jak u nas, ale wyższe sfery są mniej więcej takie same jak na całym świecie. Nie znają pisma, naszej kultury ani religii, ale na przykład księżęta, których spotkałem w Czechach, też tego nie znali.

- Sam chciałbym to wszystko zobaczyć. Ale słuchaj, zwróciłeś uwagę w liście Sandysa, że Londyn chciałby wiedzieć, co się stało z naszą pierwszą kolonią, założoną przez Raleigha? Tą, która znikła bez śladu w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia. Ta sprawa jest wciąż tajemnicza, choć muszą jeszcze żyć jacyś osadnicy z tamtego okresu lub ich dzieci. Kręgi zbliżone do dworu pewnie mają wyrzuty sumienia, bo nieboszczka królowa prowadziła wtedy wojnę z Hiszpanią, więc nie mogła wspomóc kolonii swoją flotą ani zaopatrzeniem.

- Wydaje mi się, że wielki wódz Powhatan coś o tym wie -

zasugerował Smith. - To oczywiście tylko przypuszczenie, ale w Werowocomoco jeden z jego oficerów w swoim przemówieniu wymienił nazwę tej kolonii.

- No więc musimy spróbować się tego dowiedzieć, a na razie przygotowujmy się do wyjazdu do Werowocomoco. Dostyc już na dzisiaj, bo wszyscy jesteśmy zmęczeni. Dobranoc, Smith, i dziękuję ci, że poświęciłeś mi trochę czasu.

Smith opuścił apartamenty admirała, zasalutował pilnującemu ich wartownikowi i zszedł do czekającej szalupy. W myśli analizował posunięcia Kompanii Wirgińskiej, która tym razem wysłała do zasiedlenia Jamestown pracowitych, lecz ubogich chłopów, rze-

mieślników i robotników. Ludzie ci chętnie emigrowali, gdyż w Anglii nie mieli z czego żyć - wyparła ich nowa, prężna formacja społeczna tworzącego się kapitalizmu.

Niezły pomysł - podsumował to Smith. - Garstka arystokratów i szlachty do rządzenia głodnymi biedakami szukającymi szczęścia.

W postscriptum sir Edwin przesyłał mu pozdrowienia od panien Reynolds, którym wciąż niespieszno było za mąż. Smith uśmiechnął się do siebie w ciemnościach na to wspomnienie.

Rozdział 13

Werowocomoco,

styczeń 1608 roku

- Pocahontas, ja postępowałem uczciwie, byłem cierpliwy i wyrozumiały! — grzmiał Powhatan. — Ale biali ludzie mają nieczyste zamiary. Wcale nie chcą wracać do siebie. Chętnie zostaliby tu na zawsze.

Wielki wódz poprawił się nerwowo na siedzisku z futer i klasnął

w dłonie na znak, że chciałby się napić wody.

Pocahontas w zakłopotaniu zmarszczyła czoło. Skąd ojciec mógł

wiedzieć, że osadnicy mają zamiar zostać tu dłużej? Przecież dopiero co wróciła z fortu i nie wysłała gońca z żadną wiadomością.

- Może zostaną tylko trochę dłużej - próbowała tłumaczyć przed ojcem postępowanie białych. — Chcą pobrać od nas próby rzadkich gatunków drzew i tytoniu. Pragną złożyć ci wizytę, ojcze, i przekazać dary od swojego króla.

- Nie potrzebuję żadnych darów od ich króla, ale dobrze, przyjmę tych białych i sam zapytam, jakie właściwie mają zamiary.

Przydałoby mi się też więcej broni i narzędzi, więc jeszcze trochę z nimi pohandluję. Będiesz nadal pełnić funkcję mojego przedstawiciela, bo mają do ciebie zaufanie. Ale pamiętaj, że oszukali i ciebie, i mnie. Kapłani stracili już cierpliwość i domagają się ofiary z dziecka.

— Och, ojcze, tylko nie to!

— Mało tego, Pocahontas, chciałbym, abyś jeszcze raz przemyślała sprawę małżeństwa z Kokumem. Mo-nakanie znów nam zagrażają, a ojciec Kokuma zawsze był naszym wiernym sprzymierzeńcem. W tej walce potrzebuję Chickahominów jako sojuszników, zresztą długo się rozglądałem i nie znalazłem mężczyzny odpowiedniejszego dla ciebie niż Kokum.

Pocahontas znów usłyszała w wyobraźni łopot czarnych skrzydeł

nad sobą. Czyżby jej łatwowierność w stosunku do Tassentasów spowodowała konieczność ofiary z dziecka? Na myśl o tym krew zaczęła jej pulsować w skroniach. Czowała się winna, więc pewnie, aby odpokutować tę winę, będzie musiała wyjść za Kokuma.

Nadal jednak nie wiedziała, skąd ojciec dowiedział się o przybyciu nowych osadników. Żaden wojownik nie przekazałby takiej wiadomości bez jej zgody. Pamouic też nie zrobiłby czegoś takiego. Może Secotin? Ale dlaczego chciałby ją skompromitować?

Bijąc się z tymi myślami, stała przed tronem Po-whatana.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wódz był w bardzo złym humorze - nerwowy i opryskliwy wobec wszystkich w swoim otoczeniu. Nie widziała też nigdzie jego żon, a przecież zawsze kręciło się przy nim kilka, żeby mu usługiwać lub też na wypadek, gdyby nagle zapragnął z którąś pożartować.

Pocahontas doszła jednak do wniosku, że nie jest to odpowiedni moment, aby pytać ojca o takie rzeczy.

Uśmiechnęła się więc przymilnie.

— Rozumiem, ojczy, o co ci chodzi. Pozwól, że na razie przygotuję trochę żywności na najbliższą wyprawę do Tassentasów.

Kiedy wyszła z domu rady, na dworze było chłodno, lecz jasno świeciło słońce. Wzięła głęboki oddech dla rozjaśnienia myśli i wtedy zauważyła swoją przyrodnią siostrę Mehtë.

- Gdzie są żony ojca? - spytała ją.

- Ach, przecież ty nic nie wiesz! Sacha zdradziła ojca.

- Jak to zdradziła?

- Zwyczajnie, wzięła sobie kochanka. To dlatego ojciec jest zły na wszystkie swoje żony i nie może na nie patrzeć. Dobrze, że nie było cię tutaj wtedy, kiedy się o tym dowiedział. Kapłani wmówili mu, że pech prześladowuje nas z powodu obecności białych przy naszych brzegach.

Pocahontas pamiętała tylko jeden przypadek, kiedy którąś z żon wodza przyłapano na cudzołóstwie, ale wiedziała, co w takiej sytuacji nakazuje prawo zwyczajowe. Spytała więc tylko:

- Czy przywiązano ją do skały?

- Tak, siedzi na nich już od trzech słońc i będzie jeszcze tam przez cztery następne.

Pocahontas pomaszrowała więc prosto do tej skały. Był to potężny głaz umieszczony w centralnym punkcie Werowocomoco, blisko rzeki, tak aby prawie każdy mieszkaniec wioski musiał przynajmniej raz tamtędy przejść. Stała już tam gromadka chłopców, którzy, chichocząc, rzucali w Sachę piaskiem.

Jak ona mogła być aż taka głupia? - myślała Pocahontas o ukaranej przyjaciółce.

Sachę przywiązano do skały zupełnie nago, z rozwartymi do granic możliwości nogami. Miała pozostać w tej pozycji, bez pożywienia i wody, przez siedem dni od wschodu do zachodu słońca. Na noc ktoś ze starszyny wioskowej, cieszący się dobrą opinią, zabierał ją pod dach, ale już o świcie musiała wracać na miejsce kary.

Członkowie plemienia Powhatanów już od niemowlęctwa byli przyzwyczajeni do znoszenia z równym hartem tak mrozów, jak i upałów, ale widać było, że Sacha marznie. Całe ciało i wargi miała zsiniałe od chłodu.

- Sacha, czemuś to zrobiła? - spytała ze smutkiem Pocahontas.

- Och, wiem, że to było szaleństwo, ale nie mogłam mu się oprzeć!

Pocahontas wiedziała, który wojownik zyskał względy Sachy.

Rzeczywiście przystojny, może nawet piękny, ale był tylko szeregowcem, bez żadnej rangi.

- Ojciec cię teraz oddali - stwierdziła.

- Wiem - po policzkach Sachy pociekły łzy. - Oddadzą mnie jakiemuś prostemu wojownikowi ze szczepu Weanoków.

Do osady Weanoków nie było nawet daleko, ale Sacha równie dobrze mogła zostać wysłana na księżyc. Traciła całkowicie swoją pozycję w plemienu i Pocahontas wiedziała, że nie zobaczy jej już nigdy w życiu.

- Sacho, wyrządziłaś mi taką przykrość! Ojciec nie jest już młody, ale wiem, że bardzo cię kochał.

- Jego wiek nie ma tu nic do rzeczy. Zawsze potrafił zaspokoić każdą z nas. Wybacz mi, to dlatego że oszalałam na punkcie tego wojownika. Teraz wysłali go daleko na północ, przeciwko Monakanom, i wiem, że będą mu powierzać

najniebezpieczniejsze zadania, dopóki nie zginie! - Teraz już rozplakała się na dobre.

Pocahontas chciała na pocieszenie poklepać Sachę po nodze, ale okazywanie litości ukaranej było surowo zabronione. Mogła tylko ze współczuciem patrzeć na przyjemnie pulchne ciało Sachy, teraz wstrząsane płą-czem i drżące z zimna. W głębi serca czuła się równie winna jak ona. Przecież wystarczyłoby, żeby ten rudobrody cudzoziemiec skinął palcem, a poszłaby za nim i zdradziła nie tylko jednego mężczyznę, ale cały swój naród.

Pożegnała się więc z Sachą i odeszła smutna. Wszystko przez to, że ojciec ma aż tyle żon! Przecież robi się coraz starszy, ma więc z tym same kłopoty. Ciekawe, czy Tassentasowie też mają po kilka żon? Chyba nie, bo inaczej pewnie sprowadziliby je tutaj na przybyłym ostatnio statku. Właściwie nigdy nie pytała Johna Smitha, czy jest żonaty. Może jest i dlatego wywołuje w niej taki niepokój?

I tak muszę o nim zapomnieć - wmawiała sobie. - Wyjdę za Kokuma, aby odpokutować swoją winę. Moje konszachty z Tassentasami ściągnęły na nas gniew Okeusa, co spowodowało irytację kapłanów, niewierność żon i wymagało ofiary z dzieci! -

Aż zadrżała na tę myśl.

Powhatan nie tracił czasu. Skoro kapłani zażyczyli sobie ofiar z dzieci, to im prędzej się to stanie, tym lepiej. Krwawe obrzędy pasowały nawet do jego obecnego nastroju. Wielki wódz rzadko demonstrował napady złego humoru, ale kiedy mu się to zdarzało, całe imperium drżało w posadach. Kobiety i dzieci schodziły mu z drogi, daniny były dostarczane terminowo, a kurierzy przemierzali lasy, niosąc lakoniczne rozkazy do pomniejszych wodzów. Ci z kolei nie zawracali królowi głowy lokalnymi problemami, dopóki burza nie ucichła.

W największy popłoch wpadły żony wodza. Przewidywały, że władca wkrótce zechce wzbogacić swój

harem o „zastrzyk świeżej krwi” - nietknięte dziewice, które byłyby w stanie poprawić mu humor. Gońcy z różnych zakątków państwa dostarczali już wiadomości, gdzie można znaleźć najpiękniejsze kobiety.

Nawet po nocach słyhać było kołatanie grzechotek i zawodzenie kapłanów. Matki uciszały wyrwane ze snu dzieci, żeby ich płacz nie zwracał uwagi bogów. Powhatan żył teraz w ciągłym strachu, bo był to naród o rozwiniętych uczuciach rodzinnych, bardzo kochający dzieci. Rodzice drżeli więc, aby ich dziecko nie zostało wybrane przez kapłanów. Niektóre naiwne matki sądziły, że uda im się ukryć swoje maleństwa gdzieś na zapadłej prowincji. Jednak kapłani zawsze jakoś dowiadywali się o miejscu ich ukrycia i tak się dziwnie składało, że właśnie te dzieci szły na ofiarny ołtarz pierwsze.

Kiedy w końcu kapłani wyznaczyli termin składania ofiar, we wszystkich osadach imperium musiały się one odbyć w tym samym dniu. Wszędzie też wyglądały tak samo: od samego rana kapłani, wymalowani na czarno, czerwono i białą, tańczyli obrzędowe tańce na wyznaczonym placu. Zbierała się tam cała ludność wioski, a w obawie przed gniewem bogów nikt nie miał

odwagi, aby się z tego wyłamać. Kiedy już zeszli się wszyscy -

kapłani intonowali modlitwy, po czym, nie oglądając się na nikogo, rozpoczęli procesjonalny pochód na leśną polanę, gdzie stał ołtarz ofiarny. Ścieżki do ołtarza nie były dobrze przetarte, gdyż przed dniem obrzędów nikt nie miał prawa tam się zbliżyć. Za kapłanami postępowały sparaliżowane strachem całe rodziny. Nie było słyhać żadnego dźwięku, nawet niemowlęta nie płakały, bo matki napiły je usypiającymi ziołami.

Na polanie kapłani rozniecili ognisko z wielkich kłód drzewnych, aby płomienie strzelały wysoko w górę. Potem wzniesli błagalnie ręce do posągu złego ducha z pomalowaną na białą twarzą, ustawionego na pniu drzewa. Upadli przed nim na kolana i zaczęli bić czołem bożkowi, aby dobrze im doradzał przy wyborze właściwych dzieci.

Pocahontas stała u boku ojca w pierwszym rzędzie widzów.

Raptem w tłumie dostrzegła Kokuma. Widać ojciec nie tracił

czasu, tylko czym prędzej go tu sprowadził. Jednak nogi się pod nią ugięły, a żołądek podszedł do gardła, kiedy ujrzała, że obok Kokuma stoi Mehta, wpatrzona w niego namiętnym wzrokiem.

A więc on się jej podoba - pomyślała, ale w tej chwili pienia kapłanów ustały, a z ust zebranych wyrwało się głębokie westchnienie.

Pocahontas z trudem mogła patrzeć na kapłanów. Kątem oka dojrzała swoich braci, o twarzach stężyłych i zaciętych.

Kiedy kapłani zbliżali się do ołtarza, Pocahontas zaczęły nękać wątpliwości. Porównała w myśli życie i zwyczaje własnego ludu ze zwyczajami Tassentasów. Biali nie składali bogom krwawych ofiar, a mimo to mieli lepsze łodzie, broń i narzędzia, a nawet wiedzę tajemną i znajomość gwiazd. Najwidoczniej bogowie darzą ich łaską, a może nawet przedkładają ich nad plemię Powhatanów!

Tymczasem kapłani, w błyszczących w słońcu obrzędowych barwach, kręcili się wokół ołtarza i wznosili ręce ku niebu. Przy akompaniamencie głośniego grzechotu kołatek jeden z kapłanów wystąpił naprzód i podniósł rękę. Wśród grobowej ciszy wywołał

jedno imię. W odpowiedzi na to któraś kobieta zaczęła

gwałtownie chwytać oddech, po czym osunęła się na ziemię zemdlona.

No, nie! Wybrali maleństwo jeszcze przy piersi! — zdziwiła się wstrząśnięta Pocahontas. Zazwyczaj kapłani przeznaczali na ofiarę chłopców w wieku od pięciu do dwunastu lat. Tym razem chcieli widocznie dać ludowi do zrozumienia, że obecność Tassentasów rozgniewała bogów bardziej niż kiedykolwiek.

Wywołali jeszcze trzy imiona, czemu towarzyszył cichy, nieprzerwany jęk tłumu.

Pocahontas nie mogła znieść tego widoku. Przepraszała boga niebios za swoją słabość, ale ten rodzaj obrzędów był jedynym, w którym uczestnictwo przejmowało ją grozą. Pocieszała się, że w czasie ceremonii nie wszystkie dzieci były naprawdę zabijane —

czasem kapłan tylko markował zadanie śmiertelnego ciosu.

Chłopcy, których oszczędzono, znikali bez śladu i gdzieś w głębi lasów byli przygotowywani do stanu kapłańskiego. Po otrzymaniu pełnych święceń wysyłano ich do odległych wiosek, czy zatem ginęli, czy zostawali przy życiu — rodzice nie widzieli ich już nigdy więcej.

Kwilące na ołtarzu niemowlę nagle przeraźliwie krzyknęło.

Widocznie kapłan akurat przebił mu serce. Pocahontas drżała na całym ciele, a jęki i westchnienia wyrywające się z pięciuset gardeł nie ustawały. Wywołano dalsze cztery imiona i obrzęd trwał nadal. Pocahontas czuła, że lada chwila może zasłabnąć.

Tego rodzaju uroczystości zawsze ją przygnębiały, nigdy jednak nie reagowała aż tak silnie.

To ci Tassentasowie wypijają moje siły - myślała. -Nasi ludzie nie rozumieją ich zwyczajów, ale ich świat jest taki ciekawy! —

Jej wewnętrzną rozterkę zwiększało

jeszcze przygnębiecie wywołane ofiarami z dzieci. Postanowiła, że jeszcze tego samego dnia po południu pójdzie do fortu. W

towarzystwie białych czuła się jakby spokojniejsza.

Obrzęd dobiegł końca i kapłani pomaszerowali z powrotem do osady, a za nimi, już nie kryjąc łez, rodzice. Teraz osieroceni ojcowie na znak żałoby obetną włosy, a matki posypią się popiołem.

Pocahontas wypatrywała w tłumie Kokuma, aby przypadkiem nie natknąć się na niego. I tak była

spięta, a jego wiecznie przyklepiony do warg uśmiech działał jej na nerwy, nie mówiąc już o tym, jak jego bliskość pobudzała zmysły. Na wszelki wypadek wracając do osady wybrała okrężną drogę.

Była to nieco dłuższa ścieżka, schodząca w dół do samej rzeki.

Na widok jej chłodnych, przezroczystych fal Pocahontas nagle nabrała ochoty na drugą tego dnia kąpiel. Chciała opłukać zarówno ciało, jak i duszę po przykrych przejściach. Przeszła kawałek wzdłuż rzeki, aż znalazła dawne ulubione miejsce dziecięcych zabaw z siostrami. Zarośla były tam gęste nawet w zimie, a obok rosła kępa niskich sosenek. Rozebrała się więc, zanurzyła w lodowato zimnej wodzie i energicznie szorowała się piaskiem i muszlami, dopóki jej ciało nie zrobiło się różowe i błyszczące. Zanurzyła się nawet wraz z głową, a potem odgarnęła z twarzy mokre włosy.

Wychodząc z wody, poczuła jakby czyjąś niewidzialną obecność.

Nie słyszała żadnego dźwięku, tylko miała niejasne wrażenie, że ktoś jeszcze jest w pobliżu. Szybko i bezszelestnie się ubrała, po czym zaczęła ukradkiem przemykać się między skałami, aż znalazła się blisko małej zatoczki. Zdawało się jej, jakby usłyszała jęk - może to ktoś z osieroconych rodziców szukał tu

odosobnienia? Na wszelki wypadek trzymając nóż w pogotowiu, wyjrzała zza drzewa i skamieniała.

Na piasku leżała Mehta z wtulonym w nią, rytmicznie się poruszającym Kokumem. Z rozchylnych ust Meh-ty wrywał

się jęk rozkoszy. Pocahontas stała jak wryta, ale oni byli zbyt pochłonięci sobą, aby ją zauważyć. Zawróciła więc, starając się stąpać po własnych śladach. Kiedy tylko doszła z powrotem do ścieżki, puściła się biegiem w stronę wioski.

Pocahontas oznajmiła braciom, że po południu wybiera się do osiedla Tassentasów. Wojownikom poleciła przygotowanie dla nich nowej partii żywności. Sama zaś poszła odwiedzić ojca w domu rady. Zastała go, jak siedział na podium wysłanym futrami.

Był chmurny i pięścią podpierał brodę. Obok niego stał...

Kokum!

Pocahontas wszystkimi siłami starała się zapanować nad sobą. W

końcu przyszła tu tylko po to, aby pożegnać się z ojcem przed drogą. Ten jednak zaczął bez żadnych wstępów:

— Córko, Kokum znów zwrócił się do mnie z prośbą o twoją rękę.

Pocahontas zmierzyła Kokuma wzrokiem i stwierdziła, że jego spojrzenie jest rzeczywiście szczere i oddane. Zwróciła uwagę na jego kształtne ręce o długich, zwężających się na czubkach palcach.

— To dla mnie wielki zaszczyt, ojcze — zaczęła dyplomatycznie

- ale wydaje mi się, że nie dojrzałam jeszcze do małżeństwa.

Mehta też byłaby dobrą żoną

I wszystko zostałoby w rodzinie.

— Kokum zgadza się poczekać na ciebie.

— Ależ to młody i zdrowy mężczyzna, który już teraz potrzebuje kobiety!

- Już on sobie jakoś z tym poradzi. Nie możesz mieć mu tego za złe, skoro stale siedzisz u tych Tassentasów. Małżeństwo to inna sprawa. W przypadku mojej córki chodzi o układ polityczny i jestem przekonany, że to małżeństwo powinno zostać zawarte.

Dziewczynie zrobiło się słabo, ale wiedziała, że przy obecnym humorze ojca wszelka dyskusja będzie daremna. Zdecydowała się na wybieg.

- Dobrze, ojcze, postąpię, jak sobie życzysz. Na razie jednak muszę wypełnić swoje obowiązki i dostarczyć białym prowiant.

Za kilka dni będę z powrotem.

Siląc się na maksymalnie obojętny wyraz twarzy, pożegnała się z oboma mężczyznami i wyszła z izby.

Podczas drogi przez las Pocahontas zachowywała się dziwnie opryskliwie wobec swojej eskorty, bo wewnątrz aż w niej kipiało.

Oczywiście nie mogła mieć pretensji do Kokuma, że posiadał inną kobietę lub nawet więcej kobiet, skoro sama go nie chciała. Nie mogła też winić Mehty, gdyż otwarcie jej wyznała, co sądzi o tym małżeństwie. Ale jak Kokum, kochając się z jej siostrą, mógł

jednocześnie starać się o jej rękę? Ta jego dwulicowość tylko komplikowała sprawę.

Bez przerwy ponaglała swych braci i wojowników, aż w końcu wszyscy zaczęli biec truchcikiem. Dawało to jej iluzję, że ucieka od swoich problemów. Im bardziej zbliżali się do swojego stałego miejsca obozowania, tym bardziej rozjaśniało się jej w głowie.

Nie miała tylko pewności co do osoby Secotina. Nie wiedziała, czy może mu ufać, bo podejrzewała, że to on zawiadomił ojca o nowych osadnikach, zanim sama zdążyła to zrobić.

Nagle poczuła się strasznie samotna. Ojciec gniewał

się na nią, siostra ją zawiodła, a brata też nie mogła być pewna.

Co do Kokuma - jedno okazało się dobre: jego zachowanie wyzwoliło ją spod władzy, jaką miał nad jej ciałem.

Następnego ranka było wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku.

Słońce świeciło, gdy Pocahontas ze swoim orszakiem wkroczyła do fortu, niosąc zapasy żywności dla osadników. Trzcিনowe strzechy na dachach błyszcząły w czystym powietrzu, a wartownicy na murach podnieśli radosną wrzawę. Od bram fortu biegli już ludzie, aby pomagać w rozładowywaniu produktów.

Cieszyli się, niosąc pełne baryłki kukurydzy, suszonego mięsa i owoców. Żywności nigdy nie mieli za dużo!

Pocahontas poczuła ulgę od razu po wejściu na teren fortu. Z

trudno skrywanym podnieceniem rozglądała się wokół, szukając kapitana Smitha. Tymczasem dostrzegła, ilu przybyło tu nowych ludzi - chyba ze stu. Większość ich zgromadziła się w pobliżu kaplicy - pewnie dziś był dzień poświęcony bogom, który biali nazywali niedzielą. Nauczyła się już, jak odróżniać szlachtę od prostych robotników. Szlachetnie urodzeni dżentelmeni nosili stroje z barwnego atłasu lub tafty, bogato zdobione haftami, i szerokoskrzydłe kapelusze z piórami, skromniejszymi od indiańskich pióropuszy. Plebs natomiast ubierał się w ciężkie buciory, samodziałowe kaftany i spodnie oraz małe, płaskie berety.

Nowo przybyli osadnicy ciekawie przyglądali się, z jakimi honorami przyjmowana jest Pocahontas i jej bracia. Rozeszła się już bowiem pogłoska o tej nadzwyczajnej córce wielkiego wodza Powhatana. Nastrój panował świąteczny, gdyż admirał Newport zaprosił całą załogę fortu na uroczysty obiad z winem i rumem, który wydawał na pokładzie „Susan Constant” z okazji swoich urodzin. Teraz mogli sobie pozwolić na chwilę wytchnienia, gdyż spiżarnie były pełne, do biblioteki przybyło pięćdziesiąt nowych książek, a stosunki z tubylcami były względnie poprawne. Ponadto Londyn wykazywał

wyrozumiałość dla ich wolnych postępów w rozszerzaniu angielskiego terytorium i wierzył w przyszłość kolonizacji Nowego Świata.

Pocahontas wraz z braćmi również przyjęła zaproszenie na te urodziny, choć był to dla niej ciężki obowiązek. Nie mogła przyzwyczać się do panującego tu smrodu! Raz nawet zaproponowała Smithowi, że przyśle na statek kobiety z wioski, aby go porządnie wyszorowały, ale zbył ją śmiechem.

Wojownikom kazała czekać na brzegu, więc zbili się w gromadkę przy bramie.

Ciepła, słoneczna pogoda i dobre jedzenie poprawiły ludziom humory. Przy stołach toczyły się ożywione dyskusje, podsycane sporymi dawkami rumu, intonowano także chóralne śpiewy.

Wśród ogólnej wesołości nikt nie zauważył wąskiej smugi dymu snującej się w pobliżu kuchni na lądzie. Nie zwracano na nią uwagi, bo przecież z komina zawsze ulatywał dym. Nie od razu też dostrzeżono wystrzelające w górę płomienie.

Zabawę przerwał nagle ostry, przeraźliwy krzyk. Wszystkie oczy zwróciły się na brzeg, gdzie

powhatańs-cy wojownicy wrzeszczeli i wymachiwali łukami. Za nimi widać było budynek kuchni spowity językami ognia.

Osadnicy błyskawicznie rzucili się po drabinkach sznurowych do szalup, a niektórzy skakali wprost do wody i wplaw przebywali krótki dystans dzielący ich od brzegu. Ktoś krzyknął: „Dawać wiadra!” i wnet samorzutnie utworzono łańcuch ludzi podających sobie z rąk do rąk kubły wody z rzeki. Nie wystarczyło to jednak,

aby zdusić płomień podsycane przez wiatr. Strzechy płonęły jak pochodnie, a od nich zajęły się drewniane, uszczelnione gliną ściany domów.

- Lejcie wodę na magazyn! - krzyczał Smith, kierując akcją.

- Kaplica płonie! - zauważyła Pocahontas, deptając mu cały czas po piętach. Próbowwała zdusić mniejsze płomień swoją narzutką.

Jej bracia i wojownicy z orszaku też próbowali zahamować rozprzestrzenianie się ognia, zdeptując płomień i tłumiąc go swoimi skórzanymi strojami.

Mimo tych wysiłków wszystko dookoła już płonęło. Łuna przewyższała jasnością słońce, żar osmałał skórę, trzask buzującego ognia ogłuszał, a dym zatykał oddech.

Wiatr niespodziewanie zmienił kierunek. Pocahontas potknęła się i o mało co nie upadła wprost w ogień. Smith w ostatniej chwili porwał ją na ręce. Przez moment skrzyżowały się ich spojrzenia i oboje usłyszeli bicie swoich serc. Poczuli się zjednoczeni tak samo jak wtedy, gdy uratowała go od śmierci w Werowocomo-co. Kiedy Smith postawił ją już na ziemi, Pocahontas poznała po wyrazie jego twarzy, że podjął jakąś nagłą decyzję. Zanim znów pobiegł na brzeg, krótko uściśnął jej rękę, ale inaczej niż zwykle. Był to gest zaborczy, biorący ją w posiadanie.

Osadnicy walczyli z pożarem aż do zmroku, prawie padając z wyczerpania. Kiedy ostatecznie udało się ugasić ogień - wokół

rozpościerały się tylko zgliszcza. Dorośli mężczyźni ocierali łzy, widząc, że poszły z dymem wszystkie ich zapasy, nawet dopiero co przywiezione z Anglii. Z kaplicy i nowej biblioteki pozostały kupy popiołu. Większość domów ogień

obrócił w perzynę. Nietknięty został tylko cmentarz pełen drewnianych krzyży.

Pocahontas z przestrawieniem patrzyła na to dzieło zniszczenia, gdy za sobą usłyszała czyjś głos:

- A jaką mamy pewność, że któryś z tych dzikusów nie podłożył

ognia?

Wypowiedział te słowa któryś z nowych osadników, przybyłych z ostatnim transportem. Od razu wszystkie oczy zwróciły się w stronę wojowników towarzyszących Pocahontas. Przygnębieni, osmaleni i przemoczeni osadnicy zaczęli szeptać między sobą.

- Rzeczywiście, tylko oni byli wtedy na brzegu! - dorzucił inny głos.

W tłumie pojawiły się groźne spojrzenia i pomruki. Pocahontas szybko stanęła przy swoich braciach i wojownikach w postawie tyleż dumnej, co opiekuńczej.

- Czyście powariowali? - wykrzyknął Smith, wciskając się między Indian a gniewny tłum. - Przecież ci ludzie przywieźli nam mnóstwo żywności. Myślicie, że jedną ręką by nam ją dali, a drugą odebrali? To wysłannicy wielkiego króla Powhatana!

W ciszy, która zapanowała, Smith mówił dalej:

- Tym z was, którzy niedawno tu przybyli, przypominam, że księżniczka Pocahontas jest najwierniejszym sprzymierzeńcem naszej kolonii. Odprowadzę teraz ją i jej ludzi do ich obozu.

Obecnie potrzebujemy ich żywności bardziej niż kiedykolwiek.

Pocahontas nie pytała Smitha o nic, kiedy razem wyszli za bramę fortu. I tak zrobił więcej niż tylko zatuszowanie przykrego incydentu. Wiedziała też na pewno, że zechce nareszcie skorzystać z okazji, kiedy zostaną sami we dwoje.

Idąc przy jego boku, czuła emanujące od niego

pożądanie. Nie musiał nawet patrzeć w jej stronę - to docierało przez skórę. Pocahontas obawiała się, czy tych unoszących się w powietrzu fluidów nie wyczują jej bracia. Na szczęście szli przed nimi w dostatecznej odległości. Ciekawe, czy i w niej też dawało się zauważyć wzrastające podniecenie. W każdym razie robiło się jej to gorąco, to zimno i zaczynała ciężko oddychać.

- Idź teraz z braćmi! - Smith znów porozumiewawczo ścisnął jej rękę. Jego dłoń była tak rozgrzana, że aż parzyła. Dokończył

lekko ochryplym szeptem: — Kiedy wszyscy zasną, przyjdź do tej starej wilczej jamy!

Mówiąc to, nie zmieniał tempa marszu ani nie patrzył w jej stronę. Nie potrzebowała już nic mówić - wszystko było jasne.

Po dojściu do obozowiska Indianie byli tak zmęczeni drogą i gaszeniem pożaru, że zasypiali niemal na stojąco, toteż wkrótce wszyscy zapadli w sen. Pocahontas dla orzeźwienia ochlapała się całą wodą pitną przyniesioną w tykwach. Potem nie chciało się jej nawet ubierać, tylko gołe ciało przykryła narzutką ze skórek małych zwierzątek, których ogonki dyndały wokół jej nóg.

Wykradła się z obozu i przebiegła niecały kilometr do opuszczonego wilczego legowiska. Dyszała ze zmęczenia.

Wejście do starej wilczej jamy było dobrze ukryte wśród krzewów i paproci. Mimo ciemności natychmiast wyczuła, gdzie znajduje się Smith. Jedną ręką chwycił ją za nadgarstek, a drugą objął w pól. Kiedy gwałtownie szukali swych ust, przyjemnie pocierał jej twarz swoim zarostem. Oboje czuli, że płoną żywym ogniem pożądania.

Kiedy Smith osunął się na kolana, pociągając Pocahontas za sobą, z jej ust wyrwało się westchnienie. Sama się nie spodziewała, że oładnie nią tak wielkie podniecenie.

Pragnęła tego mężczyzny - chciała go wręcz pochłonać. Jej ciało nie należało już do niej, lecz raczej do niego - ich serca stanowiły jedność. Omdlewając z rozkoszy, z radością oddawała mu się ciałem i duszą, wiedząc, że wszystko dzieje się za jej sprawą i z jej inicjatywy.

Szczytowe uniesienie dodało jej sił i wzmogło chęć zupełnego oddania. Brali się wciąż na nowo w posiadanie z takim ogniem, że nie zauważyli, kiedy noc przeszła i niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć. Wiedzieli, że będą musieli się rozstać, ale pożydali się z tak przemożną siłą, że aż budziło to w nich przerażenie. Smith po prostu nie mógł zostawić jej samej. Jego usta błędziły po jej ustach, piersiach i ramionach, rozpalając ją tak, że oddała mu się jeszcze raz, z równą pasją jak za pierwszym razem.

W końcu jakoś oderwali się od siebie.

- Musimy znaleźć jakieś bezpieczniejsze miejsce -oświadczył. -

Za dużo ludzi wie o tej wilczej jamie. Nie możemy ryzykować, że twój ojciec nas rozdzieli.

- Już ja znajdę coś lepszego.

- Ale teraz znikajmy stąd szybko, bo robi się jasno.

Porozmawiamy później. Idź pierwsza.

Obejrzała się jeszcze przez ramię i pobiegła jak na skrzydłach.

Mimo nie przespanych dwudziestu czterech godzin czuła się dziwnie lekko i świeżo. Przepęlniała ją radość i poczucie zjednoczenia z lasem, ziemią i skrzeczącymi mewami. Jej ciało i umysł osiągnęły stan idealnej harmonii. A kiedy podeszła pod uspięone jeszcze obozowisko, uklękała i dziękczynnie wzniosła ku niebu ramiona.

Rozdział 14

Werowocomoco,

luty 1608 roku

Jeszcze pięć razy krążyły delegacje między Werowocomoco a fortem, zanim osiągnięto porozumienie co do warunków spotkania Powhatana z dowództwem białych. Smith podziwiał

spryt Pocahontas, pośredniczącej w rozmowach między jej konfliktowym ojcem a zahartowanym w bojach Newportem.

Rozmowy ciągnęły się przez miesiąc, a w tym czasie Pocahontas kursowała tam i z powrotem, dostarczając żywność angielskim pogorzelncom i doprowadzając do ustępstw po obu stronach. W

końcu ustalono czas i miejsce spotkania. Pozostawał tylko problem, kto będzie przewodniczył delegacji osadników.

Smith sądził, że jako przybrany syn Powhatan jest najbardziej predysponowany do tej funkcji. W końcu zdecydowano się jednak na rozwiązanie kompromisowe. Wspólnie z Newportem i trzydziestoma delegatami mieli pożeglować na jolu „Discovery”

najpierw do Kecoughtan. Złożywszy tam wyrazy uszanowania zaprzyjaźnionemu wodzowi Pochinsowi, mieli spożyć serwowane u niego wspaniałe posiłki, a następnego dnia popłynąć gdzieś bliżej siedziby wielkiego wodza. Stamtąd Smith miał wyruszyć pierwszy na czele przedniej straży, aby przygotować grunt do rozmów Newporta z Powhatanem.

Smith zaproponował Pocahontas, aby popłynęła razem z nim na

„Discovery”, ale ona uważała, że bardziej dyplomatycznie będzie, jeśli powita Anglików u boku ojca. Smith zasadniczo przyznał jej rację - po prostu chciał się upewnić, czy ona wie, jak bardzo pragnie mieć ją blisko siebie. Przecież, gdy tak kursowała tam i z powrotem, mieli zbyt mało czasu, aby zostać sami.

Jeszcze na samym początku, zaraz po pożarze, Smith tłumaczył

jej, że jakikolwiek intymny związek między plebejuszem a królewską córką byłby źle widziany zarówno w forcie, jak i w Anglii. Niebezpieczeństwo groziło im również ze strony jej ojca, który też nie pochwalałby tego związku. A gdyby wpadł w gniew, mógłby jednym zmasowanym atakiem zmieść Anglików z powierzchni ziemi. Pocahontas wysłuchiwała go, uznała jego argumenty, ale poprosiła:

- Pozwól mi choć na chwilę zapomnieć o tym, dobrze?

Kiedy zaś Smith wspominał ich pierwszą wspólną noc - żadne mocne postanowienia nie wytrzymały z tym konfrontacji.

Wiedział też, że choćby nie wiadomo ile razy nadarzyła mu się sposobność, to i tak za każdym razem jej ulegnie. Później, kiedy mieli więcej czasu, objęli się mocno i poprzysięgli sobie zachowanie absolutnej tajemnicy. Rzeczywiście szaleństwem byłoby nie przestrzegać dyskrecji, także i dlatego, że wymagało tego ich uczucie. Tak bardzo potrzebowali siebie nawzajem!

Jednocześnie wiedzieli, że muszą bardzo starannie planować każde spotkanie, że będą one rzadkie i zawsze połączone z niebezpieczeństwem.

Zdolność Smitha do panowania nad sobą była wystawiona na szczególnie ciężką próbę, gdy podczas

długotrwałych rozmów musiał siedzieć i biernie patrzeć na ruchy jej ust, na piersi i brwi. Czuł wtedy, że nie wytrzyma długo.

Niekiedy zrywał się ze swego miejsca i wybiegał na dwór, cierpiąc męki. Nigdy przedtem nie przeżywał czegoś podobnego.

Czuł się zaskoczony siłą swego pożądanja. Jednocześnie też podziwiał jej osobowość tyleż prostą, co złożoną, czystą i subtelną.

W dniu, w którym wypłynęli z Kecoughtan do Werowocomoco, szalały burze i ulewne deszcze. Ten rodzaj deszczu w Anglii występował bardzo rzadko. Na Wyspach Brytyjskich częściej zdarzała się mżawka, prawie mgiełka, której się właściwie nie zauważało, tak jakby Bóg specjalnie miarkował siłę wiatru wschodniego. Smith wywnioskował stąd, że w Nowym Świecie ostrzejsze były kontrasty pogodowe. Pokrywa śniegu bywała tam grubsza, upały gorętsze, chłód bardziej przejmujący, a wiatr o większej sile.

Dopiero około południa ulewa ustała i pojawiło się słońce.

Wszystko było mokre, gdy „Discovery” zarzucił swoją kotwicę w zatoce zwanej przez tubylców Poetan. Na brzegu czekało na przybyszów dwustu doborowych wojowników Powhatan, strojnych w futra i pióra.

Smith zebrał więc osiemnastu ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć jako forpoczta. Newport tymczasem czekał na pokładzie z pozostałymi dwunastoma, którzy stanowili jego obstawę. Smith zabrał ze sobą dary dla Powhatana białego charta, czerwoną wełnianą tkaninę i spiczasty kapelusz, taki jaki nosił król Jakub.

Kiedy tylko wraz ze swymi ludźmi zszedł na brzeg - wojownicy przywitali ich radosnymi okrzykami i wymachiwaniem łukami.

W jednej chwili otoczyli delegację osadników i ze śpiewem odprowadzili ich do osady, przechodząc po drodze przez liczne mosty, zbudowane dla ochrony przed postępującym zabagnieniem terenu. Przy samej rezydencji Powhatan oczekiwało dalszych pięciuset ludzi z bronią u boku. Wzdłuż ścieżki, w odstępach mniej więcej co pół metra, rozstawiono czterdzieści wielkich półmisków, na których piętrzyły się znakomicie wypieczone, chrupiące bochenki chleba.

- Ale nas hucznie witają! - mruknął Smith do swoich ludzi. -

Powhatan demonstruje nam swoją potęgę i bogactwo, ale i dobre maniery.

W mieniącej się barwami izbie siedział rozporządzający nieograniczoną władzą król Powhatan w swoich obrzędowych szatach, na tronie usłanym futrami. Przy nim tłoczyli się dworzanie, pożerając chciwym wzrokiem przybyłych. Nowo poślubione żony władcy, a było ich ze trzydzieści, wyzywająco wystrojone, obwieszane perłami i ozdobami z miedzi, taksowały Anglików szeroko otwartymi oczami. Wszystkie miały na sobie peleryny z piór, w żywych kolorach czerwieni, fioleto, zieleni i żółci, tak misternie utkane, że spływały falami jak jedwab.

Ludziom Smitha zaparło dech, bo jeszcze nigdy nie widzieli takiej feerii barw. Dowódca musiał ich ponaglić, by przechodzili dalej.

Sala tronowa była rzęsiście oświetlona pochodniami. Smith poczuł przypływ radości na widok Pocahontas, która stała u boku ojca cała w białej pelerynie z łabędzich piór. Oczywiście udali, że

prawie się nie znają. Król zaprosił gestem Smitha i jego ludzi, aby usiedli. Jego wojownicy wydali przy tym taką serię powitalnych okrzyków, jakby chcieli, żeby dach wleciał w górę.

Potem zaczęła się uczta. Podano najróżniejsze smakołyki, ale Anglikom, nie przyzwyczajonym do mycia rąk przed i po posiłku, trzeba było tłumaczyć, do czego służą oferowane im misy wody i pęki indyjskich piór. Następnie wygłaszano przemówienia. Delegatów zawczasu już uprzedzono, że będą one długie. Smith tylko z satysfakcją porównywał, jak inny charakter ma ta jego wizyta w Werowocomoco od poprzedniej.

Król nie wygłosił żadnego przemówienia i nie pofatygował się nawet, aby wstać, kiedy wręczano mu upominki. W tych kurtuazyjnych czynnościach zastąpiło go trzech pomniejszych wodzów. Tylko na widok białego charta w oczach króla błysnęła iskierka zadowolenia, ale Pocahontas, która widziała psa już drugi raz, aż klasnęła w dłonie z zachwytem. Smith był więc ciekaw, kto ostatecznie zostanie panem tego pięknego stworzenia. Podczas przemówień dziękczynnych, które zdawały się nie mieć końca, wpatrywał się w Pocahontas dużo częściej, niż wypadało, ale ona ani razu nie zerknęła w jego stronę.

Podziwiał więc nie tylko jej piękne rysy, ale i to, że potrafiła tak długo zachować zimną krew.

Przemówienia roily się od kwiecistych przenośni wyrażających wdzięczność za upominki i obietnice obfitego zaopatrzenia osadników w kukurydzę i mięso, dopóki nie doczekają się własnych plonów. Smith odetchnął z ulgą, że dzięki darom od króla Jakuba nie będą musieli martwić się o zapasy żywności.

Wiedział jednak, że najtrudniejsza transakcja jest jeszcze przed nimi. Na niebie błyszcząły już pierwsze wieczorne gwiazdy, kiedy król Powhatan wysunął się naprzód i sam rozpoczął

pertraktacje w sprawie tego, co go najbardziej interesowało —

armat!

- Zostawcie tutaj broń, którą macie przy sobie - zaczął. - Widzicie, moi wojownicy są bez broni.

- U nas tak traktuje się wrogów, a nie przyjaciół - odpalił Smith, ale zaraz szybko dodał: - Nasza wielka, grzmiąca broń i nasi ludzie są do waszej dyspozycji w razie nowej wojny z Monakanami.

- Ale ja chciałbym sam mieć takie wielkie, grzmiące rury! -

wycedził Powhatan z flegmatycznym uśmiechem, który nigdy nie obejmował jego oczu.

- Proponowaliśmy je waszemu wysłannikowi, Rawhuntowi, ale nie chciał ich przyjąć.

- Bo były za ciężkie, żeby mógł je zabrać! - roześmiał się otwarcie Powhatan. - Może macie coś mniejszego?

Porozmawiamy o tym rano.

Noc spędzili w gościnnych kwatery Powhatana, ale Smith nie mógł spać, bo tęsknił za Pocahontas. Rano zebrał ludzi i wszyscy udali się na statek po Newporta. Ten zszedł z pokładu w pełnym, paradnym umundurowaniu i w asyście swego ordynansa, Thomasa Savage'a. Przedstawiono ich królowi, zachowując taką samą ceremonię powitalną jak wczoraj. Kiedy przyszła pora wymiany podarunków, Newport zaproponował królowi...

wypożyczenie mu młodego Savage'a, aby mógł nauczyć się zwyczajów panujących w państwie Powhatana. Król entuzjastycznie przyjął tę ofertę, przekazując Newportowi w zamian swego syna Namona. Wyraził się nawet, że oto zamienili się synami.

Ośmielony sukcesem pierwszej transakcji, Newport zaprosił

Powhatana na pokład „Discovery”, aby sobie obejrzał towary, które przywieziono na wymianę. Król się cofnął, skrzywił twarz i nerwowo postukał palcami o poręcz tronu.

- Poniżej mego dostojęstwa - oświadczył - byłoby fatygować się dla takich drobiazgów. Wynieście wasze towary na brzeg, a wezmę, co zechcę, i zapłacę tak, jak będę uważał za stosowne.

Pocahontas rzuciła Smithowi ostrzegawcze spojrzenie.

Uspokajająco położyła rękę na dłoni ojca i dała Smithowi znak, że lada chwila król może wpaść w gniew i popsuć wszystko.

Zaczął więc szybko ratować sytuację.

- Zaraz przyniosę Waszej Wysokości rzadkie klejnoty, jakie u nas noszą tylko najpotężniejsi królowie. Mają one barwę nieba.

Pobiegł czym prędzej na statek i przyniósł całą garść naszyjników ze szklanych paciorków. Kiedy podniósł je w górę, tak aby odbiły się w nich płomień pochodni — widok kulek migoczących niebieskawym światłem całkiem zmiękczył

Powhatana.

Król zwrócił się do Pocahontas:

- Córkę, pokaż mi te klejnoty.

Podeszła więc do Smitha, aby wziąć od niego paciorki. Przy tym zetknęły się ich ręce, a wraz z nimi — spojrzenia. Palce im zadrżały i na krótką chwilę wstrzymali oddech. Jednak ta chwila wystarczyła, aby Smith błyskawicznie się zorientował, że król musiał się czegoś domyślić.

Gdybym się z tym nie ukrywał - pomyślał - popsułbym wszystko.

Szybko wygłosił długą tyradę, zachwalając zalety ofiarowywanych przez siebie szklanych paciorków. Obserwował

przy tym uważnie minę Powhatan, lecz król zachował kamienną twarz. Przemówił dopiero wtedy, kiedy Smith skończył swoją kwestię.

- Bardzo podobają mi się wasze klejnoty i ten chłopiec, którego mi powierzyliście. Inne drobiazgi też mi się spodobały. Dam wam za to trzysta baryłek kukurydzy pod warunkiem, że moi ludzie będą mogli jeszcze kupić od was kilka mieczy.

Smith odetchnął z ulgą, kiedy Newport, zadowolony z transakcji, wystąpił naprzód i poprosił Pocahontas o przetłumaczenie:

- Chciałbym jeszcze zapytać o coś Waszą Wysokość. Powhatan skłonił głowę w jego stronę.

- Może słyszeliście, panie, o grupie naszych ludzi, którzy osiedlili się w południowej części waszego państwa, w osadzie Roanoke?

Około trzydziestu lat temu wszyscy zniknęli bez śladu.

Powhatan nie poruszył się ani nie zmienił wyrazu twarzy.

- Słyszeliśmy o jakichś białych - przemówił - którzy dawno temu osiedlili się u naszych brzegów, ale nie wiemy, co się z nimi stało.

Nieraz odwiedzali nas różni cudzoziemcy, ale wszyscy wrócili do siebie.

Skinieniem ręki król dał znak, że audiencja skończona. Newport zamaszystym krokiem, z uśmiechem triumfu, wymaszerował z sali. Otrzymał to, co chciał, a sprawę mieczy załatwi się później.

Z najbliższym przyływem będą mogli pożeglować z powrotem do fortu.

Smith natomiast, wychodząc, z niepokojem obejrzał się przez ramię. Zobaczył to, czego się najbardziej obawiał - że Powhatan dał córce znak, aby została z nim sama.

Wódz czekał, aż wszyscy goście opuszczą pokój. Potem dał do zrozumienia, że chciałby porozmawiać z córką w cztery oczy.

Wojownicy i żony wycofali się więc dyskretnie na sam koniec sali.

- Pocahontas, przebrałaś miarękę! - wyrzucił z siebie głosem nabrzmiałym wściekłością.

Księżniczka rzadko widziała ojca w tak złym humorze.

Wiedziała jednak z doświadczenia, że wtedy lepiej nie próbować z nim dyskutować ani wypierać się swego przewinienia. Woląла więc zachować pełne szacunku milczenie.

- Uczyniłem zadość twojej prośbie i darowałem życie temu rudemu - kontynuował Powhatan. - A ty jak mi się za to odwdzięczyłaś? Złamałaś prawa obowiązujące w moim państwie i oddałaś się

cudzoziemcowi. Ty, córka władcy! Ciekawym, czy on będzie chciał cię poślubić z należytym ceremoniałem? Chyba sama w to nie wierzysz! A może nosisz już w sobie jego paskudnego bachora?

Pocahontas zbladła pod gradem gniewnych słów, lecz nie odezwała się ani razu.

- Zapominasz, że jesteś uprzywilejowaną córką panującego króla

— grzmiał dalej Powhatan. — Masz wysoką pozycję społeczną i na twoich barkach spoczywają poważne obowiązki. A ty zachowujesz się jak córka prostego rybaka albo i gorzej!

Z twarzą pociemniałą z gniewu, trzepnął się dłonią w kolano.

- Co się ostatnio dzieje z kobietami w moim państwie? — zadał

retoryczne pytanie. — Zachowują się jak dzikie zwierzęta!

Pocahontas dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak boleśnie zraniła ojca niewierność Sachy. A teraz jej poufalskość ze wzgardzonym Tassentsem dołała jeszcze oliwy do ognia. Przecież ojciec nigdy nie przemawiał do niej tak obraźliwym tonem! W imperium Powhatana kobiety były uważane za majątek narodowy, a od ich liczby zależał dobrobyt państwa. Nieraz prowadzono wojny i podbijano dalekie prowincje tylko po to, aby zdobyć więcej kobiet, bo to one uprawiały ziemię, budowały domy i rodziły dzieci. Dzięki kobietom pomniejsi wodzowie uzyskiwali swoje stanowiska, a czasem i same kobiety zostawały wodzami. Obdarzano je powszechnym szacunkiem, dlatego Pocahontas zdziwiła się, że ojciec rozciągnął swój gniew na wszystkie kobiety w ogóle. Musiał być rzeczywiście zły! Spróbowała więc wykonać pojednawczy gest, ale Powhatan nie zwrócił nawet na to uwagi.

- Mam już tego dosyć, rozumiesz? - zmierzał ku ostatecznej konkluzji. - Masz poślubić Kokuma, im prędzej, tym lepiej, a potem weźmiesz się do ściągania podatków!

Jakby serce na chwilę przestało jej bić. Myślała, że ojciec już nie powróci do tego tematu!

- Nie... nie mogę wyjść za Kokuma! - wyjąkała powoli. - Czy nie mógłby ożenić się z Mehtą? Widziałam, że jest im dobrze z sobą.

- A co miał robić, gdy ty go nie chciałaś? I w czym niby jesteś od niego lepsza, ty, co przesypiasz się z brudasem? Dostyć już tego!

Teraz zejdz mi z oczu, muszę naradzić się z mądrymi ludźmi.

Pocahontas miała ochotę wyprysnąć z tego pokoju jak z procy, ale opanowała się całą siłą woli i wyszła spokojnie. Dopiero na zewnątrz bezsilnie opadła na duży głaz. Teraz, kiedy poznała już z najlepszej strony Johna Smitha, tym bardziej nie mogła wyjść za Kokuma. Ale jaką miała inną możliwość? Ojciec był nie tylko rozgniewany, ale i zawzięty. Raz jej ustąpił, za to teraz był pewien, że zawiodła jego zaufanie i nadużyła jego dobroci.

Mogłaby jeszcze próbować go przekonać, gdyby już ochłonął z pierwszego gniewu, ale złamała podstawową zasadę obowiązującą w ich państwie. Córkom wodzów, tak wielkich jak jej ojciec, z góry wybierano kandydatów na mężów. Nie miały szans zażycia rozkoszy z gośćmi czy podróżnymi, co mogły robić kobiety stojące niżej w hierarchii. Westchnęła więc tylko do bogów o zmiłowanie. Przynęłaby im wszystko, aby tylko uniknąć ślubu z Kokumem!

Gdyby choć mogła uciec! Jednak nie miała dokąd, bo wszędzie ją znano. A gdyby John Smith wziął ją do siebie? Wtedy naraziłaby na zagładę całą kolonię. Zresztą, czy wiedziała, czego on naprawdę chce i co by zrobił? Ich spotkania sam na sam były tak krótkie i rzadkie, że zbyt cenili każdą chwilę, aby znalazłszy się nareszcie razem zamienić więcej niż parę słów. W końcu jednak musiała pójść do niego i wyjaśnić mu, że być może nie zobaczy go już nigdy więcej. Wiedziała przecież, że jako córka wodza nie może myśleć tylko o sobie i swoich pragnieniach.

Przyływ nie nastąpi wcześniej niż za jakieś dwie godziny, więc Anglicy musieli czekać na swoim statku. W tym czasie kobiety napełniały ładownie kukurydzą. Pocahontas mogłaby dołączyć do nich pod pretekstem, że nadzoruje ich pracę. Musiała tylko pójść okrężną drogą, żeby nie zwrócić uwagi ojca.

Pobiegła do swego pokoju i zrzuciła pelerynę z delikatnych piórek. Nałożyła zwykłą, skórzaną suknię, a na to narzutkę ze skóry kuny. Było jej w tym wygodnie, a miękkie futerko przyjemnie koło jej napięte mięśnie. Idąc w stronę rzeki mruczała pod nosem modlitwy do Ahone i boga nieba. Żeby tak bogowie mogli jej podpowiedzieć, co ma robić!

Wmieszała się w gromadę kobiet przechodzących gęsiego przez wszystkie mostki wiodące na statek. Szły kołyszącym krokiem, dźwigając oparte na biodrach, ciężkie kosze z kukurydzą. Kiedy podeszły bliżej do statku, Pocahontas dostrzegła na pokładzie swego przyrodniego brata Namona. Dała mu znak, że chciałaby wejść na pokład, i chwyciła sznurową drabinkę rzuconą jej przez zaprzyjaźnionego marynarza.

Smith na jej widok ukrył swoje zaskoczenie. Szybko podszedł do niej i z troską w oczach zaprowadził w ustronne miejsce na dziobie statku. Tam szybko opowiedziała mu całą swoją historię, nie wspominając jednak o aranżowanym dla niej małżeństwie.

Dotychczas nigdy nie wspominała mu o Kokumie i w przyszłości też nie miała takiego zamiaru.

Kiedy Smith w milczeniu patrzył na drugą stronę rzeki, Pocahontas zastanawiała się, o czym on może teraz myśleć.

Nagle pożałowała, że w ogóle do niego przyszła. No bo co on właściwie mógł zrobić? Na wieść o gniewie jej ojca mógł tylko zacząć zachowywać się jeszcze ostrożniej. Przecież musiał się troszczyć przede wszystkim o bezpieczeństwo swoich ludzi.

Po chwili, która jej wydała się wiekiem, nareszcie przemówił:

- Twój ojciec bardzo potrzebuje naszych mieczy, więc zaryzykujemy. On wie, że cenimy twoje pośrednictwo w naszych wzajemnych kontaktach. Poproszę Newporta, aby przekazał

twojemu ojcu wiadomość, że chętnie sprzedamy mu trochę broni, ale będziemy z nim rozmawiać tylko przez Pocahontas, bo do niej mamy zaufanie. Teraz wracaj do ojca. Jeśli pojedziesz z nami, on się tylko bardziej rozsierdzi.

On nie wie, że teraz będę musiała pójść do łóżka

z Kokumem, żeby załagodzić gniew ojca — pomyślała Pocahontas. - Gdybym mogła mu to powiedzieć... Ale wiadomo, że nie mogę. Będę musiała to wytrzymać, a w nagrodę spotkam się z nim znów w forcie.

Szła już w stronę trapu, gdy poczuła dotknięcie ręki Smitha na swoim ramieniu. Mogła tylko całą siłą woli powstrzymać się, aby nie zarzucić mu rąk na szyję i błagać, aby ją zabrał ze sobą!

Wykonała tylko dyskretny ruch ręką na pożegnanie i z bijącym sercem pomaszerowała po wyszorowanych deskach pokładu w stronę swego brata. Potrwa przynajmniej dwa dni, zanim z fortu zaczną się o nią upominać. A dwa dni to dwie noce spędzone z Kokumem!

Te noce były nawet gorsze, niż myślała, choć Kokum był wobec niej równie uprzejmy i delikatny jak zawsze. Co wieczór odprowadzał ją do sypialni przy akompaniamencie aprobujących spojrzeń nie tylko ojca, lecz przynajmniej połowy mieszkańców osady. Duszą jej miotały wtedy sprzeczności, lecz z ciałem jego doświadczony ręce robiły, co chciały. Wprawdzie w bezsilnej złości waliła go pięściami po piersiach, ale jej ciało młodej i zdrowej kobiety reagowało na jego pieszczoty tak, jak nakazywała natura. I co rano budziła się z przeświadczeniem, że ucieknie stąd, kiedy tylko Smith po nią przyśle.

Tymczasem żadna wiadomość nie nadchodziła. Powhatan doszedł do wniosku, że dość już ma nie kończącego się zebrania osadników o żywność. Zamiast tego wpadł na pomysł, żeby wysłać do fortu co sprytniejszych wojowników z zadaniem wykradzenia mieczy. Mogliby na przykład wejść tam pod pretekstem pokojowej wizyty i wykraść miecze nie wzbudzając podejrzeń. W końcu wszystko, co się znajdowało na terytorium jego królestwa, należało do niego.

Pocahontas wpadła w rozpacz, kiedy dotarła do niej wiadomość o tym planie. Jak w takiej sytuacji mogłaby jeszcze kiedykolwiek wrócić do fortu? Wypytywała więc oficerów gwardii przybocznej ojca, czy nie było stamtąd jakichś wiadomości. Z

przykrością się dowiedziała, że tylko raz domagano się jej pośrednictwa przy rozmowach, ale wódz stanowczo się temu sprzeciwił. Uważał, że jeśli cudzoziemiec ośmielił się zbliżyć do jego córki, to równie dobrze on ma prawo do ich mieczy.

Po raz pierwszy Pocahontas cieszyła się, że musi spędzić kilka dni w domu kobiet. Nawet przedłużyła sobie pobyt tam bardziej, niż to było konieczne. Potrzebowała bowiem czasu, aby uknuć plan ucieczki. Przymierzała się do wielu wariantów, ale żaden nie wydawał się jej możliwy do wykonania. Nie mogła wykonać żadnego ruchu, dopóki Tassentasowie nie zwrócili się do ojca o zgodę na jej udział w negocjacjach, a on nie wyraziłby tej zgody.

Czuła się więc jak w pułapce.

Czekała na to całymi tygodniami. Przez ten czas starała się jak najprzejrzystej wypełniać obowiązki córki. Nie znosiła wszelkiej dwulicowości, ale musiała uspić czujność ojca, aby zgodził się na jej następną misję w forcie, kiedy tylko nadarzy się okazja. Miała ułatwione zadanie, gdyż Kokum często przebywał

poza domem na polowaniach lub wyprawach wojennych przeciw Monakanom. Nie miała przy tym wyrzutów sumienia, modląc się żarliwie, aby dosięgła go strzała nieprzyjaciela.

Jedyną pociechą w tych dniach ciężkiej próby był dla Pocahontas biały chart. Od początku przywiązał się

głównie do niej, gdyż go karmiła. Biegał więc za nią po lasach i towarzyszył jej wszędzie. Wszyscy w osadzie przyzwyczaili się więc, że najpierw widać charta, a zaraz za nim pojawia się jego pani.

Kiedy Kokum wracał ze swoich wypadów, nie mogła go już unikać. Obdarzał ją więc hojną dawką swego nasienia i nigdy nie brakło mu na to sił. Pocahontas zastanawiała się, czy za dnia był

równie szczodry dla Mehty. Podejrzane było, że regularnie o tej samej porze znikali gdzieś razem. Poza tym jednak Mehta zachowywała się jak dobra siostra. Pocahontas liczyła nawet na to, że ostatecznie Kokum skłoni się ku jej siostrze. Co rano gorąco modliła się do bogini Ahone w tej intencji. Czuła jednak przez skórę, że Kokum woli, aby zostało tak, jak jest. Widocznie potrzebował większej liczby wielbicielek swego wdzięku i męskiej sprawności.

Któregoś dnia Pocahontas przechwyciła kuriera wracającego z fortu i dowiedziała się, że Newport na samym początku wiosny popłynął znów za Wielką Wodę. Niedługo potem wojownicy Powhatan spróbowali wykraść z arsenału miecze, ale zostali na tym przyłapani. Kurier miał do przekazania wiadomość, że rudy Anglik wpadł we wściekłość i kazał ich uwięzić. Ludzie Powhatan spróbowali ich odbić, ale Tassentasowie zwyciężyli ich w walce. Osadnicy trzymali teraz w pogotowiu nabite muszkiety, dysponowali więc większą siłą ognia.

Dla Powhatan oznaczało to przede wszystkim utratę twarzy.

Hańba była tym większa, że rudy dowódca nie zabił jeńców, jak on sam zrobiłby na jego miejscu, tylko kazał ich wychłostać.

Mało więc, że Powhatan nie zdobył mieczy, ale także sytuacja wyglądała tak, jakby

stracił siedmiu ludzi. W jego państwie bowiem wojownik, który dał się wziąć żywcem i ani nie zginął z honorem, ani nie próbował uciec z niewoli - był pohańbiony do końca życia.

Pocahontas zauważyła też, że ojciec, choć wciąż nadmiernie nerwowy, ostatnio zaczął spoglądać na nią nieco innym wzrokiem. Najwidoczniej gniew mu już przeszedł, do czego walczyły się nowe, młode żony, które zmiękczyły go i wpłynęły na zmianę zdania

o kobietach w ogóle. Pocahontas modliła się więc nawet dwa razy dziennie do Ahone, Okeusa i boga niebios, aby ojciec znów pozwolił jej brać udział w rozmowach z białymi. Kilka małych zwierzątek oddało życie na ołtarzu ofiarnym Okeusa, dopóki nie zaprzestała tak częstych wizyt w świątyni z

obawy, że kapłani zaczną coś podejrzewać. Życie jej ujęte było teraz w takie karby, że wolna czuła się tylko na łące, gdzie wznosiła oczy do boga nieba. Jednak coraz częściej dochodziła do wniosku, że naprawdę wolna czuje się wówczas, gdy przebywa wśród Tassentasów.

W porze kwitnienia Powhatan zawezwał Pocahontas do domu rady.

- W ostatnich tygodniach zachowywałaś się nareszcie jak przykładna córka i spełniałaś każde moje życzenie - oznajmił jej.

- Wydaje mi się, iż teraz żałujesz swoich niemądrych postępków i rozumiałaś nareszcie, że obowiązki musisz stawiać na pierwszym miejscu. Mam zamiar znów wszcząć rozmowy z Tassentasami,

i to za twoim pośrednictwem, bo oni twierdzą, że chcą rozmawiać tylko z tobą. Musisz więc udać się do Tassentasów i wydostać z ich rąk moich ludzi. Jeśli ci się to uda, będę z nimi pertraktował

na temat broni. I widzę, że jesteś teraz stale z Kokumem. Chyba już

rozumiałaś, że on jest dla ciebie bardziej odpowiednim mężczyzną niż ten rudy. Nie zwlekaj więc, wyruszaj jutro rano i prędko wracaj. Jesteś moim najlepszym posłem i wierzę, że ci się powiedzie.

Pocahontas poczuła głęboką wdzięczność dla ojca za to, że dał jej jeszcze jedną szansę. Miała jednak świadomość, że chce on ją także wypróbować, i znów powróciła dawna wewnętrzna rozterka. Ale teraz nie mogła się już wahać! Spytała więc tylko:

- Kto pojedzie tam ze mną?

- Oczywiście Secotin i Pamouic, jak zawsze. Znają dobrze drogę i są chętnie widziani w forcie.

Pocahontas nie śmiała prosić o zmianę osób towarzyszących, aby nie udaremnić całej wyprawy. Była jednak głęboko przeświadczona, że Secotin ma w tej podróży pełnić rolę „oczu i uszu” ojca. Pewność miała tylko co do jednego — że nikt nie wykryje dobrze zakonspirowanej zatoczki, którą obrała na miejsce spotkań ze Smithem.

- Słyszeliśmy też, córko - dodał jeszcze Powhatan - że dziś do naszych brzegów dotarła jeszcze jedna pływająca wyspa z czterdziestoma nowymi ludźmi i nowym kapitanem. Jest to jeszcze jeden dowód na obłudę tych cudzoziemców, którzy wmawiali nam, że już ich tu nie przybędzie więcej. Moi kapłani zaczynają już tracić cierpliwość... Ale idź już, a ja wydam odpowiednie polecenia, aby przygotowano podarunki dla tych kłamców.

Pocahontas ruszyła w drogę tak szybko, jak tylko mogła. Przed nią biegł jej biały chart, którego nazwała Kint. Ledwo zatrzymali się na chwilę w ich tradycyjnym miejscu obozowania przy wilczym barłogu, a już ponagliła braci do dalszego marszu, czy raczej mar-szobiegu. Kiedy tak spieszyła przez las w stronę fortu, czuła się znów wolna.

Panowała akurat najcieplejsza pora roku, kiedy drzewa obsypane były białym kwieciem, a pod stopami chrzęścił dywan z ich płatków. Ubrała się na drogę w strój z jasnej skóry, a zamiast

paciorków założyła na szyję wianek z kwiatów. Pojedyncze kwiaty powtykała we włosy, przez co była prawie niewidoczna na tle kwitnących biało dereni.

Wartownicy przy bramie fortu wydali radosny okrzyk. Tak długo nie widzieli już pięknej księżniczki, że bardzo uradował ich jej powrót.

Smith pojawił się prawie natychmiast. Pocahontas zauważyła, że od zimy prawie wcale się nie zmienił. Co najwyżej był teraz bardziej opalony, a jego rude włosy, wypalone przez słońce, przybrały złocisty odcień. Podeszła do niego powoli, ale tajemna moc jego błękitnych oczu omal nie ścięła jej z nóg. Mimo to przemówiła oficjalnym tonem:

- Kapitanie, przyszedłam tu odbyć z tobą rozmowy w imieniu mego ojca, wielkiego wodza Powhatana.

Smith podał jej rękę i podprowadził do odbudowanego już domu zebrzań. Musiała jednak cofnąć swoją rękę, gdyż jego dotyk przyprawiał o drżenie całe jej ciało. Bracia zajęli swój stały posterunek przy wejściu, a reszta członków rady zebrała się w ciągu kilku minut, dowiedziawszy się o powrocie Pocahontas.

Przystąpiła więc od razu do rzeczy. Przeprosiła dowództwo fortu za postępek wojowników jej ojca, tłumacząc go ich porywczością i bezmyślnością. W imieniu ojca przekazała wyrazy ubolewania z tego powodu, jak też wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia dla jego przybranego syna, kapitana Smitha.

Smith w podzięcie skłonił głowę, a kiedy ją podniósł, na jego ustach igrał lekki uśmiezek.

- Proszę, pani, przekaż Jego Wysokości, że dziękuję za dobre słowo - zareplikował równie formalnie. — Przekaż mu, że darowałem życie jego ludziom tylko przez szacunek dla jego pięknej córki. Jutro odejdą wolni razem z wami. Dziękujemy wam, księżniczko, za wasze dary i mamy nadzieję, że nie wzgardzicie naszym skromnym posiłkiem. — Tu gestem pełnym kurtuazji podprowadził ją do stołu.

Kiedy spotkali się tej nocy, padli sobie w ramiona z taką pasją, że Pocahontas prawie mdlała z rozkoszy. Ich wzajemne pożądanie tak długo było nie zaspokojone, że teraz nie sposób było mu się oprzeć. Pocahontas zaczęła się zastanawiać, czy ten ogień namiętności nie wynika ze strachu przed tym, że może to być ich ostatnie spotkanie, że ktoś lub coś może ich nagle rozdzielić. Czy on też tak myślał? Nie chciała jednak pytać o to, aby wątpliwościami nie zburzyć uroku tych upojnych chwil.

Świtało już, kiedy oboje doszli do wniosku, że najlepiej, aby Pocahontas jak najszybciej odprowadziła uwolnionych jeńców do ojca. Tak szybki powrót pozwoli jej odzyskać zaufanie Powhatana i przekona go o jej lojalności. Smith zapewnił ją też, że osadnicy bardzo liczą na jej pomoc w negocjacjach dotyczących mieczy, których jej ojciec tak potrzebował.

Ponieważ przypuszczalnie rozmowy będą się przeciągały - niezbędne staną się jej dalsze wyprawy.

Pocahontas zaakceptowała jego sposób myślenia. Dawało jej to poczucie własnej wartości i podkreślało wagę spełnianej misji. W

tej chwili była tak szczęśliwa, że nie dopuszczała do głosu żadnych wątpliwości, choć

nieśmiało drażniły one jej świadomość: Czy spędzi resztę życia kursując tam i z powrotem między dwoma zwaśnionymi obozami? Czy nie dałoby się tego rozwiązać jakoś inaczej?

Obudziła się w niej zastarzała rozterka - konflikt między lojalnością wobec obu stron. Coraz więcej zalet dostrzegała jednak u cudzoziemców. Zawsze była przekonana, że oba ludy mogłyby żyć ze sobą w zgodzie, gdyż wiele mogłyby dać sobie nawzajem. Nagle przyszła jej do głowy myśl, że to właśnie robi -

pośredniczy w wymianie produktów obu kultur. Musi więc czynić to dalej, aby doprowadzić do wzajemnego zrozumienia obu narodów. Gdyby tak jeszcze Kokum gdzieś się podział... Ba, ale jak go się pozbyć? Gdyby John Smith wiedział... I gdyby ojciec nie był tak zawzięty i wymagający... Właściwie jednak czas pracuje na jej korzyść. John Smith ma zamiar osadzić tu swoich ludzi na stałe i ona mu w tym pomoże.

R o z d z i a l 1 5

Jamestown,

wrzesień 1608 roku

Smith z satysfakcją zacierał ręce. Na dzisiejszym zebraniu rady nadzorczej kolonii nareszcie powierzono mu przewodnictwo!

Był już chyba najwyższy czas po temu — w końcu to on wszystko organizował! Powinni byli zrobić to już dawno, właściwie na samym początku. Na myśl o swoim zatwardziałym przeciwniku Wingfieldzie, który dopiero co wyszedł z więzienia i został odesłany do Anglii, Smith zaśmiał się i ponownie zatarł z zadowoleniem ręce.

Przez całe lato opływał w koło zatokę Chesapeake w poszukiwaniu drogi do Indii. Podróż była ciężka, bo panowały straszliwe upały, a w dodatku na jakiejś samotnej wysepce trzech osadników, świeżo przybyłych z Anglii, zachorowało na tyfus plamisty. Dobrze, że miejscowi Indianie udzielili chorym pomocy, lecząc ich ziołami i kąpielami parowymi.

Natrafił też na ślady wskazujące, że od południa penetrują zatokę Francuzi. Utwierdzało go to mocniej w przekonaniu, że fort Jamestown musi być wzmocniony. Powinien mieć stałą załogę, dobrze uzbrojoną i zdolną do obrony zarówno od północy przed Francuzami, jak od południa przed Hiszpanami, aby utrzymać Wirginię w posiadaniu Anglików.

Nie mógł się już doczekać, aby zacząć wprowadzać w życie zmiany, które uważał za niezbędne dla przetrwania kolonii. Po pierwsze, miał zamiar wprowadzić wojskową dyscyplinę, co wzmocniłoby tężyznę członków załogi fortu i przygotowałoby ich lepiej do przezwyciężania trudności. Po drugie, kontakty między osadnikami a Powhatanami były zbyt swobodne, pozwalające na wynoszenie z fortu dowolnej liczby narzędzi i broni w zamian za żywność. Po trzecie zaś, chciał się w końcu dobrać do skarbców Powhatana w Uttamussack.

Dopiero tego lata osadnicy poczuli się w forcie naprawdę dobrze.

Wojownicy Powhatana pojawiali się już tylko w celach handlowych. Bracia Pocahontas nauczyli Anglików skuteczniejszych metod polowania i rybołówstwa, a ona sama przywiozła ze sobą kobiety, które miały pokazać im, jak uprawiać kukurydzę i warzywa. Kompania Wirgińska dosyłała z Anglii coraz to nowych ludzi. Któregoś pięknego letniego dnia do wybrzeży Wirginii przybił nowy statek „Phoenix” pod dowództwem kapitana Nelsona. Osadnicy byli poruszeni tym, że zobaczyli nareszcie jakiś inny statek poza „Susan Constant”.

Smith z radością stwierdził, że z pokładu „Phoenixa” zeszła grupa bardzo wysokich mężczyzn. Specjalnie razem z innymi członkami rady nadzorczej zaznaczył w liście do Londynu, że życzą sobie ludzi równie wysokiego wzrostu jak Powhatan.

Dotychczasowi osadnicy nie mogli już ścierpieć, że miejscowi patrzeli na nich z góry, a poza tym trzeba było pokazać Powhatanom, że i Anglicy mogą być równie wysocy jak oni.

Kapitan „Phoenixa” przywiózł także list od Kompanii Wirgińskiej, zawierający nową propozycję. Ktoś

w Londynie wpadł bowiem na pomysł, aby symbolicznie ukoronować Powhatana na... króla Anglii w Wirginii!

— Czy oni zwariowali? - zwierzał się Smith Percy'emu. -

Gdzieżby ktoś tak dumny jak Powhatan dał się ukoronować na króla innego państwa? Królowi Jakubowi uroiło się, że w ten sposób skłoni go do większej uległości wobec Anglików i akceptacji dalszego osadnictwa na jego ziemiach. Newport ma tu być lada dzień i przywieźć wszystkie insygnia, ale jestem pewien, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Możemy tylko popsuć to wszystko, co z tak wielkim trudem stworzyła Pocahontas.

To właśnie Pocahontas kolonia zawdzięczała spokój i dobrobyt!

To ona powstrzymywała zapędy Powhatana, dzięki czemu osadnicy zyskiwali na czasie. Ilekroć Anglicy rozmawiali na jej temat, Smith nadsłuchiwał, czy nie wychwyci jakiejś aluzji świadczącej, że ktoś domyśla się istniejącej między nimi więzi.

Nigdy jednak nie padła żadna podobnego typu uwaga.

Newport tym razem przyplłynął na statku „Merry Margaret”.

Przywiózł bogato obite adamaszkiem łoże z baldachimem i firankami, w sam raz dla głowy koronowanej. Do tego dołączył

jeszcze płaszcz ze szkarłatnego aksamitu i koronę z miedzi —

metaluu najwyżej cenionego w państwie Powhatana.

Smith obejrzał te regalia i mruknął do Percy'ego:

— Toż to istny cyrk! Powhatan jest zanadto zawzięty, aby go ułagodzić byle błyskotką.

Właśnie w tym momencie wartownicy przy bramie zaanonsowali:

— Księżniczka Pocahontas!

No, może ona wpadnie na jakiś sposób, który pozwoli nam uzyskać audiencję u jej ojca - pomyślał Smith.

Pospieszył, aby ją powitać, i od razu przedstawił plany osadników dotyczące spotkania z jej ojcem i ceremonii koronacji.

Pocahontas zdziwiło to, lecz i ubawiło - przecież ojciec i bez tego był wielkim królem! Zgodziła się jednak zorganizować takie spotkanie. Smith miał w tym celu za trzy dni wyruszyć z fortu.

Ona wyszłaby mu na spotkanie poza obręb Werowocomoco i wprowadziła do stolicy imperium. Ojciec miał akurat wtedy wracać z Uttamussack, a po inspekcji swoich skarbców był

zwykle w dobrym humorze.

Na wyprawę do Werowocomoco zgłosiło się ochotniczo osiemdziesięciu członków załogi fortu. Wyruszyli ze śpiewem na ustach, szczęśliwi, że odpoczną od rygorów Jamestown - miejsca, w którym byli odcięci od świata.

Byli już przy ostatnim zakręcie, gdy znienacka wyrosła przed nimi Pocahontas. Zachęciła Smitha i towarzyszy, aby udali się za nią do przyległego wąwozu, gdyż ma dla nich niespodziankę.

Tanecznym krokiem zaprowadziła ich tam, kuszącymi ruchami zapraszając, aby obsiedli kręgiem ognisko i zamknęli oczy.

Wprowadziło to wszystkich w tak dobry humor, że się zgodzili.

- Przrzekam, że nic się wam nie stanie. Możecie mnie zabić, jeśli to nieprawda! - zapewniała ze śmiechem.

Osadnicy rozsiedli się więc wygodnie, trzymając muszkiety na kolanach, podczas gdy Pocahontas znikła na chwilę w leśnej gęstwinie. Widać musieli jej ufać, bo inaczej nie pozwoliliby sobie na taki odpoczynek na terytorium wroga!

Nagle z głębi lasu wybuchła przeraźliwa wrzawa. Żołnierze natychmiast zerwali się na nogi z muszkietami gotowymi do strzału. Czyżby to była zasadzka?

Jeżeli tak, to osobliwa - z lasu bowiem wybiegło trzydzieści młodych kobiet, całkiem nagich, z wyjątkiem liści okrywających miejsca, gdzie Adam i Ewa używali listków figowych. Od stóp do głów ich ciała pokrywały wzory we wszystkich kolorach tęczy, a głowy zdobiły jelenie rogi, kwiaty

lub inne przybrania.

Przypominały Amazonki, gdyż każda miała jakąś broń - łuk z nałożoną strzałą, maczugę lub miecz. Powiodły barwny korowód wokół ogniska. Osadników zatkało. Nigdy jeszcze nie widzieli czegoś podobnego! Patrzeli przerażonym wzrokiem na Pocahontas, która śmiała się z ich dziwnych min i zachęcała, żeby usiedli z powrotem.

Z lasu wyłoniła się teraz druga, mniej liczna grupa dziewcząt niosących grzechotki, bębny i flety. Rozbiegły się dokoła, po czym usiadły i zagrały na swoich instrumentach. Wtedy kobiety z pierwszej grupy rozpoczęły taniec tak wyuzdany i kuszący, że rozpałiłyby nawet kamień. Ich ciała wiły się lubieżnie, a jędrne piersi i pośladki wypinały się prowokująco w stronę widzów.

Bicie bębnow, zrazu wolne, przybierało na sile i stawało się coraz bardziej podniecające. W tym rytmie tancerki wykonywały gesty o niedwuznaczej wymowie.

Smithowi wcale nie odpowiadało takie rozprężenie dyscypliny wśród jego ludzi. Podejrzliwie patrzył na skupioną twarz Pocahontas i zastanawiał się: czyżby to była pułapka? Nagle zrozumiał, że ta impreza miała być raczej podarunkiem dla jego samotnych, łaknących przeciwnej płci żołnierzy. Taniec symbolizował jednocześnie kulturę jej ludu i jej wysiłki w kierunku zbliżenia do siebie obydwu nacji. Może miało to również inne znaczenie?

Mogło na przykład oznaczać, że gdyby więcej dziewcząt powhatańskich weszło w związki z białymi, to może i jej ojciec łatwiej zaakceptowałby ich związek? Smith nie w pełni rozumiał

wymowę tej demonstracji, ale nie był nią zachwycony. Wiedział, że w tym dniu nie będzie już mógł liczyć na swoich ludzi. Gdyby zostali teraz zaatakowani, ponieśliby sromotną klęskę.

Kobiety przerwały swój taniec tak gwałtownie, jak go rozpoczęły, i umknęły w las. Po chwili powróciły stamtąd, niosąc półmiski z różnymi smakołykami. Doprowadziły Anglików do takiego stanu, że bez długich namów powyciągały ich jednego po drugim do chat leżących na skraju osady.

Smith był pewien, że Pocahontas nie zrobiłaby niczego bez zgody Powhatana. Kiedy więc zostali sami, zapytał ją:

- Co to za kobiety?

- To córki chłopów, w sam raz odpowiednie dla twoich robotników i żołnierzy. Ten taniec specjalnie obmyślano, aby zakończył się tak, jak to się stało. Nikt się z tym nie kryje, a że twoi ludzie jutro stąd odjadą, nie wynikną z tego żadne trwałe związki, co byłoby niepożądane.

Smith doszedł do wniosku, że chyba nigdy nie zrozumie jej do końca. Nie okazywał jednak niezadowolenia, gdyż wiedział, że Pocahontas była dumna ze swego dzieła. W sumie nic złego się nie stało, a ludzie mieli trochę rozrywki. Kiedy wrócą do fortu, będą mieli czym się pochwalić przed tymi, którzy tam zostali.

Następnego dnia, późnym przedpołudniem, Powha-tan w asyście dwustu wojowników wracał drogą wodną z Uttamussack. Był w doskonałym humorze, gdyż upewnił się, że jego skarby są nienaruszone.

W drodze z przystani do domu rady uśmiechał się więc dobrodusznie zarówno do witającego tłumu, jak czekają-

cych niecierpliwie żon. Skinieniem ręki i uśmiechem zaszczycił

nawet stojących na uboczu Smitha i jego ochotników.

Pocahontas dobrze nam poradziła, żebyśmy dziś tu przyszli. Król jest w świetnym nastroju - myślał Smith z nadzieją.

I rzeczywiście, po kilkugodzinnym oczekiwaniu przysłano po Smitha dwunastu wojowników, chyba najwyższych, jakich Powhatan miał do dyspozycji. To go zdenerwowało, bo był

średniego wzrostu, a za każdym razem, kiedy odwiedzał ziemie Powhatana, król otaczał go samymi dwumetrowymi chłopami.

Przypuszczał, że to perfidny chwyt Powhatana, aby wyprowadzić go z równowagi.

No, ale teraz mam własnych dryblasów - przypomniał sobie z satysfakcją.

Za pośrednictwem Thomasa Savage'a, który służył jako tłumacz, Smith starał się jak najbarwniej opisać, jakim to szacunkiem i podziwem darzy Powhatana król zza Wielkiej Wody, tak że aż chciałby i jego ukoronować na króla. Wy tłumaczył mu też, jak ma wyglądać taka ceremonia, a na koniec zaprosił go na koronację do Jamestown.

Powhatan rozsiadł się na swoim tronie wysłanym futrami, otoczony gromadką żon. Spoglądał na Smitha chłodno spod przymrużonych powiek. Po chwili namysłu odpowiedział:

- Ja też jestem królem, a to jest moja ziemia. Jeśli wasz król przysłał mi podarunki, to w ciągu najwyżej ośmiu dni powinienem je otrzymać. Ten wasz Newport ma przyjechać do mnie, a nie ja do niego czy do waszego fortu. Nie dam się złapać na taką przynętę.

Pocahontas, która akurat weszła do sali, próbowała zmiękczyć ojca, tłumacząc:

- Tassentasowie chcą wyświadczyć ci wielki zaszczyt. Ich zwyczaj nakazuje, aby król przyjeżdżał na miejsce koronacji.

Powhatan był jednak nieugięty i nie przekonały go ani prośby Pocahontas, ani kwiecista wymowa Smitha. Nie miał zamiaru ani na krok ruszyć się z Werowocomoco i widać było, że nie zależy mu na godności króla Anglii. Inna sprawa była z prezentami, które przyjąłby chętnie. Smith wraz ze swymi ludźmi opuścili więc salę, skąd dochodziły tylko radosne okrzyki żon wodza, zadowolonych, że nareszcie udało się splawić tego rudego gościa.

- Nic tu po nas - oświadczył Smith, biorąc się pod boki. - Niech licho porwie tych durniów z Londynu! Wracamy natychmiast do Jamestown i przywozimy prezenty razem z koroną. Tak czy inaczej, musimy jakoś założyć Powhatanowi tę koronę na głowę, bo król Jakub sobie tego życzy.

Pocahontas kursowała przez dwa miesiące między Werowocomoco a Jamestown. Jej ojciec uparł się, że nie życzy sobie żadnej koronacji, dopiero obietnica korzystnej transakcji z bronią wymusiła na nim jakieś niechętnie „być może...”. Ustalono w końcu termin uroczystości, która miała się odbyć tam, gdzie życzył sobie Powhatan. Prezenty: wielkie łoże, płaszcz, korona, a także wynegocjowane wreszcie armaty - z powodu ich dużej wagi przewieziono okrężną drogą wodną na pokładzie „Merry Margaret” dowodzonej przez Newporta. Smith zaś z pięćdziesięcioma ludźmi wyruszył w drogę pieszo.

Tym razem jednak na ich spotkanie nie wyszły ani piękne dziewczęta, ani powitalny orszak dworzan. Jak na ironię oczekiwało ich tylko sześciu najniższych wojowników, jakich Powhatan mógł znaleźć w swoich siłach zbrojnych.

Demonstrował tym samym swoją pogardę dla całej ceremonii.

Dopiero kiedy na horyzoncie pojawił się statek wiozący dary, a przede wszystkim tak oczekiwaną broń — Powhatan wysłał po odbiór tego ładunku setkę wojowników w pełnym uzbrojeniu.

Najbardziej zafrapowało go ozdobne łoże, które co rychlej przeniesiono do jego apartamentów. Było dość wysokie i Powhatan zwierzył się Pocahontas, że przypomina mu to raczej tron niż miejsce do spania. Kilka jego żon próbowało ostrożnie podskakiwać na materacu, wyrażając obawę, że zbyt często będą spadać z tego mebla.

Anglicy czekali cierpliwie na głównym placu osady w szyku defiladowym. Dzień był ładny i cieplejszy niż zwykle w listopadzie. Smith i jego ludzie ubrali się odświętnie —

szlachetnie urodzeni przywdziali aksamitne stroje i szerokie kapelusze z piórami. Newport miał na sobie galowy mundur admirała floty. Odkomenderowany do tego marynarz niósł za nim błyszczącą w słońcu miedzianą koronę na aksamitnej poduszce. Drugi trzymał aksamitny płaszcz, rozpościerając szeroko jaskrawoczerwoną tkaninę. Marynarzom na pokładzie statku również rozkazano z okazji koronacji założyć wyjściowe mundury. Newport oprócz szpady miał przy boku pistolet.

Zawczasu wydał komendę, aby

w momencie, kiedy korona znajdzie się na głowie Powhatana, wystrzałowi z pistoletu towarzyszyła salwa z dwudziestu jeden dział „Merry Margaret”. Mimo lekceważenia okazywanego przez Powhatana Anglicy byli więc przygotowani na to, aby wystąpić w pełnej gali.

Do oczekujących wyszła Pocahontas i zakomunikowała im, że pomysł z łożkiem był świetny. Wprawiło to ojca w tak dobry humor, że zgodził się przyjąć tę cudzoziemską koronę pod warunkiem, że to długo nie potrwa, bo nie ma czasu na takie głupstwa.

Upłynęła następna godzina. W końcu, przy łoskocie bębnow, pojawił się wielki wódz z twarzą, jak zwykle, nieodgadnioną.

Otoczający go wojownicy podśmiewali się i żartowali z dziwnego wyglądu Anglików, ale na wszelki wypadek byli uzbrojeni po zęby.

Pocahontas stanęła z boku razem z żonami wodza. Wszystkie nosiły przybrania z cennych futer wiewiórek, rudych i srebrnych lisów, oposów, norek, kun i wydr. Kobiety nie były tak krytyczne wobec cudzoziemskich dziwaków, ale pomyślała, że ich ubóstwiany władca miałby zostać królem jeszcze jednego państwa, tyleż je śmieszył, co ciekawił.

Newport wystąpił naprzód i zamaszystym ruchem rozpostarł

przed królem szkarłatny płaszcz. Powhatan łaskawie zezwolił, aby przyboczny wojownik zdjął mu z ramion jego własny, skórzany płaszcz, i pozwolił Newportowi okryć się aksamitną draperią. Londyńskich krawców uprzedzono, że władca Indian jest bardzo wysoki, toteż starannie ułożone fałdy spłynęły mu miękko aż do stóp. Po jego twarzy przemknął błysk zadowolenia, gdyż wyglądał w tym stroju rzeczywiście majestatycznie.

W tłumie zapanowała cisza i umilkły prześmieszki. Do Powhatana podeszło teraz dwóch angielskich dżentelmenów i poprosiło go, by raczył z łaski swojej przyklęknąć i skłonić nieco głowę. I tu zaczęły się problemy, bo gdy Thomas Savage przetłumaczył mu te żądania - król się zaciął.

- Nie będę zginał karku przed nikim - oświadczył twardo.

Anglików ten niespodziewany obrót sytuacji zbił z tropu, bo wśród nich nie było nikogo tak wysokiego, aby mógł nałożyć Powhatanowi koronę na stojąco. Naradzali się więc po cichu między sobą, a Newport nawet sam przyklęknął i pochylił głowę, aby pokazać królowi, jak to powinno wyglądać. Anglicy próbowali wszelkimi podstępami i pochlebstwami skłonić władcę siedmiu państw do zmiany zdania, ale ten uparł się, że nie skłoni głowy przed żadnym śmiertelnikiem na tym świecie.

Obok Pocahontas stał jej chart i to nasunęło Smithowi błyskawiczną myśl. Szepnął na ucho Newportowi, aby wraz z koroną przysunął się jak najbliżej do króla. Potem zamienił parę słów z Pocahontas, która podeszła do ojca, trzymając psa za obrozę.

Powhatan lubił tego charta, więc pochylił się, aby go pogłaskać. I ta chwila wystarczyła, aby Newport błyskawicznie nałożył mu na głowę koronę. Wódz powoli wyprostował się z wyraźnie zde gustowaną miną. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu — co też król teraz zrobi? Czy w gniewie walnie koroną o ziemię? W

Anglikach wzbudziły się uczucia patriotyczne — w końcu to symbol ich kraju! Dla rozładowania nieprzyjemnej ciszy wzniesli triumfalny okrzyk. Rysy Powhatana stopniowo łagodniały, jakby chciał przez to dać do zrozumienia: „Niech się głupcy cieszą!”

Newport szybko wygłosił tradycyjną formułę:

- W imieniu króla Jakuba koronuję cię na króla angielskiego terytorium Wirginii!

Wystrzelił przy tym w powietrze ze swego pistoletu, na co zaraz ozwała się z pokładu „Merry Margaret” salwa dwudziestu jeden dział. Anglia zyskała nowego króla!

Powhatan zatrzymał koronę na głowie przez kilka sekund, po czym przekazał ją komuś ze swej świty.

Smith był pewien, że zostanie ona przerobiona na naszyjnik dla jego ukochanych żon.

Wodza natomiast dużo bardziej zainteresowały okrętowe działa.

Widać było, że potęga militarna znaczy dlań więcej niż zaszczyty i korony.

Władca siedmiu państw, a teraz już i Anglii, umiał jednak się znaleźć tak jak należy. Swój płaszcz, ciężki od naszytych muszli i pereł symbolizujących bogactwo jego imperium, przekazał

Newportowi.

- To dla waszego króla - powiedział. - Od Powhatana, władcy siedmiu królestw.

Wszyscy jednak zauważyli, że tym, co przekazał w darze, był

płaszcz, a nie żaden pióropusz czy jedno z jego licznych przybrań głowy.

Smith przekazał dowodzenie swoimi ludźmi w drodze powrotnej do Jamestown jednemu z oficerów. Sam wolał popłynąć z Newportem, aby przedyskutować z nim plany dalszego rozwoju kolonii. Przede wszystkim jednak chciał zawiadomić króla Jakuba i Kompanię Wirgińską o tym, że koronacja już się odbyła.

Kiedy tylko znalazł się na statku, usiadł w swojej kajucie i zaczął

pisać:

Szanowni Panowie!

Wykonałem dokładnie Wasze polecenia przekazane mi przez admirała Newporta, choć byłem im głęboko przeciwny. Teraz, kiedy już jest za późno, wszyscy przygnają, że było to połączone z wielkim ryzykiem, ale zgodnie z instrukcjami ukoronowaliśmy Powhatana i przekazaliśmy mu dary.

Mimo to ośmielam się twierdzić, że obawiam się związanych z tym kłopotów, zanim jeszcze otrzymamy Waszą odpowiedź.

Smith zdawał sobie sprawę, że nieuprzejmie jest pisać w ten sposób, jednak chciał dać ludziom w Londynie do zrozumienia, że nie mogą oni na odległość dyktować postępowania z ludźmi oddalonymi o tysiące mil.

Po przygotowaniu listu do wysyłki, a jeszcze przed rozmową z Newportem, miał trochę czasu, żeby pomyśleć o Pocahontas.

Tego, co zrobiła dla angielskich osadników i dla Anglii, nie dawało się oszacować. Bez jej pomocy kolonia dawno zostałaby zmieciona z powierzchni ziemi, a i sponsorom nie opłacałoby się w nią inwestować. Francuzi i Hiszpanie mieliby wtedy pełną swobodę ruchu i opanowaliby cały Nowy Świat.

Smith uważał ją za prawdziwą bohaterkę, choć ona sama z pewnością tak o sobie nie myślała. Zwierzyła mu się, że początkowo chciała tylko zbliżyć ze sobą dwóch ludzi, którzy znaczyli dla niej najwięcej: Powhatana i jego. W miarę jednak, jak poznawała obydwie społeczności, zapragnęła, aby oba narody żyły ze sobą w harmonii.

Smith uważał ją za niepospolitą kobietę. Trudno mu było jednak wyobrazić sobie ich dalsze życie, bo jak miałyby do niej pasować?

Teraz była nie tylko księżniczką obcego kraju, ale i Anglii, więc w hierarchii społecznej stała od niego dużo wyżej. Cóż on mógłby jej

zaoferować w swoim kraju? I czy w porównaniu ze swobodnym życiem, jakie wiodła tutaj, nie stanowiłoby to dla niej ograniczenia wolności? Takie wątpliwości wciąż go trapiły, pozostając bez odpowiedzi. Nie ukrywał bowiem, że swoją przyszłość wiązał z Anglią, a nie z Jamestown.

Wszystko by się zgadzało, gdyby nie miłość do niej! Tracił czas, tęskniąc i martwiąc się o nią, co odciągało go od jego właściwych obowiązków i powodowało poczucie winy. Był tak sfrustrowany, że chodził tam i z powrotem, trzepiąc rękawiczką o stół. Gdyby jej tak nie kochał! Niestety, złamał dla niej swoją najważniejszą dewizę życiową: nie wiązać się na poważnie z kobietą, bo wyniknie z tego nieszczęście. A niech to wszyscy diabli!

Po pięciu dniach od powrotu Smitha do Jamestown zawitała Pocahontas. Przekazała wiadomość, że ojciec nie zgodził się na warunki płatności za żywność, proponowane przez Smitha.

Podobno tracił już cierpliwość i miał dość zaopatrywania ich w zapasy ze swoich magazynów, ponieważ już dawno powinni byli uprawiać własne pole. Pocahontas czuła się z tego powodu trochę winna, ale też nieco zaniepokojona.

- Ojciec właśnie otrzymał wiadomość z waszej ostatniej podróży wokół Chesapeake - przekazała im. - Dowiedział się, że trzech waszych ludzi zachorowało na gorączkę plamistą i od nich zaraziła się cała wioska. Wszyscy umarli i nawet zaklęcia kapłanów były bezskuteczne. Ojciec się martwi, ale kapłani są wściekli, bo nie mogą znieść sytuacji, kiedy są bezsilni.

Uprzedzam was o tym, bo nie wiadomo, co mój ojciec zechce zrobić w takim wypadku.

Rozdział 16

Uttamussack,

styczeń 1609 roku

Smith i Percy zwinęli się ciasno w kłębek pod jednym kocem.

Ten wąwóz był dobrym miejscem, aby zamelinować się przed wypadem na sześć kilometrów w głąb lądu w celu rozpoznania skarbców Powhatana. W swój plan wtajemniczyli Newporta i zgodzili się, że powinno to pozostać między nimi trzema, gdyż wiadomość o skarbie wywołałaby w forcie ogólne rozprzężenie.

- Nie pamiętam, ilu ludzi pilnuje każdego skarbcza - snuł

rozważania Smith. — To nieistotne, bo i tak wszyscy uciekną, kiedy odpalimy fajerwerki. Od tego zależy powodzenie naszego planu.

Smith zdawał się nie czuć chłodu ciągnącego od zmarzniętej ziemi. Dwa lata temu robiło to na nim wrażenie, ale teraz już nie.

Widocznie nabrał takiej samej tężyzny fizycznej jak tubylcy.

Niepokoił się tylko o Percy'ego, bo jego wierny przyjaciel nie był zbyt wytrzymały.

Planowali podpełznąć blisko Uttamussack i, kiedy tylko się ściemni, odpalić swoje materiały wybuchowe. Wtedy tubylcy najpewniej uciekną do lasu, biorąc wybuchy za gniew bogów lub coś podobnego. Nie wiadomo tylko było, ile czasu będą mieli na oszacowanie wartości skarbów, ewentualne zabranie części z nich, a potem na odwrót.

- Będziemy mieli tylko jedną szansę - twierdził Percy. - Siła naszego ognia wystraszy ich tylko za pierwszym razem.

Osadnicy w Jamestown byli przekonani, że Smith i Percy wybrali się na poszukiwanie żywności. Rzeczywiście nie mieli jej zbyt dużo. Do magazynów dostały się szczury, a co więcej, przeniknęły także na statek i rozmnażały się w zawrotnym tempie.

- Jeśli nas złapią, nie ma co liczyć na ich litość -uprzedził Smith. -

Od czasu koronacji Powhatan stał się jeszcze bardziej pewien siebie, jeśli to w ogóle możliwe.

- Ciekawe, dlaczego dotąd nie spustoszyli naszego fortu -

zastanawiał się głośno Percy, drząc z lekka. -Przecież on mógłby zebrać ze dwa lub trzy tysiące wojowników w ciągu jednej nocy.

- Nie jestem w stanie ci na to odpowiedzieć - roześmiał się krótko Smith. - Może powstrzymuje go od tego wstawiennictwo jego córki. Popatrz, już się ściemnia!

Rzeczywiście, zapadał zmierzch, który zamazywał kontury drzew, dotąd wyraźnie widocznych.

- Jeszcze parę minut i ruszamy - postanowił szybko Smith. -

Pamiętaj, że musimy w jak najkrótszym czasie wbiec do jednego skarbcza, nabrać tyle złota i klejnotów, ile uniesiemy, i szybko wycofywać się do naszej łodzi. Nie ma po co trzymać muszkietów w pogotowiu, bo i tak będziemy mieli zajęte ręce. -

Smith przeciągnął się, czując napięcie mięśni.

Jak najdyskretniej postarali się przedostać do lasu. Smith nauczył

się już od Indian zacierać za sobą ślady i poruszać się bezszelestnie. Percy nie osiągnął w tym jeszcze takiej biegłości, ale mimo obładowania workami

prochu i materiałów wybuchowych jakoś posuwali się naprzód.

Zanim zbliżyli się do osady, jak tylko mogli najbliżej, zaczęło już się ściemniać. Zapowiadała się ciemna noc, ale nie było już odwrotu. Z daleka słychać było wycie wilków. Na ten dźwięk serce Smitha zaczęło walić jak młot.

Podpełzli tak blisko osady, że słyszeli, jak Indianie wesoło spędzają czas przy ogniskach, śpiewając pieśni i opowiadając sobie różne historie. Smith pamiętał, co mówiła mu Pocahontas

— że nikt dotychczas nawet nie próbował zbliżyć się do skarbców. Jasne, że odstraszała przed tym nie tylko boska cześć oddawana władcy, lecz i perspektywa śmierci w męczarniach dla każdego, kto dałby się na tym przyłapać.

Smith i Percy bezszelestnie i zręcznie opróżnili swoje worki, układając proch i fajerwerki na przestrzeni mniej więcej ośmiu metrów, tak aby były połączone jednym lontem. Potem podsunęli się jeszcze bliżej do wsi, spojrzeli po sobie, przeżegnali się, uścisnęli sobie dłonie i podpalili lont. W ciągu tych kilku sekund, które upłynęły od pierwszego wybuchu, powtarzali w myśli modlitwy.

Pierwsza wiązka materiałów wybuchowych eksplodowała z takim hukiem, że w lesie zrobiło się jasno jak w letnie południe.

Przez chwilę panowała cisza, a potem rozpętało się prawdziwe piekło. Smith i Percy porwali swoje worki i pobiegli w kierunku skarbców, napotykając po drodze tubylców rozbiegających się w panice na wszystkie strony.

W jednej chwili wioska wyglądała jak wymarła. Odwalając drewniane belki zabezpieczające drzwi, wdarli się do pierwszego podłużnego budynku. Przy samym

wejściu stanęli jak wryci, drzwi bowiem strzegły drewniane rzeźby, z jednej strony - dzikiego kota, a z drugiej - jaszczurki. W

świecie pochodni posągi robiły wrażenie groźnych wartowników.

- O Boże! - wymamrotał Percy.

- Szybciej, musimy znaleźć złoto - Smith ponaglił go szarpnięciem za ramię.

Przeszli szybko pomiędzy górami futer, skór, łuków, strzał i haftowanych narzutek. Leżały tam także stosy artystycznych wyrobów z miedzi i całe szkatułki pereł. Nigdzie jednak nie było widać złota ani klejnotów.

- Gdzież oni, u diabła, mają złoto, rubiny i diamenty? - kłął pod nosem Smith, podążając do drugiego

końca budynku. Przy tylnym wyjściu zatrzymali się na krótko, gdyż stały tam również dwa drewniane posągi - człowieka i niedźwiedzia.

- To znowu jakieś ich bóstwa - gorączkowo narzekał Smith. - Nic tu nie ma, musimy spróbować w tamtych świątyniach. Szybko!

Ledwo wyrwali się z jednego magazynu, a już popędzili do drugiego. Oderwali drewnianą sztabę zabezpieczającą drzwi i już nie zdziwili się na widok takich samych, jak poprzednio, drewnianych posągów przy wejściu. Natomiast w środku cały dwudziestoczworometrowy budynek był wypełniony produktami spożywczymi: ziarnem, suszonym mięsem, rybami, orzechami i masą innych prowiantów, ściąganych w formie podatków od poddanych króla.

- Chyba w tej trzeciej świątyni musi coś być! - krzyczał Smith do Percy'ego, gdy ile sił w płucach biegli do ostatniego budynku.

Kiedy dostali się do środka, zaklęli - w całym pomieszczeniu nie było nic innego niż w dwóch poprzednich. Gdybyż choć bryłka złota lub przynajmniej jeden szmaragd!

Rozczarowani, zatrzymali się pod realistycznie wykonaną drewnianą rzeźbą niedźwiedzia.

- Nic tu nie ma! - narzekał Percy.

- Wracamy do lasu, i to szybko! Lada chwila mogą się pojawić wartownicy! - ponaglał go Smith.

Mimo że wypad zajął im więcej czasu, niż przypuszczali, osada wyglądała nadal jak wymarła. Błyskawicznym skokiem przebyli przestrzeń dzielącą ich od drzew i biegli dalej, choć oddalili się już o ponad trzy kilometry od wioski. W końcu zabrakło im sił.

- Mieliśmy szczęście, że w porę się wycofaliśmy - wydyszał

Smith. - To nie do wiary, ale Powhatan w gruncie rzeczy nie ma żadnych skarbów!

- Dla niego to są skarby. W jego świecie, w który teraz wtargnęliśmy, te zapasy zapewniają mu władzę i dobrobyt.

- Czyżby?

- Tak, bo samo zmagazynowane tutaj jedzenie wystarczyłoby, żeby przez rok wyżywić ludność kilku naszych miast.

- Zgoda, ale miałem nadzieję, że będziemy mogli przesłać do Anglii takie same skarby, jakie zdobyli Hiszpanie.

- Na południe od nas istniały zupełnie inne cywilizacje. Wydaje mi się, że jedynym sposobem na zdobycie złota i klejnotów będzie złupienie jakiegoś hiszpańskiego statku przy naszych brzegach.

- Rzeczywiście, nawet wspomniałem o czymś takim w liście do Londynu... - zaczął Smith, ale zaraz syknął i ścisnął Percy'ego za ramię: - Psst! Czy słyszysz głosy ptaków?

- Tak.

- O tej porze, w taką ciemną noc, nie śpiewa żaden ptak!

Smith zaczął ostrożnie posuwać się naprzód, a Percy następował mu na pięty. W ich wyobraźni odgłos każdego kroku ulegał zwielokrotnieniu, a każdy napotkany kształt wyglądał groźnie.

- Nie mamy chwili do stracenia. Musimy dostać się do łodzi - szepnął Smith.

Poruszali się po lesie tak cicho, a zarazem szybko, jak tylko mogli. Przeszli tak może ze dwa kilometry, gdy tuż nad uchem Smitha znów zadźwięczał ptasi tryl.

Idą naszym śladem - pomyślał. Zdjął z ramienia muszkiet i dał

znak Percy'emu, aby zrobił to samo. -Ładny kwiat! A już myślałem, że im uciekliśmy!

W ciemnościach nic nie było widać, ale Smith miał świadomość, że może ich uratować tylko cud. I nie był wcale pewien, czy akurat Bóg zechce uczynić taki cud...

Otarł się o coś ramieniem i poczuł, że gałązka zaczepiła się o jego kaftan. Odczepiając ją zauważył, że tuż obok rośnie drzewo o koronie zaczynającej się nisko nad ziemią. Zatrzymał więc Percy'ego i szepnął mu do ucha:

- Tubylcy są chyba wszędzie. Wejdźmy na to drzewo, może z góry łatwiej ich namierzemy.

Drzewo było łatwe do wspinania się, gdyż miało dużo wyrastających obok siebie gałęzi. Zaczął się więc po nich podciągać, a Percy za nim. Ciemności były teraz tak nieprzejryste, że musieli macać drogę przed sobą. W którymś momencie, podciągając się na wyższą gałąź, Smith uchwycił ręką czyjaś stopę. Jednocześnie poczuł, jak ktoś chwytą go za włosy.

W tej samej chwili usłyszał szept Percy'ego:

— Ktoś mnie trzyma za nogę.

- A mnie za włosy! - odpowiedział już całkiem głośno.

Jakby na zawołanie las nagle rozbrzmiał zewsząd głosami.

Ściągnięto ich z drzewa, obchodząc się wprawdzie szorstko, ale nie brutalnie. Najwidoczniej

wojownicy otrzymali polecenie, aby dostarczyć ich żywcem i w dobrym stanie. Smith przypuszczał, że szykują dla nich bardziej wyrafinowane tortury. Znał już dość dobrze język powhatański, toteż z podsłuchanych rozmów wojowników mógł wywnioskować, że wiedzą oni, kim są ich jeńcy. Po drodze zatrzymali się tylko raz, aby odbyć swą rytualną, poranną kąpiel. Potem ich eskorta coś przekąsiła i wszyscy załadowali się na łódzie. Z urywków rozmów do Smitha dotarło, że obaj z Percym mają stanąć przed obliczem samego Po-whatana. Rozdzielono ich, toteż nie mogli się umówić, jak mają się zachować podczas tej konfrontacji. Smith jednak był

pewien, że Percy zostawi mu całą inicjatywę.

W bezsilnej złości zaciskał tylko pięści i myślał, który to już raz sprowadzany jest siłą do Werowocomoco. I żeby to choć się opłacało, a tu całoroczne przygotowania poszły na marne! Ani bryłki złota, ani jednego cennego kamienia!

Starał się nie okazywać swych uczuć, kiedy wraz z Percym stanął

przed obliczem Powhatana. Król natomiast bynajmniej nie hamował gniewu czy wręcz niesmaku, jaki odczuwał, mając po raz któryś z rzędu do czynienia z tym natrętnym, rudym kapitanem. Nie silił się nawet na żadne wstępne grzeczności, tylko od razu, za pośrednictwem Thomasa Savage'a, przystąpił do formułowania zarzutów. Pocahontas w tym czasie gdzieś się podziała.

- Po tym wielkim ogniu w Uttamussack moi ludzie znaleźli tam klamrę od twojego trzewika!

- To prawda, byliśmy w Uttamussack - potwierdził Smith. -

Chcieliśmy kupić tam trochę żywności.

- I zawsze, kiedy przychodzicie kupować żywność, macie ze sobą magiczne przedmioty, które sprawiają, że w nocy jest jasno jak w dzień?

- Te materiały wybuchły przypadkowo. Mieliśmy je ze sobą, bo chcieliśmy wrzucić je do wody, żeby złapać większą ilość ryb.

Powhatan przybrał sceptyczny wyraz twarzy.

- Nie wierzę ci! - oświadczył. - Nie mówicie prawdy. Kiedy przyplłynęliście do naszych brzegów, miał to być tylko krótki pobyt. Rzekomo uciekaliście przed waszymi wrogami, Hiszpanami, i wkrótce mieliście wracać do siebie. Minęło już dużo czasu, a wy wciąż tu jesteście i przybywa was coraz więcej.

Chcielibyście zawojować ten kraj dla waszego króla. Mam tego dość i moi kapłani także. Już wiele lat temu, na południe stąd, dałem sobie radę z takimi jak wy i stąd też was wypędzę.

Jesteście kłamcami!

Rozmowa zaczęła przybierać niebezpieczny obrót. Smith spróbował zwrócić uwagę Powhatana na bardziej interesujący go temat.

- Nie chcemy opuszczać waszego kraju, bo bardzo się tu nam podoba. Chcielibyśmy żyć z wami w zgodzie, sprzedawać wam broń i nauczyć was naszych sztuk magicznych.

Przebłysk zainteresowania rozjaśnił ponurą minę króla. Nie dostał przecież jeszcze tak gorąco upragnionych mieczy ani dział.

Smith podsycił jego ciekawość, roztaczając przed nim perspektywy uzyskania tych towarów w zamian za żywność.

Kiedy doszli do

porozumienia, Smith odetchnął z ulgą, że król nie porusza już tematu obecności osadników na terenie Wirginii. Jednocześnie też zastanawiający był fakt, że Powhatan po raz pierwszy otwarcie się przyznał do wymordowania grupy pierwszych angielskich osadników. Z pewnością chodziło tu o kolonię założoną przez Raleigha. Po raz pierwszy król otwarcie ujawnił

swą wrogość wobec Anglików. Sprawa wyglądała poważnie.

Po dalszej godzinie rozmów, kiedy zapadł już zmierzch, król zgodził się ostatecznie na zawarcie transakcji w sprawie mieczy.

Smitha i Percy'ego odprowadzono do kwater dla gości. Smith miał nadzieję, że Powhatan zapomniał już o ich wtargnięciu do Uttamussack lub przynajmniej niezbyt się tym przejmował.

- Chyba nam się udało! - cieszył się Percy, gdy zostali sami.

- Tak, ale na bardzo krótką metę. Teraz, kiedy nie kryje już swojej niechęci do nas, może zmienić postępowanie. Jego wybuch złości mógł też wynikać ze szczególnej niechęci do mnie. Najbardziej jednak obawiam się, że może pożałować tego, iż poszedł z nami na ugodę, a wtedy my dwaj staniemy się niepotrzebni.

- A jak wtedy zdobędzie miecze? — zdziwił się Percy.

- Mógłby kupić je za żywność od kogokolwiek z naszych ludzi za pośrednictwem Pocahontas. Ciekaw też jestem, dlaczego dziś jej tu nie było.

Na tym rozmowa się urwała, gdyż obaj byli zanadto zmęczeni.

Przez całą dobę przecież nie zmrużyli oka! Zjedli szybko pozostawione dla nich na kwaterze mięso i ser, po czym zapadli w głęboki sen.

Obudziło go delikatne dotknięcie czyjejś ręki do jego ramienia.

Zerwał się czym prędzej na równe nogi z ręką na kaburze pistoletu.

- Psst! - rozległ się cichy szept Pocahontas. - Nic nie mów, tylko uważaj. Przyszłam wam pomóc!

Słumił więc cisnący mu się na usta okrzyk zdziwienia i tylko z czułością dotknął jej ręki.

- Musicie szybko uciekać! - ciągnęła dalej Pocahontas. - Mój ojciec chce was zabić. Niedługo przysłałby tu kogoś po was pod pretekstem, że chce się z wami widzieć. Tymczasem czekaliby już tam kapłani i wzięliby was na męki.

Obaj mężczyźni w milczeniu słuchali, co jeszcze im powie.

- W kąpielisku dla kobiet czeka na was łódka, którą tam ukryłam.

Zaraz was tam zaprowadzę. Nocami musicie płynąć w dół rzeki, a za dnia się ukrywać, dopóki nie dołyniecie do Kecoughtan, na ziemię mojego brata Pochinsa. Stamtąd będziecie mogli swobodnie wracać do fortu.

Smitha nie zaskoczyły przyniesione przez nią wiadomości, ale zdziwił go spokój, z jakim o tym mówiła. Zaimponowało mu też opanowanie, które pozwoliło jej poczynić przygotowania do ich ucieczki, i to, że zdawała się nie odczuwać przy tym strachu.

W kompletnych ciemnościach otarła się o Smitha, który już zbierał się do drogi. W przelocie zamknął w dłoni jej pierś i potrzywał tak przez kilka sekund. Potem Pocahontas odsunęła się i udzieliła dodatkowych wskazówek.

- Księżyc jest na nowiu, więc będzie bardzo ciemno. Musicie iść tuż przy sobie, tylko proszę, poruszajcie się cicho. Każdy krok może być niebezpieczny.

Ta noc była chłodniejsza niż poprzednia, ale i tak Smith dziękował Bogu, że przynajmniej nie ma mrozu. Powoli przesuwali się od drzewa do drzewa, co jakiś czas zatrzymując się i nasłuchując oddalonego hukania sowy lub śpiewu słowika.

Denerwowało to Smitha tak, że aż przyciskał się mocno do Pocahontas. Ta zaś opiekuńczym gestem zarzuciła mu ramię na szyję. Smith musiał pogodzić się z tym, że teraz ona była panią sytuacji.

Odeszli już kawał drogi od domu dla gości, gdy nagle Pocahontas zatrzymała się i cała zeszywniała. Zaczęła nasłuchiwać, potem sama, celowo, przycisnęła się do niego i bezszelestnie się odwróciła. Smitha stale wyprowadzało z równowagi to, że Indianie mieli dużo ostrzejszy wzrok i słuch od niego. Sam od czasu do czasu też wychwytywał jakiś słaby szmer czy oddalone hukanie sowy, ale tubylcy potrafili interpretować te dźwięki z nadzwyczajną trafnością. On potrzebowałby lat, aby osiąść taką samą wiedzę o otaczającym go świecie.

Pocahontas przyłożyła usta do jego ucha i możliwie najcichszym szeptem poinformowała, że musi na chwilę wrócić do tamtego domu. Oni zaś, nie ruszając się, mają czekać na nią tam, gdzie byli.

Bezszelestnie oddaliła się od obu mężczyzn. Wprawdzie bała się zostawiać ich samych, ale usłyszała, że ktoś zbliża się do domu dla gości. Musiała więc sprawdzić, kto to jest i czego tam szuka.

Ktokolwiek by to był, znajdował się od nich tak blisko, że lada chwila mógł spowodować alarm.

Namaciała przy swoim pasku sztylet, który niedawno dostała od Smitha. Bardzo się jej przydawał, bo był o wiele skuteczniejszy niż jej stary nóż z krzemienia.

Przypuszczała, że musi to być wysłannik ojca, który miał

doprowadzić obu Anglików na wyznaczone uprzednio miejsce.

Poruszała się teraz równie cicho, ale szybciej, bo musiała się spotkać z tym człowiekiem, zanim zauważy nieobecność cudzoziemców i wróci, skąd przyszedł. Na razie w ostrym powietrzu nocy nie wyczuwała żadnego zapachu. Nie było też nic widać, ale знаła ten teren tak dobrze, że instynktownie wyczuwała wszelkie nierówności gruntu.

O, teraz czuję wyraźny zapach człowieka, i to blisko. Nie mam wyboru, muszę go zabić - myślała. - Ale co będzie, jeśli jest to ktoś znajomy? - Miotaly nią sprzeczne uczucia, lecz w końcu pozbyła się wszelkich wątpliwości. Wiedziała tylko, że za wszelką cenę musi ratować Johna Smitha. Skoro dla niego odważyła się sprzeciwić ojcu, musi teraz ponieść wszelkie konsekwencje.

Skoncentrowana na tym, co zamierzała zrobić, podkrađła się zrećcznie jak kot do swojej ofiary. Usłyszała słaby dźwięk, jakby kroków, ale w odległości około ośmiu metrów. Natomiast zapach człowieka ulotnił się, zagłuszony przez znacznie silniejsze zapachy lasu - paproci, gnijących liści i butwiejącej kory. Szkoda, że księżyc nie był w innej kwadrze. Wytężyła słuch i złowiła coś jakby odgłos kroków na innej niż dotychczas powierzchni.

Najwyraźniej wysłannik ojca czy też strażnik musiał wejść do domu dla gości. A może to skrytobójca wysłany przez ojca, aby zamordować uciążliwych cudzoziemców podczas snu? To by wyjaśniało, dlaczego dziś tak łatwo było dostać się do tego domu, zwykle bardzo dobrze strzeżonego. Najwidoczniej tym razem straż odesłano.

Pocahontas jednym skokiem przebyła ostatnie metry dzielące ją od domu. Musiała ryzykować, że nieznajomy gość jest teraz wewnątrz, a za chwilę może wyjść, wiedząc już, że więźniowie uciekli. Przycisnęła się więc płasko do ściany, pozwalając sobie na zaczerpnięcie kilku płytkich oddechów. Słyszała teraz jakby śmielsze poruszenia wewnątrz budynku człowieka, który najwyraźniej sądził, że jest sam.

Raptem kroki ustały. Czyżby intruz wyczuł jej zapach?

Niemożliwe, to pomieszczenie było przesiąknięte mieszaniną najróżniejszych woni. Mógł ją raczej usłyszeć, gdyż człowiek o tak czułym słuchu, jak większość Indian, mógł wyłowić w ciszy jej słabo wyczuwalny oddech. Wszystkie jej zmysły były teraz napięte aż do bólu. Dokąd on się skierował? Wokół panowała grobowa cisza, nie było słychać nawet normalnych odgłosów zwierząt nocnych.

Nagle poczuła czyjś uchwyt na swoim ramieniu, więc błyskawicznie obróciła się wokół swojej osi. To był Rawhunt, stary, doświadczony wojownik i zaufany doradca jej ojca, który znał ją od dziecka!

- Ach, Pocahontas, co ty tu robisz? - zdążył tylko zadać pytanie, gdyż w tej samej chwili dziewczyna pewnym ruchem wbiła mu sztylet między żebra. Momentalnie osunął się martwy na ziemię z

zastygłym na twarzy wyrazem zdziwienia.

Pocahontas schyliła się nad nim, szybkim ruchem wytarła swój sztylet w futro zabitego i włożyła go na powrót do pochwy.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund.

Przemykając się między drzewami, jak najszybciej mogła -

przedostała się z powrotem do Anglików. Szeptem uspokoiła ich, że nic takiego nie zaszło, po czym zaprowadziła ich do zatoczki i czekającej tam na nich łódki.

Prosto w samo ucho Smithowi wyszeptała: — Na dnie łódki położyłam trochę jedzenia. Trzymajcie się brzegu mniej więcej przez godzinę. Potem przepłyniecie na drugą stronę i próbujcie dostać się do Kecoughtan.

Uścisnęła mu rękę i tylko musnęła wargami jego policzek, bo w ciemnościach ledwo go widziała. Teraz już musiała zostawić ich samych.

Od świtu w całym Werowocomoco wrzało. Wielki wódz skazał

na karę chłosty niedbałych wartowników, którzy dopuścili nie tylko do ucieczki tych dwóch brudnych Tassentasów, ale i do zamordowania jego wiernego przyjaciela Rawhunta. Na próżno tłumaczyli się, że przecież kazano im się wycofać. Nikt ich nawet nie słuchał - powiedziano im, że powinni się cieszyć, bo mogli zostać skazani na śmierć przy palu męczarni.

Pocahontas rano poszła się kąpać jak zwykle, tyle że tym razem starała się trzymać blisko innych kobiet i podsłuchiwać, o czym plotkują. Całą siłą woli zmuszała się do zrobienia czegokolwiek.

Kiedy Anglicy odплыnęli, wracała już do domu, gdy obok miejsca, gdzie przetrzymywano zwierzęta ofiarne, zrobiło jej się słabo. Nigdy dotąd nie zabiła człowieka, a na wspomnienie wyrazu twarzy Rawhunta przed śmiercią chwytaly ją mdłości.

Czym innym w końcu było zabić zwierzę czy nawet wroga, a czym innym — starego znajomego, przyjaciela rodziny, który zawsze był dla niej miły.

Mimo iż drżała na całym ciele, nie miała jednak innego wyjścia -

musiała wrócić cicho do domu i jakby nigdy nic położyć się do łóżka. Następnego zaś dnia

powinna ukazać światu twarz tak spokojną, jakby nic się nie zdarzyło. Dobrze, że Kokum miał dopiero rano powrócić z polowania. Zastanawiała się, czy siostry mogłyby ją wydać, ale raczej były przyzwyczajone do jej wypadów o różnych porach dnia i nocy. A kiedy wróciła, przypuszczalnie spały.

Przed południem wielki wódz posłał po nią. Pocahontas wiedziała, że musi wziąć się w garść, bo

czeka ją nieprzyjemna rozmowa. Nie spodziewała się jednak aż takiego wybuchu furii, jakim przywitał ją ojciec z wyżyn swego tronu, czy raczej ozdobnego angielskiego łóżka, wysłanego futrami.

Oświadczył jej, że wprawdzie nie wie, jaka była jej rola w zniknięciu tych dwóch brudasów, ale chociaż jest pewien, że nie miała nic wspólnego ze śmiercią Raw-hunta, to jednak nie chce tu więcej widzieć żadnego Tassentasa. Z kamienną twarzą kategorycznie, pod karą śmierci, zabronił jej widywać się z nimi.

Choć widać było, że nadal ma figurę szczupłą, jak dziewczica, ustalił termin zaślubin z Kokumem na następną pełnię księżyca.

Nazwał ją nieposłuszną, niewdzięczną córką i kazał przez jakiś czas nie pokazywać mu się na oczy. Aby nie miała żadnych wątpliwości, powtórzył z naciskiem:

- Zapamiętaj to sobie: jeśli spróbujesz jeszcze chodzić do tych Tassentasów lub spotykać się z nimi, skazę cię na śmierć!

Pocahontas wiedziała, że teraz nie może się spodziewać jakichkolwiek ustępstw ze strony ojca. Czuli się przytłoczona wydarzeniami, które zaszły w ciągu ostatniej doby. Okazała nieposłuszeństwo wobec ojca. Straciła kochankę. Zabiła starego przyjaciela. I na domiar złego miała spędzić resztę życia u boku mężczyzny, którego nienawidziła. Znowu usłyszała nad głową szum

czarnych skrzydeł kruka. Nogi miała jak z ołowiu i ledwo mogła się ruszyć.

Jakoś jednak musiała przeżyć ten dzień. Postanowiła uciec w żałobę po Rawhuncie i w tym celu posypała się cała popiołem.

Dołączyła do kobiet zawodzących nad jego ciałem, choć serce jej się krajało na myśl o własnej dwulicowości. Kołysząc się rytmicznie wraz z siostrami w takt żałobnej pieśni, myślami była gdzie indziej. W głowie wirowały jej na przemian to poczucie winy, to żal z powodu straty ukochanego, to świadomość braku perspektyw na przyszłość. Wszystko to wprowadziło ją na pewien czas w rodzaj hipnotycznego transu.

Do przytomności przywróciła ją Mehta silnym szturchańcem pod żebro. Zaczęło się już ściemniać i żałobnice rozchodziły się do domów. Kiedy dokładniej przyjrzała się Mehcie, siostra wydała się jej jakby okrąglejsza. Czyżby była w ciąży? Ciekawe, kto mógł ją zapłodnić? Może Kokum? Jednak nawet gdyby tak było, ojciec i tak nie zmieni zdania.

Wieczorem Kokum znowu odprowadził ją na stronę i poszła za nim potulnie jak pies. Nie mogła przecież opierać się na oczach ojca i wszystkich mieszkańców osady. A kiedy ujął w dłoń jej pierś, przed oczyma stanął jej John Smith i wczorajsza noc. I wtedy nagle przeszło jej przez myśl: „Teraz nie muszę już dogadzać temu człowiekowi, aby tym wyprosić pozwolenie na pójście do fortu!” Gdy przybliżył się do niej, z całej siły plunęła mu w twarz.

Kokum, niezrażony, spokojnie wytarł ślinę i przemówił do niej z troską w głosie:

- No, już dobrze, rozumiem, że to wszystko z żalu za Rawhuntem, ale trzeba wziąć się w garść. Moje pieszczoty ci w tym pomogą.

Patrzała na niego ze wstrętem, wierzgając i próbując go odepchnąć. Była jednak zmęczona, a on dużo od niej silniejszy.

Uspokajając ją łagodnymi słówkami, wszedł w nią raz, a potem jeszcze raz tej nocy. W końcu jej ciało zareagowało na dobrze sobie znane dotknięcia w naturalny sposób. Reakcja, nad którą nie mogła zapanować, napełniła ją jeszcze większym przerażeniem.

Rozdział 17

Jamestown,

czerwiec 1609 roku

Nowy rok zaczął się dla osadników pod znakiem nasilonej pracy.

Powhatan przestał już zaopatrywać ich w żywność, więc Smith musiał wysyłać swoich ludzi grupami na polowania, połów ostryg i ryb. Przykazywał im, żeby każda dwudziesto- lub czterdziestoosobowa grupa rozbiła obóz w pobliżu łowiska i pozostawała tam, dopóki nie pośle po nich. Tym sposobem zostawało więcej żywności dla tych, którzy przebywali w forcie.

Mimo głodowych racji byli oni w stanie rozbudować fort i pogłębić studnię.

Smith odkomenderował część załogi fortu do karczowania ziemi pod uprawę i wykonywania prac polowych. Dzięki temu zasiedziali osadnicy mogli swobodnie polować. Zmuszono dwóch schwytanych w niewolę Powhatanów, aby nauczyli nowo przybyłych z Anglii uprawy kukurydzy, a z czasem także dyni i fasoli. Szlachetnie urodzeni panowie, którzy przyплыnęli dopiero w styczniu i nigdy przedtem nie mieli do czynienia z pracą fizyczną - szybko podostawali pęcherzy na rękach. Smith kazał

zatem żołnierzom, aby przy pracy polewali im nadgarski zimną wodą. Sam też pracował za wszystkich.

Na szczęście tubylcy zachowywali się dziwnie spokojnie i nie przeszkadzali w odbudowie fortu. Smith

spodziewał się, że Powhatan będzie teraz nasyłał oddziały zbrojne, aby nękały osadników, ale okoliczne plemiona były w tym czasie nastawione pokojowo. Chwilowo nie widział

możliwości powtórnego nawiązania przyjaznych kontaktów z królem, więc postanowił na razie pozostawić sprawy ich własnemu biegowi.

Natomiast rozpaczliwie pragnął zobaczyć się z Pocahontas.

Wysłał nawet Indianina przyłapanego na kradzieży z wiadomością dla niej, ale nie otrzymał żadnej

odpowiedzi.

Zamartwiał się więc, że mogła zostać schwytana zaraz potem, jak pomogła im w ucieczce, i ukarana, może nawet śmiercią!

Pocieszał się, że chyba ojciec za bardzo ją kochał, aby skazać córkę na karę główną. Chciał jednak po prostu mieć ją blisko siebie i czuć przy sobie jej jędrne ciało. Ale jak nawiązać z nią kontakt? Swoją frustrację wyładowywał w coraz cięższej pracy na rzecz fortu. Jediną pociechą był dla niego widok rozwijającego się i rosnącego w siłę Jamestown.

Tego wieczoru na „Elizabeth Anne” przyплыł z Londynu kapitan Samuel Argall, z załogą srodze poturbowaną po ciężkim sztormie. Smith z satysfakcją usiadł z nim przy stole, aby zdać mu sprawę z dotychczasowej działalności kolonii.

— Mam i dla ciebie nowiny, Smith - odwzajemnił się Argall. -

Uchwalono nowy statut dla naszej kolonii. Zamiast rady nadzorczej powołano teraz Urząd Skarbnika Towarzystwa Podróżników i Plantatorów Kolonii Wirginia, z siedzibą w Londynie. Kolonią będzie teraz rządził dożywotnio mianowany gubernator. Pierwszym takim gubernatorem został lord de la Warr.

Będzie tu w najbliższych tygodniach, a wraz z nim Gabriel Archer, John Ratcliffe i dziewięć statków z nowymi osadnikami.

Smith skrzywił się na dźwięk nazwisk Archer i Ratcliffe.

Ci dwaj dranie - przypomniał sobie - próbowali mnie oczernić w Londynie. Na szczęście nie udało się im, gdyż moje sprawozdanie wykazało, że nie mają racji.

- Czyli że nie będę już przewodniczył radzie? - upewniał się na głos.

- Chyba nie, ale każdy przyzna, że odwaliłeś kawał dobrej roboty.

To się trzyma kupy - pomyślał Smith. - Kolonia teraz jest większa, więc i do zarządzania nią potrzebny jest arystokrata o lepszych koneksjach niż moje. - Głośno zaś powiedział:

- Wiesz co, Argall, nie mam już zdrowia, żeby pracować z Ratcliffem, Archerem czy nawet z tym de la Warrem, chociaż jestem pewien, że to odpowiedni człowiek. Ja zawsze lubiłem urządzać wszystko po swojemu, więc zrzekam się swej funkcji na rzecz George'a Percy'ego. On się do tego w sam raz nadaje.

Mimo protestów i namów Argalla Smith nie dał się przekonać.

Wycisnął na kolonii swoje piętno, przeprowadził ją przez najcięższe lata, a teraz przyszła już pora, aby wypuścić ją spod swej kurateli. Powinien był zrobić to, zanim dojdzie do walki o władzę między nim a Archerem i Ratcliffe'em.

Argall chciał też dowiedzieć się czegoś więcej na temat Powhatana. Był zaszokowany wiadomością, że to on był

odpowiedzialny za zagładę kolonii założonej przez Raleigha. Nie rozumiał więc - Smith zresztą też nie - dlaczego w ten sam sposób wielki wódz nie załatwił się z Jamestown.

Nagle go olśniło.

- To chyba jego piękna córka miała na niego taki wpływ! -

oświadczył z błyskiem w oku. — To, co o niej słyszałem, brzmi rzeczywiście bardzo ciekawie. Nie da się oszacować tego, co zrobiła dla tej kolonii.

Smith starał się zachować spokojne brzmienie głosu.

- Odkąd po raz trzeci z rzędu uratowała mi życie, nie widzieliśmy jej ani nie otrzymaliśmy od niej żadnej wiadomości. Próbowałem nawiązać z nią kontakt, ale bez skutku.

- Kiedy tylko de la Warr tutaj dotrze — snuł rozważania Argall -

wyślemy trochę ludzi statkiem do Powhatana, aby rozeznali, czy nie dałoby się kupić od niego żywności. Teraz będzie nam jej trzeba więcej, toteż zaoferujemy mu miecze, które chciał od nas kupić. Przy okazji spróbujemy jakoś skontaktować się z księż-

niczką. Sam chciałbym ją zobaczyć.

Wypowiedział te słowa z takim zapalem, że Smith zaczął się zastanawiać, czy na pewno Argall chciałby poznać Pocahontas tylko ze względu na dobro kolonii. Przyłapał się jednak na tym, że jest po prostu zazdrosny, jak każdy spragniony kochanek.

Samo wspomnienie

o tej dziewczynie wprawiało go w dziwne podniecenie, więc wstał.

- W takim razie przekażę Percy'emu swoje obowiązki. A skoro jestem już wolny, zabieram Namona

i razem popłyniemy w dół rzeki. Chcę zbudować sobie dom na ziemiach Pochinsa.

Ta myśl dopiero co zrodziła się w jego głowie i jeszcze nie zdążyła w pełni dojrzeć. Jednak w nagłej zmienionej sytuacji, wobec dojścia do władzy nowych ludzi, wydało mu się to najlepszym rozwiązaniem. Ostatnio przestał już marzyć o powrocie do Anglii.

Zdecydował się raczej wybrać niezależność i odkrywanie Nowego Świata na własną rękę.

Smith i Namon wybrali sobie odpowiednią łódź i popłynęli z biegiem rzeki. Pierwszym etapem ich podróży było Kecoughtan.

Spędzili tam kilka dni na smacznym wikcie Pochinsa i tyleż upojnych nocy z miejscowymi kobietami. Jednak, zamiast złagodzić jego tęsknotę za Pocahontas, pieszczoty tych kobiet jeszcze ją podsyciły.

W drodze powziął ostateczną decyzję. Zbuduje sobie dom -

wymyślił nawet dla niego nazwę „Jedyna” -i wtedy zacznie otwarcie starać się o rękę Pocahontas. Wiedział, że będzie to niezmiernie trudne przedsięwzięcie, gdyż Powhatan na pewno będzie mnożył przed nim przeszkody. W tej chwili jednak nie miał innych problemów. Przestało go interesować, co stanie się z kolonią, pragnął tylko ułożyć sobie życie w Wirginii wraz z Pocahontas. Nie martwił się już więc, czy przystosowałaby się ona do życia w Anglii.

Dzięki powziętym postanowieniom poczuł się szczęśliwy i wolny. Wszystkie jego problemy zdawały się łatwe do rozwiązania. Zrobił dla kolonii wystarczająco dużo, aby czuć się zwolnionym od wszelkich zobowiązań. W tej chwili poślubienie Pocahontas też nie wydawało mu się niemożliwe. Tylko jakim sposobem dostać się do niej?

Nie był pewien, czy oficjalna delegacja pod przewodnictwem de la Warra coś zdołała. Wolałby sam to zorganizować. Sądził, że gdy znajdzie działkę pod budowę, Powhatan uwierzy, że naprawdę chce on stworzyć dom dla Pocahontas, a więc ma poważne zamiary. Musi cierpliwie próbować, raz za razem.

Wprawdzie cierpliwe czekanie na cokolwiek nie leżało w jego naturze, ale w tej chwili szybkie działanie raczej nie było dobrym wyjściem z sytuacji.

Był piękny, ciepły czerwcowy dzień, przesiąknięty zapachem róży jerychońskiej. Smith z Namonem wiosłowali wytrwale, szukając miejsca odpowiedniego na założenie plantacji.

Smithowi marzył się grunt położony wysoko w stosunku do rzeki, aby można było urządzić tam pastwiska dla zwierząt gospodarskich, które chciał sprowadzić z Anglii. Planował też uprawę tytoniu i kukurydzy, gdyż liczył na to, że będzie mógł

sprzedawać swoje zbiory z zyskiem w Anglii.

Plantacja miała być tylko bazą wypadową, gdyż nie miał zamiaru zaprzestać organizowania wypraw badawczych w głąb kontynentu. Nadal marzył o znalezieniu drogi wodnej do Indii, a co za tym idzie - złota, klejnotów i egzotycznych przypraw. Może te skarby kryły się w głębi lądu, ale na pewno gdzieś musiały być.

No, a cokolwiek by znalazł, należałoby do niego.

W końcu zdecydował się na działkę leżącą około kilkunastu kilometrów od Kecoughtan. Jej położenie miało duże zalety, gdyż mieszkańcy tej osady byli przyjaźnie do nich nastawieni, a i Pocahontas miałyby możliwość częstego widywania swoich krewnych i znajomych.

Kiedy jednak wtajemniczył Namona w swoje plany dotyczące domu i farmy, a zwłaszcza małżeństwa z Pocahontas - Indianin nagle zamilkł. Smith sądził, że milczenie jest znakiem zgody, więc zwrócił się do niego, aby przekazał Pocahontas prośbę o potajemne spotkanie na ziemiach jej ojca. Chciał

bowiem porozmawiać z nią o przyszłości i poczuł ulgę, gdy Namon zgodził się na to. Tej nocy Smith śnił o zielonych łąkach w ojczystej

Anglii, obsypanych pachnącymi kwiatami. Sen ten natchnął go optymizmem co do przyszłości.

W pierwszych dniach po zabójstwie Rawhunta Pocahontas zachowywała się jak lunaticzka. Przedśmiertne spojrzenie Rawhunta, wyrażające kompletne zaskoczenie, prześladowało ją, stając jej przed oczyma w najmniej odpowiednich momentach.

Widziała jego twarz zarówno w płomieniach ogniska, jak i w wodzie, gdy się kąpała. Miała wprawdzie świadomość, że drugi raz też zrobiłaby to samo, ale rozmiar tego czynu przerastał ją.

Modliła się więc żarliwie do Ahone, aby nigdy więcej nie musieć borykać się z podobnymi problemami. Przy ludziach robiła

„dobrą minę”, a sama nie była nigdy, nawet w nocy, gdyż Kokum pożądał jej z niesłabnącą siłą.

Ojca widywała tylko przelotnie, ale wtedy był zazwyczaj dla niej miły. Była pewna, że niedługo odzyska jego względy. Rozumiała jego reakcję, ale drżała na samą myśl, co zrobiłby ojciec, gdyby wiedział, do jakich granic posunęła się w swojej nielojalności.

Zdolność postrzegania spraw z różnych punktów widzenia przejęła od Tassentasów. Nie była jednak pewna, czy ta umiejętność dodawała jej siły, czy wręcz przeciwnie.

Wciąż marzyła tylko o jednym - aby pójść za głosem swojego serca. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. W świecie, w jakim żyła, nie było nikogo, kto podałby jej pomocną dłoń, ani miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Przed gniewem ojca nie uchroniłby jej nawet Pochins, a gdyby próbowała udać się do fortu - ściągnęłaby nieszczęście na głowy całej jego załogi. Chwilami wpadała w taką rozpacz, że gotowa była wskoczyć do rzeki i dać się ponieść aż do morza...

Mehta, w widocznej już ciąży, została zaślubiona młodemu, lecz zasłużonemu w walkach z Monakanami wojownikowi.

Uroczystości ślubne były huczne i trwały trzy dni. O rękę Mehty ubiegał się także syn wodza jednego z północnych plemion, ale ona nie chciała oddać się od ojca.

Miesiąc później Pocahontas wyszła za Kokuma, chociaż jej zaślubiny były skromniejsze. Jak nakazywał zwyczaj, tuż przed ceremonią Powhatan odwołał zięcia na stronę i udzielił mu tradycyjnego zezwolenia na oddalenie żony, gdyby ta okazała się nieplodna. Oczywiście Kokum nie miał zamiaru się wycofać i zapewnił teścia, że wejście do jego rodziny jest dla niego zaszczytem, no i jest pewien, że z tego związku urodzi się mnóstwo dzieci.

Pocahontas chętnie wyjechałaby w teren, aby ściągać podatki, a raczej, aby zająć się czymkolwiek - ale ojciec życzył sobie, aby została w Werowocomoco. Patrzył na swoją ukochaną córkę i uśmiechając się pod nosem, prawil jej morały:

- Chyba wymagałem od ciebie zbyt ciężkiej pracy. Wysyłałem cię tak często do tych brudasów, że

pozbawiło cię to zarówno sił, jak prawidłowego osądu sytuacji. A twoja siostra siedziała w domu i proszę - już spodziewa się dziecka! Z tobą będzie to samo.

Pocahontas nieraz myślała już, że serce jej pęknie na środku wioski. Dla zabicia czasu zaczęła polować. Konieczność skupienia się na zwierzynie odwracała jej uwagę od nieprzyjemnych myśli. Spędzała więc w lasach całe dni i wieczorami wracała zmęczona, lecz z jakimś dziwnym spokojem w duszy. Z Kokumem zawarła układ co do ich pożycia, wmawiając mu, że dla zdrowia potrzebuje więcej snu. Umówili się więc, że

dopóki nie urodzi dziecka, nie będzie z nią współżył częściej niż dwa razy przed zaśnięciem. Kokum zgodził się z tą argumentacją, tym bardziej że, podobnie jak jej ojciec, niepokoił się brakiem oznak świadczących o jej ciąży. Natomiast Pocahontas cieszyła się z tych kilku dni każdego miesiąca, które spędzała w domu kobiet.

W lecie, kiedy słońce było wysoko, dni gorące, a noce krótkie i ożywione ćwierkaniem cykad - przybył z wizytą Namon.

Najpierw pospieszył złożyć uszanowanie wielkiemu wodzowi i przekazać mu wiadomości o Tassentasach. Niewiele jednak mógł

mu powiedzieć ponad to, co Powhatan już wcześniej wiedział od swoich szpiegów. Poza tym Namon, przebywając długo wśród białych, nabrał do nich sympatii i nie powtarzał ojcu wszystkiego, co wiedział. Poruszał się po śliskim gruncie, ale robił, co mógł.

Pocahontas zauważyła, że Namon od czasu do czasu rzuca w jej stronę ukradkowe spojrzenia. Nie zdziwiła się więc, kiedy zaofiarował się, że będzie jej towarzyszyć w drodze do poletek, gdzie rośl tytoń.

- Dowódca Tassentasów, Smith, chciałby się z tobą zobaczyć -
zakomunikował jej bez ogródek.

Z bijącym sercem Pocahontas rozejrzała się wokół, ale w pobliżu, oprócz nich, znajdował się tylko strach na wróble.

- Namonie, ojciec zagroził mi śmiercią, jeśli go jeszcze kiedyś zobaczę - wyznała. - Zresztą mniejsza o moje życie, ale ojciec na pewno wysłałby wtedy zbrojnych wojowników do fortu i urządziłby tam prawdziwą rzeź!

- Smith podróżuje teraz sam, bo rozstał się z tamtymi ludźmi -

wyjaśnił Namon. - Niedługo ma przyjechać nowy dowódca i wielu nowych Tassentasów.

Oczy Pocahontas zaokrągliły się jak spodki.

- No, jeśli on jest sam, to nie dbam o moje życie. Gdzie będę mogła się z nim spotkać?

- Jest takie bezpieczne miejsce, blisko granicy kraju Pochinsa.

Będzie tam czekał za trzy słońca, a ja przypilnuję, żebyście byli bezpieczni. - Namon opisał pokrótce, jak wygląda to miejsce i jak dużo czasu trzeba, aby się tam dostać.

- Spróbuję, Namonie! - obiecała Pocahontas z twarzą rozpromienioną szczęściem. Zawróciła tak szybko, że nawet nie obejrzała się za siebie i nie dostrzegła zatroskanego wzroku Namona.

Przez następne dwa dni Pocahontas przeżywała sprzeczne uczucia. Z jednej strony cieszyła się, że znów zobaczy Johna Smitha, z drugiej jednak trudno jej było pogodzić to uczucie z faktem, że była już mężatką i należała do innego mężczyzny.

Mimo to płonęła teraz tak silnym ogniem pożądania, że nawet w nocy, w łóżu małżeńskim, nie umiała zapanować nad reakcjami swego ciała. Nawet na awanse Kokuma odpowiadała taką żarliwością, aż go to zaskoczyło. Wtedy z kolei on ją zaskoczył

tym, że jej namiętność mniej go rozpaliała niż jej zwykła bierność lub opór.

Rankiem tego dnia, kiedy miała spotkać się ze Smithem, wybrała się tak, jakby ruszała na polowanie. Zostawiła psa pod opiekę Mehty, wzięła łuk, strzały i lekkim krokiem, jak sarenka, pobiegła brzegiem rzeki. Srebrzystobłękitna wstęga wody rozwijała się przed nią jak nić z kłębka, mająca doprowadzić ją do celu. Obawiała się, że nie trafi na umówione miejsce, gdzie miał

czekać Namon, znający kryjówkę Smitha. Czas tak się jej dłużył, że w którymś momencie odniosła wrażenie, iż minęła już to miejsce. Na szczęście szybko się

zorientowała, że to tylko wyobraźnia, podsycana niecierpliwością, płata jej figle.

Przed nią, jak spod ziemi, pojawił się Namon i skinął, by szła za nim. Zaczęli powoli przedzierać się przez gęste zarośla nad rzeką.

Pocahontas myślała już, że to nigdy się nie skończy, gdy nagle wpadli w głęboki parów, w którym znajdowało się wejście do grotty. Stał tam Smith. Pocahontas rzuciła się ku niemu z rozpostartymi ramionami, nie zwracając już uwagi na Namona.

W tej chwili liczył się tylko Smith i to, aby natychmiast znaleźć się w jego objęciach.

- Zostań ze mną, bądźmy już na zawsze razem — wyszeptał

ochryple, mocno ją obejmując.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przykrył jej usta swoimi i już po chwili zatracili się w miłosnym szale. Pocahontas nie widziała ani nie słyszała niczego poza nim, wchłaniała go każdym punktem swego ciała. Słabła z rozkoszy, a jej reakcje stawały się na poły ludzkie, na poły zwierzęce. Rozłączyli się dopiero wtedy, kiedy już całkiem zabrakło im sił.

Smith namiętnym szeptem namawiał ją, aby z nim została. Kusił

bliską już perspektywą własnego domu na ziemiach Pochinsa i obiecywał, że jakoś to załatwi z jej ojcem.

Pocahontas podchodziła do tego z obawą, lecz nie dał jej długo się wahać, okrywając pocałunkami. Znów zwarli się ze sobą, nie zważając na nic. Kiedy już było po wszystkim, Pocahontas ze łzami w oczach zaczęła:

- Ojciec nigdy nie pozwoli mi pójść do ciebie, a poza tym...

W tym momencie Namon zawołał z zewnątrz:

- Pocahontas, uciekaj, idą tu jacyś myśliwi. Może to nasi bracia?

- Spotkajmy się tu za siedem słońc, kochanie - rzucił szybko Smith, lekko ją popychając. - Wtedy cię stąd zabiorę!

Pocahontas wydostała się na ścieżkę akurat w chwili, kiedy nie opodal przechodziła gromadka myśliwych, a wśród nich jej bracia Pamouic i Secotin. Miała nadzieję, że nie poprzedzali ich zwiadowcy, którzy mogliby coś zobaczyć. Bracia z pewnością niczego nie podejrzewali, gdyż w tych dniach często sama chodziła na polowania. Pomachała im więc ręką i szybkim krokiem poszła w kierunku rzeki. Musiała zanurzyć się w wodzie, zanim podeszliby do niej wystarczająco blisko, aby po zapachu poznać, że była z mężczyzną, i to do tego z „brudasem”.

Złościło ją, że nie może dłużej nosić na sobie zapachu kochanka.

I cóż miała robić dalej? Nie mogła przecież przyznać się ojcu, że zamierza odejść do przywódcy Tassentasów. Bo rzeczywiście chciała odejść do niego i żyć z nim! Chciała też spotkać się z nim już za siedem dni, ale gdyby powiedziała o tym ojcu, mógłby ją uwięzić. Nie mogła ryzykować. Wprawdzie ostatnia żona Pochinsa też opuściła dla niego swego męża i nie została za to ukarana, ale ona przynajmniej nie oderwała się od swego ludu.

Natomiast Pocahontas gotowa była dla Smitha odrzucić swój dotychczasowy świat i zaakceptować normy świata białych.

Ucieknie do niego i nic jej nie powstrzyma!

Smith tymczasem wrócił do swej posiadłości „Jedyna”, czyli na osiemdziesięciohektarową działkę ziemi nabytą od Pochinsa za dziesięć mieczy. Został tam ludzi z fortu, którzy wracali z polowania i wpadli do niego w odwiedziny. Namawiali go, aby udał się z nimi do Jamestown, gdyż de la Warr przywiózł tam materiały, które mogłyby mu się przydać do budowy domu.

Smith

obliczył, że sprowadzenie tych surowców zajmie mu trzy do czterech dni, a więc zostanie jeszcze dużo czasu do spotkania z Pocahontas.

Jeszcze tego wieczoru wyznaczył uroczyście miejsce pod fundamenty domu. Następnego ranka

wszyscy mieli wracać do Jamestown drogą wodną. Smith zgodził się wziąć na swoją łódkę zapasy prochu, które myśliwi mieli ze sobą. Wziął dwa worki z prochem, aby zanieść je na brzeg rzeki, ale nie przewidział, że proch zajmie się od iskierki z ogniska. Powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja, a w górę buchnęły pomarańczowe języki płomienia. W obłoku pyłu nie było widać Smitha, więc towarzysze, kaszląc i dusząc się od dymu, rzucili się na jego poszukiwanie. Gdy wreszcie go odnaleźli, był nieprzytomny, ale oddychał. Impet wybuchu spowodował, że miał mocno poparzony prawy bok. Kiedy ludzie z fortu otrząsnęli się z szoku, zorientowali się, że Smith jest bliski śmierci. Namon, który biegle wiosłował, dobrał sobie do pary najsilniejszego spośród Anglików. Załadowali Smitha na łódkę i co sił w ramionach popłynęli z nim do Jamestown.

Upłynęły trzy dni, zanim ranny odzyskał pełnię przytomności. W

malgownie wymawiał tylko od czasu do czasu imię Pocahontas.

Nowo przybyły z Anglii lekarz, który przystawiał mu pijawki, myślał, że to dziwnie brzmiące imię jest jakimś wspomnieniem z dawnych podróży Smitha po Bałkanach.

Namon często go odwiedzał, próbując przynieść mu ulgę za pomocą zimnych okładów na głowę. Na czwarty dzień Smith otworzył oczy i przemówił, ale cicho i niewyraźnie. Namon zrozumiał tylko tyle, że miało to coś wspólnego z Pocahontas.

Może chciał, aby go odwiedziła?

- Spokojnie, nie wysilaj się - próbował pocieszyć przyjaciela, widząc go w takim stanie. - Spróbuj przywieźć tu Pocahontas, ale obawiam się, że nasz ojciec nie puści jej do Jamestown.

Smith próbował jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł już wydobyć z siebie głosu. A chciał powiedzieć Namonowi, aby poszedł sam na umówione miejsce spotkania z Pocahontas i powiedział jej o jego wypadku. Jednak ból, jaki promieniował z poparzonego boku, przy najmniejszym wysiłku powodował

omdlenia.

Piątego dnia w rany wdało się zakażenie, a z nim wysoka gorączka. Nowy atak choroby powodował, że Smith to tracił

przytomność, to trzęsły nim dreszcze. Człowiek słabszy przypłaciłby to życiem, na szczęście był przy tym Namon, który zdecydował się wziąć sprawę w swoje ręce. Wysłał swego współplemieńca, który akurat polował w pobliżu fortu, do Werowoco-moco po odpowiednie zioła.

Trzeba trafu, że pierwszym mieszkańcem osady, na którego natrafił myśliwy, był Secotin. Powiedział mu tylko tyle, że jakiś Tassentas uległ ciężkiemu poparzeniu i że jego brat Namon prosi o zioła lecznicze dla niego. Secotin wiedział, że ojciec nie pozwoli przesyłać Tassentasom czegokolwiek. Pobudziło to jednak jego ciekawość, więc postanowił po cichu sam zdobyć zioła.

Kiedy przyniósł je do Jamestown, Namon bardzo się ucieszył.

Jedne zioła roztarł na pastę, którą obłożył rany Smitha. Z innych ugotował wywar, który dawał mu do picia. Osadnicy zapatrywali się sceptycznie na takie metody leczenia, ale sami widzieli, że stosowane uprzednio puszczenie krwi nie dawało rezultatów.

Percy był zdania, że trzeba przynajmniej spróbować indiańskich leków.

I rzeczywiście, po dwóch dniach Smith mógł już mówić, choć jeszcze głos mu się rwał. Namon przyprowadził do niego Secotina i razem podawali mu dalsze porcje ziół. Smith słabym głosem próbował im dziękować i znów zapytał o Pocahontas.

- Z nią wszystko w porządku, niedawno wyszła za mąż! -

odpowiedział szybko Secotin, zanim Namon zdążył mu dać znak, aby milczał.

- Za mąż? - wystękał Smith głosem drżącym jak u staruszka. Na tę wiadomość twarz mu się skurczyła, jakby targnął nim nowy wybuch.

- Tak, ślub był zaraz na początku pory kwitnienia. Tym Secotin już całkiem go dobił. Smith znowu zapadł w stan półomdlenia. Osadnicy myśleli, że nie przeżyje tej nocy. Namon czuwał przy nim i zmieniał mu okłady z ziół. Rano jednak nawet on zaczął tracić nadzieję, bo poprawa była nikła.

Dopiero wieczorem nastąpił kryzys i silny organizm Smitha przemógł chorobę. Trzeba było jeszcze dwóch tygodni, aby zaczął wstawać z łóżka i stawiać pierwsze, chwiejne kroki.

Tydzień, który dzielił Pocahontas od następnego spotkania ze Smithem, zdawał się nie mieć końca. To szalała ze szczęścia, to znów bała się manifestować swój nastrój, aby nie wzbudzić podejrzeń. Nie miała już ochoty na polowanie - chodziła za to na długie spacerzy z psem. Wyładowywała w ten sposób nadmiar energii. Mimo że nadal czuła w sercu smutek z powodu śmierci Rawhunta, jego twarz przestała już ją prześladować.

Dręczył ją natomiast problem Kokuma. Słyszała, że Tassentasowie wyżej cenią kobiety, które przed ślubem nie znają innego mężczyzny. Wolałyby, aby i dla nich, tak jak dla jej narodu, sporadyczne stosunki z innymi

partnerami nie miały znaczenia. Wprawdzie jej współżycie z Kokumem nie było sporadyczne ani przypadkowe, ale przecież zdarzało się, że żony czasem odchodziły od swoich mężów.

Miała nadzieję, że i wśród białych to się zdarza. Dla niej w tej chwili ważne było tylko to, aby znaleźć się w ramionach Smitha.

Czuła, że potrafi wszystko mu wyjaśnić.

W któryś z tych dni, pochmurny i burzowy, Mehta urodziła córeczkę. Narodziny te hucznie świętowano i uczczono dziękczynnymi ofiarami. Kokum zachowywał się jak przykładowy szwagier i pomagał w organizacji uroczystości. Wybrał nawet imię dla dziewczynki - Leweya - które bardzo podobało się Mehcie i jej mężowi.

Pocahontas nadal oczekiwała upragnionego spotkania, choć już ledwo mogła wytrzymać. Wieczorem przed oznaczonym dniem wykręciła się od współżycia z Kokumem pod pretekstem zmęczenia tańcami na cześć córki Mehty. Ojcu zaś życzyła dobrej nocy ze szczególną serdecznością. Postanowiła, że zabierze ze sobą charta, bo ojciec już właściwie pogodził się z tym, że pies należy do niej.

Rano rozejrzała się dobrze wokoło i stwierdziła, że w państwie jej ojca nie ma w gruncie rzeczy nic takiego, za czym mogłaby tęsknić. Czowała, że nie należy już do tego świata, bo to inne życie, jakie poznała u osadników, pociągało ją bardziej. Nie była, oczywiście, pewna, czy będzie pasowała do tego nowego świata, ale postanowiła zaryzykować. Za Smithem poszłaby nawet do piekła, gdyby sobie tego życzył.

Idąc ścieżką na wyznaczone miejsce spotkania czuła się tak, jakby stąpała po obłokach szczęścia. Drzewa wydawały się jej zieleńsze, kwiaty — barwniejsze, a śpiew ptaków jakby płynął prosto z jej serca.

Zapomniała już o przeżyciach ostatnich miesięcy, ale kiedy opuściła się w głąb parowu i zeszła do ukrytej jaskini -

przekonała się, że przyszła za wcześnie. Smitha tu nie było.

Podścieliła więc sobie trochę suchych liści oraz gałązek i usiadła na nich z kolanami przyciśniętymi do piersi. Czekanie skracała sobie rozmyślaniami nad tym, jak też Smith może sobie wyobrażać ich wspólne życie. Kint ułożył się u nóg swojej pani i też cierpliwie czekał.

Słońce już było wysoko, gdy Pocahontas zaczęła się niepokoić, czy aby Smith nie zabłądził. Niemożliwe, przecież Namon miał

go przyprowadzić! Przyglądała się więc ptakom, które podczas południowego upału kryły się w leśnym gąszczu, i słuchała pisków mew kołujących nad jej głową.

Słońce zaczęło już się zniżać, kiedy na dobre się zaniepokoiła.

Cienie się wydłużały, gdy doszła do wniosku, że musiała pomylić dzień. Może źle policzyła słońca, a w języku Tassentasów - dni?

Zdecydowała się więc wracać do domu i nazajutrz próbować ponownie.

Smutna wróciła do Werowocomoco i ponowiła swoją wyprawę następnego dnia, potem trzeciego i czwartego, też bez skutku. W

tym czasie posmutniała już tak, że ledwo wlokła nogę za nogą.

Piątego dnia ogarnęła ją czarna rozpacz. Kiedy poszła się kąpać, najpierw poprosiła boginię Ahone o przebaczenie, a potem postanowiła wypłynąć na środek rzeki i dać się ponieść prądowi.

Kiedy jednak weszła do wody, poczuła na rękę dotknięcie psiego nosa. Chart zawsze bał się

wchodzić do wody, ale w ostatnich dniach nie odstępował swojej pani. Teraz zdawał się rozumieć, co się z nią dzieje, i patrzył na nią prosząco swymi zatroskanymi, brązowymi oczami. Pocahontas pochyliła się, aby pogłaskać go po kształtnej głowie i jedwabistych uszach. To spowodowało, że poczuła się jakby lepiej. Dopuściła do siebie myśl, że może nie powinna jeszcze upadać na duchu. Może Smith kiedyś po nią przyjedzie. Czekala już tak długo, że jeszcze spróbuje trochę poczekać.

Tymczasem w Jamestown Smith powoli dochodził do siebie, ale zdawał sobie sprawę, że długo jeszcze nie będzie mógł prowadzić tak aktywnego życia jak przedtem. O budowie domu, oczywiście, w tej chwili nie było mowy - zresztą przestało mu już na nim zależeć, skoro nie miałby z kim go dzielić. Starał się nie myśleć o Pocahontas. Gdyby kto inny powiadomił go o jej zamążpójściu, nie uwierzyłby, ale to jej brat mu o tym powiedział!

Zraniło go to tak mocno, że aby całkowicie odzyskać zdrowie i siły, nie dopuszczał do siebie ani jednej myśli o niej. George Percy radził mu powrót do Anglii, gdzie zająłby się nim dobry lekarz. A kiedy byłby już całkiem zdrowy, zawsze mógłby wrócić do Wirginii.

Smith przemyślał sprawę i postanowił na razie zrezygnować z poszukiwania drogi do Indii i skarbów na własną rękę.

Zdecydował się wracać do Anglii, zabierając ze sobą wiernego Namona. Kiedy więc liście na drzewach zaczęły żółknąć, obaj odpłynęli na pokładzie statku „Falcon”.

Rozdział 18

Werowocomoco,

wrzesień 1609 roku

Pocahontas przechadzała się po poletku tytoniu, sprawdzając, jak rozwijają się rośliny. Zauważyła, że nie wyglądają one tak zdrowo, jak powinny. Oznaczało to, że ziemia jest już zmęczona.

Aby dać jej odpoczynek, należało na jakiś czas zostawić pola odłogiem i przenieść się do Rasawrack. Ojcu na pewno spodoba się ten pomysł, bo lubił swoją tymczasową stolicę. Rasawrack leżało blisko Uttamussack, więc mógł spędzać dużo czasu w swoich skarbcach.

Kiedy wieczorem zobaczy się z ojcem, powie mu to i nie tylko to.

Już od dwóch miesięcy nie była w domu kobiet, mało tego, czuła się jakby okrąglejsza. Była dziwnie przekonana, że nosi dziecko Johna Smitha. Nie dopuszczała nawet możliwości, że ojcem mógłby być Kokum. Serce jej mówiło, że to dziecko zostało poczęte w czasie ostatniego spotkania ze Smithem.

Nie była przy tym pewna, czy jej ojca zaskoczy ta wiadomość.

Miał wszędzie szpiegów, a obsługa domu kobiet też chętnie mu się podlizywała. Na pewno doniesiono Powhatanowi, że jego córka coś długo się tam nie pojawia.

Wprawdzie ojciec miał ostatnio dobry humor, mimo że był zajęty przyjmowaniem odwiedzających.

pomniejszych wodzów, ale taki nastrój nie musiał trwać wiecznie. Na

pewno zaś nieszczęściem byłoby, gdyby urodzone dziecko miało rude włosy. Pocahontas mogła przewidzieć, jaki wtedy byłby bieg wydarzeń. Kapłani ogłosiliby, że rozgniewani bogowie domagają się ofiary z dziecka, a jakimś dziwnym trafem na tę ofiarę zostałyby wyznaczone właśnie to rude dziecko. Musiała więc zawczasu przemyśleć, jak je ratować.

Ułożyła już pewien plan. Przez kilka najbliższych tygodni zamierzała zachowywać się jak dawna, urocza i figlarna dziewczynka, aby zmylić czujność ojca. Potem, gdy wprawi go w dobry nastrój, musi namówić go, aby kiedy sam będzie przebywał w drugiej stolicy, wysłał ją z Kokumem na inspekcję którejś z północnych krain. Nigdy przecież nie widziała tej części państwa swego ojca, no i chciałyby być blisko Kokuma, kiedy będzie podejmował stamtąd wypadki przeciw Monakanom.

Powhatanowi spodobał się ten pomysł tak dalece, że zgodził się od razu. Obecność jego córki wśród Patawomeków, żyjących nad Potomakiem, była pożądana, aby przypomnieć im o szacunku należnym osobie wielkiego wodza, a sam nieczęsto bywał w tamtych stronach.

Kokum też odniósł się przychylnie do decyzji Pocahontas, choć dziwił się, że chce tam jechać. Mehta oczywiście natychmiast uprosiła ojca, aby pozwolił jej towarzyszyć Pocahontas - przecież siostrze będzie w najbliższych miesiącach potrzebna pomoc! Jej mąż przebywał akurat na wyprawie zwiadowczej gdzieś na południu i nie mógłby często się z nią spotykać, ale jej to najwidoczniej nie przeszkadzało. Zresztą ten wypad i tak nie nastąpiłby wcześniej jak za dwa miesiące.

Dalsza część planu Pocahontas była prosta. Po urodzeniu dziecka przedostałaby się na drugi brzeg

Potomaku i poszukała schronienia u bytującego po tamtej stronie plemienia Susquehannów. Indianie z tego plemienia mierzyli wprawdzie dobrze powyżej dwóch metrów, ale byli niezwykle pokojowo nastawieni. Nie należeli ponadto do imperium Powhatana i nie liczyli się z nim zbytnio, toteż z pewnością udzieliliby jej schronienia.

Z tego bezpiecznego miejsca mogłaby negocjować ze swoim ojcem losy rudowłosego dziecka, które wtedy byłoby już na świecie. Jeśli bowiem ojciec raz da słowo, że nie skrzywdzi ani jej, ani dziecka - nigdy go nie cofnie. Natomiast gdyby udała się do Jamestown prosząc osadników o ochronę - naraziłaby także i ich na nieokiełznany wybuch gniewu ojca. Dlatego jej plan wydał

się jedynym skutecznym rozwiązaniem.

Odkąd porzuciła wszelkie myśli samobójcze, chciała wierzyć, że otrzyma w końcu jakąś wiadomość od Smitha. Modliła się do boga niebios i bogini rzeki, aby mogła znowu być z nim. Kiedy zdała sobie sprawę, że jest w ciąży, wydało się jej, że częściowo ta prośba została spełniona. Codziennie składała więc bogom drobne ofiary dziękczynne.

Rozważała także, czy nie posłać umyślnego do Jamestown, aby powiadomił Smitha, że został ojcem. Obawiała się jednak, że uczyniłby wtedy jakieś nieprzemyślane posunięcie, które mogłoby zaszkodzić im wszystkim. Była pewna, że ta wiadomość ucieszyłaby go, ale lepiej pomyśleć o tym po urodzeniu dziecka. Bardzo chciała poradzić się kogoś bliskiego, ale nie było przy niej nikogo, komu

mogłaby zaufać. Słyszała, że do Jamestown przypłynęły z Anglii także i kobiety. Marzyła więc, aby móc się z którąś z nich zaprzyjaźnić.

Przez ostatnie półtora roku Pocahontas czuła się wśród swoich rodaków jak wśród obcych. Wiedziała, że to dlatego, iż zaczęła myśleć kategoriami Tassentasów. Wskutek tego odgradziła się od swoich krewnych i znajomych jakby zasłoną. Nie zrobiła tego świadomie, tylko po prostu zmieniły się jej pragnienia i system wartości. Właściwie nie należała już w tej chwili do żadnego z tych narodów, ale dopóki jeszcze przebywała w świecie swego ojca, próbowała cieszyć się tym, czym mogła.

Często widywała Thomasa Savage'a, swego równolatka, którego admirał Newport oddał na służbę Powhatanowi. Thomas był w łaskach u wodza, nawet jadał przy jego stole. Błyskawicznie nauczył się języka Powhatanów, ale z Pocahontas rozmawiał

prawie wyłącznie po angielsku. Chciała bowiem opanować ten język, najlepiej jak mogła. Zabierała za to Thomasa czasami na polowanie, ale nigdy nie udało im się złowić żadnej zwierzyny.

Thomas bowiem, w porównaniu do Indian, poruszał się bardzo niezgrabnie. Według oględnych słów Pocahontas „każdy jego krok budził cały las”.

Któregoś chłodnego dnia jesienno, gdy na ziemi leżała już gruba warstwa opadłych liści, Thomas oznajmił jej, że wybiera się do Jamestown.

— Twój ojciec wysłał mnie z posłaniem do George'a Percy'ego -

tłumaczył. - Przeze mnie przekazuje im trochę indyków, innej zwierzyny i kukurydzy. Osadnicy nie mogą teraz polować ani uprawiać ziemi, bo wodzowie okolicznych plemion znów są na wojennej ścieżce.

Pocahontas po raz setny z rzędu rozważyła możliwość, czyby nie przesłać wiadomości do Smitha. Zdecydowała jednak, że lepiej tego nie robić. Rzadko rozmawiała z Thomasem o białych ludziach, gdyż

obawiała się, że niechcący może mu się wyrwać przy jej ojcu coś, co wzbudzi jego podejrzenia. Zastanawiała się też, dlaczego nagle ojciec posyła zniechęconym przez siebie Tassentasom prowianty. Była pewna, że jest odpowiedzialny za nękanie osadników przez okoliczne plemiona.

- A dlaczego do Percy'ego, a nie do Smitha? -zapytała.

- Smith razem z Namonem wyruszył dwa miesiące temu do Anglii. Wiozą ze sobą dwadzieścia indyków i dwie latające wiewiórki w darze dla króla Jakuba.

Pocahontas poczuła się tak, jakby dostała pięścią w żołądek.

Przez chwilę głos Thomasa nie docierał do niej. Na jej twarzy musiało odbić się przerażenie, gdyż poczuła rękę chłopca na swym ramieniu i zobaczyła jego spojrzenie pełne niepokoju.

- To nic takiego - uspokajała go. - Zrobiło mi się trochę słabo.

Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, ale Thomas brał wszystko za dobrą monetę, ponieważ się spieszył. Zresztą rzeczywiście fizycznie nie czuła się dobrze, ale starała się nie upadać na duchu.

Teraz musiała być szczególnie silna. Dręczyło ją tylko wciąż to samo pytanie: Dlaczego tak nagle znikł bez słowa? Jak mógł tak ją zostawić?

- Smith mówił, że na przyszły rok tu wróci - dodał jeszcze Thomas. - Ale jak tylko wyjechał, Chickahomi-nowie i Weanokowie zaatakowali fort.

No, jasne - pomyślała Pocahontas. - Ze Smithem mój ojciec jeszcze się liczył, a teraz wysłał oddziały z południa, aby rozgromiły Tassentasów. - Głośno zaś powiedziała tylko:

- Powiedz swoim ludziom, żeby uważali.

Potem poszła do domu, położyła się na łóżku twarzą do ściany i w takiej pozycji pozostała do końca dnia. Nikt nie ośmielił się zakłócić jej spokoju, ponieważ cała wioska wiedziała, że córka wielkiego wodza jest przy nadziei.

Thomas Savage powrócił po dwóch tygodniach z informacją dla Powhatana, że Tassentasowie przyjęli jego zaproszenie do Werowocomoco w celach handlowych. W ciągu miesiąca mieli przybyć w sile zbrojnego oddziału.

Pocahontas bardzo chciała ich zobaczyć, choćby po to, żeby przypomnieć sobie szczęśliwe chwile, które wśród nich przeżyła.

Akurat wracała z polowania, gdy ich statki wpływały w górę rzeki. Wdrapała się więc na wysoki wiąz, chcąc obejrzeć ceremonię powitalną z należytej odległości. Nie chciała bowiem, aby ktokolwiek widział, że okazuje zbyt ni entuzjazm.

Na przybyszów czekało dwustu wojowników wymalowanych w odświętne barwy. Stali w pozycji wyczekującej, aż drżały bełty ich strzał. Tymczasem na statkach zwinięto już ostatni żagiel i wokół rozległy się echem rozkazy w języku, który Pocahontas tak dobrze pamiętała. Osadnicy złazili już po drabinkach sznurowych i gromadzili się na przystani. Ze swojego punktu obserwacyjnego Pocahontas naliczyła ich około sześćdziesięciu. Wszyscy byli uzbrojeni.

Tassentasowie pewnym krokiem defilowali między dwoma szeregami wojowników Powhatana. Pocahontas wypatrywała znajomych twarzy i rzeczywiście poznała kilku białych, których pamiętała z fortu. Liczyła, że potem będzie mogła zamienić z nimi parę słów, a na razie czekała, kiedy wojownicy zaczną podrzucać w górę swoje łuki i wydawać okrzyki na cześć gości.

Tymczasem w powietrzu zaświstały strzały i cały ich grad spadł

na przybyszów. Ciszę leśną zmałyły jęki konających i w ciągu kilku minut ani jeden Anglik nie został przy życiu.

Pocahontas patrzyła na to z góry, prawie nie wierząc swoim oczom. Na ziemi wili się w agonii ludzie, których znała i lubiła -

no, może z wyjątkiem Ratcliffe'a, którym pogardzała. Już chciała na znak protestu rzucić się z drzewa w dół, ale powstrzymał ją głos rozsądku. Bo czy komukolwiek pomogłaby jej śmierć i sprzeniewierzenie się ojcu? Miały ją tylko sprzeczne uczucia: zaskoczenie dwulicowością ojca i świadomość, że w tym starciu sympatyzowała z obu stronami. Był to jeszcze jeden dowód na jej wewnętrzne rozdarcie. Nie spostrzeżona przez nikogo przemknęła do domu.

Dwa dni później niebo pokrywały już ciężkie, ołowiane chmury.

Thomas Savage znów wyprawił się do Jamestown - tym razem, dla bezpieczeństwa, w asyście dwóch wojowników. Przyrzekł

Powhatanowi, że wróci w ciągu miesiąca, i wódz był pewien, że chłopiec dotrzyma słowa. U Powhatana mógł wszak najeść się do syta, podczas gdy Anglicy przymierali głodem. Ciągłe ataki na fort uwięziły ich za murami. Mało tego, szpiedzy donieśli, że osadnicy są nie tylko głodni, ale i przygnębieni. Ostatnia masakra do reszty podkopała ich morale.

Tego dnia padało już coraz bardziej, a wiatr, na początku zmienny, teraz powodował, że drzewa chwiały się i jęczały.

Pocahontas słyszała złowróżbny dźwięk bębnow, którymi kapłani obwieszczali, że bóg niebios jest zagniewany. Taki gniew boga nieraz zmiatał z powierzchni ziemi całe wioski i wyrzywał drzewa z korzeniami.

Toteż wielu mieszkańców osady pakowało manatki i ukrywało się w pobliskich jaskiniach lub wąwozach.

Powhatan miał własny, podziemny schron i wysłał wojownika, aby sprowadził tam Pocahontas. Odkąd pamiętała, ten schron zawsze istniał i jej rodzina przeczekiwała tam każdorazowy gniew boga. Tym razem zabrali tam nawet Kinta, ale Pocahontas niechętnie zeszła do schronu, bo po masakrze białych nie mogła patrzeć ojcu w oczy. Rozglądała się natomiast za Mehtą, ale nigdzie jej nie było. Do schronu zeszła tylko niańka z jej dzieckiem.

Zwykle takie burze zdarzały się w cieplejszej porze roku. Wtedy gniew boga objawiał się błyskawicami przecinającymi niebo i salwami jego grzmiącego głosu. Teraz, jesienią, chłodny deszcz siekł ostrymi strugami, a podmuch wiatru obalał potężne drzewa.

Pocahontas nie pamiętała, aby bóg nieba był kiedykolwiek tak straszliwie rozgniewany.

Dopiero nad ranem odważniejsi mieszkańcy osady zaczęli wychylać nosy ze swych kryjówek. Większość obawiała się, że atak gniewu boga może się powtórzyć. Natomiast Pocahontas wymknęła się ze schronu, bo zawsze lubiła spacerować po lesie w czasie burzy. Grzmoty i błyskawice zaspokajały bowiem jej potrzebę doznawania mocnych wrażeń.

Ścieżka, którą sobie obrała, była usłana zarówno drobnymi gałązkami, jak i większymi, obłamanymi

gałęziami. Miejscami przegradzało ją wyrwane z korzeniami drzewo. Wciąż utrzymywała się burzowa atmosfera — z daleka słychać było pomruki niezadowolenia boga niebios. Nagle rozległ się ostry trzask i Pocahontas

zdążyła tylko gwałtownie wypuścić powietrze z płuc. Potem pogrążyła się w kompletną ciemność.

Ból przychodził falami, a w przerwach pomiędzy nimi, jak poprzez gęstą mgłę, słyszała zawodzenie kapłanów. Kiedy zaś udało jej się otworzyć oczy, ujrzała w pobliżu swoją starą, oddaną nianię, Wowocę. A więc jakim cudem znalazła się w rodzinnej wiosce i we własnym łóżku? Tylko skąd wziął się ten obezwładniający ból? Jęknęła i znowu ogarnęła ją ciemność.

Kiedy znowu odzyskała przytomność, ból ustąpił, ale czuła się jakoś dziwnie - słabo i miękko, nie tak jak przedtem. Słyszała teraz głos ojca, wyraźny, ale jakby dochodzący z daleka.

Tymczasem stał on tuż przy jej łóżku.

- Spokojnie, Pocahontas, nie ruszaj się i odpoczywaj - radził. -

Spadła na ciebie wielka gałąź z drzewa.

- A co z moim dzieckiem? — Teraz już wiedziała, skąd wziął się ból i osłabienie. Z wysiłkiem spróbowała usiąść.

- Niestety, dziecko straciłaś. Teraz musisz robić wszystko, co ci każą kapłani, aż całkiem wyzdrowiejesz. - Powhatan podsunął jej do ust tykwę z wywarem ziół. Pocahontas czuła, jak łyżki ciurkiem ściekają jej po twarzy, ale była zbyt słaba, by je opanować.

- Od jak dawna tu jestem? - spytała tylko.

- Od dwóch słońc. Kapłani mówią, że jutro już powinnaś poczuć się lepiej.

W ciągu najbliższych dni wszyscy starali się dogodzić Pocahontas. Ludzie z wioski przynosili jej upominki, a ojciec troskliwie doglądał, aby spełniano każde jej życzenie. Kiedy nabrała nieco sił, ponownie ją odwiedził i w możliwie najogłędniej szych słowach zakomunikował, że Kokum nie żyje. Miał jakoby zginąć w wypadku podczas burzy.

Powhatan nie powiedział córce całej prawdy. A prawda była taka, że ludzie z wioski, próbujący ukryć się przed gniewem boga w bardziej oddalonej grocie, znaleźli jego ciało przeszyte strzałą skierowaną od tyłu prosto w serce. Przy zwłokach klęczała zrozpaczona, zapłakana Mehta. Jednocześnie bowiem jej mąż znikł w tajemniczych okolicznościach. Nikt nie mówił o tym głośno, lecz wszyscy i tak wiedzieli, że mąż Mehty ostatni dowiedział się tego, o czym ćwierkały już wróble - że nie jest ojcem jej dziecka. Powszechnie sądzono, że wrócił na północ, do swego ludu.

Pocahontas nie miała sumienia wyznać ojcu, że wcale nie rozpacza za Kokumem. Nie dała też poznać po sobie, jaką z tego powodu poczuła ulgę. W końcu przecież, mimo jej nielojalności, Powhatan okazał jej dużo serca, więc nie chciała mu robić przykrości. Wyczuła też od razu, że śmierć Kokuma miała coś wspólnego z tym, co łączyło go z Mehtą. Wiedziała, że Mehta była w nim od początku

zakochana. Było jej żal siostry, ale znając ją, miała pewność, że wkrótce znajdzie sobie nowego partnera. Natomiast jej satysfakcję z powodu uwolnienia się od Kokuma tłumiła rozpacz po utracie dziecka.

W trakcie rekonwalescencji po wypadku Pocahontas miała dużo czasu na przemyślenia. Wciąż nie dawało jej spokoju, jak jej ojciec mógł wybić co do nogi sześćdziesięciu ludzi, którzy w dobrej wierze przyszli do niego kupować żywność. Zaczęła teraz innymi oczami spoglądać na ojca, którego tak kochała.

Zaprzęgnęła nagle znaleźć się z dala od niego i jego ślepej nienawiści do białych. Doszła do wniosku, że musi znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłaby żyć na własną rękę, niezależnie od ojca.

Zaraz po zbiorach mieszkańcy Werowocomoco przenieśli się do Rasawrack. Dołączył do nich i Thomas Savage po powrocie z Jamestown. Błagał Powhatan o dostawę żywności dla swoich rodaków, gdyż - jak twierdził - nie przetrzymają zimy. Wielki wódz jednak oświadczył mu twardo:

— Ledwie starczy mi zapasów dla moich ludzi! Thomas wiedział, że magazyny i spichrze pękają w szwach, ale nie odważył się sprzeciwić Powhatanowi. Zbyt wielkie znaczenie miały dla niego dobre stosunki z wodzem i własna, uprzywilejowana pozycja, aby to wszystko zaprzepaścić.

Natomiast na stronie zwierzył się Pocahontas, że:

— ...osadnicy mrą jak muchy. Po rzezi w Werowocomoco nie mają odwagi wyjść poza fort, a tam nie ma co jeść. Któryś nawet zabił swoją żonę i zasolił jej mięso. Dopiero kiedy zwrócił uwagę innych tym, że nie chudnie tak jak oni, odkryto, czym się żywił.

Wtedy go powiesili.

Thomas przemilczał natomiast inny fakt, jak to osadnicy upiekli i zjedli ciało Indianina z plemienia Weanoków, zabitego podczas ataku na fort. Zaczął już obawiać się o własne życie, gdyż obarczono go winą za to, że nie potrafił wymóc na Powhatanie dostaw żywności.

Pocahontas żałowała przymierających głodem ludzi z fortu, ale nie mogła już nic dla nich zrobić. Skoro jej ojciec zawziął się, aby wykończyć osadników — wszystkie jej wcześniejsze wysiłki poszły na marne. Powhatan sądził, że jej smętny nastrój spowodowany jest utratą męża. Postanowił więc, że powinna znów zająć się

pobieraniem należności w terenie, aby się nieco rozerwać przy okazji uroczystości organizowanych na jej cześć. Wtedy też łatwiej będzie mogła poznać nowego kandydata na męża. Miał

już nawet na oku syna wodza jednego z północnych plemion, ale najpierw musiała otrząsnąć się ze smutku...

Pocahontas co jakiś czas wyjeżdżała z Rasawrack na trzy lub cztery dni w teren, aby ściągnąć należne daniny. Kiedy już czuła się pewnie w tej nowej roli, postanowiła, że musi się usamodzielić. Może zamieszka u Pochinsa? W tym czasie wypadki Thomasa Savage'a do Jamestown przejmowały ją

lękiem, bo przynosił stamtąd same złe wiadomości. W ciągu pory kwitnienia liczebność załogi fortu zmniejszyła się z czterystu dziewięćdziesięciu do sześćdziesięciu ludzi. Osadnicy wymierali z głodu, zimna, wskutek nękających ich chorób, a także ataków Weanoków i Chickahominów.

Kiedy zaczynało robić się ciepiej, Tohmas po kolejnym powrocie z fortu wziął Pocahontas na stronę i przekazał jej najgorszą wiadomość.

- Kolonia już nie istnieje. Przyplłynęły tam dwa statki z nowymi osadnikami, ale kiedy ich dowódcy dowiedzieli się o tak wielkich stratach, zdecydowali się zlikwidować fort. Wczoraj rozebrali resztę budynków, a dziś już odpływają.

Pocahontas, porażoną tą wieścią, stała jak słup soli. Nigdy nie dopuszczała do siebie możliwości, że Tassentasowie mogą kiedykolwiek stąd odejść. Przecież byli tacy silni i mądrzy, mieli taką wspaniałą broń i narzędzia! Okazało się jednak, że jej ojciec zwyciężył - metody, które zastosował, były skuteczniejsze. No i John

Smith nigdy już tu nie wróci. Tak pielęgnowała kruche marzenie o nim, po to, aby teraz stracić wszelkie złudzenia.

Londyn, 1609 rok

W marcu John Smith i sir Edwin Sandys umówili się na spotkanie w popularnej londyńskiej oberży „Cheshire Cheese”. Leżała ona w pół drogi między Pałacem Westminsterskim a dokami w pobliżu Tower, gdzie miał swoje biuro Smith. Na spotkanie przyszedł pierwszy i z uśmiechem spojrzał na wywieszkę głoszącą, że można tu dostać coś do picia lub tytoń do fajki za jedyne sześć pensów. Potem rozsiadł się na stołku i zamówił dwa puchary grzanego wina porto.

Zauważył przy tym, że wielu gości pali już nowy tytoń, którego dym mieszał się z dymem z kominka. Na dworze już się ściemniało i za każdym razem, gdy drzwi gospody się uchylały, aby wpuścić nowego klienta - do wnętrza napływała mgła. Smith rozganiał ręką dym wokół siebie i myślał, czy rozwój importu z Wirginii wpłynie na obniżenie cen tytoniu.

Od strony ruchliwej Fleet Street dał się słyszeć stukot końskich kopyt o bruk. Smith wyróżnił w nim odgłos oznaczający zatrzymywanie konia i wywnioskował stąd, że jego przyjaciel Sandys musi być już na miejscu. I rzeczywiście po chwili, zginając swą wysoką postać w futrynie niskich drzwi, pojawił się sir Edwin.

- Mają tu dużo tytoniu! - zauważył, rzucając rękawiczki na stół.

Usiadł i od razu sięgnął po swój kielich.

- To, co tu mają, pochodzi z Tobago - wyjaśnił Smith. - W

Wirginii ciągle trwają próby, ale gdybyśmy

na serio zaczęli uprawiać tam tytoń, ręczę, że zdominowalibyśmy rynek.

- De la Warr zdecydował się odłożyć swój wyjazd, ale jego zastępca, sir Thomas Gates, oraz Newport muszą wkrótce się tam znaleźć. Z tyloma osadnikami, ilu zmieści się na dziewięciu statkach, fort powinien być na tyle silny, by wytrzymać ataki Powhatanów. Jesteśmy już tak ustawieni, że powinniśmy odnieść sukces.

- Ze mną też już dużo lepiej — zawtórował mu Smith. - Myślę, że za jakieś pół roku będę mógł tam wrócić. Wciąż interesuje mnie poszukiwanie drogi do Indii.

- Mam nadzieję, Smith, że jeszcze to przemyślisz. Twoja pomoc i rada jest nam potrzebna tu, na miejscu. Tytoń to ważny surowiec, ale nie można opierać potęgi imperium na samym dymie.

Musimy zakładać wciąż nowe osiedla na wybrzeżu Wirginii i próbować posunąć się dalej na północ. Aby stawić opór Hiszpanom, musimy mieć dobrze umocnioną linię brzegową. Od tego zależy zwycięstwo Anglii.

Obaj panowie w kłębach dymu pochylili się nad stołem, snując plany co do przyszłości Nowego Świata.

Tymczasem ambasador Hiszpanii w Londynie, don Pedro de Zuñiga, wytwornie odziany w zielony aksamitny kaftan, oczekiwał w swej rezydencji posła od króla Filipa III. Szpiedzy króla Hiszpanii w Londynie już od kilku lat odnotowywali każdy statek płynący do Wirginii, jego uzbrojenie, liczebność, skład załogi oraz ładunek. Przekazywali także swojemu mocodawcy, jaką trasę rejsu obierze ten statek. Dziś Zuñiga był w dob-

rym humorze, bo miał do przekazania korzystne wiadomości.

Kiedy poseł został już wprowadzony do rezydencji i zaproszony do stołu, na którym zaraz znalazła się butelka sherry, ambasador przemówił:

— Proszę was, panie, abyście natychmiast wracali do Hiszpanii.

Jego Królewska Mość będzie na pewno zachwycony, kiedy się dowie, że kolonia angielska w Wirginii chyba już nie istnieje.

Tydzień temu jeden z naszych okrętów trafił na dobry wiatr, więc przyplłynął już z Florydy. Z ich informacji wynika, że Indianie otoczyli ten fort i zastosowali całkowitą blokadę. Anglicy nie mają skąd zdobyć żywności i zaczęli już zjadać swoje trupy. Z

takiej masy ludzi, jaka była tam zeszłego lata, zostało niewielu. I zważcie, że jest to wiadomość sprzed dwóch miesięcy, a więc do tej pory pewnie już wszyscy wymarli.

Ambasador pogładził swą spiczastą bródkę i mówił dalej:

- Dziewięć statków, które wysłano im na pomoc rok temu, nigdy nie dotarło na miejsce. Dlatego wydaje mi się, że wystarczy kilka naszych okrętów, aby zetrzeć z powierzchni ziemi to, co zostało z ich kolonii, i rozpocząć tam nasze osadnictwo. Chyba to odpowiedni moment, abyśmy rozpoczęły eskalację na północ.

Niedługo cały Nowy Świat znajdzie się w naszych rękach!

Obaj panowie z uśmiechem tręcili się kieliszkami i spełnili toast.

Rozdział 19

Rasawrack,

czerwiec 1610 roku

Pasptanze, wódz Patawomeków, był wysokiego wzrostu i nosił

na ramionach rozpostarte skrzydła łabędzia. Przybył w odwiedzinach do Powhatan zaraz po wyjeździe Thomasa Savage'a. Pocahontas od razu poczuła, że może mu ufać. Tak on, jak i inni członkowie jego plemienia znani byli ze swej życzliwości i uprzejmości. Nie byli natomiast zbyt biegli w sztuce wojennej i Powhatan nieraz musiał podsyłać niewielkie oddziały, aby wzmacniać północną granicę swego imperium przed atakami nieprzyjaznych szczepów z gór. Młodzi wojownicy Powhatan mieli dzięki temu sposobność doskonalenia swych umiejętności bojowych, co mogło się przydać w ciągłych utarczkach granicznych z Mona-kanami.

Pocahontas tymczasem była już zdecydowana, że chce opuścić swój rodzinny dom i zamieszkać wśród Patawomeków. Kiedy oświadczyła ojcu, że pakuje swoje rzeczy i odchodzi wraz z Pasptanzem i jego ludźmi - Powhatan, o dziwo, nie protestował.

Najwyraźniej miał dość ciągłego wypominania mu tego, jak potraktował Tassentasów i stracił szansę nauczenia się tylu cennych umiejętności. Przypuszczała, że ojciec wybaczał jej ten krytycyzm i wieczne niezadowolenie, składając je na karb żałoby po mężu i dziecku, ale

w końcu pewnie nie chciał już więcej znosić jej humorów.

Powhatan nie zdawał sobie sprawy, jakie męki cierpiała jego córka w ciągu ostatnich dwóch dni. Kiedy dowiedziała się, że Tassentasowie odpłynęli już na zawsze, znów usłyszała nad głową łopot czarnych skrzydeł kruk. W poczuciu beznadziejności swojego położenia budziła się w nocy zlaną potem, a wokół siebie czuła próżnię. Z trudem zmuszała się do przełknięcia czegokolwiek i wiedziała, że ta udręka odbija się na jej twarzy, ale nie potrafiła tego ukryć. W rezultacie, ilekroć oddaliła się bardziej od domu, natychmiast ktoś troskliwy odprowadzał ją z powrotem.

Próbowała się modlić, ale nie wiedziała, za co bogowie tak ciężko ją karzą. Opuścił ją Smith, straciła dziecko, a teraz jeszcze wynieśli się wszyscy biali. Jak długo jeszcze przyjdzie jej płacić za swoje czyny? Wolała nie myśleć nawet przez chwilę o fizycznym pociągu do Smitha, bo bała się, że zacznie wtedy głośno wzdychać. W tej sytuacji przybycie Patawomeków wydało się jej wybawieniem zesłanych przez bogów.

Powhatan wysłał razem z nią psa, troje służby oraz Pamouica i Secotina, aby mieli siostrę na oku. W ostatniej chwili wolę towarzyszenia im wyrazili także Thomas Savage i pozostali po wyjeździe osadników Harry Spelman. Zafascynowała ich osobowość wodza Pasptanzego i byli ciekawi, jak wyglądają jego rodzinne góry. Zaplanowali ucieczkę, gdyż wiedzieli, że Powhatan traktuje Thomasa

jak własnego syna i dobrowolnie ich nie wypuści. Pocahontas nie miała nic przeciwko temu, gdyż przy obecnym stanie ducha było jej i tak wszystko jedno.

Thomas Savage nie przeszedł nawet ośmiu kilometrów, a już stracił odwagę i szybko wrócił pod opiekuńcze skrzydła Powhatana. Nic dziwnego, przebywał już u jego boku tak długo, że nie wyobrażał sobie innego życia. Natomiast Harry Spelman towarzyszył Pocahontas wśród Patawomeków.

Sama podróż, czas przyznany na urządzenie się w nowym domu i w ogóle zmiana otoczenia przyniosły Pocahontas chwilową ulgę w cierpieniach. Bracia też robili, co mogli, aby ją pocieszyć.

Doceniała ich wysiłki, lecz była zbyt przygnębiona, aby zdobyć się na coś więcej niż blady uśmiech.

W nowym miejscu pobytu miała także obowiązki, gdyż ojciec życzył sobie, aby przy okazji ściągnęła z tamtej okolicy podatki.

Aktualnie nikt nie doglądał dopełniania tego obowiązku, więc Powhatan obawiał się, że z ziem północnych może nie otrzymywać wszystkiego, co mu się należy.

Na początku wydawało jej się to ciężarem ponad siły. Szybko jednak wdrożyła się do pilnowania, aby dochody z prowincji trafiały tam, gdzie trzeba. Musiała robić to na oczach rzeszy ciekawskich, którzy śledzili każdy jej ruch. Jednak w trakcie wykonywania urzędowych czynności jej myśli wciąż krążyły wokół Johna Smitha.

Choć jego utrata wydawała się nie do zniesienia, dodatkowych cierpień przysparzał jej brak kontaktu z angielskim stylem życia i tym wszystkim, czego się od Anglików nauczyła. To tak, jakby dane jej było zobaczyć całkiem inny świat, w którym chciałyby żyć, a potem odebrano jej to na zawsze. Czasem dotychczasowy świat, w którym wyrosła, wydawał się jej długim, ciemnym tunelem bez światła na końcu.

Gdyby choć miała dziecko, byłoby ono ogniwem łączącym ją z tym, co utraciła - z okresem, kiedy przebywała wśród białych.

W miarę upływu miesięcy Pocahontas dochodziła do wniosku, że mimo wszystko będzie musiała jakoś z tym dalej żyć. Rozrywką były dla niej rozmowy z Harrym Spelmanem, dzięki któremu uczyła się nowych angielskich słów. Wciąż jednak w rozmowie z nim posługiwała się mieszaniną języka angielskiego, powhatańskiego i gestów.

Zaczęła znów polować, gdyż była już w stanie skupić się na tropieniu zwierzyny. Przyjemność sprawiało jej też zwiedzanie nieznanych jeszcze okolic w towarzystwie Kinta. Północna część imperium Powhatana była bardziej górzysta niż południowa, a szczególnie malowniczo wyglądała rzeka, która przebiegała się między skałami, tworząc wodospady i spienione wiry. Z na-staniem chłódów Pocahontas nabrała też lepszego apetytu i stopniowo powracała do normalnej wagi.

Któregoś dnia, kiedy było już chłodno, z drzew spadały resztki liści, a znad domostw unosiły się smugi dymu - rankiem do wioski Patawomeków zawitał Thomas Savage. Towarzyszyło mu dwóch

wojowników Powhatana.

Pocahontas ostatni raz rozmawiała z nim pół roku temu w Rasawrack i po raz pierwszy od długiego czasu to spotkanie sprawiło jej przyjemność. Wprawdzie wysłannicy Powhatana regularnie przyplądali tu łodziami, aby odstawić do skarbców ściągnięte przez nią daniny - pytali ją tylko jednak o zdrowie i samopoczucie, nigdy nie przekazując żadnych wiadomości ani plotek.

Od stolicy państwa dzieliły ją obecnie trzy dni drogi była to najdalsza podróż, jaką mogła przedsięwziąć w granicach terytorium ojca.

Pocahontas, Harry i Thomas, rozradowani ponownym spotkaniem, zaczęli zaraz paplać to po angielsku, to znów w języku Powhatanów. Przy ognisku dołączyli do nich Secotin i Pamouic, a Pocahontas kłaśnięciem w dłonie przywołała służącą i kazała podać napój z ziół. Dopiero teraz zaczęła wypytywać chłopców o najnowsze wieści.

Thomas opowiedział jej po angielsku, że stolica państwa ponownie przenosi się do Werowocomoco. Ma się to odbyć po przyszłorocznych żniwach. Mehta powtórnie wyszła za mąż i znów spodziewa się dziecka. Z kolei Powhatan utracił

dwudziestu wojowników w bitwie pod fortem w Jamestown.

- A myślałam, że na południu panuje teraz spokój i nie ma tam żadnej wojny! - zdziwiła się Pocahontas.

Król stale walczy z Anglikami - uświadomił ją Thomas.

- Przecież nie ma tam już żadnych Anglików!

- Anglicy nigdy nie odchodzą na dłużej niż kilka godzin.

Pocahontas nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała, i na wszelki wypadek powtórzyła swoje pytanie w języku powhatańskim.

- Ostatni osadnicy, razem z tymi, którzy dołączyli do nich po rozbiciu się ich statków na Bermudach - wyjaśnił Thomas -

załadowali się na statki w Jamestown i wypłynęli w drogę powrotną do Anglii. Pierwszej nocy zakotwiczyli u ujścia zatoki, przy wyspie Mulberry. Chcieli wypłynąć na pełne morze dopiero za dnia, ale następnego ranka natknęli się na trzy nasze okręty walczące z przeciwnym wiatrem. To lord de la Warr wiozł dla nich żywność i posiłki, więc zawrócił ich do Jamestown i są tam do dziś. Czyż Anglicy nie mają szczęścia?

Pocahontas w środku dusiła się z radości, choć pozornie zabrakło jej języka w gębie. A więc Anglicy byli tu przez cały czas! W

takim razie może John Smith jeszcze tu wróci? Jej wyobraźnia wyczyniała już tak obłądne harce, że tylko jednym uchem słuchała tego, co dalej mówił Thomas:

- De la Warr jest teraz głównym gubernatorem kolonii i robi wszystko, aby Jamestown odnosiło sukcesy. Musisz przyjechać tam i sama to zobaczyć. Słyszałem, że de la Warr rozmawiał o tobie z kapitanami. Stałaś się już sławna w Anglii i gubernator chciałby cię poznać. Mogłabyś do nas przyjechać?

Pocahontas potrząsnęła przecząco głową. Miała na końcu języka pytanie, które chciała zadać.

- Czy wrócili także ci pierwsi kapitanowie, Newport albo Smith?

- Newport tak, ale Smith nie.

Próbowała sobie wmówić, że to nie ma znaczenia. Uodporniła się już na złe wiadomości i w każdej nauczyła się znajdować jakiś okrucuch nadziei. Wystarczyło, że Anglicy są tu nadal — w takim razie Smith może wrócić kiedykolwiek. Odruchowo złożyła dłonie gestem wyrażającym nadzieję.

Chłopcy rozgadali się już w najlepsze. Postanowili, że jeżeli Thomas Savage przyjedzie do Jamestown - Harry Spelman dołączy do niego. Co prawda Thomas wolał na razie przebywać u Powhatana, ale od czasu do czasu chciał też odwiedzić swoich rodaków. Zapytał tylko Pocahontas, czy ma zamiar wrócić do swego ojca. Ponieważ nie odpowiedziała od razu, powtórzył

pytanie.

Pocahontas w pierwszej chwili aż podskoczyła, ale gdy spojrzała na kamienną twarz Secotina, po krótkim namyśle odpowiedziała:

- Na razie dobrze mi tutaj. Tu taki spokój... Może trochę później?

W myśl dopowiedziała: ...dopóki ojciec nie pozwoli mi na odwiedzenie Jamestown, wolę trzymać się z daleka od tych nieustających sporów granicznych. Nie mogę znieść, jak ojciec nie daje spokoju Tassentasom. Może kiedyś zmieni zdanie, da spokój waśniom i pozwoli mi znowu u nich bywać? Wtedy wróciłabym do Werowocomoco, a może i John Smith wróciłby do Jamestown? — tak się pocieszała, próbując ukryć nadzieje, jakie w niej wzbudziły informacje przyniesione przez Thomasa.

Z biegiem czasu ból, który odczuwała, przestał być taki ostry.

Żyła sobie spokojnie wśród Patawomeków, ciesząc się wszelkimi względami należnymi ukochanej córce wszechpotężnego Powhatana. Ojciec raz po raz wysyłał do niej różnych obiecujących, młodych wojowników jako kandydatów do jej ręki. Każdemu z nich, po krótkiej wymianie wstępnych uprzejmości, grzecznie, ale stanowczo dawała kosza. Powhatan nie wywierał na nią żadnej presji, mając wciąż na uwadze, że niedawno straciła męża i dziecko. Ona z kolei próbowała okręż-

nymi drogami dowiadywać się, czy ojciec nie zmienił zdania co do jej kontaktów z Anglikami. W tej sprawie jednak król pozostawał nieugięty.

Harry Spelman wrócił z Jamestown, twierdząc, że przyzwyczał

się już do życia wśród Indian. Pragnął tylko co jakiś czas odwiedzać swoich, dzięki czemu przynosił świeże wiadomości.

Pocahontas dowiadywała się więc od niego, jak rozwija się kolonia i jak rządzi nowy gubernator.

De la Warr był dobrym organizatorem. Wymagał od robotników pracy po sześć godzin dziennie i na dwie zmiany. Oczywiście narzekali, że są wyzyskiwani, ale za to wszystkie budynki użyteczności publicznej zostały odbudowane i umeblowane. W

odnowionym kościele, teraz stale przybieranym kwiatami, co niedziela odprawiano uroczyste nabożeństwa. Przewodniczył im de la Warr, zasiadając w obitym czerwonym aksamitem fotelu z klęcznikiem. Po mszy wracał na swój statek, nazwany na jego cześć „De La Warr”, zapraszając do swego stołu nieliczną grupę wybranych.

Pocahontas nie mogła zrozumieć, dlaczego gubernator odstąpił

od wspólnej uprawy ziemi i wyznaczył każdemu osadnikowi indywidualną działkę. W plemienu Powhatana wszelkie prace zawsze wykonywano wspólnie, a zbiory sprawiedliwie dzielono.

A czy może panować zgoda, jeśli każdy będzie obrabiał swoją działkę, nie oglądając się na innych? Wydawało się jej to dziwnym pomysłem.

Otrzymywała też przykre wiadomości. I tak, Harry podsłuchał, jak kapitanowie rozważali możliwość porwania i uprowadzenia do Anglii któregoś z dzieci Powhatana, dopóki ich ojciec nie zaprzestanie działań wojennych przeciw Anglikom. Z kolei ciotka Pocahontas, która była naczelniczką plemienia, rozkazała dwudziestu dziewczynom uwieść dwudziestu Anglików, a następnie zamordować ich w łóżkach. W odwecie Tassentasowie zrównali z ziemią jej wioskę i na jej zgliszczach zbudowali zręby nowego fortu, który nazwali Bermuda Hundred.

Czy te właśnie nigdy się skończą? - wzdychała Pocahontas.

Rzeka Potomac była w niektórych miejscach tak szeroka, że Pocahontas podczas porannej kąpieli nie widziała drugiego brzegu. Tego dnia po raz pierwszy, odkąd odeszła z domu ojca, zobaczyła statek. Aż się zatrzęsała z podniecenia - może na jego pokładzie znajduje się John Smith? Czyżby jej szukał? Nie chciała robić sobie próżnej nadziei i nie dopuszczała tej myśli do świadomości. Spróbowała ocenić odległość, w jakiej znajdował

się statek, i doszła do wniosku, że zawinie do przystani dopiero wtedy, gdy słońce będzie już wysoko. Ma więc jeszcze trochę czasu, aby szybko złożyć ofiarę złemu duchowi Okeusowi. Musi się jednak spieszyć, aby nic złego się nie wydarzyło.

Zdążyła złożyć ofiarę i przybiegła zdyszana z powrotem, gdy na brzegu Pasptanze, jego wojownicy i

Harry Spelman czekali, aż statek zarzuci kotwicę. Kiedy wiatr przyniósł znajomy zapach Tassentasów -serce Pocahontas przepełniła radość. Ten zapach obudził dawne wspomnienia, więc pełnym nadziei wzrokiem przyglądała się ludziom na pokładzie. Ilekroć zauważyła jakiegoś rudego mężczyznę - jej serce zaczynało bić szybciej, ale kiedy rudzielec schodził po drabince ze statku, okazywało się, że to nie ten. Dawny ból znów się odezwał, lecz na krótko. Dowódca statku, za pośrednictwem Harry'ego jako tłumacza, mówił coś do Pasptanzego. Podczas tej rozmowy wszyscy jej się przyglądali, więc wystąpiła naprzód.

- Pan kapitan chciałby cię poznać - przetłumaczył Harry. - Słyszał

wiele o tobie i dziwi się, dlaczego już nie przychodzisz do Jamestown.

— Powiedz mu odpowiedziała Pocahontas w języku powhatańskim - że ojciec zabronił mi widywać się z nimi, ale chciałabym przekazać pozdrowienia tym ludziom z fortu, których znam.

- Ale pan kapitan opowiedziałby w Anglii - przekonywał ją Harry

- że spotkał się z tobą i że ja mieszkam z wami. Wtedy Anglicy uwierzyliby, że córka wielkiego Powhatana, w przeciwieństwie do swego ojca, nie pragnie z nimi wojny, lecz odwrotnie, chce ich osłaniać. To zachęciłoby innych, aby osiedlali się w Wirginii.

Tego wieczoru na brzegu urządzono huczne przyjęcie z tańcami.

Chłodny wiatr z gór przynosił ulgę po upalnym dniu, tym chętniej więc wszyscy rzucili się w wir tańca. Po zabawie, kiedy zgodnie ze zwyczajem goście mogli wybrać sobie kobiety na noc, Pocahontas zauważyła, że kapitan, nazwiskiem Argall, przygląda się jej pożądlivym wzrokiem. Pasptanze też to zauważył i wyraźnie czekał na jakiś znak przyzwolenia z jej strony.

Przypuszczalnie uważał, że młoda wdowa musi być spragniona mężczyzny, a taki cudzoziemiec, choćby niższego stanu, mógłby stanowić dla niej ciekawą przygodę. Jednak Pocahontas, choć mile uśmiechnięta, dyskretnie się ulotniła. Jak dotąd dopuściła do bliższej poufałości tylko jednego Anglika.

13 kwietnia 1613 roku

Kapitan Argall znów przyplłynął na północny kraniec ziem Powhatana, aby wziąć udział w wielkich targach. Zaoferował

nawet, że wystawi na sprzedaż rzeczy będące jego własnością, toteż zapowiadała się ciekawa impreza.

Pocahontas szła na skróty przez las, bo spieszyła się na festyn. Po drodze przypominała sobie, że minęły już

trzy śniegi, odkąd przeniosła się na północ i pierwszy raz spotkała Argalla. Czas przeleciał szybko, ale i rany jej duszy zdążyły się prawie całkiem zagoić. Właściwie dopiero teraz zaczęła znów myśleć o przyszłości.

Ponieważ nadal uparcie odmawiała zamążpójścia, ojciec w końcu zdecydował się uczynić ją naczelniczką osobnego państewka.

Pewnie już niedługo będzie musiała dać mu ostateczną odpowiedź, czy się na to zgadza.

- Pocahontas, obiecałaś, że pójdziesz ze mną na ten jarmark -

przypomniawszy jej dziś Pasptanze. - A po wszystkim jesteśmy zaproszeni na tę ich wielką łódź!

Obiecał, że zaopiekuje się nią w czasie tej imprezy, bo jej bracia dziś rano musieli opuścić wioskę. Czekali ich zadania bojowe -

mieli dowodzić oddziałem młodych wojowników i dzielić się z nimi swoim doświadczeniem w walkach na pograniczu.

Pasptanze nieraz już „z urzędu” asystował Pocahontas podczas różnych uroczystości, bo tak nakazywał zwyczaj.

Poprzedniego dnia zauważyła, że Pasptanze i Argall przegadali ze sobą cały wieczór. Nie sądziła, by omawiali plany jakichś operacji wojennych. Pasptanze był człowiekiem usposobionym bardzo pokojowo i nigdy pierwszy nie wszczynał wojen, chyba że na wyraźny rozkaz wielkiego wodza. Przypuszczała więc, że rozmawiali o sprawach handlowych. Pasptanze, przystojny kuzyn jej ojca, przez cały czas jej pobytu wspaniale pełnił honory domu.

Od strony straganów dochodziły nawoływania sprzedawców reklamujących swój towar:

- Tylko u mnie najpiękniejsze naszyjniki! lub:

- Za jedyne trzy muszle możecie dostać najlepsze mokasyny Siedmiu Królestw!

Na brzegu rzeki było tak rojno i gwarno, że pokrzykiwania kupców ginęły w ogólnym hałasie. Wokoło targowano się lub gratulowano udanych transakcji. Dzieci uwijały się tu i tam, nieraz próbując zwędzić jakiś drobiazg, choć mogły zostać za to wytargane za uszy. Kawalerowie i panny przystroili się na tę okazję w najbarwniejsze desenie i przybrania z piór, gdyż wystawiano tu na sprzedaż nie tylko towary...

Pasptanze prowadził Pocahontas pod rękę od kramu do kramu.

Pokazywał jej najszlachetniejsze futra, wybrał naszyjnik z najbielszych muszli, jakie znalazł. Zaraz jednak sam go odrzucił, gdyż muszle wydały się żółte w porównaniu ze śnieżnobiałymi zębami Pocahontas.

Kiedy już obeszli wszystkie stragany, podał jej miskę i napełnił ją pieczonym mięsiwem, plackami, poziomkami, jagodami i agrestem.

- Teraz pójdziemy na wielką łódź białych - zaproponował. - Oni chcą cię ugościć, bo w forcie obwołano cię bohaterką!

Pocahontas nieco się zawahała. Istotnie, od wielu miesięcy nie miała takiej rozrywki. Chyba ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli na chwilę zajrzy na „pływającą wyspę”. W

końcu tego akurat jej nie zabraniał i chyba nie ma w tym nic złego. Odpowiedziała więc:

- Dobrze, pójdę, ale tylko na krótko. Pasptanze z uśmiechem podał jej ramię. Od drugiej

strony asystowała jej jego żona, kiedy zbliżyli się do nabrzeża.

Wódz dał znak marynarzowi, który już czekał z gotową szalupą.

Natychmiast przyplłynął i z jego szybkich ruchów Pocahontas wywnioskowała, że załoga spodziewała się jej odwiedzin. W

okamgnieniu znalazła się na pokładzie „Patience”, a kiedy majtek

wachtowy zaanonsował: - Księżniczka Pocahontas! - od razu przy jej boku znalazł się kapitan Argall.

Samuel Argall był wysokim, szczupłym brunetem. Wiedział, że jest przystojny, i szczerze z tego korzystał. Natychmiast zaprosił

całą trójkę do swojej kabiny pod pokładem.

- Czuję się zaszczycony, Wasza Wysokość! - przemówił, wskazując im miejsca.

Pocahontas z błyskiem w oku przyglądała się dziwnemu dla niej wnętrzu kabiny. Wszystko tu było tak ciekawe, że nie wiedziała, na czym oko zatrzymać. Gdybyż tak jeszcze lepiej znała język białych! Częściowo łamaną angielszczyzną, a częściowo na migi zaczęła więc wypytywać o swoich dawnych znajomych z fortu i o nowo założone osiedla, o których wiedziała, że nazywają się Henrico i Bermuda Hundred. Zresztą pytała o wszystko - nazwy mebli, przyrządów nawigacyjnych czy map. Te pytania i wyczerpujące odpowiedzi, jakich starał się udzielać Argall, zaprzętnęły jej uwagę tak dalece, że zaczęło się już ściemniać, gdy zauważyła, że została z Argallem sama w jego kajucie.

Uniosła się ze swego miejsca:

- A gdzie jest Pasptanze i jego żona?

- Usiądź, pani, proszę! Myślę, że opuścili statek.

- Ale ja też już muszę iść! Jak mogli wyjść stąd beze mnie?

- Myślę, że nie mieli zamiaru zabrać cię, pani, ze sobą.

- Nie rozumiem! - Ogarnął ją strach. Argall ze słodziutką miną dopowiedział: - Chcemy, żebyś, pani, przez jakiś czas pozostała naszym gościem.

- Ależ mój ojciec wpadnie w złość i wyśle na was swoich wojowników! Spali wasze osiedla i

zepchnie was wszystkich do morza, nie rozumiecie?

- Mamy nadzieję, księżniczko, że twoja obecność wśród nas skłoni ojca do zaprzestania wszelkich ataków.

Pocahontas poczuła się tak, jakby dostała silny cios między oczy.

Ogarnęła ją taka wściekłość, że zerwała się z miejsca i zaczęła walić pięściami w stół.

- A więc jestem waszym zakładnikiem! - krzyczała w swoim języku. Argall był tak zaskoczony, że aż gwałtownie opadł na fotel. Nie pasowało to do opisu słodkiego dziewczęcia, o jakim słyszał.

- Nie lękaj się, pani! zaczął ją uspokajać. — Nikt z nas nie chce zrobić ci krzywdy. Otrzymasz wszelkie należne względy.

Pocahontas umilkła i zaczęła nerwowo przechadzać się po kajucie. Jak ci cudzoziemcy śmieli porwać córkę najpotężniejszego wodza na świecie? Musi jakoś się stąd wydostać i koniecznie przesłać wiadomość do Pasptanzego. On na pewno wyśle wojowników, aby ją odbić!

Wykonała gwałtowny ruch w stronę drzwi, ale Argall jednym skokiem był przy niej i wyrwał jej klamkę z ręki. Pocahontas błyskawicznym ruchem uderzyła go kantem dłoni w szyję. Na to Argall odepchnął ją od drzwi i przytrzymał mocno w ramionach, choć usiłowała się uwolnić.

- Dzikuska z ciebie, księżniczko! - szepnął tuż przy jej uchu. Od jego zapachu prawie ją zemdliło i zachwiała się na nogach, ale Argall ją podtrzymał.

- Jesteś, pani, bardzo piękna! — przemówił łagodnie i niemal pieszczotliwym gestem położył dłoń na jej gładkich, czarnych włosach. - Nie bój się. Nikt nie zrobi ci nic złego.

Kiedy ją puścił, stanęła przed nim sztywno, z rękami na biodrach.

- Nie boję się ciebie!! - próbowała wysławiać się poprawnie po angielsku. - Chcę mówić tylko z wodzem Pasptanzem!

- Obawiam się, księżniczko, że to nic nie da. To właśnie on przyprowadził cię do nas.

Pocahontas aż się wzdrygnęła. Nie wierzyła własnym uszom. A więc ten miły i przyjazny Pasptanze tak podle ją zdradził!

Przypomniała sobie ożywioną rozmowę tych dwóch ludzi poprzedniego wieczoru. Wtedy właśnie musieli wszystko zaplanować. Ciekawe, czy jej bracia wiedzieli, co się święci.

Przecież mieli jej pilnować. Czyżby brali udział w spisku? Albo też nie wiedząc o niczym pociągnęli na północ szkolić młodych wojowników.

Argall w tym czasie stał w postawie uprzejmie wyczekującej. W

końcu skłonił się i zaproponował:

- Może pokażę ci, pani, twoją kajutę? Jutro odpływamy do Jamestown.

™ A gdzie moje rzeczy i mój pies? - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- W drodze do fortu, pod opieką Harry'ego Spełniana.

Pomyśleli o wszystkim! Musieli to dokładnie zaplanować!

Argall uderzył pałeczką w mosiężny gong. Na ten sygnał

natychmiast zameldował się marynarz - widocznie przez cały czas stał na warcie pod drzwiami.

- Zaprowadź księżniczkę Pocahontas do jej kajuty - rozkazał

kapitan.

Pocahontas, z płonącymi gniewem oczyma, przeszła za marynarzem do przyległej kajuty. Rozejrzała się po małej klitce, która miała być teraz jej więzieniem. Obrzydzeniem napawały ją zapachy tych obcych ludzi

i tego pomieszczenia. Jak długo będzie mogła to znieść? I jakimi tchórzami muszą być ci wszyscy mężczyźni, aby uwięzić kobietę o tak wysokiej społecznej pozycji!

Obejrzała dokładnie koję, na której miała spać. Łaziły po niej pluskwy, więc zerwała prześcieradło i wyrzuciła przez iluminator. Postanowiła, że dopóki nie otrzyma swoich rzeczy, będzie spała na podłodze. W tym momencie usłyszała pukanie do drzwi.

W progu stał sympatycznie wyglądający majtek.

- Pan kapitan pyta, czy jaśnie pani zechce zjeść z nim kolację —

powiedział.

- Nie! - odpowiedziała sucho. Po chwili jednak ten sam marynarz znów się pojawił, niosąc miskę czegoś, co wyglądało na niejadalne. Postawił ją na niskim stolczku pod iluminatorem.

Przy okazji Pocahontas przyjrzała się meblom stłoczonym na tej małej powierzchni. Interesowało to ją, mimo gniewu i rozżalenia.

Znajdowały się tam stół, krzesło i komódka. Przez długi czas nie oglądała takich rzeczy.

Wystarczyło, że powąchała jedzenie, aby natychmiast kazać marynarzowi je zabrać. Potem usiadła na podłodze, opierając się o ściankę dzielącą dwie kajuty. Słuch miała dobry, więc wychwyciła dźwięki rozmowy kilku mężczyzn w kabinie kapitana. Była jednak zbyt rozdrażniona i zmęczona, by próbować zrozumieć angielskie słowa. Ten dzień był aż nazbyt pełen wrażeń!

Kiedy już się całkiem ściemniło, marynarz jeszcze raz zastukał

do jej drzwi, przynosząc zapaloną świecę. Postawił ją na stole i wyszedł. Pocahontas wstała, podeszła do stołu i z wściekłością ją zdmuchnęła.

Rozdział 20

Na pokładzie „Patience”,

14 kwietnia 1613 roku

Po nie przespanej nocy Pocahontas wstała o świcie. Próbowwała zasnąć na twardej podłodze, ale przeszkadzały jej w tym zapachy panujące na statku.

Przyniesione śniadanie natychmiast odesłała. Po chwili dostarczono jej suszone owoce, ale przypomniawszy sobie, że mogą one pochodzić ze składów żywnościowych Pasptanzego. To wystarczyło, aby z obrzydzeniem odsunęła od siebie talerz.

Czuła się upokorzona, schwytna jak królik w potrzask. Zdawała sobie jednak sprawę z beznadziejności swojej sytuacji. Jej nastrój wahał się między gniewem a smutkiem, lecz nie odczuwała strachu. Odmówiła poranne modlitwy do Ahone i boga nieba. Nie chciała natomiast modlić się do Okeusa, bo była przeświadczona, że jest on odpowiedzialny za to, co ją spotkało.

Spodziewała się już tylko tortur i śmierci, a wszystko to za sprawą zła rozsiewanego przez tego demonicznego bożka, niezależnie od jej modlitw i ofiar. Gdyby kapłani dowiedzieli się, co ona o nim myśli, pewnie donieśliby o tym jej ojcu lub domagali się złożenia jej w ofierze, bo temu bóstwu zawdzięczali swoją złowrogą moc. Ona jednak wolała się modlić do boga nieba i bogini rzeki.

Usłyszała tupot stóp i trzeszczenie desek pokładu.

Nad miotającymi nią sprzecznymi uczuciami przeważyła ciekawość, co też się dzieje na tej „pływającej wyspie”. Ten dziwny trzepot pochodził zapewne od białych płacht, w które biali chwytają wiatr. Potem statek zaczął łagodnie kołysać się z boku na bok. Kiedy wyjrzała przez iluminator, brzeg zdawał się uciekać. Patrzała na to z wysoka, jakby siedziała na wierzchołku poruszającego się drzewa. Ciekawe, czy ktokolwiek z jej plemienia podróżował w taki dziwny sposób. Na myśl o tym poczuła lekki dreszcz podniecenia.

Po pewnym czasie zajrzał do niej marynarz, pytając, czy nie zechciałaby wyjść na pokład, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. W efekcie spędziła cały dzień uczepona relingu, rozkoszując się ciepłem słońca i łagodnymi powiewami wiatru.

Dzień był pogodny, a rzeka Potomac spokojna. Miała wrażenie, że w tym cieple topnieje także jej zawziętość.

Pod wieczór Argall rozkazał zarzucić kotwicę przed wejściem na kapryśne wody rzeki. Tym razem Pocahontas zgodziła się zjeść kolację z nim i dwoma innymi oficerami. W kapitańskiej kajucie znacznie poprawił się jej nastrój. Raptem dostrzegła, że Argall zachowuje się bardzo uprzejmie i

chętnie odpowiada na jej niezliczone pytania. Na jakiś czas zapomniała nawet, że właściwie jest więźniem. Mało tego, doszła do wniosku, że powinna mieć pretensję nie do Anglików, lecz do własnych rodaków. W końcu Tassentasowie chcieli posłużyć się nią w dobrej sprawie - dla zaprzestania walk i ustanowienia pokoju.

Natomiast Pasptanze zdradził ją, a dlaczego - nie mogła się domyślić.

Wróciwszy do swojej kajuty uświadomiła sobie, że przecież sama chciała przebywać w towarzystwie Anglików. Ileż naprosiła się ojca, żeby puścił ją do fortu!

Jasne, że nie o takiej formie pobytu wśród tych ludzi marzyła, ale skoro nie miała wyboru - powinna dziękować bogom, że umożliwili jej to, czego tak pragnęła. Tym bardziej że gdyby ojcu udało się teraz doprowadzić do jej uwolnienia, z pewnością więcej by jej tu nie puścił.

Przez cienką ściankę słyszała głosy mężczyzn z przyległej kajuty, pochłoniętych degustacją wina i tytoniu. Przedtem nie zadawała sobie nawet trudu, aby ich słuchać, bo nie widząc twarzy mówiących, trudno jej było zrozumieć ich dziwny akcent. Nagle jednak rozmowa białych zaciekawiła ją, bo usłyszała kilkakrotnie wymienione imię jej ojca.

- Nie wiadomo, czy Powhatan odstąpi od wojny, choć mamy jego córkę - mówił któryś. - Ale przynajmniej zorientujemy się, jak wielką dysponujemy siłą. Planujemy przecież rozszerzyć osadnictwo w promieniu dwustu mil na północ i południe od fortu.

- Tak, ale najpierw musimy położyć kres tej wojnie, bo inaczej nie będzie chętnych do osiedlenia się na ziemiach Wirginii.

- Łatwo nam poszło z tą ich księżniczką. Wystarczyło obiecać Pasptanzemu naszą pomoc w wypadku, gdyby Powhatan chciał

wziąć na nim odwet. No i daliśmy mu ten kociołek, który tak mu się podobał.

Pocahontas z trudem wierzyła własnym uszom. A więc Pasptanze sprzedał ją tylko za jakiś głupi kociołek! Nie miała wątpliwości co do tego, gdyż nazwa „kociołek” była jednym z pierwszych angielskich słów, których nauczył ją John. Dźwięk tego słowa przypominał jej upojne chwile spędzone z tym rudowłosym mężczyzną, więc z całej siły przycisnęła ramiona do ciała, aby się opanować.

- Będziemy ją trzymali na statku albo w Jamestown, dopóki nie dogadamy się z jej ojcem - ciągnął następny dyskutant, ale Pocahontas nie chciała słyszeć już nic więcej. Mogła pogodzić się z losem, ale nie z tym, że Pasptanze wydał ją za jeden nędzny kociołek! Była tak wściekła, że długo nie mogła zasnąć. Jak Pasptanze mógł tak podle z nią postąpić? Musi się za tym kryć ktoś jeszcze. Może Secotin?

Następnego ranka znów obudził ją tupot stóp o pokład. Tylko tym razem kroki były głośniejsze i szybsze, jakby w pośpiechu...

Zaraz potem rozległo się ostre kołatanie do drzwi jej kajuty.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość - przywitał ją marynarz. - Pan kapitan kazał, żebyś, pani, zaraz wyszła na pokład.

Słońce tylko co wzeszło i zapowiadał się dzień ciepły, ale wietrzny. Przy kapitanie stało kilku ludzi, którzy się rozstąpili, gdy pojawiła się na mostku. Od razu zwróciła uwagę, że w drugim końcu zatoki stały na kotwicach także dwa inne okręty.

- Dzień dobry, księżniczko - uprzejmie powitał ją Argall. -

Słyszeliśmy, że członkowie twojego narodu mają lepszy wzrok niż my. Czy mogłabyś więc powiedzieć nam, jakie kolory i znaki mają flagi tamtych statków?

Pocahontas wyteżyła wzrok, bo chociaż na niebie pojawiły się już złote i różowe smugi, nie było jeszcze całkiem jasno. Widziała dobrze kolory i znaki na oflagowaniu większej jednostki, ale na mniejszej nic nie było widać. Opisała to kapitanowi.

- To Holender! - domyślił się jeden z oficerów. - A ten drugi to albo ich łup wojenny, albo też Holender.

- Spuśćcie szalupę i niech delegacja wypłynie im naprzeciw -

rozkazał Argall. - Trzeba pokazać, że mamy dobre zamiary. Ale niech podpłyną pod ten mniejszy okręt.

Słońce było już wysoko, kiedy szalupa zrównała się z małym statkiem. Jej załoga odłożyła wiosła, a oficer wstał, aby pozdrowić cudzoziemców. Ci, którzy zostali na „Patience”, dostrzegli ze strachem, jak zaraz szybko usiadł, a marynarze zaczęli jak opętani wiosłować z powrotem w stronę macierzystej jednostki. W powietrzu rozległy się wystrzały z pistoletów, wzbijając fontanny wody wokół szalupy. Na obcych okrętach podniesiono żagle i z wiatrem popłynęły one prosto na „Patience”.

- Hiszpanie! - krzyknął przeraźliwie oficer, kiedy jego poszarpana kulami szalupa zbliżyła się do burty „Patience”. -

Nikt nie został ranny.

Kiedy z pokładu zrzucano im sznurowe drabinki, załoga szalupy błyskawicznie wdrapała się po nich na swój statek. Tymczasem hiszpańska jednostka otworzyła ogień ze wszystkich dział w kierunku „Patience”. Z taflí morskiej wytrysnęły fontanny wody w miejscach, gdzie spadły łuski pocisków.

- A to łotry! - krzyczał Argall. - Żagle w górę!

- Mniejszego mamy na sterburcie! - głośnie wrzasnął majtek.

- Ładować działa!

Pocahontas nigdy jeszcze nie widziała tylu grzmiących rur naraz.

Salwa z dział hiszpańskiego okrętu ogłuszyła ją. Nigdy nie przypuszczała, że możliwy jest taki huk - potężniejszy od tego, którym niebiosa oznajmiały gniew bogów. Przypadła więc do desek pokładu, zatykając uszy, ale i tak nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Na tym dużym mają dwadzieścia dwa działa, a na małym szesnaście! - wołał Argall, zbierając swoich ludzi. - Ognia!

Wystrzały grzmiąły, jakby walił się cały świat. Pocahontas przyciśnięta do grodzi nie mogła powstrzymać okrzyku strachu.

Wiedziała, że powinna wrócić pod pokład, ale tam czuła się jak złapana w potrzask.

Pociski wystrzelone z „Patience” trafiły mniejszy hiszpański statek, przebijając dziury w jego burcie, aż okręcił się wokoło własnej osi i przeszedł w dryf. Większy okręt zwolnił, opuścił

flagę holenderską i wciągnął właściwą, hiszpańską. Kapitan tej jednostki zsalutował i przekazał kodem sygnalizacyjnym pytanie, co Anglicy tu robią i komu służą. Argall odpowiedział, że są w drodze do swojej kolonii, Jamestown, i że Hiszpanie znajdują się właśnie na wodach należących do króla Anglii. Hiszpański kapitan zareplikował, że przeciwnie, to Anglicy powinni poddać się zwierzchności króla Filipa.

- Przybyliśmy tu w celach pokojowych i nie chcemy niczyjej krzywdy - odpowiedział spokojnie Argall - ale zajmujemy to terytorium w imieniu króla Jakuba.

Kapitan hiszpańskiego okrętu wraz z częścią swojej załogi najpierw znikł pod pokładem, potem znów się pojawił. Wtedy Hiszpanie dali ognia z ciężkich dział, miotając przekleństwa na zaskoczonych Anglików.

Spowita dymem „Patience” odpowiedziała salwą i Pocahontas po raz pierwszy poczuła strach. Nie wiedziała, czy pozostać na ogarniętym ogniem okręcie, czy skakać do wody spienionej od padających pocisków. Okręt hiszpański, mimo dwóch złamanych masztów, ustawił się burta w burtę wzdłuż „Patience”, gotów do abordażu. Dym prochowy drapał w gardle

i zasłaniał pole widzenia. Pokład lepił się od krwi i prochu, gdyż marynarze obu załóg nawiązali już walkę wręcz poprzez relingi.

Argall ze szpadą w ręku zagrzewał swoich ludzi do boju, ale żadna ze stron nie miała przewagi, dopóki Anglicy nie ryknęli ze wszystkich gardeł:

— Ich kapitan padł!

Wtedy Hiszpanie wycofali się na swój okręt, a Anglicy następowali im na pięty. Pocahontas odważyła się podnieść głowę i wychylić ze swego schronienia. Zobaczyła wtedy, że tuż obok niej wije się z bólu kilku rannych. Skoczyła więc czym prędzej po wiaderko wody i zaczęła przemywać i obwiązywać ich rany. Wiele pomóc nie mogła, ale przynajmniej zatamowała krwawienie i niosła

ulgę w cierpieniach, kładąc rękę na ich czołach. Sama ledwo trzymała się na nogach, oszołomiona wystrzałami armatnimi i porażona niezwykłym dla niej widokiem.

Wydawało się jej, że trwało wieki, zanim umilkły odgłosy walki i angielscy marynarze zaczęli wracać na swój okręt. Mniejszej hiszpańskiej jednostce, choć podziurawionej kulami, udało się jakoś wymknąć.

— Wytłukliśmy większość z tamtego pudła — wskazał na nią któryś z oficerów, chowając szpadę do pochwy.

— Zamknijcie jeńców w ładowni tego wraku i zostawcie trochę naszych na pokładzie, a my go doholujemy do Jamestown -

rozkazał Argall. — Nie ma tam nic wartościowego, ale musimy pokazać to w forcie. Kiedy wyprzemy Hiszpanów stąd do Indii Zachodnich, będą mogli sobie opowiadać, kto rządzi na tych morzach!

Argall był zmęczony, ale w jego głosie pobrzmiwała nuta triumfu. Dopiero w tym momencie zauważył Pocahontas.

- Jezu Chryste! Co tu robisz, księżniczko? Myśleliśmy, że jesteś u siebie.

- Chciałam pomóc - wyjąkała, osmolona dymem.

- To nie miejsce dla ciebie, pani - pouczył Argall już łagodniejszym tonem. - Moi ludzie zajmą się rannymi. Na szczęście mamy stosunkowo mało strat. Jesteś, pani, bardzo odważną kobietą, ale proszę, wróć teraz do swojej kajuty. Moi ludzie są bardzo zmęczeni i nie chcę mieć tu kłopotów.

Kiedy uprzejmy marynarz odprowadził Pocahontas do kabiny -

opadła ciężko na poczę. W uszach jeszcze jej dzwoniło od huku dział i miała wrażenie, że nigdy już nie będzie taka sama jak przedtem. Nieraz widywała tortury i krwawe ofiary, ale nie była jeszcze świadkiem prawdziwej bitwy. Teraz już wiedziała, że to o wiele gorsze do zniesienia, bo trudno było przewidzieć, co się stanie za chwilę. Ta bitwa dowiodła, jak dzielnymi ludźmi są Anglicy. Mieli mniejszą załogę i mniej dział niż Hiszpanie, ale dzięki swojej odwadze i przemyślności wyszli ze starcia zwycięsko i z mniejszymi stratami.

Naprawa uszkodzeń „Patience” trwała dwa dni. W końcu przy dobrym wietrze wpłynęła do zatoki, holując za sobą zdobyty hiszpański okręt. Okrążali właśnie przylądek Point Comfort przed Jamestown, gdy zdobywczy okręt zaczął się niebezpiecznie pogrążyć. Błyskawicznie ewakuowano więc załogę i jeńców.

Złoto, srebro i klejnoty od początku przechowywano na „Patience”. Argall wpadł jednak we wściekłość, że nie może ostentacyjnie wpłynąć do fortu ze swą zdobyczą. Mógł jedynie wprowadzić oba okręty w ujście spokojnej rzeki James River i tam odciąć linę holowniczą. Potem, po dotarciu na miejsce przeznaczenia, miał wysłać tam łódź z załogą, aby sprawdzić, co da się uratować.

Posuwali się wolno, ale słońce ładnie migotało na wodach zatoki, a na relingu siadały mewy. Pocahontas stała na dziobie statku, bo chciała pierwsza zobaczyć fort. Tak dawno go już nie widziała! A może John Smith wrócił tymczasem z Anglii? Wciąż żyła nadzieją, że jeszcze kiedyś go spotka. Zarzekała się, że nie odczuje rozczarowania, jeśli znów go nie będzie, bo przecież zawsze może przyjechać kiedy indziej. Jednak pozostawało przykre uczucie pustki.

W perspektywie fortu zauważyła coś, co wyglądało jak strzała skierowana grotem w niebo. Chwyciła za ramię przechodzącego oficera, pytając, co to takiego. Ten z uśmiechem wyjaśnił, że to wieża nowego kościoła. Pocahontas w życiu nie widziała jeszcze tak wielkiego budynku, wokół którego kręciło się mnóstwo ludzi.

Fort miał już tylu mieszkańców co Kecoughtan, największa osada Siedmiu Królestw. Na przystani również kłębił się tłum.

„Patience” ustawiała się tak, aby łodzie pilotowe doprowadziły ją prosto do mola.

Pocahontas ogarniała wzrokiem zgromadzonych, szukając wśród nich znajomej rudej czupryny. W tłumie widziała jednak same nowe twarze. Ciekawe, gdzie się podziali ci, których poprzednio знаła. Natomiast pojawiły się kobiety, poubierane w dziwne stroje.

Wtem jakiś głos z tłumu zakrzyknął:

- Patrzcie, to księżniczka Pocahontas! Córka Po-whatana!

Pocahontas rozpoznała cieślę, którego znała już przedtem, i pomachała mu ręką.

— Na pewno przyniesie nam szczęście. Ona zawsze przynosiła nam szczęście! - oznajmił cieśla wszystkim. — Trzykrotne hurra dla księżniczki!

A więc cieszyli się, że ją widzą! Mimo że była więźniem białych, nawet obcy ludzie pozdrawiali ją i machali jej rękoma.

Przyjemnie też było wiedzieć, że mimo tak długiej nieobecności Tassentasowie jeszcze ją pamiętają. Myślami wróciła do czasów, kiedy przez dwie zimy kursowała w tę i z powrotem, przywożąc żywność i wiadomości, pośrednicząc i przecierając szlaki między dwoma narodami. Pomyśleć tylko, że to nic nie pomogło, bo minęło jeszcze sześć śniegów, a jej ojciec wciąż dąży do wojny.

Westchnęła na tę myśl, lecz nagle dostrzegła w tłumie Harry'ego Spelmana, a z nim jej psa. Najwidoczniej lądem podróżowało im się szybciej, no i po drodze nie natknęli się na Hiszpanów.

Kapitan Argall położył rękę na jej ramieniu, dając tym do zrozumienia, że można już opuszczać statek. Kiedy zeszli na brzeg, oznajmił, że idą teraz do zastępcy gubernatora, sir Thomasa Gatesa. Miała pozostawać pod jego opieką na czas rozmów z jej ojcem.

Mieszkańcy fortu otaczali ich ciasno, wlepiając zaciekawione oczy w sławną indiańską księżniczkę. Niektórzy przyjechali tu specjalnie po to, by ją zobaczyć. Powtarzane z ust do ust legendy o jej dobroci zachęciły ich nawet do odbycia ryzykownej podróży za ocean. Teraz pchali się, by chociaż

dotknąć jej spódnicy lub włosów, aż Argall musiał ich powstrzymać. Pocahontas wcale się tym nie przejmowała, bo podszedł już do niej Harry z białym chartem. Trudno powiedzieć, kto bardziej ucieszył się na jej widok - młody Spelman czy pies. W każdym razie po raz pierwszy od wielu dni Pocahontas znów poczuła się sobą.

Sir Thomas Gates był zasuszonym człowieczkiem, jednak na widok pięknej branki zdobył się na chłodny uśmiech. Przebywał w kolonii od czasu pamiętnej zimy sprzed trzech lat, kiedy osadnicy przymierali głodem. Teraz zaś dostał

do ręki broń, jakiej dotąd nie miał -zakładniczkę krwi królewskiej, rokującą nadzieje na położenie rychłego kresu wyniszczającym sporom. Toteż przyjął ją bardzo serdecznie.

- Pani oświadczył - wyślemy jednego z waszych ludzi, którzy są w naszej niewoli, do króla Powhatana. Przekażemy przez niego żądania, aby uwolnił naszych ludzi, którzy są jego jeńcami, i zwrócił wykradzioną nam broń i narzędzia. Zażądamy również ustanowienia pokoju między naszymi narodami. Jeśli twój ojciec zgodzi się na nasze warunki, będziesz wolna.

Mówiąc to, uważnie obserwował jej reakcje. Wiedział przecież, że ta dziewczyna potrafi upominać się o swoje prawa.

I rzeczywiście, Pocahontas czuła się pewnie w tej materii. Znowu znalazła się na terenie sporu między Tassentasami i własnym narodem.

Jestem przekonana, że mój ojciec spełni wasze żądania oświadczyła, choć w duchu dodała: „...wszystkie z wyjątkiem zaprzestania walk”. O tym jednak osadnicy dowiedzieliby się dopiero wtedy, kiedy dawno byłaby z powrotem w Werowocomoco.

Sir Thomas zwrócił się jeszcze do kapitana Argalla: - Myślę, że doskonałym miejscem na pobyt księżniczki będzie farma wielebnego Aleksandra Whitakera w okolicy Henrico. Otaczają ją ze wszystkich stron cztery forty, więc jest tam raczej bezpiecznie. Gdybyś, panie, był tak uprzejmy i odwiózł ją tam -

mogłaby czekać na wiadomości od swego ojca pod opieką sługi bożego i jego małżonki.

Rozdział 21

Rocke Hall, Henrico,

kwiecień 1613 roku

— Pocahontas, powtarzaj za mną: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...”

Starła się powtarzać dokładnie, słowo w słowo. Wielebny Whitaker uparł się, aby wprowadzić ją w zasady religii chrześcijańskiej. Pocahontas nawet się tym zainteresowała, chociaż przy takim nawale nowych wrażeń trudno jej było wszystko pojąć.

Machinalnie mięła w palcach materiał sukni, którą miała na sobie. Był miękki, ale nie tak mięsisty

jak skóry, w które się przedtem ubierała. W takiej sukni czuła się też dużo bardziej skrzepowana. Ciekawe, że gdy u siebie w pokoju przebierała się w swoje stare ubrania ze skór, od razu czuła się tak wolna jak niegdyś.

Jedna z sukien, które otrzymała od swoich nowych gospodarzy, była uszyta z szeleszczącego materiału. Powiedziano jej, że może ją nosić tylko na specjalne okazje. I rzeczywiście, chrzęszczący dźwięk, jaki wydawała przy każdym poruszeniu, umacniał w niej poczucie ważności.

- „...przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi...” — ciągnął dalej pastor.

Oni modlą się do swojego boga częściej niż my, ale za to nie składają mu ofiar - zauważyła Pocahontas. Sama w ciągu ośmiu dni, odkąd mieszkała u Whitakerów,

tylko raz miała sposobność ofiarować Ahone ropuchę. Była pewna, że bogini zrozumie szczególne okoliczności, w jakich się teraz znajdowała. Pamiętała przecież, jak przeraził się wielebny Hunt, kiedy chciała jego Bogu złożyć ofiary ze zwierząt. Wolała więc nie robić przykrości swoim gospodarzom.

Oczywiście nie zwierzała się Whitakerom, że gdyby tylko chciała, mogłaby w każdej chwili, nie zauważona, wymknąć się do lasu, a wtedy tyle by ją widzieli! Przecież w lasach czuła się jak u siebie w domu, a angielscy żołnierze nie byli zbyt czujnymi strażnikami. Przebywała tu jednak dobrowolnie, bo sama chciała, aby ustał ten wieczny konflikt, a także dlatego, że podobało się jej życie, jakie tu wiodła.

„...Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”

Cieszyła się, że miała tu własny, oddzielny pokój, a w nim stolik, krzesło, komodę i łóżko równie wygodne jak jej dawne posłanie z futer. Jedzenie na początku zupełnie jej nie smakowało, dlatego z własnej woli zaczęła pomagać w kuchni pani Whitaker i jej służącej. Przydało się jej to, co zdążyła podpatrzeć u kucharek w Werowocomoco! Nic dziwnego, że potrawy nie miały należytego smaku, skoro w tym domu nie używano pomidorów, ziemniaków, kukurydzy, dyni ani indyków. Miła pani Whitaker wytłumaczyła Pocahontas, że w Anglii te produkty nie są znane, ale chętnie korzystała z jej wskazówek.

- „...i nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego”.

Pocahontas powtórzyła całą modlitwę i czekała na mającą się teraz odbyć lekcję angielskiego. Z całego dnia najbardziej lubiła godziny tych zajęć, tym bardziej że pyzaty, rumiany pastor oświadczył jej, iż ma wybitne zdolności językowe. Chętnie uczyła się więc na pamięć modlitw i poznawała coraz więcej słów, z równą ochotą jak wtedy, kiedy jej nauczycielem był John Smith. Wiedziała jednak, że od tamtych czasów jej znajomość angielskiego znacznie się poprawiła.

Nagle od zewnątrz doszedł ją tętent kopyt konia, odgłos osadzania go na miejscu i ostry dzwonek do drzwi. Służąca pospieszyła, aby je otworzyć, i w progu ukazał się kapitan Argall.

- Pocahontas, mamy wiadomości od twojego ojca - oświadczył po wstępnych grzecznościach powitalnych. - Martwi się, że jesteś w naszych rękach, i prosi, abyśmy cię dobrze traktowali. A więc jak się u nas czujesz, pani?

- Dziękuję, bardzo dobrze.

- Powhatan zaprosił mnie, abym przyплыł moim statkiem na jego wody. Wtedy spełni nasze żądania dotyczące zwrotu jeńców, broni i dostarczenia nam kukurydzy. Jeżeli wywiąże się z tych zobowiązań, spodziewa się, że oddam mu ciebie.

Kiedy Pocahontas przytaknęła mu skinieniem głowy, dokończył:

- No więc jutro rano możemy wyruszać. Spuściła głowę, by ukryć przerażenie. Więc to już,

tak szybko? Przecież dopiero co tu przyjechała. Łudziła się, że negocjacje z ojcem przeciągną się dłużej. Z Werowocomoco nie będzie już mogła obserwować przyplywających statków i czekać na powrót Johna Smitha!

W tym momencie zdała sobie sprawę, że właściwie przez całe życie była więźniem zachcianek swego despotycznego ojca.

Rozumiała obowiązki córki, ale

uderzyło ją, że dopiero teraz, wśród Anglików, będąc formalnie w niewoli, cieszyła się większą wolnością niż kiedykolwiek.

Zachowała jednak spokój, podczas gdy obaj mężczyźni zajęli się omawianiem najnowszych wiadomości i plotek przywiezionych na statku świeżo przybyłym z Anglii. Wtem znów zadźwięczał dzwonek u drzwi.

- Aha, przecież zaprosiliśmy Johna Rolfe'a na kolację!

przypomniał sobie pastor i wyszedł mu na powitanie. Pocahontas miała teraz zbyt wiele problemów, by dokładnie się przyjrzeć temu nie znanemu jeszcze Anglikowi. Zauważyła tylko, że był to wysoki, niewiele ponad dwudziestoletni mężczyzna o falujących, brązowych włosach i zdecydowanym wyrazie twarzy.

Przy kolacji Rolfe usiadł obok niej, więc nie miała już czasu na dalsze rozważania, musiała bowiem odpowiadać na jego pytania dotyczące tytoniu. Interesował się poważnie uprawą tej rośliny i chciał znać jej zdanie na temat tego, jak często należy zostawiać ziemię odłogiem. Pocahontas opowiedziała mu o metodach stosowanych przez jej plemię, lecz on zakwestionował ich prawidłowość. Dyskusja, w której oboje partnerzy reprezentowali przeciwne stanowiska na ten sam temat, pochłonęła ją tak dalece, że zrobiło się jej przykro, gdy było już późno i John zbierał się do odejścia. Próbował ją pocieszyć, że często bywa u pastorostwa.

- Ale ja jutro rano wracam już do ojca! - odpowiedziała bezbarwnym głosem.

Zona pastora nalegała, aby Pocahontas zabrała ze sobą jej służącą, Carrie, aż do samego Jamestown. Uważała, że księżniczce krwi królewskiej nie wypada podróżować bez odpowiedniej asysty. Obie wsiadły więc na pokład

„Patience”. Carrie namówiła Pocahontas, aby na uroczystą kolację w towarzystwie sir Thomasa Gatesa i sir Thomasa Dale'a, pełniącego obowiązki gubernatora, przebrała się w swą odświętną suknię z szeleszczącej tafty.

Suknia była bladoniebieska, przybrana białą koronką. Pocahontas świetnie się bawiła, widząc, jak obaj panowie wodzą za nią oczami i nisko się kłaniają, aby ucałować jej dłoń. Podobała się jej również fryzura, jaką doradziła pokojówka - włosy upięte wysoko, z dala od twarzy. Szkoda, że nie miała ze sobą któregoś ze swoich naszyjników z pereł!

Pocahontas była również wdzięczna pastorostwu, że nauczyli ją posługiwać się nożem i widelcem. Chwilami czuła się niezręcznie, ale wiedziała, że robi dobre wrażenie. Obaj wysoko postawieni panowie traktowali ją raczej jako udzielną księżniczkę niż jako pionka w ich rozgrywkach z jej ojcem.

Powtarzała więc sobie ciągle, że musi pamiętać, aby zaprezentować jak najlepiej to, czego ją nauczyli gospodarze.

Wysocy urzędnicy Korony Brytyjskiej wypytywali ją szczegółowo o pobyt u Whitakerów. Pocahontas nie ukrywała zachwytu, jakim napawało ją to chwilowe miejsce zamieszkania.

Z bliskiem w oku opowiadała, jak to zaczyna już poznawać Pismo święte i podstawy wiary chrześcijańskiej i jak polepszyła się jej znajomość języka! Była pewna, że gdyby mogła jeszcze dłużej mieć stały kontakt z angielskim, opanowałaby go płynnie.

Następnego dnia ubrała się w tradycyjny, skórzany strój swego plemienia. Czuła, że gdy wróci do Werowocomoco - bądź to tak, jakby zatrzasnęły się za nią jakieś drzwi. Modliła się tylko, żeby nie zatrzasnęły się na zawsze. Wychodząc rano z kajuty na pokład, miała nogi jak z ołowiu.

- Księżniczko, przynoszę wieści, które mogą być dla ciebie niemiłe - zaczął ostrożnie Argall. Zrobił nawet ruch, jakby chciał

dotknąć jej ramienia, ale powstrzymał się od tego. - Po wczorajszej rozmowie panowie Dale i Gates zdecydowali, że twój dzisiejszy wyjazd ze mną byłby przedwczesny. Przecież nie zakończyliśmy jeszcze rozmów z twoim ojcem! Zarząd naszej kolonii dla uniknięcia wszelkich nieporozumień podjął decyzję, abyś została jeszcze z nami. Odeślemy cię z powrotem do Whitakerów, bo chyba dobrze się tam czujesz.

Oczywiście nie powiedział jej całej prawdy. Chodziło o to, że Gates i Dale odkryli nowe możliwości wykorzystania Pocahontas. Nawrócenie jej na wiarę chrześcijańską mogłoby ułatwić nawrócenie całego jej plemienia, a co za tym idzie —

pojednanie obu narodów. Ważne było i to, że Wirginię zasiedliliby tym sposobem angielscy

protestanci, a nie hiszpańscy katolicy. Niezależnie od tego rządzący kolonią obawiali się, że podczas jej podróży z Argallem ludzie Powhatan mogliby próbować ją odbić. Woleli więc zatrzymać Pocahontas w rękach angielskich, aż Powhatan przyjmie absolutnie wszystkie warunki.

Wbrew ich obawom Pocahontas bardzo się ucieszyła z odroczenia chwili jej powrotu do ojca. Z tym większym entuzjazmem rzuciła się w wir pracy na farmie w Henrico.

Chętnie uczestniczyła we wszystkich czynnościach domowych, szybko i dokładnie wykonując każde polecenie. W ciągu tygodnia знаła już angielskie słownictwo dotyczące gospodarstwa domowego. Aż do bólu ślęczała nad Biblią i katechizmem, chcąc nauczyć się je czytać. Dwa razy dziennie odbywała lekcję z pastorem, a i przez resztę dnia zadawała nieskończoną ilość pytań.

Pani Whitaker była dla niej równie miła i cierpliwa jak jej mąż.

Oboje zdawali sobie sprawę, że ich gość jest kimś wyjątkowym, i doglądali jej równie troskliwie, jakby była ich własną córką.

Zresztą sprawowanie oficjalnej opieki nad tak szczerą i uczuciową dziewczyną dawało im dużą satysfakcję.

W połowie maja, kiedy słodki zapach róży jerychońskiej wciskał

się we wszystkie kąty, przybył posłaniec z listem od Argalla.

Odczytano ten list Pocahontas, która dowiedziała się z niego, że jej ojciec zwrócił już Anglikom połowę zdobyczej broni i uwolnił większość jeńców, lecz nie dostarczył jeszcze narzędzi ani kukurydzy. W tej sytuacji postanowiono, że Pocahontas zostanie nadal pod opieką Anglików.

Po kilku dniach John Rolfe ponownie przybył w odwiedziny.

Ucieszył się, że Pocahontas nadal mieszka u Whitakerów, i dokończył z nią dyskusję o uprawie tytoniu. Następnym spornym tematem były zalety i zastosowanie różnych ziół, a po tygodniu -

metody polowania na jelenie i ptactwo. Kiedy po dwóch dniach znów odwiedził pastorostwo - tym razem zawzięcie dyskutował z Pocahontas o wyprawianiu skór.

W czerwcu pastor zdecydował, że Pocahontas może iść razem z nim i jego żoną do kościoła. Znała już na pamięć wiele modlitw, tak że podczas mszy mogła nadażyć za innymi wiernymi. Poza tym, jak większość kobiet z jej plemienia, miała dobry głos i słuch muzyczny, toteż szybko nauczyła się psalmów i innych pieśni religijnych.

John Rolfe zajmował w kościele ławkę o kilka rzędów za Whitakerami. Kiedy usłyszał śpiew Pocahontas, stwierdził ze zdziwieniem, że jej głos odwraca jego uwagę od modlitwy.

Ponieważ był bardzo pobożny,

w jego serce wkradł się pewien zamęt. Nie mógł już ukryć przed sobą, że czuje silny pociąg do tej

egzotycznej piękności. Powziął

nawet zamiar zwrócenia się do pastora o zgodę na to, aby pomagać Pocahontas w studiowaniu Pisma świętego. Uważał, że spełnia dobry uczynek, przyczyniając się do jej nawrócenia.

Jednocześnie próbował skupić się na modlitwie za dusze swojej młodej żony i nowo narodzonego dziecka, które zginęły podczas sztormu na Bermudach w drodze do Jamestown. Minęły już trzy lata, odkąd żona skonała na jego rękach, ale czas stopniowo łagodził ten ból, zwłaszcza w ostatnich tygodniach.

W swoim czasie nosił się z zamiarem, aby napisać do swego ojca, mieszkającego w hrabstwie Norfolk, w majątku Heacham Hall, aby ten znalazł mu nową kandydatkę na żonę. Nigdy jednak nie mógł się do tego zabrać. Być może czuł się w pewnym stopniu winny przedwczesnej śmierci swojej małżonki. Jego dziadek, człowiek zamożny, który częściowo finansował wojnę z hiszpańską Wielką Armadą za królowej Elżbiety, nie rozumiał, po co wnuk wybiera się w jakieś dzikie kraje, kiedy w domu jest tyle do zrobienia. Trudno też byłoby znaleźć odpowiednią narzeczoną, która godziłaby się dzielić z nim trudy życia w Nowym Świecie. Rolfe postanowił więc, że odkupi błędy przeszłości, poświęcając się nawracaniu pogan. Jedną taką okazję właśnie miał!

Po wiośnie nastąpiło lato, potem jesień, a od Powhatana nie nadchodziły żadne wiadomości. Dale informował o tym Pocahontas, ale ona i tak dowiedziała się własnymi kanałami.

Któregoś dnia, kiedy wyszła sama na spacer po polach, usłyszała znajomy dźwięk — ptasi szczebiot z charakterystyczną półnutą, umowny sygnał

jej rodziny. Okazało się, że w przyległych zaroślach czekał na nią Pamouic. Zdziwionym wzrokiem otaksował jej strój i wygląd, a potem przekazał wiadomości.

- Pocahontas, ojciec wie o tym, że jesteś pod dobrą opieką i nic ci nie grozi. Nie ma jednak zamiaru zawrzeć pokoju z Tassentasami i nadal chciałby ich stąd wypędzić. Powiem mu, że widziałem cię i że jesteś zadowolona, tylko proszę, nie mów nikomu, iż tu byłem.

Jeszcze krótko porozmawiali ze sobą, wymienili najnowsze wiadomości i plotki, po czym Pamouic znikł równie szybko, jak się pojawił.

Liście zaczynały już żółknąć, kiedy Pocahontas przyłapała się na tym, że z niecierpliwością oczekuje wizyt Johna Rolfe'a. Jej serce wciąż wypełniała pustka, jednak nadal poświęcała wszystkie myśli i uczucia Johnowi Smithowi. Cokolwiek robiła, automatycznie zastanawiała się, czy on by to zaaprobował, a wieczorem przy pacierzu zdawało się jej, że modli się z nim razem. I nadal wierzyła, że któregoś dnia John Smith do niej powróci.

Natomiast odwiedziny Johna Rolfe'a miały dla niej duże znaczenie, gdyż czytał jej i objaśniał Pismo święte. Dzięki niemu zaczynała stopniowo pojmować wzniosłość i piękno tych wersetów. Zadawała nie kończące się pytania, ale Rolfe cierpliwie na nie odpowiadał. Czuła wdzięczność dla Boga, do którego się modliła, że w dobroci swojej otworzył przed nią inny świat.

Raz zwierzyła się Johnowi ze swych rozterek wewnętrznych.

Wprawdzie przestała już się modlić do boga niebios i bogini rzeki, ale miała nadzieję, że prawdziwy Bóg wybaczy jej całe lata, w których oddawała im cześć. Przecież chyba te bóstwa stanowiły jakąś część jedyne i prawdziwego Boga?

John Rolfe tylko się uśmiechnął na te jej rozważania, natomiast podzielał jej zdanie co do istoty złego ducha Okeusa. Zło przybiera wszakże wiele postaci!

Któregoś zimowego poranka, kiedy drzewa były już nagie i śnieg pokrył łąki, Pocahontas obudziła się, czując znajomy zapach piekącego się chleba z kukurydzy. Przez chwilę wydawało się jej, że leży na swoim posłaniu z futer w Werowocomoco, aż przestraszona usiadła na łóżku. Szybko rozpałała w kominku i uklękła do pacierza. Potem z wysiłkiem przeczytała kilka ustępów z Biblii. Kiedy już dopełniła wszystkich obowiązkowych praktyk religijnych, usiadła w kucki i zaczęła rozmyślać.

Co się z nią stanie, kiedy jej ojciec w końcu, dobrowolnie lub pod przymusem, zaprzestanie walk z Anglikami? Próbowwała uciec od tej myśli, ale nadszedł czas, kiedy musiała dopuścić ją do swej świadomości. Zapewne wróci do Werowocomoco, ale już jako czcicielka prawdziwego Boga. Z tego tytułu może spodziewać się prześladowań, a w najlepszym razie izolacji. Nie będzie wraz ze swymi rodakami oddawać czci fałszywym bogom ani składać im ofiar, a już na pewno nie będzie czcić diabła pod postacią Okeusa.

Nie będzie też mogła nauczać innych nowej wiary ani sztuki czytania, która otworzyła przed nią tyle zaczarowanych światów.

Kapłani nie darowaliby tego nawet córce potężnego Powhatana.

Stanowiłaby przecież zagrożenie dla ich niekwestionowanej władzy... Przez moment znów jakby słyszała szum czarnych skrzydeł nad głową. Próbowwała odpędzić złe myśli modlitwą i po chwili poczuła się pewniej. Już wiedziała - poprosi o radę Johna Rolfe'a. Jako oddany przyjaciel na pewno powie jej, co ma robić.

Potem poszła z panią Whitaker odwiedzić jej przyjaciółkę, której właśnie urodziło się dziecko. Stopniowo odzyskiwała równowagę ducha, a wieczorem John Rolfe miał przyjść na kolację. Zawsze się cieszyła, gdy przychodził.

Po kolacji, jak zwykle, przeczytali razem fragment Pisma świętego. Przy tej okazji Pocahontas dopiero teraz zauważyła, jak miły głos ma John Rolfe. Opowiedziała mu o dręczących ją wątpliwościach, a w jego oczach najpierw odbiło się zatroskanie, a potem duchowa udręka. Zwróciła uwagę na kolor tych oczu -

były szare, obrzeżone długimi, czarnymi rzęsami. Jeszcze nigdy przedtem nie widziała oczu takiego koloru.

Kiedy już wypowiedziała wszystkie zale, John Rolfe ujął jej dłonie w swoje i zaczął łagodnie tłumaczyć:

- Nie możesz upadać na duchu. Poczyniłaś takie postępy w nauce prawd wiary, że już niedługo będziesz gotowa do przyjęcia sakramentu chrztu. A wtedy będziesz księżniczką nie tylko powhatańską, ale i chrześcijańską, jedną z nas. A do ojca wcale nie musisz wracać, jeśli nie zechcesz.

- Ale ojciec będzie się domagał mojego powrotu w zamian za obietnicę pokoju!

John Rolfe pomyślał chwilę, zanim zapytał:

- A gdyby wiedział, że teraz już inaczej wierzysz i myślisz, czy nadal należałoby na twój powrót?

Pocahontas wysunęła swoje ręce z jego rąk i zaczęła intensywnie myśleć. Jak ma opisać słowami całą potęgę ojca, swoją miłość do niego i zobowiązania wobec własnego narodu? Gdyby tu zamieszkała, zostałaby starą panną, nie mogłaby też wiecznie korzystać z gościnności Whitakerów. Nerwowo splotła palce, gdy

uświadomiła sobie, że właściwie nie należy już do żadnego ze znanych jej światów. Ledwo dosłyszalnym głosem wyszeptała:

— No, chyba będę mogła tam wrócić...

Gdy tylko John Rolfe wyjechał z Rocke Hall, zaraz skłonił konia do galopu. Musiał poczuć na twarzy chłodny powiew wiatru, aby ostudzić nagły przyptyw żądy. W ostatnich miesiącach zakochał się w Pocahontas do szaleństwa i mimo wysiłków nie mógł

zapanować nad swoimi pragnieniami. Bóg świadkiem, że próbował — ale też i Bóg jeden wie, ile już zrobił dla niej. Przecież pomógł jej zostać chrześcijanką, i to dobrą!

Pędził pod wiatr, ponaglając konia ostrogami. Krzyczał głośno sam do siebie, że nie pragnie tylko jej ciała, lecz oczarował go jej umysł i charakter. Czy byłaby z niej dobra żona, towarzyszka i pomocnica na drodze do Chrystusa? Wprawdzie jej status społeczny jest wyższy, ale przecież ona była przedtem poganką!

Tak „głośno myśląc”, przekonywał i siebie, i Pana Boga, że jego uczucia są moralnie czyste i zdrowe. Pragnął, by ta piękna dziewczyna szła u jego boku i rodziła mu synów z błogosławieństwem Kościoła.

Gwałtownie ściągnął konia wodzami, kiedy przyszła mu do głowy nowa myśl. Czy ona go zechce? Jest jeszcze taka młoda, ma dopiero osiemnaście lat! Tak mało wiedział o jej dotychczasowym życiu. Pozwolił koniowi przejść w kłus i to go trochę uspokoiło.

Przez całą noc niespokojnie przewracał się na łóżku, aż podjął

ostateczną decyzję. Poprosi o pozwolenie na ślub z Pocahontas.

Musi zwrócić się w tym celu do sir Thomasa Dale'a. Przemyślał

swoją decyzję jeszcze dokładniej i napisał list do Dale'a.

Rozdział 22

Jamestown,

marzec 1614 roku

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Pocahontas schudła i pobiadła, tyle sprzecznych myśli zaprzętało jej głowę.

Oświadczyły Rolfe'a zaskoczyły ją, choć wiedziała, że mu na niej zależy. Nie doceniała jednak siły jego uczucia. Sama wprawdzie nie kochała go, ale lubiła i szanowała. Czuła się przy nim bezpiecznie, no i mógł jej zapewnić takie życie, jakiego pragnęła. Dopiero wychodząc za niego, dostałaby się do świata Anglików.

Nie mogła tylko wyznać mu prawdy na temat Johna Smitha.

Tego, że cała była przeniknięta wspomnieniami o nim, że oddała mu nie tylko ciało, lecz i duszę. Ani też tego, że miała mieć z nim dziecko, tylko je utraciła...

O Kokumie Rolfe nie chciał nawet słyszeć. Twierdził, że to, co wydarzyło się w jej poprzednim życiu, przytrafiło się nie jej, lecz komu innemu. Gdy przyjmie chrzest, wszystkie grzechy z jej przeszłości zostaną zatarte i dla Boga zacznie nowe życie.

Pocahontas była zachwycona dobrocią i miłosierdziem prawdziwego Boga. Właściwie była w lepszej sytuacji niż Anglicy, którzy od urodzenia wzrastali w przekonaniu, że to za nich Chrystus oddał życie na krzyżu. Może nawet i nie doceniali tego tak bardzo jak ktoś, kto przedtem ze strachu przed złym duchem Okeusem modlił się do niego lub składał mu ofiary.

Mieszane uczucia wywoływała u niej tylko osoba Johna Smitha.

Była przekonana, że on któregoś dnia wróci, tylko czy wtedy jeszcze zechce się z nią ożenić? A czy ona, żywiąc w stosunku do niego nie zmienione uczucia, może wyjść za kogoś innego?

Chyba nie, bo wtedy musiałaby wyrzucić Smitha na zawsze ze swego serca. A czy po tylu latach będzie w stanie to zrobić? Im dłużej jednak myślała o Rolfie jako o swoim mężu, tym bardziej podobała się jej ta perspektywa. Mimo to wspomnienia związane ze Smithem zawsze były bolesne.

Przez te tygodnie, w ciągu których biła się z myślami i nie mogła podjąć żadnej decyzji, John Rolfe wykazywał maksimum cierpliwości i taktu. Któregoś dnia nadmienił mimochodem: O stosunki z tutejszymi kobietami nie musisz się martwić.

Wszystkie cię lubią i szanują.

To proste zdanie spowodowało przełom w jej uczuciach. Jak on o wszystko się troszczył i o wszystkim myślał! Poczwała się nawet winna, tylko nie wiedziała, czy bardziej wobec Smitha, czy

raczej wobec Rolfe'a. W końcu odwróciła się do niego i wyciągnęła ramiona.

Potem modliła się długo i gorąco. Wiedziała, że już za kilka tygodni przyjmie chrzest i zostanie pełnoprawnym członkiem Kościoła. Wybrała już sobie drogę życiową.

Wczesną wiosną, kiedy biało kwitnące krzewy dzikiego derenia zamieniły lasy w krainę z bajki, Pocahontas nagle postanowiła, że zamiast muślinowej sukienki włoży swój stary, nie noszony od miesięcy, skórzany strój. Wymknęła się z domu Whitakerów i pobiegła na pobliską łąkę. Opadła na ziemię i oparta na łokciach, wpatrywała się w błękit nieba.

Tego dnia niebo było błękitne, z białymi, puszystymi obłoczkami. Obserwując ich wędrówkę po niebie, modliła się do chrześcijańskiego Boga, którego utożsamiała z indiańskim bogiem nieba. Modlitwa rozwiała ostatecznie jej wątpliwości.

Pod tym spokojnym i pogodnym niebem postanowiła, że poślubi Johna Rolfe'a. Uczucia żywione niegdyś do Smitha na pewno z czasem odejdą w przeszłość. Smith na zawsze pozostanie częścią tej przeszłości, ale nie powinno to jej przeszkodzić być dobrą żoną Johna Rolfe'a.

Wróciła do domu, kiedy było już prawie całkiem ciemno.

Przebywała na łące długo, bo potrzebowała czasu, aby móc w odpowiedni sposób podziękować Bogu za pomoc w podjęciu decyzji.

Kiedy oświadczyła Rolfe'owi, że za niego wyjdzie, mało nie oszalał z radości. Obiecał, że da na zapowiedzi, gdy tylko Pocahontas zostanie przyjęta na łono Kościoła anglikańskiego.

Zanim do tego dojdzie, miał napisać jeszcze list do gubernatora.

Teraz, gdy skończyło się pełne napięcia oczekiwanie, mógł dać upust swoim uczuciom. Porwał Pocahontas na ręce i przetańczył

z nią dookoła pokoju, aż pani pastorkowa przybiegła zobaczyć, co się dzieje.

Sir Thomas Dale nie wierzył własnym oczom, kiedy otrzymał list od Rolfe'a z prośbą o zgodę na poślubienie Pocahontas.

Pospieszył zaraz przedyskutować tę sprawę z Gatesem.

- Nigdy bym nie pomyślał - zwierzył mu się - że to John Rolfe, z tak starego i zasiedziałego rodu, będzie pierwszym Anglikiem, który ożeni się z Indianką, choćby nawet i księżniczką. Sądziłem, że jest większym konserwatystą.

- Rzeczywiście - zgodził się Gates. — W każdym razie z naszego punktu widzenia nie mogło stać się lepiej. Wykorzystamy to w pertraktacjach z Powhata-nem. Tymczasem napisz do Rolfe'a, że całym sercem popieramy jego decyzję. Potem złóż im wizytę i przekaz najlepsze życzenia na nową drogę życia.

- A jak wyobrażasz sobie dalsze pertraktacje?

- Pojedziesz wraz z narzeczonymi do Werowoco-moco snuł

plany Gates - i wystarasz się o audiencję u króla. W obecności księżniczki, a na wszelki wypadek w obstawie żołnierzy i pod osłoną działa, zażadasz zwrotu naszych jeńców, broni i narzędzi.

Przy okazji postawisz go też przed faktem dokonanym zaręczyn jego córki. Jestem przekonany, że to małżeństwo przyniesie nam pokój.

A jeżeli król odrzuci nasze żądania i spróbuje odbić Pocahontas?

Nie przypuszczam, że ryzykowałby krzywdę swego ukochanego dziecka czy chciałby siłą odrywać ją od jej wybranego. W

każdym razie jest to jakaś szansa i musimy ją wykorzystać. Dale, to małżeństwo musi dojść do skutku. Umocni ono raz na zawsze naszą pozycję w Nowym Świecie. Wtedy nie będziemy musieli przejmować się Hiszpanami i Wirginia po wieczne czasy zostanie w rękach angielskich.

- Tak, księżniczka sprostała naszym najśmielszym oczekiwaniom, a długie milczenie króla działa na naszą korzyść przyznał mu rację Dale. - Wypijmy za zdrowie jej i Rolfe'a.

- Przede wszystkim za powodzenie spotkania z Powhatanem!

uzupełnił Gates i obaj tręcili się kieliszkami.

Pocahontas, Whitakerowie i John Rolfe przyjechali do nowego kościoła w Jamestown, gdzie miał się odbyć jej chrzest. Na tę doniosłą zarówno dla niej, jak i dla Anglików uroczystość pastora kazała jej ubrać się w białą bawełnianą sukienkę.

Świadkami tego epokowego wydarzenia mieli być wszyscy mieszkańcy Jamestown.

Pocahontas wiedziała, jak wielkie pokładano w niej nadzieje. Na chrzcie nadano jej imię Rebeka. Mieszkańcy fortu modlili się o to, aby za nią poszły rzesze jej nawróconych rodaków, a rada nadzorcza - aby jej bliskie już małżeństwo przyniosło osadnikom tak długo oczekiwany pokój.

Po zakończeniu ceremonii chrztu wielebny Whitaker ogłosił z ambony zapowiedź wstąpienia w związek małżeński Rebeki i Johna Rolfe'a. Cała wspólnota parafialna wydała zdziwione westchnienie, a wśród wiernych rozległy się szepty, które przeszły w głośne rozmowy po opuszczeniu kościoła. Na dworze jedni zbijali się w rozplotkowane grupki, a inni podchodzili do Pocahontas, aby jej pogratulować.

- Jak ten plebejusz Rolfe może ożenić się z księżniczką krwi? -

zadał na głos pytanie któryś z żołnierzy.

Mieszkańcy Jamestown pod względem poglądów na to zdarzenie podzielili się na dwa obozy.

Większość nie brała przy tym pod uwagę szerszych aspektów tego małżeństwa. Tym, co głównie bulwersowało osadników, było to, że John Rolfe za wysoko mierzył, pragnąc poślubić kobietę z wyższej klasy społecznej. W

owych czasach było nie do pomyślenia, żeby potomek co prawda starej, zasiedziałej, ale nieszlacheckiej rodziny mógł się ożenić z księżniczką, i wielu mieszkańców miasta czuło z tego powodu niesmak.

Plotka rozeszła się szybko do innych miast, jak Henrico i Bermuda Hundred, a także do wszystkich siedmiu fortów. Dawno nie zdarzyło się tam nic tak ciekawego. Nikt nie miał pretensji do Pocahontas, gdyż była powszechnie lubiana - burzliwe dyskusje dotyczyły głównie Rolfe'a. Ponieważ jednak i on był osobą szanowaną w kolonii, nikt nie wyrażał głośno dezaprobaty dla rzekomego mezaliansu.

W tym czasie narzeczeni, w asyście służącej, pastorowej jako przyzwoitki, Dale'a i stu pięćdziesięciu żołnierzy, wypłynęli na okręcie „Treasurer” pod dowództwem kapitana Argalla z Jamestown do Werowoco-moco. Uprzednio wysłano tam drogą lądową wypuszczonego z niewoli wojownika, aby powiadomił

Po-whatana o ich spodziewanym przybyciu.

Pocahontas porównywała tę podróż z analogicznym rejssem rok temu, kiedy dostała się w ręce Anglików. W Werowocomoco miała pojawić się po raz pierwszy od czterech lat. Mało tego, wracała tam jako chrześcijanka i ze swoim chrześcijańskim narzeczonym.

Nie wiedziała, jak ojciec zareaguje na wiadomość o jej bliskim ślubie z członkiem znenawidzonego narodu angielskiego.

Natomiast z pewnością zauważy zmiany, jakie w niej zaszły.

Wtedy, kiedy błagała go o pozwolenie na przyglądanie się życiu Tassentasów, w najśmielszych snach nie przypuszczał, że jego córka stanie się jedną z nich. Pokładała więc w Bogu nadzieję, że spotkanie da pozytywny efekt.

Kiedy tylko „Treasurer” wyszedł z ostatniego zakola rzeki, Pocahontas wyszła na pokład, aby znów spojrzeć na znajomy brzeg w pobliżu Werowocomoco. Zaskoczyło ją, że na brzegu oczekiwało już pięciuset wojowników Powhatana. Dawno ich już nie widziała, więc zaszokowała ją feeria barw, jaką zaprezentowali. Broń, pióropusze, malowidła na ciałach i błyszczące pasma czarnych włosów tworzyły razem istną tęczę.

Uderzyła ją nagła myśl: „Jacyż oni są piękni!”

Natomiast oficerowie „Treasurera” trochę niepewnie naradzali się między sobą. Demonstracja siły Powhatana podziałała na nich raczej odstrasżająco.

- Nie bójcie się! - uspokajała ich Pocahontas. - Ojciec wysłał tych ludzi na moje powitanie, a także aby asystowali wam w drodze do niego.

Argall na wszelki wypadek kazał podsypać prochem panewki dział. Kiedy okręt przybił do przystani, Pocahontas w błękitnej taftowej sukni wyszła naprzód. Specjalnie ubrała się na modłę angielską, aby silniej zaakcentować swoją przemianę. I tak szpiedzy Powhatana zdążyli już mu donieść, że się ochrzciła.

Kiedy schodziła po trapie w asyście oficerów i żołnierzy, wojownicy Powhatana jednocześnie wyrzucili swą broń wysoko w górę i wydali donośny okrzyk, Pocahontas poczuła się mile połączona, bo takie powitanie jej ojciec rezerwował zwykle tylko dla najwyższych rangą wodzów. Przy okazji mógł zaimponować Anglikom swoją potęgą militarną, tym bardziej że większość z nich nigdy jeszcze nie była w kwaterze głównej króla Indian.

W samej wiosce wokół domu zebrań stłoczyło się jeszcze około tysiąca wojowników, a reszta zgromadziła się wewnątrz.

Pocahontas nigdy nie widziała tylu wojowników naraz, ale domyślała się, że podesłali ich wodzowie sąsiednich plemion.

Gwar ucichł i w sali zapanowała cisza, kiedy Pocahontas szła przywitać się z ojcem. Z przykrością zauważyła, że mocno posiwiał od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni. Przypomniała sobie, że musiał już mieć około sześćdziesięciu pięciu lat! Na pewno stałe prowadzenie wojen też nadważyło jego siły.

Przywitała się oficjalnie z ojcem i przedstawiła mu zarówno sir Thomasa Dale'a, jak i Johna Rolfe'a. Zauważyła przy tym, że za tronem Powhatana stoi chyba ze dwanaście nowych żon, obwieszonych perłami i piórami jeszcze obficie niż ich poprzedniczki.

Im ojciec starszy, tym bardziej im dogadza - pomyślała z humorem.

Wielki wódz wyciągnął rękę do córki, a Anglikom oznajmił: Secolin, mój syn i zaufany dowódca, będzie prowadził z wami rozmowy. Ja tymczasem chciałbym zamieścić parę słów z córką w cztery oczy, gdyż dawno jej nie widziałem.

Anglicy jakby się tym zaniepokoiili, a John Rolfe na wszelki wypadek zrobił krok naprzód. Jednak wojownicy natychmiast dali mu do zrozumienia, aby się cofnął, a Pocahontas rzuciła mu uspokajające spojrzenie. Wkrótce sala opustoszała, a wtedy Powhatan usadził córkę obok siebie i od razu kazał opowiadać, jak jej się żyje wśród Anglików. Siadając, ułożyła z szelestem fałdy sukni wokół siebie. Wychodzące żony wodza nie mogły powstrzymać ciekawości i jeszcze w drodze do drzwi oglądały się przez ramię.

Pocahontas opowiedziała ojcu, jak jej upłynął ostatni rok.

Oni są dla mnie naprawdę bardzo dobrzy, mam wszystko, czego mi potrzeba. Ale najważniejsze, ojczu, jest to, że nauczyłam się czcić ich Boga. Mają tylko jednego Boga, ale dobrego i miłosiernego.

Ojciec przyjrzał się jej uważnie. Jakby było mało tego, że jego ukochana córka opuściła swój lud i

oddała rękę wrogowi, to jeszcze przedłożyła obcego Boga nad własnych! Nic dziwnego, że nie mógł się po tym wszystkim pozbierać.

- Czy przyjedziesz na mój ślub, ojcze? - wypytywała Pocahontas.

- Drogie dziecko, w tej chwili Anglicy domagają się od moich ludzi wielu rzeczy, jakby mało im było, że zabrali mi ciebie. Nie wymagaj przynajmniej ode mnie, żebym brał w tym udział!

Pocahontas uśmiechnęła się, słysząc tę dobrotliwą ironię.

Doskonale rozumiała mieszane uczucia, jakich w tej chwili doznawał jej ojciec. Pocieszająco pogładziła go po rękę.

- A więc nie martwisz się, że wychodzę za jednego z tych cudzoziemców?

- Córeczko, widzę, że pasujecie do siebie.

- W każdej chwili będę mogła cię odwiedzić, ale i ty musisz kiedyś zobaczyć mój dom w Jamestown.

Powhatan skinął potakująco głową, ale Pocahontas i tak wiedziała, że ojciec nigdy nie przekroczy progu jej domu.

Najwyżej ona będzie przyjeżdżała do niego. W każdym razie despotyczny wódz wyraźnie złagodniał. Może to wpływ wieku?

Tak często kłócili się ze sobą przez tych Anglików, ale teraz chyba to się zmieni. Stosunki między ojcem a córką będą znowu takie jak przed przybyciem Tassentasów.

Król nie chciał już więcej widzieć Anglików i odesłał ich na okręt oraz Pocahontas pod eskortą stu wojowników. Jasne było, że wprawdzie Powhatan oddał im pięciu jeńców i część zrabowanych narzędzi, ale na dalsze ustępstwa z jego strony nie można już było liczyć.

Cieszyli się, że przynajmniej wyraził zgodę na małżeństwo swej córki z Johnem Rolfe'em.

Następnego dnia, kiedy w drodze do Jamestown przepływali koło Point Comfort, dało się zauważyć jakieś poruszenie na brzegu.

Na skraju małej wioski, składającej się może z sześciu chat, wojownicy Powhatana wymachiwali łukami, chcąc przekazać jakiś sygnał. Pocahontas-wyjaśniła Dale'owi jego znaczenie:

- Chcą, żebyśmy się zatrzymali. Mają nam coś do przekazania.

Podczas gdy „Treasurer” zarzucał kotwicę, do jego burt błyskawicznie zbliżyło się kilka łodzi. Z pokładu zrzucono sznurową drabinę, po której wdrapali się Secotin i Pamouic.

Inne łodzie kołysały się na powierzchni wody, a ich załogi czekały.

Przybyłem tu w imieniu swojego ojca — oświadczył Secotin, patrząc na Dale'a z wyżyn swojego prawie dwumetrowego wzrostu. Nie miał jednak na głowie pióropusza ani nie nosił

żadnych oznak świadczących

o wysokim stanowisku.

Dale zaprosił obu braci do swej kajuty. Pocahontas poszła z nimi jako tłumaczka. Żal jej było braci, którzy czuli się tak obco na tej małej, zamkniętej przestrzeni. Pamiętała jednak, że Secotin właściwie jej kosztem doszedł do swojej obecnej pozycji i zaskarbił sobie zaufanie ojca. Przypuszczała, że to on kazał ją śledzić

1 był sprawcą tych wszystkich przykrości, które musiała wycierpieć na swojej drodze do chrześcijaństwa. Nie miała na to dowodów, lecz instynktownie czuła, że tak musiało być.

W tej chwili jednak nie miało to dla niej znaczenia. Zrobiła karierę życiową, o jakiej nawet nie marzyła przed przybyciem Anglików. W sercu jednak czuła

urazę do brata, choć teraz, jako prawa ręka ojca, zasługiwał na szacunek.

Secotin nie chciał usiąść, tylko na stojąco zreferował Pocahontas to, co miał do przekazania. Ona przetłumaczyła to Dale'owi.

- Mój ojciec przekazuje wam pozdrowienia i cieszy się, że potrafiłście uczynić mnie szczęśliwą. Po naradzie z kapłanami zdecydował, że małżeństwo jego córki z Anglikiem stanowi pewien symbol. Oznacza to, że za dużo już krwi przelano po obu stronach i czas najwyższy, aby zakończyć te spory. Ojciec czuje się już stary i chciałby swoje ostatnie lata przeżyć w pokoju. A nawet gdybyście go zaatakowali, jego państwo jest tak wielkie, że będzie miał gdzie się schronić. Dodał jeszcze, że od dziś jesteś, panie, jego bratem i liczy na to, że będziesz już zadowolony.

Anglicy nie ukrywali swojej radości. Dale poprosił Secotina o przekazanie wielkiemu wodzowi wyrazów szacunku i najlepszych życzeń.

- Powiedz mojemu bratu Powhatanowi - kazał przetłumaczyć - że nasza strona na pewno nie rozpocznie wojny. Będziemy stać na straży pokoju.

Dale poprosił również Secotina o wysłanie jednego ze swych wojowników razem z którymś angielskim żołnierzem do Jamestown, aby mieszkańcy fortu szybciej dowiedzieli się, iż nareszcie nastął pokój.

Już na pokładzie Secotin i Pamouic uściskali serdecznie swoją siostrę. Odbyło się to w milczeniu, bo wszyscy czuli, że coś się kończy. Siostra opuszczała na zawsze ich świat, ale zmieniło to także ich życie, nie tylko jej.

Powitanie w Jamestown było dosyć burzliwe. Już kilka kilometrów przed przystanią oczekiwał ich tłum

ludzi wznoszących okrzyki, machających rękami, a nawet fikających koziołki z radości. Wszelkie wątpliwości na temat małżeństwa Pocahontas z Johnem Rolfe'em ustąpiły, jak ręką odjął. Schodzących z pokładu narzeczonych tłum mało nie uniósł

w powietrze.

- To małżeństwo przyniosło nam pokój! — krzyczeli rozradowani osadnicy, tańcząc, śpiewając i wiwatując na cześć młodej pary.

Po drodze do domu Dale'a Pocahontas żałowała, że nie widzi tego John Smith. W końcu był pierwszym Anglikiem, który potrafił

postępować z Powhatanem, i z nim król najbardziej się liczył.

Smith cieszyłby się, że sprawy przybrały taki obrót, bo to, o co walczył i za co cierpiał, stało się teraz rzeczywistością.

Pocahontas poczuła znajomy ucisk w gardle, toteż szybko odmówiła akt skruchy i mocniej przyłgnęła do ramienia Johna Rolfe'a.

Przed ślubem Pocahontas przeniosła się z farmy Whitakerów do domu sir Thomasa Dale'a, żeby zamieszkać bliżej kościoła. W

dniu ślubu wstała bardzo wcześnie i wybiegła na łąki, aby nazbierać kwiatów. Wiedziała, że kobiety i tak umają cały kościół, ale chciała sama ofiarować Bogu coś od siebie. O ile przyjemniej czcić bóstwo, któremu ofiarowuje się kwiaty, a nie zabite zwierzęta!

W modlitwie prosiła Boga o wybaczenie, że wciąż jeszcze jej myśli błądzą wokół Johna Smitha, choć ostatnio jakby rzadziej.

Ze wszystkich sił modliła się też o to, aby stałą się jak najlepszą żoną dla Johna Rolfe'a.

Pierwszym z gości weselnych był Pochins. Zgodnie z życzeniem Pocahontas ubrał się skromnie, bo to on

miał oddawać pannę młodą w ręce pana młodego. Natomiast setka towarzyszących mu wojowników olśniewała barwnymi piórami i deseniami na ciele. Nie mieli ze sobą broni -

pozostawili ją za murami fortu.

Następni przybyli z Werowocomoco Secotin i Pa-mouic z niewielką asystą. Udali się prosto do domu sir Thomasa Dale'a.

Tam przekazali siostrze dary od Powhatana - sznur pereł, z których każda była wielkości jajka, i akt nadania na własność ogromnej połaci ziemi.

Wczesnym przedpołudniem na łące nie opodal kościoła poczyniono przygotowania jak do wiejskiej

zabawy. Na rożnach obracały się indyki i inna dziczyzna, a na długich stołach piętrzyły się ciasta, owoce i cebrzyki piwa. Mieszkańcy bardziej oddalonych osad i fortów spieszyli do Jamestown, aby zająć dogodne miejsce w kościele.

Wychodzącą z domu gubernatora pannę młodą powitała nabożna cisza. Jej smagła cera pięknie odbijała od bieli sukni z atlasu podbitego muslinem. Długi welon, przypięty do włosów białymi kwiatami, niosła za nią czteroletnia dziewczynka urodzona już w Jamestown. Towarzyszył jej wódz Pochins, wyglądający bardzo dostojnie.

Ceremonia ślubna była krótka i nowożeńcy wyraźnie wygłosili sakramentalne formuły. Podczas nocy poślubnej Pocahontas wyznała mężowi, że oprócz obrzędów religijnych najbardziej wzruszył ją widok osadników pijących za jej zdrowie.

Nad ranem przeciągnęła się na poduszce i otaksowała wzrokiem śpiącego obok męża. Nie był tak demonicznie przystojny jak John Smith, a rysy jego twarzy nie

miały tak klasycznej symetrii jak twarz Kokuma, ale był miły, szlachetny i czuły. Nawet podczas szczytowych uniesień nocy poślubnej dawał jej pierwszeństwo, z czym dotąd się nie spotkała. Przyglądając się rysom jego twarzy, żarliwym szeptem powtarzała swoje śluby małżeńskie.

Rozdział 23

Londyn,

maj 1614 roku

John Smith poklepał ją po jędrnym tyłeczku, a ona uniosła z poduszki głowę z burzą blond loków i uszczypnęła go w ramię.

Roześmiał się, zadowolony, że chociaż jedna z panien Reynolds jeszcze nie wyszła za mąż.

— Mary, wybieram się dziś do twego ojca - zaczął z figlarnym błyskiem w oku. — Pewnie znowu będzie mnie namawiał, żebym się z tobą ożenił.

— Łajdaku, nie wyszłabym za ciebie nawet za wszystkie skarby Indii! - rzuciła w niego poduszką. Smith uchylił się i ze stoickim spokojem odpowiedział:

— To samo mówiłem mu już przedtem i zamierzam powiedzieć dzisiaj.

Wygramolił się z łóżka i szybko przebiegł boso po zimnej podłodze, aby pozbierać części swojej garderoby. Oglądając się za siebie widział, że Mary podciągnęła kołdrę pod brodę i spogląda na niego spod oka.

Jeszcze na początku ich znajomości Smith zapowiedział jej, że nie ma zamiaru się żenić. Uważał, że nie miałby prawa wymagać od żadnej kobiety, aby dzieliła z nim trudy życia odkrywcy i podróżnika. Z Mary łączyły go jednak tak poufale stosunki, że nieraz żartował na ten temat. Oczywiście nie dodawał przy tym, że kiedyś chciał się z kimś ożenić...

Wciągając spodnie i zapinając kaftan raptem zmienił temat:

- Z Jamestown znów przybył jakiś okręt - oznajmił. - To pewnie dlatego sir Edwin Sandys zwołał na dziś zebranie Kompanii Wirgińskiej.

- I pojechałbyś do tych kolonii?

- Tak, myślę, że najdalej za rok. Chciałbym objechać całe wybrzeże od Jamestown po Nową Szkocję.

- Och, weź mnie ze sobą! To byłaby taka cudowna przygoda!

Smith uśmiechnął się pod wąsem, bo Mary była znana jako jedna z najbardziej kapryśnych i wybrednych dam w Londynie. Jej nóżki w eleganckich pantofelkach nigdy nie stanęły nawet na mokrym bruku.

Twoja uroda zdemoralizowałaby mi całą załogę zbył ją żartem.

— Zanim wypłynęlibyśmy z wód terytorialnych, wyprawa poszłaby w rozsypkę.

Udobruchana, podniosła palce do ust i posłała mu całusa. Jeszcze w drzwiach odwzajemnił jej się uśmiechem.

Wyszędłszy od Mary, John Smith przejechał konno przez Bishopsgate Street, koło kościołów Wszystkich Świętych i Świętego Piotra, dalej Thames Street aż do przystani, gdzie mieściło się biuro sir Edwina. Zwołał tam zebranie członków Kompanii Wirgińskiej i jej organizacji założycielskiej, dla oszacowania ich zasobów.

Kompania Wirgińska mogła prosperować i była wypłacalna dzięki pieniądзом prężnie rozrastającej się klasy londyńskich kupców. To w ich interesie leżało utrzymanie kolonii, bo król miał na to zbyt wiele długów. Smith przyszedł na zebranie ostatni, więc Sandys naświetlił mu sytuację.

- „Treasurer” przywiózł właśnie z Wirginii list od Johna Rolfe'a, specjalisty od uprawy tytoniu. Uważa, że odkrył już sekret produkcji najlepszej mieszanki, i następnym statkiem przyśle nam próbkę. W tej pracy bardzo pomaga mu żona - mówiąc to, wskazał Smithowi krzesło.

- Zaraz, myślałem, że Rolfe stracił żonę na Bermudach! -

sprostował Smith, rozsiadając się wygodnie i zakładając nogę na nogę.

- To prawda, ale ożenił się drugi raz, z księżniczką Pocahontas.

Skłoniło to ostatnio jej ojca do kapitulacji i w Wirginii nareszcie nastął pokój.

Smith zbladł, słysząc tę wiadomość. Jak ktokolwiek mógł ożenić się z Pocahontas, skoro ona miała już indiańskiego męża? Z

wrażenia aż potrzęsnał głową, żeby sobie to wszystko dobrze poukładać. To się działo tak dawno

temu i od tej pory w jego sercu nie zagościły już żadne uczucia. Odsuwał od siebie wszelkie myśli o niej z żelazną konsekwencją i to dało mu siłę, aby dojść do siebie.

Po powrocie do domu stale wbijał sobie do głowy, że Wirginia to już odległa przeszłość. Atrakcje Londynu i romans z Mary utwierdzały go w tym przekonaniu. Natomiast wiadomość, którą teraz usłyszał, rozjątrzyła stare rany. Czyżby został

wprowadzony w błąd? Może przed laty, gdy ledwo odzyskał

zdrowie po wybuchu, otrzymał nieprawdziwą wiadomość na temat zamążpójścia Pocahontas? Przez chwilę wyobraził ją sobie jak żywą, tak jakby właśnie zesła z pokładu „Treasurera”.

- Rozważaliśmy możliwość przyznania księżniczce specjalnej pensji - ciągnął dalej Sandys. - Jej zasługi dla kolonii są nieocenione. Utrzymywała naszą załogę przy

życiu w najcięższych dniach i doprowadziła do zawarcia pokoju z jej ojcem. To prawdziwa bohaterka!

Sir Edwin odłożył swe gęsie pióro na dębowy stół i rozejrzał się po twarzach zgromadzonych.

— Kto głosuje za?

Wszyscy jednomyślnie i z entuzjazmem przyjęli propozycję. Sir Edwin powiadomił zebranych, że loteria fantowa urządzona przy katedrze Świętego Pawła na rzecz kolonizacji Wirginii przyniosła znaczny dochód. Jej powodzenie nasunęło myśl zorganizowania dodatkowej zbiórki pieniędzy na założenie w Jamestown szkoły parafialnej nauczającej religii zarówno dzieci angielskie, jak i indiańskie.

Mój pomysłowy przyjaciel, William Shakespeare, podsunął mi inną propozycję - zgłosił się hrabia Southampton. - Moglibyśmy zaprosić do Londynu tę piękną księżniczkę, teraz już lady Rebekę, z mężem. Jako neofitka, mogłaby pomóc w kweście na rzecz szkoły.

To wspaniały pomysł! - sir Edwin aż trzepnął się dłonią w kolano. - Jej obecność mogłaby znacznie wesprzeć nie tylko szkołę, ale wszystkie nasze plany w Wirginii.

Także inni członkowie Kompanii zgłosili swoje propozycje. Ktoś podsunął, aby sporządzić oficjalny portret lady Rebeki. Ben Jonson powinien napisać

o niej sztukę, inwestorzy - zorganizować jej pobyt i zadbać o rozrywki. Pocahontas mogłaby także przemówić w parlamencie, należałoby ją też przedstawić królewskiej parze.

W końcu wszyscy zaczęli się przekrzykiwać i snuć coraz śmielsze plany, tylko Smith nie zabierał głosu. Tłumione przez tak długi czas emocje zaczęły teraz

wzbierać w jego sercu. Dał jednak sobie słowo, że będzie milczał

o tym, co go łączyło z Pocahontas. Wieści o jej małżeństwie i nawróceniu na chrześcijaństwo jeszcze

umacniały to postanowienie. Jasne więc, że teraz tym bardziej musiał na zewnątrz zachować obojętność, choćby go to nie wiadomo jak bolało.

- A ty, Smith, nie masz na ten temat nic do powiedzenia? -

zagadnął go hrabia Southampton.

Smith odchrząknął.

- Zgadzam się ze wszystkim, co, panowie, proponujecie.

Sandys w zamyśleniu aż zagryzł wargi.

- Wydaje mi się, że dwóch z nas powinno dostać się na audiencję do króla, aby przekazać mu najnowsze wiadomości i starać się zyskać jego aprobatę. Powinniśmy też powiadomić o tym parlament. Czy chciałbyś mi towarzyszyć, Smith?

Smith zgodził się i na tym posiedzenie się zakończyło, ale w jego uczestnikach rozbudzone zostały wielkie nadzieje.

Sir Edwin Sandys wraz z Johnem Smithem stali skromnie w grupie dworzan podczas audiencji u króla Jakuba. Akurat król wygłosił własny komentarz:

- Zdrajca! Jak Brytyjczyk mógł ożenić się z córką nieprzyjacielskiego króla?

Celowo użył słowa „Brytyjczyk”, a nie „Anglik”, aby podrażnić członków swojej Rady Przybocznej. Sam wprowadził w obieg zwroty „brytyjski” i „Wielka Brytania”, aby zaakcentować fakt unii Anglii z jego ojczystą Szkocją. Wiedział jednak, że jego otoczenie wzdryga się na dźwięk tych nazw.

Siedział teraz przed całym swoim dworem, majtając

cienkimi nóżkami i tocząc wokół podejrzliwym wzrokiem.

Zdawał sobie sprawę, że jest na tym tronie dosyć żalostną figurą i że wszyscy nieustannie porównują go z nieboszczką królową Elżbietą, która emanowała prawdziwym majestatem. W związku z tym nie ufał nikomu w swoim otoczeniu.

— Najjaśniejszy Panie — wtrącił się hrabia Devon. — Ani księżniczka Pocahontas, ani też jej potomstwo nie mają żadnych praw do dziedziczenia posiadłości Korony w Wirginii.

Czy możemy być tego pewni?

Otrzymała ziemię od swego ojca, króla Powhatana. Pobudowali się na niej wraz z mężem i uprawiają tam tytoń wyjaśnił hrabia Dorset. — Zresztą na wszelki wypadek wydaliśmy dekret zabraniający przekazywania jej czegokolwiek z majątku Korony Brytyjskiej.

Ale wciąż nie mogę wybaczyć Rolfe'owi, że ożenił się z córką wroga! — upierał się król.

Tu ośmielił się zabrać głos któryś z dworzan.

Najjaśniejszy Panie, oto sir Edwin Sandys, który właśnie otrzymał najnowsze wiadomości z kolonii.

Sir Edwin z ukłonem wyjaśnił, że wojna między Anglikami a Indianami jest już skończona. Król Powhatan zdecydował się zaprzestać aktów agresji dzięki małżeństwu jego córki z Johnem Rolfe'em.

- A czy robimy coś, aby utrzymać ten pokój? Krótkotrwale rozejmy bywały już i przedtem.

Król czuł się niepewnie, gdy była mowa o koloniach. Z jednej strony cieszył się z rozszerzenia panowania Korony Brytyjskiej, ale z drugiej — nie chciał zadzierać z Hiszpanami, którzy mieli pretensję do Anglii o wdzieranie się w jej strefę wpływów.

Przyczyna była prosta — chciał ożenić swojego syna Karola z infantką

hiszpańską, stąd brały się jego mieszane uczucia wobec angielskiej przewagi w Wirginii.

- Jesteśmy pewni, że tym razem osiągnęliśmy trwały pokój, Najjaśniejszy Panie - kontynuował sir Edwin. - Chcielibyśmy jeszcze zaskarbić sobie względy pomniejszych wodzów podległych Powhatanowi. Sir Thomas Dale pragnie zawrzeć z każdym z nich odrębny traktat pokojowy. Mamy zamiar podarować im czerwone płaszcze i miedziane medale z wizerunkiem Waszej Królewskiej Mości. Oni bardzo cenią miedź

i będą te medale nosić na szyi. Wtedy pasujemy ich na rycerzy Króla Jakuba. - Sir Edwin obserwował spod oka reakcję władcy.

I rzeczywiście, to stwierdzenie wywołało na ustach króla lekki uśmiech. Smith zastanawiał się, czy monarcha już dziś coś wypił, jak miał w zwyczaju.

- Wciąż otrzymuję bulle papieskie domagające się oddania Wirginii Hiszpanom! - poskarżył się król wyraźnie opryskliwym tonem.

- Jeśli mogę coś dodać, Najjaśniejszy Panie - wtrącił się Smith -

to w tej chwili nie ma wątpliwości, że Wirginia należy do Was.

- No, dobrze, niech już tak będzie! - Po tym stwierdzeniu król zajął się innymi sprawami, więc Smith i Sandys wycofali się z sali audiencjonalnej.

Wychodząc na zewnątrz, sir Edwin podjął temat:

- Sam widzisz, jak trudno podtrzymywać zainteresowanie dla naszych inwestycji w Wirginii. Król nie może się zdecydować, aby przyjąć jakieś zobowiązania. To jeszcze jeden powód, dla którego chciałbym sprowadzić tu tę indiańską księżniczkę.

Domyślam się, że jest tyleż piękna, co czarująca, a więc może dopomóc nam przekonać króla do naszego przedsięwzięcia.

- Słusznie, a kiedy chciałbyś zaprosić ją wraz z mężem?

- Jeszcze nic tak prędko, bo dopiero co się pobrali. Może gdzieś za rok, żeby lady Rebeka mogła uzupełnić swoje wykształcenie.

Słyszałem, że opanowała już świetnie angielski, a teraz z powodzeniem uczy się łaciny. Czyś ty jej czasem nie znał, Smith?

Chyba pisałeś do mnie coś o niej jeszcze w tysiąc sześćset ósmym i dziewiątym.

- Rzeczywiście, kiedyś ją znałem - przyznał Smith smutnym głosem.

A więc jesteś jednym z nielicznych, którzy ją znali od samego początku naszego podboju Wirginii! Jeśli tak, to musisz być tutaj wtedy, gdy ona przyjedzie. To ważne dla całej naszej sprawy, mało tego, dla dobra Korony Brytyjskiej! - Mówiąc to, Sandys przez cały czas obserwował Smitha. — Król nie jest w pełni przekonany o lojalności Rolfe'a - mówił dalej. — Od czasu Spisku Prochowego pod każdym łóżkiem doszukuje się wroga.

Pewnie obawia się, że zechcą utworzyć w Wirginii odrębne królestwo i wielu innych mogłoby pójść za ich przykładem.

Rzeczywiście, gdyby chcieli, mogliby łatwo to zrobić. Smith milcząco przytaknął.

- Podobno król miał komuś powiedzieć, że konstytucja, którą napisałem dla Kompanii Wirgińskiej, jest zanadto liberalna -

rozwijał dalej swoją myśl Sandys. Wydaje mu się, że Rolfe'owie mogą na jej podstawie obwołać się królem i królową we własnym państwie.

Smith uśmiechnął się na samą myśl o tym. Mógł wyobrazić sobie Pocahontas w roli królowej, ale nie spiskowca!

Na zewnątrz pałacu nowo wytyczona ulica Świętego Jakuba cała była pokryta błotem. W czasie, gdy Smith i Sandys czekali, aż przyprowadzą im konie, podbiegła do nich gromadka obdartych uliczników, przepychając się, wykrzykując i wyciągając ręce po prośbie.

- W całym mieście jest mnóstwo takich bezdomnych dzieci. Ich ojcowie potracili pracę na roli. Niektórzy z biedy nawet sprzedają swoje dzieci po kilka pensów, a nabywcy później je porzucają, gdyż nie są w stanie ich utrzymać - tłumaczył sir Edwin, rzucając w powietrze kilka drobnych monet. Chłopcy natychmiast zaczęli się o nie bić.

- Moglibyśmy wybrać najdorodniejsze z tych dzieci, porządnie je wyszorować i wysłać do kolonii - podsunął Smith, ujmując wodze swego konia.

- Właśnie mamy zamiar to zrobić. Spotkamy się później w Pałacu Westminsterskim.

Sala posiedzeń specjalnej komisji Izby Gmin pękała w szwach, każdy poseł chciał bowiem wziąć

udział w dyskusji poświęconej nowej kolonii. Grube mury Pałacu Westminsterskiego nie nagrzały się jeszcze po zimie i ich chłód dawał dużą ulgę w upalnych dniach majowych. Za głęboko osadzonymi, kwaterowymi oknami połyskiwała wstęga Tamizy. Akurat przepływał nią statek rzeczny wiozący pasażerów do Chelsea lub Hampton Court.

Sir Edwin opowiedział posłom o małżeństwie Johna Rolfe'a z Pocahontas i wpływie tego związku na pokój w Wirginii.

Następnie przedstawił im swoje przemyślenia i plany związane z zaproszeniem księżniczki do Londynu. Nowiny z tego dalekiego lądu wydały się jednak zbyt egzotyczne ludziom, którzy przez cały dzień dyskutowali o ogromnym długu, w jaki wpędził państwo król wraz ze swą żoną, duńską księżniczką Anną, trwoniąc masę pieniędzy na głupstwa. Natomiast na wiadomość o pokoju nadstawili uszu.

— Czy to ma znaczyć, że tubylcy już nie będą nas atakować?

zapytał któryś poseł.

- A czy nie można by wytłuc tych dzikusów i zapewnić pokój raz na zawsze? - był ciekaw inny.

Do tych wystąpień przyłączały się inne, podobne głosy. Ktoś znowu głośno się zastanawiał, czy Anglia powinna starać się o dobre stosunki z ludźmi, którzy przez dziesięć lat mordowali i morzyli głodem jej obywateli.

Potrzebujemy przestrzeni życiowej! — krzyczał. -Trzeba osiedlić tam jak najwięcej naszych ludzi, aby stworzyć rynek zbytu na nasze towary!

Smith i Sandys próbowali przekonywać członków komisji, że pokój w kolonii jest niezmiernie ważny. Głosy w tej materii były podzielone, zwyciężył jednak pogląd, że należy spróbować utrzymać rozejm. Opuszczając Izbę Gmin Smith myślał: - Ci głupcy nie mają pojęcia, jak trudno jest prowadzić wojnę z gotowymi na wszystko Powhatanami!

Rozdział 24

Henrico,

październik 1615 roku

Pocahontas czule spoglądała na swojego małego synka w kołysce. Był podobny bardziej do niej niż do Johna. Jednak jeszcze przed jego urodzeniem postanowiła, że będzie go wychowywała jak angielskie dziecko. Toteż przez pierwsze miesiące jego życia nie spowijała go ciasno w skóry, jak postępowano z dziećmi w jej plemieniu, rzekomo po to, aby miały proste i mocne plecy. I tak zresztą chłopiec był prosty jak świeca.

Na jego chrzest stawili się prawie całe Jamestown. Nadano mu imię Thomas na cześć sir Thomasa Dale'a. Pocahontas była wzruszona troską i miłością, jaką wszyscy obdarzali jej dziecko.

Przypuszczała jednak, że działo się tak, ponieważ uważano je za żywy symbol pojednania między Anglikami a Powhatanami.

Ciekawe, jak wyglądałoby tamto jej dziecko, które straciła. Czy tak jak ona, czy miałyby jasne włosy i niebieskie oczy? Teraz już dużo rzadziej poświęcała myśli Smithowi, ale wspomnienie wciąż było bolesne i nie była pewna, jak zachowałaby się, gdyby któregoś dnia zszedł z pokładu jakiegoś statku.

Odeszła od dziecka, aby wyrzeć przez okno. Był pogodny jesienny poranek i na tle błękitnego nieba to czerwieniły się, to złociły liście drzew. Zbiory tytoniu

udały się nadzwyczajnie. Pękała z dumy stojąc u boku męża, kiedy bele sprasowanych liści ładowano na statki i wysyłano do Anglii. Jej wiedza przydała się do wyhodowania nowej odmiany tytoniu. Zresztą w kolonii zwracano się teraz do niej o porady nie tylko w dziedzinie rolnictwa, ale także polowania i rybołówstwa.

Osadnicy wiedzieli bowiem, że gdy sama dokładnie czegoś nie wie - radzi się swojej rodziny lub innych członków plemienia.

Toteż u drzwi domu w majątku Varina nie milkł nigdy dzwonek.

Teraz dzwonił także.

W drzwiach stała Naha, żona Pochinsa. Pocahontas od razu wiedziała, że jej bratowa będzie chciała natychmiast przebrać się w europejską suknię. Kiedy tylko przebywała w Jamestown, starała się naśladować styl życia Anglików. Kopiowała nawet sukienki Pocahontas, nie chciała tylko mieć nic do czynienia z Bogiem białych. Nadal czciła Ahone i Okeusa, jak też składała im ofiary. W końcu, jak stwierdziła, tym bogom zawdzięczała, że zesłali jej Pochinsa na męża.

Naha chętnie towarzyszyła Pocahontas, gdy ta odwiedzała znajomych w Henrico lub Bermuda Hundred. Pocahontas zachęcała ją do tego, ponieważ Naha jako jedyna z plemienia Powhatanów przychodziła z wizytą do białych. Natomiast wielu Anglików uciekało do Indian, aby żyć ich życiem. Podczas odwiedzin w angielskich domach Naha siedziała cicho w kącie, próbując podglądać angielskie maniery i jak najwięcej zrozumieć z toczonych rozmów.

Pocahontas zdradziła jej, że kiedy wybierają się razem do miasta, ich angielscy znajomi już zawczasu rywalizują między sobą, kto ma je gościć.

- Słyszałam, że kobiety w Anglii nie mają tyle wolności co my tu

- pouczała Nahę. — Natomiast te,

które żyją obok nas, widzą naszą niezależność, jak wiele mamy do powiedzenia, jak pracujemy ramię w ramię z naszymi mężczyznami, a nawet rządzą nimi. Zaczynają więc nas naśladować, a ich mężczyźni nie mają wyboru, bo tu jest mało kobiet.

Naha z kolei odniosła wrażenie, że miejscowym kobietom imponuje raczej królewska krew Pocahontas. Owszem, lubiły ją za jej życzliwość, ale nie udało się ukryć, że goszczenie w domu

księżniczki jest dla nich zaszczytem.

Mniej więcej co kilka tygodni Pocahontas, kiedy odwiedzał ją ktoś z Werowocomoco, prosiła go, aby uprzedził jej ojca, że się do niego wybiera. Wtedy Powhatan przysyłał po nią delegację.

Pocahontas przebierała się w indiańskie ubranie ze skór, brała dziecko i wpadała do ojca na kilka dni. Wielki wódz uwielbiał

wnuka - brał go na ręce, podrzucał do góry i nie spuszczał z oka podczas całego jego pobytu. Nadał mu także indiańskie imię Pepsiconemeh, gdyż twierdził, że nieposiadanie przez chłopca powhatańskiego imienia byłoby obrażą bogów. A kiedyś wyznał

Pocahontas, że zawsze zastanawiał się, co może wyjść z połączenia krwi dwóch różnych narodów. Czy coś takiego jak po zmieszaniu słonej wody morskiej ze słodką wodą z rzeki?

- Na pewno nic złego z tego nie wyjdzie - zapewniała go Pocahontas ze śmiechem.

Z wizyt u ojca wracała odmieniona, czuła się znów jak młoda dziewczyna. Podążała do Variny biegiem, wyprzedzając swoją obstawę, wpadała jak wichur do domu i szukała Johna Rolfe'a.

Czasem dla żartów chował się przed nią, pozwalając jej przeszukiwać

wszystkie zakamarki. Zdążyła już pokochać swego męża i życie przy jego boku. Był przecież życzliwym i pobożnym człowiekiem, na którym mogła polegać.

Rolfe ukończył studia w Cambridge. Kiedy przed trzema laty poznał Pocahontas, od razu rzuciły mu się w oczy jej wrodzone zdolności językowe. Kiedy zaczął stopniowo zaznajamiać ją z łaciną i greką - rzuciła się do nauki tych języków z takim zapałem, że obawiał się o jej oczy. Co wieczór bowiem śleczyła nad książkami do późna, przy świecach i świetle ognia z kominka.

Nie interesowała się natomiast zbytnio historią. Nie potrafiła też wyjaśnić Johnowi, dlaczego tak jest. Domyślał się tylko, że kultura, którą niedawno poznała, była dla niej czymś zbyt świeżym, aby sięgać do przeszłości. Ponadto w jej plemienu też nie było tradycji ustnego ani pisemnego przekazu minionych dziejów.

Pocahontas była dumna z domu, jaki wybudował dla niej Rolfe.

Był z cegły, podobnie jak i jego replika, którą wybudowano w Werowocomoco dla Powhatana. Służba, przysłana przez ojca, utrzymywała dom we wzorowej czystości. Tego właśnie ranka musiała wydać jej szczegółowe dyspozycje, gdyż spodziewali się na kolacji sir Thomasa Dale'a.

Co jakiś czas opuszczał on Jamestown i objeżdżał miasta oraz forty, aby sprawdzić, czy ustanowione przez niego prawa są przestrzegane. Pocahontas utrzymywała „dom otwarty” dla wszystkich krewnych i znajomych, ale szczególnie cieszyła się z jego odwiedzin, gdyż dużo opowiadał o Londynie. Krzątając się po domu, westchnęła:

- Ach, Londyn! Trudno uwierzyć, że takie miejsce w ogóle istnieje!

Na kolację podano jako przystawkę ostrygi w sosie chrzanowym (chrzan pochodził z ogródka w stylu angielskim) i pomidory z sadzonek powhatańskich. Podano też smażone kraby przyrządzone tak, jak to robili Powhatanie, a złowione przed uformowaniem się skorup.

Sir Thomas Dale zwrócił się do gospodyni z komplementem:

- Ach, księżniczko, prowadzisz najlepszą kuchnię w całej kolonii.

Zresztą twoi rodacy słyną jako doskonali kucharze!

Pocahontas uśmiechnęła się, gdyż bawiło ją, że sir Thomas nie nazywa jej ani lady Rebeką, ani panią Rolfe.

- Staram się łączyć naszą narodową kuchnię z tym, czego się nauczyłam od znajomych w Henrico - odpowiedziała.

- No, Rolfe, jesteś szczęściarzem. Trafiła ci się tak piękna i utalentowana żona!

Jako danie główne podano bekasy pieczone z grzybami, indyka w sosie z ostryg i rzadki przysmak -- baraninę w miętowym sosie.

Bydło i owoce hodowano w kolonii od niedawna, toteż poszczególne sztuki zarzynano dopiero po wydaniu jak największej liczby potomstwa, czyli - kiedy już były bardzo stare.

Daniom mięsnym towarzyszyły bulwy i kapusta morska.

Sir Thomas nadal zwracał się do Pocahontas:

- Też chciałbym znaleźć sobie żonę z waszego plemienia. Teraz przecież między nami panuje pokój, a ostatnio zdążyłem trochę poznać waszych ludzi, waszą pogodę ducha, dworne maniere i dostojeństwo. Wystarczy zresztą popatrzeć na was. Jesteście tak zgodną parą. Mnie się chyba tak nie poszczęści.

Pocahontas i Rolfe wymienili między sobą zdziwione spojrzenia.

- Oczywiście, macie prawo nie wiedzieć - uzupełnił swoją wypowiedź - że jakiś czas temu posłałem swatów do twojego, księżniczko, ojca. Prosiłem go o rękę twojej młodszej siostry, Quimki. Niestety, wasz ojciec dał mi kosza.

Pocahontas była bardziej niż zdziwiona, wręcz zaszokowana!

Przecież wszyscy wiedzieli, że Dale ma w Anglii żonę, a podobno chrześcijanom wolno mieć tylko jedną małżonkę.

Czyżby Anglicy chcieli naśladować indiańskich wodzów?

Twój ojciec odpowiedział mi - ciągnął dalej sir Thomas że planuje wydać Quimkę za wodza

jakiegoś plemienia o trzy dni drogi od Werowocomoco. Dodał jeszcze, że wystarczy, iż oddał

Anglikom swoje najukochańsze dziecko. Choć ma dużo dzieci, jednak żadnego z nich nie kochał tak gorąco jak ciebie! - tu obdarzył Pocahontas rzadko goszczącym na jego twarzy uśmiechem.

Potem Dale rozsiadł się wygodniej, oparł dłonie na poręczach krzesła i zmienił temat:

Dostałem list od Kompanii Wirgińskiej... Rolfe'owie już z góry odłożyli noże i widelce.

- ...Nasz wspólny znajomy sir Edwin Sandys w imieniu Kompanii zaprasza was oboje do Londynu. Spodziewa się, że osoba księżniczki Pocahontas wiele zdziała dla propagowania idei inwestycji w Wirginii.

W pokoju zapanowała cisza.

- Oczywiście macie czas, wyruszyście dopiero na wiosnę, po zimowych sztormach - dodał szybko Dale. - Towarzyszyłbym wam w poroży.

Pocahontas poczuła dreszczyk podniecenia - a więc zobaczyłaby Londyn! Po chwili jednak coś boleśnie ścisnęło ją w gardle. Przecież tam jest John Smith! Starła się zapanować nad sobą, aby nie uzewnętrzniać miotających nią uczuć. Musiała jednak coś powiedzieć, gdyż oczekiwano tego po niej.

- Czuję się zaszczycona - wyjąkała ledwie dosłyszalnym szeptem.

- To bardzo uprzejmie ze strony Sandysa - przejął inicjatywę Rolfe - ale nie dziw się, że moją żonę to zaskoczyło. Musimy to poważnie przemyśleć. Naturalnie pochlebia nam, że Londyn ma o nas tak dobre zdanie... - urwał i spojrzał z niepokojem na żonę, bo widać było, że czuje się jakoś niewyraźnie.

- Księżniczko! - Dale przemówił bezpośrednio do niej. - Cały Londyn przywita cię z otwartymi ramionami. Planuje się liczne uroczystości na twoją cześć. Pomyśl też, jak dopomożesz tą podróżą w interesach swojemu mężowi i waszym przyjaciółom w kolonii.

Dale nie wspominał tylko, ile listów wysłał już do króla Jakuba, aby rozwiać jego niemądre obawy przed tym, jakoby księżniczka Pocahontas wraz z Johnem Rolfe'em mogli oderwać Wirginię od Anglii i proklamować tam samodzielne państwo. Był to główny powód, dla którego sir Thomas tak usilnie starał się zachęcić Pocahontas, aby przyjechała do Anglii i osobiście zdementowała tę wersję.

Pocahontas próbowała zająć się puddingiem z dyni i plackiem z truskawkami, nad którym się tak napracowała, ale nie mogła przełknąć ani kęsa. Odłożyła więc widelec i z wymuszonym uśmiechem oświadczyła sir Thomasowi:

- Ta propozycja spadła na mnie tak nagle... Bardzo chciałabym zobaczyć Londyn, ale to tak daleko stąd...

- A więc załatwione! - Dale z ulgą podniósł do ust kieliszek.

John Rolfe wiedział jednak, że to nie takie proste. Dał znak Pocahontas, aby zostawiła ich samych, pod pozorem, że chcą napić się wina i wypalić fajki. Chętnie wstała od stołu i przeszła do pokoju swego synka, który akurat spał. Szkoda, bo porwałaby go w ramiona i przycisnęła do serca, aby poczuć się pewniej.

Żyła się jej już tak spokojnie, przyjemnie i satysfakcjonująco, a tu nagle nowe wyzwanie! Wprawdzie wyobrażała sobie Londyn jako cudowne miasto, ale nie przypuszczała, aby kiedykolwiek mogła naprawdę go zobaczyć.

Zwłaszcza że mieszkał tam John Smith! Nie miała pojęcia, jak się zachowa, gdy go znów ujrzy. Tu, gdzie teraz mieszka, jest u siebie, natomiast w Londynie będzie zagubiona, zwłaszcza po długiej morskiej podróży. A wtedy on może znowu wtargnąć w jej życie. Tym bardziej że ojcowie miasta będą na pewno wspominać pierwsze lata podboju Wirginii, kiedy Smith był jedną z czołowych postaci kolonii. Pocahontas bała się, że gdy tylko raz na niego spojrzy, pogrzeje się w otchłani upadku.

Uklękła więc przy łóżeczku dziecka i zaczęła się żarliwie modlić.

Wiedziała przecież, że Bóg chrześcijański nie jest tak wyrozumiały dla słabości ludzkiego ciała jak jej dawni bogowie.

Nie wiedziała, czy to grzech, że serce zaczyna bić jej mocniej, gdy wspomina Johna Smitha. Co gorsza, nie miała kogo o to zapytać.

Kiedy usłyszała kroki męża na schodach i wyszła mu naprzeciw, była już spokojniejsza. Przypomniła sobie, jak ją pouczał, że modlitwa daje człowiekowi siłę

i rzeczywiście tak było. Musi po prostu zaufać Bogu i robić to, czego od niej oczekuje. Uśmiechnęła się więc promiennie do męża i wyciągnęła do niego rękę.

W najbliższych dniach Pocahontas to przepełniało podniecenie, to niepokój na myśl o czekającej ją podróży. Starła się odganiać złe myśli, tłumacząc sobie, że musi spełnić swój obowiązek. Ze łzami w oczach oświadczyła tylko mężowi, że bez Thomasa nigdzie się nie ruszy. Rolfe zapewnił ją, że nikt nie zabroni jej zabrać dziecka ze sobą, i odetchnął z ulgą, bo wydawało mu się, że to było przyczyną jej niepokoju.

Wszędzie leżał już śnieg, kiedy złożyła ojcu długo odwlekaną wizytę w Werowocomoco. Tam, w cieplej atmosferze, otoczona życzliwością swoich rodaków, napawając się ich barwnymi strojami, pieśniami i znakomitymi potrawami, znowu odżyła.

Mały Thomas zaczynał już płatać pocieszne figle, co czyniło jej pobyt jeszcze atrakcyjniejszym. Czuli się tak, jakby powróciła do swoich lat dziecińczych. To ją wzmocniło i odświeżyło.

Oczywiście ojciec był przeciwny jej podróży za ocean. Wygłosił

długie kazanie, w którym ostrzegał ją, że jedzie do obcego kraju, gdzie za każdym drzewem czyha wróg. Wzruszyła się jego troską i obiecała, że wkrótce razem z synem przyjedzie znowu.

Cztery tygodnie później, kiedy Pocahontas szykowała się do złożenia następnej wizyty ojcu - kurier z wioski przyniósł

wiadomość, aby pod żadnym pozorem nie przyjeżdżała. Okazało się bowiem, że w kilku powhatańskich osadach na wybrzeżu szaleje tajemnicza zaraza. Objawiała się u większości dzieci i części dorosłych najpierw osłabieniem, potem wysoką gorą-

czką i czerwoną wysypką na całym ciele. Już po kilku dniach nastąpiły pierwsze zgony. Między innymi umarło dwoje dzieci Mehty i była żona Powhatana, niewierna Sacha. Na wygnaniu postarzała się i zmizerniała, a teraz powaliła ją choroba.

Na szczęście sam Powhatan czuł się dobrze, ale jego podwładnych większym strachem niż sama epidemia przejmowała całkowita bezsilność kapłanów. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ich sztuka medyczna i zaklęcia nie przynosiły skutku. Wielki wódz zakazał więc jakichkolwiek kontaktów z wioskami objętymi zarazą, aby złe duchy wywołujące chorobę nie przemieszczały się między ludźmi. Nic też dziwnego, że rozpacz ogarnęła całą południową część Siedmiu Królestw.

Pocahontas opowiedziała o tajemniczej chorobie swoim znajomym w Henrico. Wtedy okazało się, że przypadki zachorowań, łącznie z czerwoną wysypką, zdarzały się już u miejscowych dzieci, lecz większość z nich wyzdrowiała. Przed kilku tygodniami dwa przypadki choroby wystąpiły także w Jamestown, ale stamtąd zaraza się nie rozprzestrzeniła.

Przez najbliższe tygodnie Pocahontas szczególnie uważnie obserwowała Thomasa. Na wszelki wypadek kąpała go częściej, dokładnie szorując, co powodowało jego głośne protesty.

Karmiła go też lepiej niż dotąd i modliła się gorąco.

Wiosną, gdy zakwitły pierwsze żonkile, nadszedł czas, by wyruszyć w drogę. Pocahontas miała zamiar zabrać ze sobą około dwunastu osób towarzyszących, w tym Mehtę i jej męża Tomoco.

Także i Powhatan, kiedy mogła go już odwiedzić po wygaśnięciu zarazy, przychylił się do tego pomysłu. Uważał bowiem, że zmiana otoczenia odwróci uwagę Mehty od żalu po zmarłych dzieciach, a co za tym idzie - prędko pojawią się nowe.

Z kolei Pocahontas poprosiła ojca, aby mógł z nią jechać Pamouic. Wielki wódz wyraził zgodę, aczkolwiek odnosił się sceptycznie do całej wyprawy. Na pożegnanie mocno uściśnął

córkę.

W ciągu ostatniej nocy poprzedzającej podróż za ocean Pocahontas nie zmrużyła oka. W domu sir Thomasa, gdzie nocowali, wszystko jej przeszkadzało: i inne niż zwykle łóżko, i podniecenie przeplatające się z oczekiwaniem, i uczucie lekkiego lęku. Obawy ustąpiły dopiero wtedy, gdy ujrzała znajomy statek

„Treasurer”, odnowiony i załadowany towarami, które wiózł do Anglii.

Przystań była pełna odprowadzających. Kto tylko mógł oderwać się od pracy, spieszył, aby życzyć szczęśliwej drogi młodej księżniczce, na której barkach spoczywały teraz nadzieje wszystkich mieszkańców kolonii. Aż do momentu podniesienia kotwicy Pocahontas liczyła, że zobaczy jeszcze na brzegu swego ojca lub przynajmniej jego wysłannika. Była rozczarowana, że nie widać nikogo z Werowocomoco, gdy w tłumie ujrzała Pochinsa i Nahę. Naha żartowała, że też wybiera się do Londynu, ale Pocahontas wiedziała, że bratowa za nic nie oddaliłaby się na tak długo od Pochinsa.

Dowódcą statku był Samuel Argall. Wody końcowego odcinka rzeki, szerokiej na półtora kilometra, były spokojne i lekki wiaterek dmuchał w żagle. Przed samym ujściem do zatoki obserwator krzyknął:

— Tu płyną jakieś łodzie!

Załoga i pasażerowie wybiegli na pokład. Przed nimi na tafli rzeki zaroilo się od barwnych indiańskich łódek. Mały synek Pocahontas wydawał okrzyki zachwytu na widok wojowników w jaskrawych barwach obrzędowych i pióropuszech, śpiewających co siły w gardłach specjalną pieśń o morzu. Był wśród nich wielki wódz Powhatan, który zaprzysiągł, że nie postawi stopy na ziemi białych, ale ta rzeka należała przecież do niego! Przy płynął więc, aby pożegnać się ze swoją córką i wnukiem.

Już na morzu, po kolacji, Dale wyciągnął z zanadrza list.

- Tym statkiem sir Edwin Sandys przesłał z Londynu wiadomość dla nas. Pisze, że twój, księżniczko, stary znajomy, John Smith, napisał dla ciebie list polecający do pałacu. Sandys jest pewien, że Ich Królewskie Mości chętnie cię przyjmą.

Pocahontas była zła na siebie, że wspomnienia tak łatwo potrafią owładnąć jej życiem. Przeprosiła towarzystwo przy stole i wyszła na pokład. Stała przy relingu, wpatrując się w fosforyzującą smugę kilwateru.

Nie mogę wiecznie czuć się jak zaszczute zwierzę! łajała samą siebie. — Muszę za wszelką cenę być silna!

Rozdział 25

Londyn,

czerwiec 1616 roku

Pocahontas leżała w łóżku, wygrzewając się w plamie światła słonecznego padającego z okna. Cieszyło ją przyjęcie, jakiego doznawała na ulicach, w salach posiedzeń różnych komisji, na przyjęciach i balach. Dziwiło ją, co w niej tak fascynuje mieszkańców Londynu. Potem zdała sobie sprawę, że intryguje ich raczej Nowy Świat, który reprezentowała. Mimo to było przyjemnie czuć się osobą tak ważną, ale większą jeszcze satysfakcję dawało jej to, że promowanie kolonizacji Wirginii mogło dać tylu ubogim i bezdomnym szansę na nowe życie.

Mieszkali w Londynie już trzeci dzień, w zajeździe wynajętym przez Kompanię Wirgińską. Przez cały

ten czas wszystko, co widziała, wprawiało ją w oszołomienie. Nawet przykre zapachy przestały już jej przeszkadzać. Za małą opłatą można było zwiedzać budynki z pruskiego muru, parki pełne kwiatów i ptaków. Przede wszystkim jednak fascynował ją gwar uliczny

-hałaśliwy, rozgadany tłum kłębiący się w wąskich zaułkach, skrzypienie kół wozów, ryk bydła pędzonego na targ, nawoływania ulicznych handlarzy i tragarzy lektyk. Wystarczyło wystawić głowę z okna zajazdu „Belle Sauvage”, a już wpadało się w wir ulicznego ruchu i gwaru. Sceny uliczne były na tyle zajmujące, że

pozwalają jej zapomnieć o lęku, jakim przejmowała ją myśl o tym, że do jej drzwi może zapukać człowiek -ostatni spośród tych, których chciałaby teraz spotkać.

Na początek u właściciel zajazdu bał się powhatańskich służących, których narodowe stroje nadawały im dziki wygląd. Zabrali się oni do generalnych porządków z taką pasją, że strach chwycił na myśl, jak groźni byłiby w gniewie. Kiedy jednak po tym sprzątaniu wyniosły się myszy i szczury, oberżysta musiał

przyznać, że egzotyczne metody są skuteczne. A małego synka księżniczki tak polubił, że zgodził się oddać cały zajazd do wyłącznej dyspozycji jej orszaku, dopóki sir Edwin mógł mu za to płacić.

Sir Edwin Sandys zalecił Pocahontas, aby rano wysypiała się do późna. W przeciwnym razie, jeśli nie będzie się oszczędzała, rozliczne bale, kwesty, przyjęcia i inne obowiązki towarzyskie niechybnie nadwątlą jej zdrowie. Nie musiał jej przypominać, że wszystkie koszty poniesione na pokrycie jej pobytu miały służyć sprawie rozwoju osadnictwa i zagospodarowania Wirginii.

Stosowała się do jego poleceń nie tylko dlatego, że był jej sponsorem - po prostu był bardzo sympatyczny.

Jej myśli leniwie krążyły wokół szelestu taftowej sukni w kolorze lawendy, jaką miała na wczorajszym balu, oraz zapowiedzi poprzedzających jej wejście gdziekolwiek: „Pani Rolfe, księżniczka Pocahontas, i John Rolfe, generał z Wirginii”.

Mąż wpatrywał się w nią z uwielbieniem, kiedy bezbłędnie dawała sobie radę z trudnymi krokami branie. Jej dłoń spoczywała wtedy na obleczonym w atlas ramieniu księcia Walii.

Księżę Karol zasypywał ją niezliczonymi pytaniami dotyczącymi jej ojca i całego plemienia. Był oczarowany wszystkim, co miało zwią-

zek z Wirginią, a wściekły na tych, którzy nie pozwalali mu samemu zwiedzić Nowego Świata.

— Mówią, że tam jeszcze nie jest bezpiecznie! - skarżył się, a na jego młodej, sympatycznej twarzy odbijała się bezbrzeżna pogarda dla tchórzliwych rodziców.

Wspomnienia tamtego wieczoru napływały stopniowo. Jedno z nich spowodowało, że gwałtownie usiadła na łóżku, odrzucając kołdrę.

Było to przyjęcie wydawane przez jednego z najpoważniejszych inwestorów w Wirginii, sir

Thomasa Legge'a. Miał on w Londynie dom obwieszony wewnątrz brukselskimi arrasami.

Jego goście, pochłaniający góry płatów wędzonego łososia i popijający je galonami reńskiego wina, chętnie deklarowali spore sumy na fundusz kolonizacyjny. Pocahontas zajała się truskawkami z bitą śmietaną, słuchając tyrady tęgiego wiceministra spraw zagranicznych, który stał po jej prawej ręce.

— Poszczyło ci się, pani, że w tych trudnych dla Wirginii czasach jesteś żoną jednego z nas. Inni wasi ludzie nie będą mieć takiej ochrony!

Powiedział to z uśmiechem, ale coś w jego głosie wskazywało, że mówił poważnie. Mimo że przez resztę wieczoru przedstawiono jej wiele ważnych person — ta wypowiedź wiceministra wciąż powracała echem. Kiedy wieczorem w zajeździe powtórzyła to Johnowi Rolfe'owi - stwierdził, że była to tylko czcza gadanina.

Nie mogła jednak przejść nad tą sprawą do porządku dziennego, toteż następnego dnia poruszyła ten temat w rozmowie z sir Edwinem.

I rzeczywiście, Sandys bez ogródek potwierdził:

— Istotnie, pewien odłam w parlamencie uważa, że Anglia powinna zabezpieczyć swoje interesy u wy-

brzeży Wirginii poprzez użycie siły i wyparcie Po-whatanów w głąb kontynentu.

Pocahontas jeszcze raz powtórzyła to Johnowi Rolfe'owi, dodając, że muszą natychmiast coś zrobić, aby powstrzymać rozpowszechnianie się tego rodzaju poglądów. Najwidoczniej ich głosiciele nie zdawali sobie sprawy, jakie konsekwencje ściągnęliby na osadników, gdyby jej ojciec obrócił przeciw nim całą swoją potęgę militarną.

- Dopiero co przyjechaliśmy - John Rolfe wziął ją w ramiona i przycisnął usta do jej włosów — więc na razie nie możemy się przejmować każdą pogłoską. Jeśli chcesz, zbadam tę sprawę dokładnie. Może kilku popędliwych panów wyciągnęło jakieś pochopne wnioski. Jeżeli tak, trzeba będzie to sprostować. No i musimy dobrze uważać, czy gdzieś nie pojawią się ciągoty do wojny. Osobiście, przynajmniej w łonie grupy inwestorów, nie zauważyłem nic takiego.

To ją chwilowo uspokoiło. Pocahontas skupiła teraz swoją uwagę na szczególnym spektaklu, w którym miała wziąć udział. Po raz pierwszy w życiu wybierała się do teatru! Na tę okazję ubrała się w zieloną jedwabną suknię, ale bez głębokiego dekoltu, choć niektóre damy nosiły je tu nawet przed południem. Żałowała, że nie ma do niej szmaragdów, ale perły też zwracały powszechną uwagę i pasowały do jej cery.

Pójście do teatru było pewnym ryzykiem, gdyż wielu możnych panów, którzy popierali inicjatywę wirgińską, uważało teatr za siedlisko zgnilizny moralnej. Innego zdania była para królewska -

popierali oni działalność teatrów w stolicy. Mobilizowało to aktorów do pracy nad sobą - najlepsi mieli szansę występu na dworze królewskim!

Pocahontas mocno naciskała sir Edwina Sandysa, aby mogła coś takiego zobaczyć. Sponsorzy zdecydowali się spełnić jej kaprys, tym bardziej że właściciel teatru, Henry Condell, był gotów ich poprzeć. Sandys przypomniał sobie, że William Shakespeare, autor wystawianej dziś sztuki, brał czynny udział w organizacji przyjazdu Pocahontas do Londynu. Niestety, zmarł przed kilkoma miesiącami. Sztuka miała tytuł *Burza* i była osnuta na kanwie autentycznego wydarzenia - rozbicia się statku, co John Rolfe przeżył na Bermudach.

Po wejściu do teatru „Globe” Pocahontas zdumiała się. Nigdy jeszcze nie widziała takiej masy ludzi stłoczonej na tak małej powierzchni. Cztery kondygnacje balkonów wznosiły się chyba do samego nieba! Wydawało jej się cudem, że cała konstrukcja nie zawaliła się pod ciężarem zgromadzonych widzów.

Uprzedzono ich o przybyciu zagranicznych gości, toteż gdy Pocahontas ze swą asystą szła do pierwszych rzędów, wszyscy kręcili się i wyciągali szyje, aby zobaczyć zamorską księżniczkę.

- Ależ oni hałasują! - poskarżyła się Condellowi, gdyż widzowie nawet w czasie przedstawienia szeptali, przekrzykiwali się i zajadali orzechy, rozrzucając ich skorupki. Tymczasem u Powhatanów, kiedy ktoś tańczył lub przemawiał - panowała absolutna cisza.

— Widzowie teatralni w tym kraju nie należą do dobrego towarzystwa - wyjaśnił Condell z kwaśnym uśmiechem.

Pocahontas była zachwycona wszystkim — zarówno akcją sztuki, jak i bliskością rozgrzanych emocją ludzi, barwnymi sukniami kobiet i pełnymi uwielbienia spojrzeniami mężczyzn.

Usiadła wygodnie w fotelu i oddała się kontemplacji tego, co się działo na scenie.

- Nudne to jakieś! - usłyszała komentarz widza z parteru.

Wywołało to lawinę innych komentarzy i gwizdów.

- Przynajmniej twój mąż, pani, interesuje się sztuką - szepnął

Condell do Pocahontas.

Spojrzała na męża i zauważyła, że siedzi pochylony, a w oczach ma łzy. Oczywiście było, że przeżywał w tej chwili powtórnie burzę na Bermudach, w trakcie której stracił żonę i dziecko. Na pewno teraz znów myślał o nich.

Chciała położyć rękę na jego ramieniu, gdy uświadomiła sobie, że w takich chwilach na pewno John wolałby być sam ze swoimi problemami. Nie tylko dramat rozgrywający się na scenie, ale i powrót do Londynu rozbudził w nim wspomnienia. Z przykrością pomyślała, że zanim ją poznał, jego pożycie małżeńskie musiało być szczęśliwe, nie takie jak jej z Kokumem. W tym momencie jednak głos wewnętrzny przypomniał jej Johna Smitha. No nie, czy zawsze pobyt w teatrze musi wywoływać taką lawinę wspomnień? Woląła skupić się na akcji sztuki.

Po powrocie z teatru, kiedy przebierała się na bal w suknię z brzoskwińowego atłasu, pierwszy raz

krępowwała się odezwać do swego męża. Nie wiedziała, od czego zacząć, więc zdecydowała pozostawić sprawy ich własnemu biegowi, choć jasne było, że gdy już przyślą po nich lektyki - rozmowa będzie utrudniona, bo tragarze lektyk podsłuchiwali, a na ulicach setki oczu taksowały ich z okien, pod nogami pętały się zgraje żebrzących wyrostków, a na śliskich brukowcach łatwo było o wypadek. Do tego wszędzie tak śmierdziało, że Pocahontas musiała przez całą drogę trzymać przy nosie uperfumowaną chusteczkę. Mogła za to nacieszyć oczy widokiem wykwintnych kamienic, pałaców i kościołów.

Na tym balu Condell pierwszy poprosił ją do tańca. Zwierzyła mu się, jak bardzo oboje z mężem byli zachwyceni sztuką Shakespeare'a i jak chciałyby obejrzeć na scenie inne utwory tego autora. Condell był ciekawy, czy mieszkańcy jej kraju znają sztukę dramatyczną. Pocahontas roześmiała się i zapewniła go, że tańce powhatańskie podobałyby mu się najbardziej.

— Czy Powhatanie umieją tańczyć tak jak my? — indagował.

Tańczyli akurat kuranta, powolny taniec z ukłonami.

— Nasze tańce są zwykle żywsze — odpowiedziała. — Ale najlepiej tańczy się je nago!

Roześmiała się widząc, że zaszokowała partnera. Kiedy taniec się skończył, dostrzegła, jak między tancerzami przepycha się John Rolfe, a za nim sir Edwin Sandys.

— Księżniczko! — zaczął ten ostatni. — Twój mąż się martwi, że wzięłaś sobie do serca polityczne spekulacje na temat twego ojca.

Czy nie chciałabyś sama zabrać głosu w parlamencie?

Pocahontas uściśnęła ręce swego męża z wdzięczności za jego troskliwość. Widziała, że odzyskał już dobry humor. Spojrzała zakłopotana w stronę sir Edwina. Liczyła, że to on w jej imieniu przedstawi tę sprawę, bo była już zmęczona ciągłym przekazywaniem czyichś poglądów. W końcu temu przede wszystkim służył jej przyjazd do Londynu.

— A czy oni zechcą mnie wysłuchać? — zapytała.

— Jestem pewien, że posłowie zainteresują się tym, co masz do powiedzenia. Wystąpisz jednocześnie jako

przedstawicielka kolonii i córka króla, którego pewni panowie chcieliby obalić. Myślę, że powinnaś przedstawić im, jak naprawdę wygląda sytuacja w Nowym Świecie.

Pocahontas utwierdziła się w przekonaniu, że musi przemówić do członków parlamentu, choćby nie wiadomo jak się bała.

Popatrzyła na salę balową i zamiast kielichów wina, głów w perukach i klejnotów przed jej oczami zaczęły się przesuwać wydarzenia z miesięcy i lat walki o pokój w Wirginii. Ileż to kilometrów przeszła, przenosząc propozycje, warunki i zalecenia dotyczące pokoju między Anglikami a Powhatanami. Widać znów przypadła jej funkcja „gołąbka pokoju”.

Oświadczyła sir Edwinowi, że nie chce czekać ani dnia dłużej.

Przemówi do tych malkontentów w parlamencie, zanim utwierdzą się w swoich poglądach. Mało tego, wie dokładnie, co chce powiedzieć. Sandys obiecał więc, że doprowadzi do jej wystąpienia w parlamencie w ciągu najbliższych tygodni.

Wśród wielu ważnych osobistości, jakie odwiedziły Pocahontas w zajeździe, był także sir Walter Raleigh, warunkowo zwolniony z więzienia w Tower. Rozmawiali długo o perspektywach rozwoju kolonii, a on słuchał z miną człowieka, którego marzenia nie spełniły się do końca. Nic dziwnego, dwanaście lat przesiedzianych za kratami zrobiło swoje! Wtrącono go do Tower wskutek fałszywego oskarżenia o spiskowanie z Hiszpanami - podejrzewano go o usiłowanie osadzenia na tronie Arabelli Stuart.

Sir Walter, kiedy się dowiedział, że Pocahontas ma wygłosić mowę w parlamencie, uświadomił jej, że posłowie reprezentują tam przede wszystkim swoje hrabstwa i łamią sobie głowy, jak zdobyć pieniądze.

Król Jakub naraża bowiem skarb państwa na duże wydatki.

Posłowie zasadniczo są porządnymi ludźmi, tylko nudzą ich już nieustanne dyskusje nad wysokością podatków. Wielu z nich nigdy nie przekroczyło granic Anglii, więc perspektywa zamorskiej wojny mogła wydawać się kusząca. Na zakończenie poradził Pocahontas, aby mówiła prosto i rzeczowo.

Na swoje wystąpienie w parlamencie Pocahontas ubrała się w czerwoną suknię, gdyż - jak tłumaczyła Sandysowi - w jej plemieniu kolor ten symbolizował odwagę. Włosy upięła w kok, a kapelusz zdobiły trzy złote wstęgi zwinięte w kształt mitry.

- Cudzoziemcy nie mają prawa zabierać głosu w sali posiedzeń Izby Gmin - objaśniał sir Edwin. - Będiesz więc przemawiać w sali zebrań którejś komisji, gdzie będzie około trzydziestu osób.

Powozem sir Edwina wjechali na dziedziniec Pałacu Westminsterskiego i Sandys wprowadził Pocahontas pod kamienne krużganki tego gmachu. Na dworze padało, a przez wysokie okna widać było szarą taflę rzeki.

Wejście Pocahontas spowodowało, że obecni natychmiast zamilkli. Dzięki temu jej głęboki głos, choć z lekkim obcym akcentem, był dobrze słyszalny. Mówiła o swoim pięknym kraju, bogatym w surowce naturalne, i o swoim dzielnym narodzie.

Opisywała w szczegółach lata walk towarzyszących osiedlaniu się Anglików i niechęć tubylców, do której przełamania potrzeba było siedmiu lat, zanim zdołano utrwalić zaufanie i pokój między oboma narodami. Potem zapewniła, że jej ojciec jest człowiekiem honoru, który nigdy nie łamie danego słowa, i dodała:

- Gdyby jednak strona angielska nie dotzymała

układów pokojowych z moim ojcem i zaatakowała go, będzie walczył. Nie tak jak przedtem, kiedy nie był jeszcze całkowicie zaangażowany w tę wojnę. Tym razem rzuciłby przeciw Anglikom całą

swoją siłę militarną, a ma nie tylko tysiące wojowników, lecz także wiele zdobycznych mieczy i dział.

Anglia nie byłaby w stanie utrzymać stałego zaopatrzenia swoich oblężonych fortów. Zwracam się więc do was, panowie, abyście nie dopuścili do nowego rozlewu krwi i nie niszczyli wypracowanego z takim trudem pokoju. Następnie poprosił o głos sir Edwin Sandys.

Księżniczka Pocahontas nie dodała tylko tego, że będąc ukochaną córką swego ojca, powstrzymywała go od wypowiedzenia totalnej wojny osadnikom w Jamestown, jej miłość dla naszych rodaków, zdolności dyplomatyczne i talent do prowadzenia rozmów umożliwiły na większą skalę angielską kolonizację Nowego Świata.

Po zakończeniu obrad burmistrz Londynu wydał bankiet w Guild Hall. Sandys zdał przy tym Pocahontas relację z dyskusji, która nastąpiła po jej wypowiedzi. W rezultacie ci posłowie, którzy byli zwolennikami wojny, sami wycofali się z własnych teorii, uznając je za nieprzydatne w praktyce. Na zmianę ich poglądów miał duży wpływ fakt, że Pocahontas, córka indiańskiego wodza, była jednocześnie żoną Anglika.

Pocahontas, gdy się o tym dowiedziała, poczuła taką ulgę i radość, że po powrocie do zajazdu zrzuciła żółtą, balową suknię i odtańczyła nago jakiś szalony indiański taniec. John Rolfe na ten widok porwał ją w objęcia i okrył pocałunkami.

Hampton Court,

czerwiec 1616 roku

Pogorszenie pogody, chłód i mgły nie przeszkadzały dworzanom i damom dworu londyńskiego z zapalem oddawać się letnim rozrywkom. Tyle tylko, że zamiast na murawie pałacowych trawników urządzano pikniki pod dachem, a kryty kort tenisowy dla niepoznaki przystrojono letnimi kwiatami i małymi drzewkami. Pocahontas i tak podobały się te wszystkie nowe zajęcia; czasem nawet myślała, że chciałaby spędzić w ten sposób resztę życia.

Po pierwszej audiencji u króla i królowej zapalała do nich sympatią. Szczególnie polubiła króla, który, choć niepozorny i brzydki, przy bliższym poznaniu okazał się nadzwyczaj inteligentny. Pocahontas zauważyła to podczas kilku przypadkowych spotkań w ogrodach lub na korytarzach. Każda taka przelotna rozmowa podbudowywała dobrą opinię króla o niej, a ona ze swej strony też upewniała się, że wszystko idzie dobrze, bo król ją lubi. A na Balu Świętojańskim, kiedy król niespodziewanie pojawił się w towarzystwie swego zauszniaka, lorda Buckingham, oświadczyła mu, że ma gości z Londynu, szukających u niej porady na temat Wirginii.

- Przez cały czas, kiedy cię obserwuję, pani, jesteś wprost rozrywana! - podsumował król z uśmiechem. - Codziennie ktoś poszukuje twego towarzystwa, gdyż stałaś się ucieleśnieniem marzeń nas, wyspiarzy, o Nowym Świecie. Powiedziałem to także Dale'owi.

Sala balowa była tego dnia rozświetlona setkami świec i pochodni. Światło ze srebrnych kinkietowych lichtarzy odbijało się w brokatowych obiciach ścian, a w strojach gości walczyły o

lepsze wszystkie kolory

tęczy. Damy miały biusty odsłonięte aż po sutki, umalowane i ozdobione przylepionymi klejnocikami. Zarówno panów, jak i panie zdobiła biżuteria z rubinów, szmaragdów i szafirów przywieziona z Indii Wschodnich. Damy w szerokich krynolinach kołysały się na boki i płynęły po parkiecie jak małe statki.

Pocahontas zawahała się nieco przed wejściem do sali. Na chwilę przymknęła oczy, aby przyzwyczać się do zapachów, jakie ją zaatakowały ze wszystkich stron. Potem otrząsnęła się i powoli weszła do środka. Dziś miała na sobie suknię z bladozielonego atłasu obsypanego drobnymi perłami. W wysoko upiętych czarnych włosach tu i ówdzie tkwiły powtykane perły i diamenty. Z

jej szyi zwisały na dekolt trzy sznury pereł. Takie same perły widniały w jej kolczykach. Zatknięty głęboko za dekolt, błyszczał mały, wysadzany diamentami, krzyżyk - prezent od Kompanii Wirgińskiej. Za nią maszerowało trzech służących z Wirginii, w atłasowej liberii przybranej koronkami. Pochód zamykał przydzielony do jej asysty dworzanin, sir David.

Wszystkie oczy zwróciły się na zamorską księżniczkę i na sali momentalnie zapanowała cisza. Wprawdzie Pocahontas gościła na dworze od tygodnia, ale wiele osób spośród obecnych jeszcze jej nie widziało. Toteż po chwili ciszy poszły w ruch języki.

Obgadywano jej zwyczaj codziennych kąpieli i przechadzek w każdą pogodę, jej wyraźny wpływ na Karola księcia Walii, a nawet jej ostatnie wystąpienie w parlamencie.

Pocahontas rozglądała się po sali, ale nie dostrzegała żadnej znajomej twarzy. Nie wiedziała, czy cieszyć się, czy martwić z tego powodu. Z rozterki wewnętrznej wybawił ją nadworny błazen, torujący sobie drogę wśród gości. Fikał koziołki, stroił

zabawne miny, tę

uszczypnął w biust, tego pociągnął za brodę... W podskokach zbliżył się do Pocahontas, obiegnął wokół niej i wyprzedzając ją tanecznym krokiem, udawał, że gra na trąbce.

- O, księżniczka Rebeka! - sir Edwin Sandys skłonił się nisko, aby ucałować jej dłoń.

Spojrzała tak, jakby widziała go po raz pierwszy. Teraz dopiero zauważyła, jaką popularnością w towarzystwie cieszy się ten wytworny dżentelmen o niebieskich oczach. Przypomniała sobie, że winna mu jest wdzięczność za wszystko, co dla niej zrobił.

On z kolei patrząc na nią myślał, że królowa i jej damy miały rację twierdząc, iż Pocahontas nosi się bardziej po królewsku niż którakolwiek z nich. Odniosła sukces przewyższający jego najśmielsze oczekiwania. Zrobiła dobre wrażenie nawet na królu, który nadał jej prawo posługiwania się pełnym angielskim tytułem szlacheckim.

Przyglądając się jej bliżej, zauważył drobne zmarszczki w kącikach oczu, wyrażające zmęczenie.

- Wyjdźmy stąd - zaproponował. - Król się nie pojawi, a więc i tańce nie zaczną się wcześniej niż za

godzinę. Usiądźmy sobie w którymś z tych przyległych pokojów.

Wybrali mały salonik obity czerwonym pluszem, z dębowymi krzesłami i stołem ustawionymi przed kominkiem, w którym tlił

się przytłumiony ogień dla ochrony przed wieczornym chłodem.

- Z przykrością dowiaduję się, że twój mąż zaniemógł - zagał

Sandys.

- To tylko przeziębienie, John ma delikatne płuca. Jutro dołączy do nas.

Zaczęli rozmawiać o perspektywach rozwoju Wir-

ginii, przy czym Sandys obserwował jej dostojne i pełne powagi ruchy. Towarzyszył im szelest jej taftowej halki i delikatny zapach kwiatów. Sir Edwin nie zetknął się nigdy z takim zapachem, więc zachwycił się wyrafinowaniem księżniczki.

W tym momencie rozległo się delikatne pukanie do drzwi i w progu stanął sir David. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, że ich znalazł. Z pewnym wahaniem w głosie oznajmił:

- Szukam was wszędzie. Księżniczko, muszę ci powiedzieć, że twój znajomy, kapitan Smith, jest tutaj i chciałby się z tobą zobaczyć.

Pocahontas uniosła się nieco na krześle. Oddychała ciężko, bo czuła, jakby żelazna obręcz ścisnęła jej piersi.

Czy mam go tu poprosić? - dopytywał sir David. Sir Edwin natomiast zauważył, że zbladła jak ściana, a w jej oczach pojawił

się jakiś dziwny błysk. Ostatni raz widział takie spojrzenie u zwierzyny zaszczutej na polowaniu.

Na pytanie sir Davida odpowiedziała twierdząco, lecz ledwo zauważalnie, gdyż ogarnął ją niepokój.

Sir David cofnął się do drzwi i otworzył je na oścież. Do salonu wszedł Smith i zatrzymał się dłuższą chwilę, wpatrując się w Pocahontas. Potem głęboko się skłonił i podniósł do ust jej dłoń.

Gdyby nawet coś przy tym powiedział, Pocahontas nie usłyszałaby tego. Miała tylko tę świadomość, że od tej chwili wszystko inne przestało się liczyć, a w jego oczach, tak jak kiedyś, przemieszkiwał bóg nieba.

- Tak długo cię szukałem, Pocahontas! - zaczął. Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, ale żadne słowo nie chciało przejść jej przez gardło.

- Księżniczko, czy dobrze się czujesz? - podszedł do niej sir Edwin.

Próbowała coś powiedzieć, ale nadal nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Przyniosę wina - zaoferował się sir David i wybiegł z saloniku.

- Usiądź, proszę - Smith razem z sir Edwinem podsunęli jej krzesło. Obaj byli tacy uprzejmi, słyszała ich zatroskane głosy, ale choć usilnie próbowała, nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Czuła tylko na sobie wzrok Smitha i jego dotknięcie - poza tym nic nie było ważne.

Rozdział 26

Pałac w Hampton Court,

lipiec 1616 roku

Pocahontas siedziała przy oknie swojej sypialni w pałacu Hampton Court. Znad rzeki podnosiły się mgły, a któryś z królewskich łabędzi roztrzepywał skrzydła i czyścił pióra dziobem. Od wczorajszego wieczoru nie była w stanie przełknąć ani kęsa, wypowiedzieć ani słowa. Było to coś jeszcze gorszego, niż przypuszczała, więc nie wiedziała, co ma robić. Pozostała jej tylko modlitwa, ale po raz pierwszy także i to nie dawało jej ukojenia.

Religia chrześcijańska była dla niej jeszcze czymś nowym i nie wszystko dokładnie rozumiała. Była jednak pewna, że myśli, jakie ją teraz nawiedzały, są grzeszne, i to nie tylko według zasad chrześcijańskich, ale i jej dawnej wiary. Jeszcze większe wyrzuty sumienia ogarnęły ją, kiedy John Rolfe przyniósł jej śniadanie do łóżka i z troską pochylił się nad nią, pytając, co jej dolega.

Przytaknęła skwapliwie, kiedy spytał, czy w zajeździe czułaby się lepiej. Rzeczywiście, przyzwyczała się już do myśli, że na czas pobytu w Anglii ten zajazd zastępował jej dom. Chętnie uciekłaby tam zarówno przed życiem pałacowym, jak i przed Smithem. Jednak determinacja w jego spojrzeniu świadczyła, że gotów jest podążyć jej śladem. Znowu poczuła ogarniające ją pożądanie i zatrzęsała się na całym ciele.

Poczuła się lepiej dopiero pod wieczór, kiedy Mehta przyniosła jej małego synka. Jego nie kończące się pytania rozwiązały jej język. Zarówno jej krewni, jak i zaprzyjaźnieni dworzanie odetchnęli z ulgą, że księżniczka nareszcie przemówiła. Między sobą doszli do zgodnego wniosku, że przyjazd do Anglii stanowił

dla niej zbyt ciężkie przeżycie.

Następnego dnia rano cała asysta Pocahontas załadowała się do powozów i ruszyła w drogę powrotną do zajazdu. Zaprzyjaźnieni członkowie londyńskiego dworu, łącznie z księciem Walii, serdecznie machali im na pożegnanie rękami. Rolfe'owie otrzymali zaproszenie do Windsoru, kiedy za kilka tygodni dwór tam się przeniesie. Pocahontas nadal nie miała apetytu, ale z uśmiechniętą twarzą dziękowała wszystkim za gościnność.

Nazajutrz po południu do zajazdu przyniesiono list. Pocahontas była akurat sama i otworzyła go drżącymi rękami. List był od Smitha, który zapowiadał się z wizytą na wieczór. Pocahontas poleciła więc posłańcowi, aby przekazał nadawcy, że nie zastał

jej w domu. List zmięta i wyrzuciła, a sama zaczęła ze złością miotać się po pokoju. Zaciskała pięści, prosząc Boga to o karę dla Smitha, to o łaskę i miłosierdzie dla siebie.

W którymś momencie zapragnęła uciec gdzieś daleko. Miała wrażenie, że to przywróciłoby jej jasność myślenia. Zateęskniła do lasów swojej ojczystej Wirginii. John akurat był na jakimś zebraniu. Wiedziała, że w Anglii damy z wyższych sfer opuszczały dom wyłącznie powozem albo lektyką, ale mogła przecież się przejść. Nałożyła płaszcz z kapturem i nie zauważona wymknęła się z zajazdu. Ponieważ wszyscy myśleli, że odpoczywa - mogła liczyć na jakąś godzinę swobodnego spaceru.

Jej wyjście z zajazdu zauważył z przeciwnej strony ulicy John Smith. Poznałby jej charakterystyczne ruchy w każdym przebraniu, ale zastanawiał się, dlaczego wyszła sama, bez asysty, i dlaczego piechotą? Bezwiednie poszedł za nią, chociaż w duchu klął, że jak pies podąży jej tropem.

Gdybym wiedział, że spotkanie z nią wzbudzi tak silne pożądanie

- myślał - za nic nie przyjeżdżałbym do Hampton Court. Żyło mi się wygodnie, wspomnienia o niej częściowo się zatarły i co?

Znów zzerają mnie żądze! Muszę czuć pod palcami jej włosy, a przy sobie jej ciało, no i dowiedzieć się, jak było naprawdę z jej małżeństwem w Wirginii. A tymczasem pojawił się następny mąż, i to John Rolfe, którego tak cenię!

Przemykając się zatłoczonymi ulicami Smith miał świadomość, że w bezpośrednim zetknięciu z Pocahontas wszystkie te wątpliwości znikną. W końcu on był tu u siebie i podązał pewnie jej tropem jak jeleń na rykowisku, który wyczuł łanię. Pograżony w rozmyślaniach, nacisnął kapelusz głębiej na czoło.

Po przelotnym deszczu kamienie bruku stały się błyszczące i śliskie. Pocahontas przepychała się pomiędzy ludźmi spieszącymi do swoich zajęć. Wśród nich widać było kupców i służbę domową, lecz mało było kobiet. Przez tłum z trudem przedzierały się bryczki, lektyki, jeźdźcy, a od czasu do czasu także karety. Jej też było trudno spacerować w tym tłoku, ale przynajmniej nawoływania handlarzy, wrzaski dzieci i jękliwe prośby żebraków odwracały uwagę od innych problemów.

Zapomniała o wszystkim, gdy ludzkie morze niosło ją z jednej ulicy w drugą.

Uliczki były tu kręte i tak wąskie, że kamienice z biało-czarnego pruskiego muru zdawały się stykać nad

jej głową. Minęła już godzina, kiedy Pocahontas zdała sobie sprawę, że dawno powinna wrócić do zajazdu. Tylko jak odnaleźć drogę powrotną? Nie było tu żadnych znaków orientacyjnych, którymi mogłaby się posługiwać, tak jak robiła to w Wirginii. Przypomniała sobie jednak, że gdyby dotarła do rzeki, mogłaby trzymać się jej biegu.

Podeszła więc do staruszki sprzedającej kwiaty i zapytała, jak dojść do Tamizy. Baba obdarzyła ją bezzębnym uśmiechem i zamiast odpowiedzi zamachała ręką wzdłuż ulicy. Pocahontas długo szła w

tamtym kierunku, lecz rzeki nie było widać. Na pewno rodzina już martwiła się o nią, a tymczasem zaczynało się ściemniać i ulice pustoszały. Stateczni obywatele zasiadali już w swoich domach do kolacji. Jedynie przy porzuconej taczce zbijało bąki trzech uliczników. Zwróciła się więc do nich z pytaniem o drogę.

- Pani pyta o rzekę! - powtórzył jeden z nich swoim kolegom.

- To żadna pani, tylko jakaś cudzoziemka! — odwrzasnął drugi.

Podniósł kamyk i rzucił jej pod nogi.

- Patrzcie, jak skacze! - ucieszył się trzeci urwis. Pocahontas rzuciła się do ucieczki, a chłopcy popędzili za nią, zbierając po drodze kamyki. Za rogiem pośliznęła się na mokrym bruku i upadła na kolana. Na plecach i ramionach poczuła grad kamyków, aż za sobą usłyszała męski głos rozganiający łobuziaków.

Obcy mężczyzna pomógł jej wstać, otrzepał jej płaszcz i spytał, czy wszystko w porządku.

- Chciałam trafić do rzeki - odpowiedziała z gniewnym błyskiem w oczach i twarzą zapryskaną błotem. Nieznajomy wyczuł obcy akcent w jej głosie i władczy styl bycia.

- Przepraszam za tych łobuzów - zaczął. - Chodźmy, pani, tu blisko do gospody, gdzie będziesz mogła się umyć i czegoś napić.

Zgodziła się na jego propozycję, gdyż czuła, że jest brudna, chciało jej się pić i miała nadzieję, że ten uprzejmy pan odwiezie ją do zajazdu.

W gospodzie było tłoczno, ale Pocahontas od razu spostrzegła, że znajdują się tam głównie poważni ludzie interesu. Chętnie podniosła do ust cynowy kubek z winem, ale nie zdążyła się napić, gdyż wewnętrzny głos nakazał jej się obejrzeć. Od drzwi szedł w jej kierunku John Smith... Kubek z hukiem wyleciał z jej rąk na podłogę.

Nie pamiętała, co zaszło potem, gdyż odzyskała przytomność dopiero w pokoju gościnnym na piętrze gospody. Czuła delikatne dotknięcia rąk Smitha, który na zmianę zmywał błoto z jej twarzy i całował jej wargi oraz powieki. Wiedziała, że teraz nie będzie w stanie mu się oprzeć, bo pragnęła go całym swym jestestwem.

Wśród pocałunków wykrztusiła, że musi wracać do swego zajazdu, bo na pewno jej rodzina szaleje z niepokoju. Smith zapewnił ją, że wysłał już tam gońca z wiadomościami o niej i że zamówił lektykę. Jego ręce stawały się przy tym coraz bardziej natarczywe, a ona nie miała zamiaru ich powstrzymywać.

Miała wrażenie, że chyba Bóg o niej zapomniał - jakżeby inaczej Smith mógł znaleźć się akurat w tej gospodzie? To, że jej ciało wymknęło się spod kontroli i odpowiadało spontanicznymi reakcjami na jego podniety, uznała za widomy znak działalności diabła. Na jego dziką żądę reagowała falami najwyższej rozkoszy, narastającej rytmicznie aż do szczytu. Wtedy rozłączyli się, wciąż trawieni pożądaniem.

- Śledziłem cię - przyznał się. - Musiałem przypomnieć ci, co nas wciąż łączy. Bez tego nie mógłbym pozwolić ci odejść.

Kiedy już odprowadzał ją do lektyki, oparła się ciężko na jego ramieniu. W ciszy nocnej szli obok siebie, nasytzeni sobą, aż wyrzuciła wreszcie z siebie pytanie, dlaczego wtedy, przed laty, nie pokazał się już więcej. Dopiero teraz mogli wszystko sobie wyjaśnić i zastanawiać się, co by było, gdyby on nie został wtedy ranny w wybuchu, a ona nie wyszła za Kokuma.

Pocahontas obiecała Smithowi, że jeszcze się z nim spotka, choć zapewne nieprędko, gdyż miała za wiele zobowiązań towarzyskich. Nie zwierzyła mu się natomiast, że nie może dać sobie rady z własnymi uczuciami. To wszystko przez niego, bo zawładnął jej sercem, kiedy była jeszcze tak młoda i podatna na wpływy. Gdyby nie on, jej życie mogłoby potoczyć się zupełnie innym torem.

Następne dni były szczelnie wypełnione odwiedzinami, uroczystościami, proszonymi kolacyjkami i balami. Pocahontas z zaangażowaniem wczuwała się w rolę reprezentantki Nowego Świata. Tańczyła, brała udział w dyskusjach i tryskała humorem.

Nie miała czasu na rozpamiętywanie, więc bez wyrzutów sumienia mogła patrzeć mężowi w oczy. Tym samym zyskiwała na czasie i łatwiej mogła zwalczyć swoje obawy.

Smith nie mógł się doczekać następnego spotkania, ale Pocahontas nie miała zamiaru się z nim umówić. Kiedy wysłał do niej dyskretny liścik, otrzymał tylko uprzejme podziękowanie i nic więcej. Dopiero któregoś dnia niespodziewanie spotkali się na maskaradzie. Usiadł obok niej, najbliżej jak mógł.

Obserwował jej wysoko podniesione gorsetem piersi, falujące pod

krezą, i wszystkimi siłami powstrzymywał się, żeby nie podłożyć pod nie dłoni i nie zbliżyć do nich ust.

Z zazdrością patrzył na Rolfe'a i zastanawiał się, czy on też wie, jaki ta elegancka dama potrafi przejawiać temperament.

Wydawało mu się, że to jest nie w porządku. Piękna, dzika księżniczka odziana w skóry została daleko za oceanem, a tu siedzi ozdoba salonów, rozrywana w całym londyńskim towarzystwie, władająca trzema językami, strojna w atłas i perły, a dla niego nieosiągalna.

Kiedy muzyka przestała grać, usługiwał jej przy kolacji i błagał o spotkanie. Niestety, musiała go rozczarować.

- Wkrótce wyjeżdżam do rodziny mego męża w Norfolk.

Wrócimy za kilka tygodni i wtedy dam ci znać.

W jej spojrzeniu dał się zauważyć przeblysł bółu, ale zaraz odwróciła się w inną stronę.

Rolfe postanowił, że razem wyjadą najpierw do majątku jego rodziny, a potem na odpoczynek do Brentford. W dniach, kiedy Pocahontas nie mogła wydobyć z siebie głosu, obawiał się, że jest zbyt przemęczona obowiązkami wobec Kompanii Wirgińskiej, a więc powinna odetchnąć świeżym powietrzem z dala od natrętnych gości. Sam też chciał wyrwać się na jakiś czas z Londynu, gdzie dokuczyły mu już wieczne nagabywania, jak to udało mu się wżenić w tak wysokie sfery.

Podróż kareta z Londynu do Heacham w hrabstwie Norfolk po zakurzonych wiejskich drogach trwała tydzień. Pocahontas miała wrażenie, że to nigdy się nie skończy. Z dala od wielkomiejskich rozrywek znów zaczęła wracać myślami do Smitha. Ich wzajemny

pociąg fizyczny powrócił z taką siłą, jakby w ogóle nie było lat rozłąki. Właściwie zawsze za nim tęskniła, ale jako szczęśliwa małżonka spodziewała się, że stara miłość powoli obumrze. I tak by się pewnie stało, gdyby się znów nie spotkali.

Przypomniało jej to pierwsze spotkanie z Kokumem podczas zabawy tanecznej w Kecoughtan. Wtedy dopiero stawała się kobietą i budziły się w niej pierwsze porywy cielesne. Nie miała jeszcze pojęcia, że z czasem własne ciało zapanuje nad nią i nieraz będzie musiała bać się samej siebie.

Długie, nudne godziny podróży poświęcała przeważnie na modlitwę. Przez cały czas zastanawiała się, czy Bóg w ogóle dba jeszcze o taką grzesznicę. Drżała na samą myśl o tym, co by było, gdyby w Kompanii Wirgińskiej rozniosło się, że jest cudzołożnicą!

Aby zatuszować fakt, że myślami jest przy innym mężczyźnie, zaczęła teraz aż przesadnie dbać o rodzinę. Na postojach, kiedy wysiadano z powozów, by rozprostować nogi — zauważyła, że na prowincji więcej jest otwartych przestrzeni i widać szersze połacie błękitnego nieba. Przypominało to jej ulubioną łąkę z czasów dzieciństwa.

Na stopniach dworku w Heacham Hall oczekiwała cała rodzina Rolfe'ów. Dla Johna było to miłe spotkanie po latach, a Pocahontas od razu doświadczyła ciepłego i rodzinnego przyjęcia. Już przy kolacji, gdy podano pyszną gęś i wznoszono wiele toastów, miała wrażenie, jakby zawsze należała do tej rodziny. Życzliwość krewnych Johna wywoływała tylko nowe fale wyrzutów sumienia, gdy przypominała sobie swą dwulicowość.

Natomiast mały Thomas czuł się w domu krewnych

swego ojca jak ryba w wodzie. Któregoś słonecznego dnia wyznał nawet rodzicom, że w ogóle nie chciałby stąd wyjeżdżać.

Nic dziwnego, skoro dziadkowie, wujkowie i ciocie otaczali go serdecznością, spełniając każde życzenie egzotycznego książątka. Dopiero wtedy Pocahontas zdała sobie sprawę z olbrzymiej spuścizny, jaką dziedziczył jej syn jeszcze po anglosaskich przodkach. Chętnie zgodziła się pozować razem z nim do portretu, który dla rodziny Johna miał być miłą pamiątką ich pobytu.

Ponieważ Thomas tak świetnie czuł się wśród swoich krewnych, Pocahontas rozważała wspólnie z Johnem, czyby nie pozostawić go tu, aby w przyszłości uczęszczał do angielskiej szkoły. Po dłuższym namyśle zdecydowali jednak, że jego miejsce jest w Wirginii. Tak dobrze zapowiadającego się

młodego człowieka na nowym lądzie czekała lepsza kariera.

Pocahontas w głębi duszy snuła jeszcze inne plany -a gdyby tak sama została z Thomasem na kilka lat w Londynie, prowadząc dyskretne życie z Johnem Smithem? Im bardziej jednak dogadzała sobie takimi pomysłami, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że ma obowiązek trwać u boku Johna Rolfe'a w Wirginii.

Rozdział 27

Heacham Hall, Norfolk,

lipiec 1616 roku

W gościnnym domu Rolfe'ow tygodnie mijały jak z bicza strzelił.

Przedpołudniami kobiety z rodziny odwiedzały się nawzajem w swoich pokojach. Przy lunchu toczyły się zażarte dyskusje o polityce. Potem urządzano wycieczki po łąkach pełnych kwiatów i pikniki w cieniu drzew. Podwieczorki też jadano na świeżym powietrzu przy akompaniamencie radosnego śmiechu dzieci.

Wieczorne spotkania towarzyskie przy winie często trwały do rana.

Pocahontas pragnęła, aby te piękne dni trwały wiecznie. Figura jej nieco się zaokrągliła, gdyż specjalnością tamtych stron była tłusta śmietanka, którą dodawano do każdej potrawy. Nie mogła jednak zapomnieć o swoich obowiązkach wobec Kompanii Wirgińskiej, toteż wkrótce nadszedł dzień pożegnania, któremu towarzyszyły łzy, pocałunki i obietnice.

Po kilku tygodniach przebywania w ciepłej, rodzinnej atmosferze Pocahontas wyzbyła się swoich poprzednich obaw. Początkowo tęskniła za Johnem Smithem, gdyż uważała, że nie można lekceważyć potrzeb swego ciała. Składały się na to i uległość wobec niego, i zawód spowodowany latami rozłąki. Toteż przez pierwsze noce w Heacham Hall dręczyły ją senne koszmary.

Nieraz John Rolfe musiał spacerować

z nią po sypialni, dopóki nie przestała drzeć na całym ciele.

Sielankowy tryb życia na prowincji uporządkował jednak nieco rozhuśtane emocje. W miarę upływu dni sama zaczynała dostrzegać, że chociaż większość swego dorosłego życia poświęciła miłości do Smitha, to jednak musi z niego zrezygnować. Obserwując synka bawiącego się radośnie u stóp ojca dochodziła do wniosku, że jego czułość i oddanie również mogą dać jej szczęście do końca życia.

Ponadto poczucie obowiązku i odpowiedzialności było w niej tak głęboko zakorzenione, że zniszczyłaby samą siebie, gdyby je zlekceważyła. Wszystko to powodowało, że stopniowo dojrzewiała do podjęcia decyzji... ale nadal nie wiedziała, co zrobi, jeśli spotka Smitha.

Brentford było miejscowością letniskową na tyle odległą od Londynu, że Rolfe'owie mogli spokojnie spędzić tam czas dzielący ich od powrotu do stolicy. Nawet tam jednak interesanci nie dawali im

spokoju -co rusz ktoś przyjeżdżał na spienionym koniu. Rolfe podziwiał talent, z jakim Pocahontas umiała pozbywać się zbyt natrętnych gości.

Smitha widziała tylko raz, i to z daleka, na wiejskim jarmarku.

Serce zabiło jej wtedy mocniej, ale zaraz odciągnęła niezadowolonego Thomasa od występu kuglarzy i pospiesznie wepchnęła go do powozu. Była pewna, że Smith jej nie zauważył.

Prześladował ją bowiem lęk, że znów może się zapomnieć w jego ramionach, a wtedy będzie zgubiona.

Para królewska wraz z całym dworem spędzała lato w niedalekim zamku Windsor. Urządzili tam bal, na

który zaprosili także Pocahontas, nie mogąc się nacieszyć swoim egzotycznym gościem. Sam widok służącego przynoszącego zaproszenie wystarczył, aby uświadomić jej, że spotkanie ze Smithem jest nieuniknione. Królowa bowiem dbała o to, aby na przyjęciach spotykali się ludzie o podobnych zainteresowaniach i doświadczeniach.

Na czas balu Rolfe'owie zatrzymali się w zajeździe w Windsorze.

Pocahontas wybrała na ten wieczór suknię z żółtego jedwabiu, ale palce jej drżały przy zapinaniu naszyjnika z pereł. Dobrze, że John nie był zbyt spostrzegawczy - inaczej wyczułby pewne napięcie w jej głosie.

Wieczór był taki ciepły, że na przejście krótkiej drogi do zamku wystarczyło okryć się lekkim szalem. Dzięki temu Pocahontas mogła ujrzeć piękny widok różnokolorowo ubranych gości zdążających z różnych stron, jak barwne kwiaty chwiejące się na wietrze.

Smitha zobaczyła zaraz po wejściu na salę. Trwały już tańce, a jego partnerką była jakaś szczupła blondynka. Obserwując tę parę Pocahontas doszła do wniosku, że musi natychmiast się stąd wycofać, tym bardziej że dziś jej dawny kochanek wyglądał

wyjątkowo dobrze. Nie uniknęła jednak jego spojrzenia.

Kiedy tańczono galiardę, zetknęły się także ich dłonie. Wtedy Pocahontas uczuła taką suchość w gardle, że nie mogła przełknąć śliny. Przy kolejnej zmianie partnerów zatańczyli ze sobą i wtedy Smith zaproponował, żeby napili się wina. Przytaknęła na tyle za-chęcająco, że zaraz wystąpił z następną propozycją -spaceru po ogrodzie. Dopiero w czasie przechadzki Pocahontas podniosła rękę, aby zahamować jego potok wymowy, i wyrzuciła z siebie:

- Nie mogę więcej się z tobą widywać! Nie mogę

przecież ani zostać twoją żoną, ani nadal zdradzać mojego męża!

Gardło miała przy tym tak wyschnięte, że aż się zakaszła. Kiedy otoczył ją ramieniem - obawiając się, że ją tym rozbroi, szybko odskoczyła i mówiła dalej:

- Przez całe życie byłeś w moim sercu i w myślach, rosłam z tobą, cierpiałam dla ciebie, dla ciebie nawet zabiłam człowieka.

Kochałam cię tak, jak nie pokocham już nikogo w życiu, ale powtarzam ci, że nie mogę się już nigdy z tobą zobaczyć!

Odwróciła się, by odejść, ale chwycił ją i przytrzymał w ramionach. Kiedy przybliżył do niej twarz, poczuła w okolicy serca ból tak ostry, że aż porażający. Z trudem wyrwała się i biegiem wróciła do zamku.

Następnego ranka nie pamiętała już, co się działo przez resztę wieczoru. Pewnie, jak zwykle, olśniewała wszystkich kunsztem swego tańca i prowadzenia konwersacji, bo mąż nie szczędził jej komplementów.

Przy śniadaniu nadmienił:

Sandys wspomniał mi o swojej wczorajszej rozmowie z Johnem Smithem. Zmienił plany i chce popłynąć jak najszybciej za ocean. Będzie badał Wirginię od Jamestown do Nowej Szkocji.

Przez resztę miesiąca Pocahontas jakoś wytrzymała na lotnisku w Brentford, ale kiedy już mieli wracać do Londynu, wiedziała, że nie będzie mile wspominać tej miejscowości. Nie kojarzyła się bowiem z niczym dobrym - raczej z jej rozdartym sercem, a na domiar złego Thomas paskudnie skaleczył się w nogę. Wywią-

zało się zakażenie, kiedy jednak wezwany lekarz chciał puścić chłopcu krew, Pocahontas wraz z Mehtą ubłagały Rolfe'a, by na to nie pozwolił. Zgodnie z wierzeniami

Powhatanów ciało opuściłyby wtedy jego dobre duchy. Indianie z orszaku Pocahontas wystarali się na miejscowym targu o potrzebne zioła i codziennie przykładali je do rany. Po niedługim czasie chłopczyk zupełnie wyzdrowiał.

Po powrocie do Londynu Pocahontas znów rzuciła się w wir swoich reprezentacyjnych obowiązków — wygłaszała przemówienia i uczestniczyła w proszonych kolacjach. Nie odrzucała żadnego zaproszenia, gdyż chciała, aby wypełniały jej cały czas. Tak więc sir Edwin Sandys wydał w Guild Hall bal zarówno dla arystokratów, jak i kupców, którzy zainwestowali w Kompanię Wirgińską lub mogli być potencjalnymi inwestorami.

Pocahontas zrobiła tam furorę suknią z białego aksamitu, przybraną białą krezą, perłami i diamentami.

Z kolei po balu maskowym, zorganizowanym przez królewską parę, plotkowano, że królowa tańczyła wszystkie tańce z księciem Buckinghamem, a księżę Walii uwijał się wokół

zamorskiej księżniczki w błyszczącej, szmaragdowozielonej sukni.

W zajeździe „Belle Sauvage” odwiedził ją także Ben Jonson.

Nosił przewieszoną przez ramię torbę na dwóch paskach, dokładnie taką samą, jaką miał Tomoco, tyle że z atłasu, a nie ze skóry. Był to ostatni krzyk mody w Londynie. Pocahontas wiele słyszała o jego inteligencji i prowadzonych przez niego kawiarnianych spotkaniach, które kształtowały opinię publiczną.

Pisarz był tak zafascynowany jej osobowością, że przez całe czterdzieści pięć minut nie odrywał od niej oczu. Po jego wyjściu Pocahontas powiedziała Rolfe'owi:

— Zniosłam to dla dobra inwestycji w Wirginii, ale gdzie ta jego sławna elokwencja?

Nie zapomniała także o tych znajomych, dla których los był

mniej łaskawy. W towarzystwie sir Waltera Raleigha odwiedziła w Tower jego współwięźnia, hrabiego Northumberlanda, starszego brata George'a Percy'ego. Serce jej się krajało na widok zimnej celi o ścianach z kamienia i nie mogła zrozumieć, jak można wytrzymać w takim miejscu całe lata. Sir Walter otrzymywał przynajmniej od czasu do czasu przepustki.

- Na pewno nigdy się do tego nie przyzwyczaję, ale za to mam tu piękny widok z okna! - Starzejący się arystokrata wskazał na wąską szczelinę w murze, przez którą było widać Tamizę.

Hrabia był tak wzruszony okazanym mu zainteresowaniem, że poprosił Pocahontas o jej kolczyki z perłami, do których zobowiązał się dorobić gustowną srebrną oprawę. W więzieniu zabijał bowiem czas majsterkowaniem i przeprowadzaniem doświadczeń. W ciągu zimy Pocahontas odwiedziła go jeszcze trzykrotnie i za każdym razem usiłowała namówić sir Waltera, aby po ostatecznym zwolnieniu z więzienia przedsięwziął jeszcze jedną wyprawę badawczą. Pocahontas przekonywała odkrywcę, że w ten sposób nadrobi stracone lata.

Któregoś chłodnego grudniowego dnia, kiedy znad rzeki podnosiły się opary, a powhatańscy służący rozpalali ogień w kominkach - John odwołał Pocahontas na stronę.

- Czas już wracać do Wirginii - stwierdził. - Sandys mówi, że nasz przyjazd stokrotnie zwiększył zainteresowanie kolonizacją.

Musimy już zacząć przygotowywać grunt pod falę imigrantów.

- Wiem, że już za długo jesteśmy z dala od domu, ale tak mi żal opuszczać to piękne miasto! - wyznała Pocahontas.

- Wydaje mi się, że najlepiej będzie zarezerwować miejsca na statku „George”, który odpływa w marcu. Oczywiście, jeśli wolałabyś zostać trochę dłużej...

- Nie, nie! - Pocahontas nie chciała ryzykować pozostawania w mieście, gdzie mogłaby spotkać Johna Smitha.

- To prawda, że po pobycie w Londynie Jamestown wyda się miściną zabitą deskami - przyznał Rolfe - ale może za kilka lat znowu nas tu zaproszą. W każdym razie jeszcze cię tu kiedyś przywiozę.

Pocahontas skwitowała to uśmiechem.

Ostatnie tygodnie ich pobytu w Londynie miały z zastraszającą szybkością. Król przyjął Pocahontas na specjalnej audiencji, aby omówić sukces kolonizacji Wirginii. Sir Edwin wydał

pożegnalne przyjęcie, na które zaprosił także najbogatszych londyńskich kupców. W ich obecności Sandys dziękował

Pocahontas i jej mężowi za ich wybitny wkład w dzieło promocji Kompanii Wirgińskiej.

Przed swoim przyjazdem do Londynu Pocahontas nigdy nie przypuszczała, że tak się przywiąże do tego miasta. Traktowała wyjazd do Anglii jako ciężki obowiązek, tymczasem okazało się, że podróż ta stała się punktem zwrotnym w jej życiu i na ziemi angielskiej na zawsze miała zostać dawna młoda dziewczyna zakochana w Johnie Smisie.

Wyjeżdżała stąd już spokojna i pogodzona z losem. Na pewno żał za Smithem z czasem przemienie, za to pogłębi się jej miłość i czułość do Johna Rolfe'a. Pojawią się następne dzieci, bo przecież zawsze chciała mieć dużą rodzinę. A kiedy już wiedziała, że zawsze

będzie mogła odwiedzić Londyn - jeszcze bardziej niecierpliwie czekała na powrót do swojej ukochanej Wirginii. Tyle tam miała do zrobienia, tyle musiała się jeszcze nauczyć i co najważniejsze

- miała dla kogo żyć.

Rozdział 28

Gravesend,

marzec 1617 roku

Z młodej, wiosennej trawki wyzierały już pierwsze krokusy, gdy Pocahontas, jej rodzina i służba wsiedli do dyliżansów i wyruszyli w drogę do portu Gravesend. Stamtąd, gdy nadejdzie przyptyw i sprzyjający wiatr, mieli statkiem „George” odpłynąć do Wirginii. Jak na tę porę roku było ciepło, ale nie występowały częste w marcu prądy powietrzne ułatwiające żeglowanie.

Pocahontas weszła na pokład statku i przywitała się z kapitanem, tłumacząc, że Johna Rolfe'a w ostatniej chwili zatrzymały w Londynie ważne sprawy. Poczula przy tym chłód, więc owinęła się szczelnie płaszczem. Zaraz potem rozlokowała się wraz z innymi Indianami w zarezerwowanych kajutach. Spodobała się jej kabina, którą zajęła, gdyż nad łóżkiem znajdował się iluminator z widokiem na morze.

Następnego dnia obudziła się z kaszlem i gorączką. Mehta napoiła ją obficie naparem rumianku, ale po południu temperatura jeszcze się podniosła. Mehta poprosiła kapitana, aby co prędzej posłał po Johna Rolfe'a, odprawiła też dwóch posłów do Izby Gmin, którzy chcieli jeszcze w ostatniej chwili zobaczyć się z księżniczką. Pocahontas pozostała w łóżku, a wieczorem zjadła lekką kolację. Kiedy Mehta przyniosła małego Thomasa, aby pocałowała go na dobranoc -

przytuliła go na krótko do siebie, podziwiając urodę swego synka.

Nazajutrz po południu nie miała już apetytu, a gorączka nadal się utrzymywała. John Rolfe przejął się do tego stopnia, że wysłał

gońca do Sandysa, prosząc

o lekarza. Następnego ranka sir Edwin sam przywiózł osobistego medyka królowej. Mehta nie pozwoliła jednak, aby puszczał

chorej krew.

Pocahontas czuła, że wszyscy martwią się jej stanem. Uważała, że nic strasznego z nią się nie dzieje, najwyżej przez dzień lub dwa poleży i odpocznie. Przez iluminator miała tak piękny widok na niebo! Od ich przyjazdu do Gravesend wszystkie dni były pogodne.

Cóż za przykry zbieg okoliczności, żeby zachorować akurat wtedy, kiedy miała opuścić Anglię! Kapłani w Werowocomoco powiedzieliby na pewno, że własne ciało się jej sprzeniewierzyło.

Zapadła w sen, a kiedy się obudziła, miała usta całkiem wyschnięte. John zaproponował, by napiła się wody. Jakim on był dobrym mężem! Wystarczyło trzymać go za rękę, aby od razu czuć się lepiej. Gdyby tylko nie było jej tak gorąco! Któregoś dnia w Werowocomoco też panowały takie upały, że nie było czym oddychać.

Teraz znów wydawało się jej, że ojciec się do niej uśmiecha.

Pewnie chce powiedzieć, że upał niedługo przeminie. 1

rzeczywiście, przecież jest już noc! Teraz zupełnie wyraźnie słyszała odgłosy lasu nocą: pohukiwania sowy, prześlizgiwanie się węża i skrobanie myszy pod liściem. Musi się spieszyć, przecież tam John Smith na nią czeka i zaraz porwie ją w ramiona! Najpierw jednak musi się napić wody, bo znowu świeci słońce

i zrobiło się gorąco. Teraz ktoś coś do niej mówi...

Jak miły głos ma John Rolfe! Chciała powiedzieć mu, że nic jej nie jest i że słyszy go dobrze. Pewnie poślą po kapłanów, ale po co, przecież oni już nic do niej nie mają. Należy do prawdziwego Boga, który nad nią czuwa. Teraz też jest przy niej. John niepotrzebnie się martwi. Znów pochyla się nad nią. Może niepokoi się

o Thomasa? Niepotrzebnie. Trzeba mu powiedzieć, żeby się nie martwił. Przecież ma takiego ładnego synka!

Pocahontas uśmiechnęła się. Wydawało się jej, że leży na swojej ulubionej łące. Zaraz poczuje się lepiej

i wszyscy inni też. Już bóg nieba bierze ją w objęcia. Ma takie niebieskie oczy. Ale zaraz, przecież to

jest John Smith! Chyba chce jej coś powiedzieć. Błękit ogarnął ją całą... wtopiła się w ten błękit...
Była taka szczęśliwa!

Wyciągnęła ramiona do swego boga nieba...

Epilog

Gravesend,

marzec 163 / roku

W wietrzny i wilgotny marcowy dzień Thomas Rolfe stał nad grobem swojej matki na miejscowym cmentarzu. Matka odeszła na zawsze tak dawno temu, że już prawie tego nie pamiętał, choć to też było w marcu. Przypominał sobie jak przez mgłę, że sam też wtedy chorował i nie wiedział, co się z nim dzieje. Toteż ojciec nie chciał narażać małego wówczas dziecka na trudy dalszej podróży i już w Portsmouth zostawił go pod opieką kuzyna, sir Lewisa Stukleya.

Thomas wychowywał się więc u stryja i pobierał nauki zgodnie z życzeniem ojca. Każdy statek przybywający z Wirginii przywoził

mu długie listy od Rolfe'a. Korespondencja urwała się w roku 1622. Król Powhatan bowiem zmarł niedługo potem, jak dowiedział się o śmierci swej ukochanej córki. Jego brat Opechancanough, który przejął po nim tron, wypowiedział wojnę Anglikom i wiele krwi polało się po obu stronach, zanim został

pokonany. Thomas stracił wtedy ojca.

Teraz, kiedy dorósł na tyle, aby przejąć majątek zapisany na niego w Wirginii, zdecydował się opuścić Anglię. Miał już miejsce na statku, który odpływał nazajutrz; chciał się tylko jeszcze pożegnać z matką. Stojąc nad jej grobem, trzymał w ręku książkę, którą właśnie czytał. Była w niej mowa o początkowym okresie działalności Johna Smitha w Wirginii.

Dopiero z tej książki Thomas dowiedział się, że jego matka uratowała Smithowi życie, i to nie raz, ale trzy razy. Kiedyś miał

sposobność odwiedzić Johna Smitha, który był już wtedy starym kawalerem. Spytał go wówczas, dlaczego nie opisał swoich przygód, tych sprzed 1625 roku. Smith z zaskoczeniem spojrzął

na Thomasa, tak podobnego do swojej matki, i wymijająco odpowiedział, że trudno mu już przypomnieć sobie te burzliwe lata.

Thomas ukląkł nad grobem, aby pomodlić się za duszę matki.

Zastanawiał się, czy nie wolałaby ona raczej spocząć w Wirginii.

Oczywiście nigdy się już tego nie dowie. Wstał i w krótkich słowach pożegnał matkę na zawsze, gdyż wiedział, że nie wróci już do Anglii. Dawno postanowił, że skorzysta z możliwości, jakie dawał mu

odziedziczony majątek w Wirginii. Jeszcze pomachał ręką na pożegnanie, odwrócił się i poszedł ku przystani, gdzie czekał statek.

Postowie

Wkrótce po śmierci Pocahontas John Rolfe wrócił do Wirginii.

Pisał stamtąd regularne listy do syna, pozostającego pod opieką jego młodszego brata Henry'ego i kuzyna, sir Lewisa Stukleya.

Dbał o wykształcenie syna i zachował jego majątek w stanie nienaruszonym. W tym celu poprosił sir Edwina Sandysa o przeznaczenie na koszty utrzymania Thomasa pensji przyznanej w swoim czasie Pocahontas przez Kompanię Wirgińską.

Rolfe powiadomił też sir Edwina, że w Wirginii na wieść o śmierci Pocahontas zapanowała powszechna żałoba. Sam udał się do Powhatan, żeby dać mu znać, co się stało z jego córką. Stary wódz kompletnie się załamał i przekazał władzę nad imperium Siedmiu Królestw swemu bratu Opitchapanowi. Potem zamieszkał wśród Patawomeków, aby znaleźć się jak najdalej od Anglików, ale nie pożył już długo. Zmarł rok później, w roku 1618.

Rolfe udoskonalił uprawę tytoniu tak dalece, że uczynił z niego główny towar eksportowy kolonii. Nadal korespondował z sir Edwinem Sandysem, który rekrutował coraz liczniejsze zastępy ochotników do zasiedlenia Nowego Świata.

Po czterech latach miejsce Opitchapana zajął jego następny brat, Opechancanough. Nie był on tak zdolnym i przewidującym władcą jak Powhatan, gdyż dopuścił do wzrostu napięcia między Anglikami a Indianami. Eskalacja konfliktu doprowadziła do wybuchu powstania w roku 1622, zakończonego krwawą masakrą. Zginęło wówczas około trzystu osadników, wśród nich i John Rolfe.

Thomas Rolfe wrócił do Wirginii w roku 1635 i przejął majątek Varina, gdzie się urodził. Przejął także z rąk Indian olbrzymią połącziemi, którą Pocahontas otrzymała w darze ślubnym od króla Powhatan. John Rolfe zdążył jeszcze zabezpieczyć prawa syna do tej ziemi królewskim nadaniem.

Thomas utrzymywał luźne stosunki z Powhatanami i czasem ich odwiedzał, sam jednak związał się ze środowiskiem angielskim.

Ożenił się z ładną Angielką — Jane Poythress, dając początek przyszłym pokoleniom polityków, prawników, nauczycieli i duchownych. Z tego pnia wywodzą się trzy rodziny znane i zasłużone w Wirginii: Randolphów, Bollingów i Blairów.

John Smith raz jeszcze przyjechał do Ameryki w roku 1619, ale potem wrócił na stałe do Anglii. Zmarł w stanie bezzennym w 1631 roku.